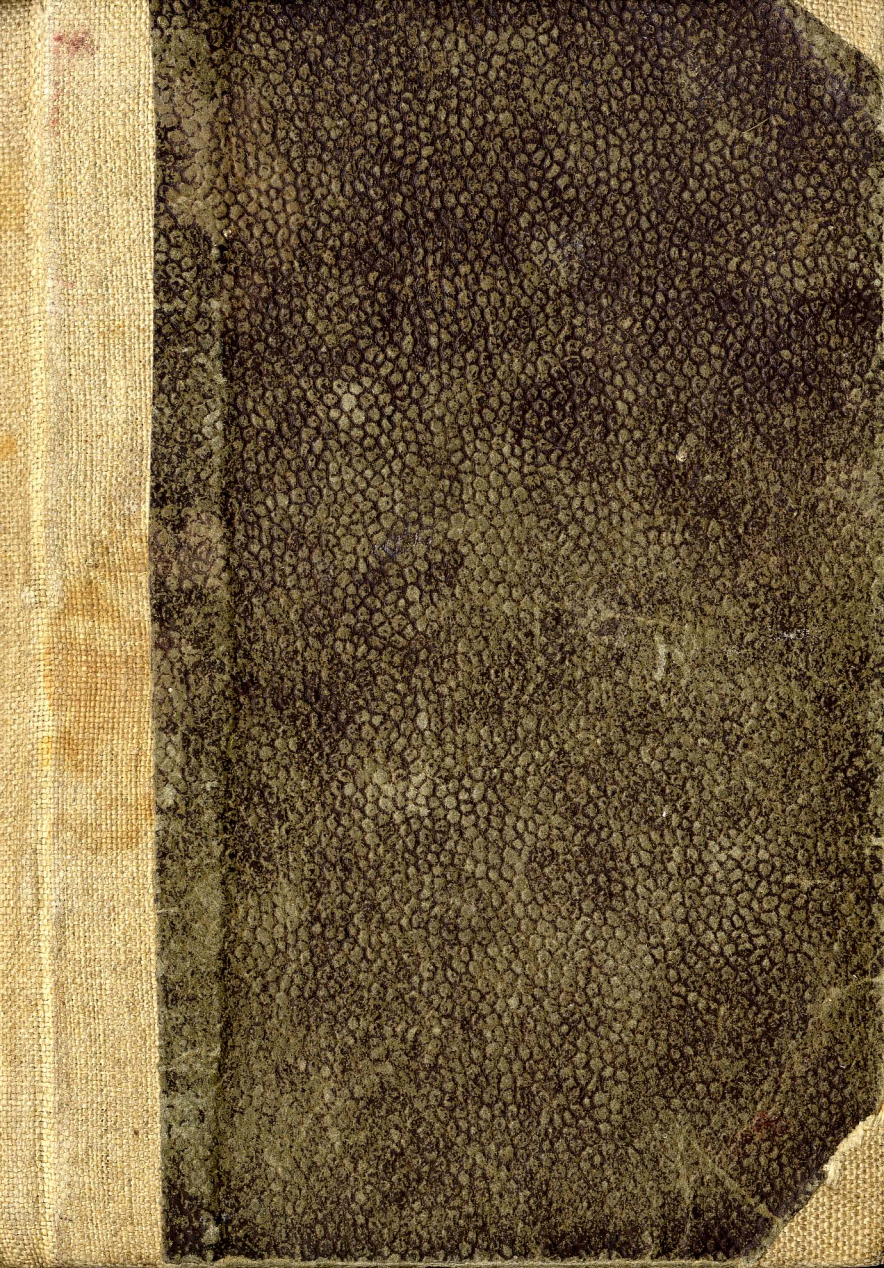






Karta terminów zwrotów.

3 MARZ 1909

Sp" Pogoń" B-stok Nr 1220 N. 100.000. A-7

Termin zwrotu książki

WYDANIE JUBILEUSZOWE
J. I. KRASZEWSKIEGO.

El. Orzechowa

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

RZYM ZA NERONA.

Obrazy historyczne.

PAMIĘTNIK MROCZKA.

Powieść.

TOM I.

Wydawnictwo na korzyść Jubilat.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1878.



KOMPUTER

821-3



821.162.1-311.6

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Ноября 1877 года.

7



5

82.2 15.6.45

74 a

RZYM ZA NERONA.

OBRAZY HISTORYCZNE.

W

— Specta juvenis — ceterum in ea
tempora natus es, quibus firmare ani-
mum expediat constantibus exemplis.

C. C. Tacit. Annal. L. XVI.

We wszystkich niemal miastach włoskich (nie wy-
mując nawet Wenecyi), spotkać się można po ulicach
z ławkami antykwareuszów, pełnemi tych tak pona-
tnie wyglądających ksiąg oprawnych w pergamin, pod
których okładką, udającą starożytną, często najpospo-
litsza i wcale nieosobliwa rzadkością nawet, rzecz
się mieści. Zawód jednakże doznany niepowinien bi-
bliofila zrażać od przewracania tych *sub Jove* rozło-
żonych piśmiennych zabytków; bo między nimi często
się i nader ciekawe dzieła spotyka, których niezbyt
drogo nabyć można. Jest też wielką przyjemnością,
komu na to czasu stało, wędrować po tym cmentarzu
wśród którego leży Tacyt obok Doskonałej Kucharki,
Bakon razem z Dumasem i Ś. Chryzostom z Meta-
stazyuszem. Cmentarzowa równość panuje pomiędzy
nieboszczykami, którzy więc częściej życia mają nad
tych, co jeszcze chodzą po świecie.

Jednego dnia jesienno 1862 roku, idąc do kąpieli
przez Piazza Sarzana w Genui, obok sklepiku z owo-
cami, napadłem na bardzo lichą ławeczkę antykwareu-
sza. A że i takimi gardzić się nie godzi nigdy,
odłożywszy kąpiel, jałem się wertować pergaminowe,
wilgotne, bardzo niepozorne książeczyny ubogiego prze-

kupnia, który tymczasem zjadał skromne śniadanie. Praca zdawała się daremną, gdyż książki były po większej części liche, nowe, odarte i wcale niezajmujące. Nadarzyła się przecież jakaś *Cronaca* wenecka i parę broszur z czasów, gdy Genova jeszcze się szczyciła mianem: *La Superba*.

Ale tych cena była niesłychana; potrzeba je było na bok odłożyć, aźby się przekupień pomiarkował.

Postanowiwszy przejrzeć wszystko, trafiłem wreszcie na cienki, w papier złożony, z kwiatami ogromnymi zielonemi, oprawny rękopism. Zdawał się bez początku i końca, ale był zresztą dobrze zachowany, a dopiski po bokach i na okładkach świadczyły, że przez wiele rąk przechodził.

Na pierwszy rzut oka, zobaczywszy łacinę i imiona rzymskie, sądziłem, że to był jakiś urywek znanych listów Cyserona lub Seneki. Uważniej się jednak wpatrując, rzecz znalazłem całkiem mi nieznaną. Z pisma wnosząc, nie sięgał manuskrypt dalej nad nasz wiek XVI; nie mogło więc to być nic tak bardzo ciekawego.

Przekupień kilka razy spojrział na mnie z ironicznym uśmiechem, jakby z mojego zajęcia tym szpargałem żartował w duchu.

— No, to niedrogie; rzekł, jeśli się wam podoba, możecie mieć za dziesięć lirów...

— Dziesięć lirów, stary raptularz studencki! zawołałem, rzucając go — a to mi na co!

— No, to za pięć — zawołał kupiec.

Podniosłem rękopism. — Drobnym charakterem, inną niż on był pisany ręką, stało u góry:

— *Litterae primo saeculo post Christum natum scriptae.*

Na okładce był podpis *Melchiora Freinshemiusa* znanego filologa XVII wieku, a dalej dopisek:

Iusti Lipsii auctoritate apocrypha.

To zdanie, że listy owe podrobione były, i uwaga Freinshemiusa: *ineditae*, skłoniły mnie do nabycia.

Po długim targu dostałem szpargał za parę franków, i poszedłem z nim nie już do kąpieli, ale wprost do domu, gdzie dni kilka na męczeniu się wyczynianiem przepędziłem.

Nie śmiałem wcale przeciwko powadze Lipsyusza utrzymywać, że listy są autentyczne, chociaż na wklejonej kartce, tém samém pismem co rękopism, znalazłem notatkę, poświadczającą, że z oryginału watykańskiej biblioteki, sięgającego IV wieku po Chrystusie, spisane zostały. Być bardzo może, iż jakiś łacinnik XVI wieku zabawiał się ułożeniem téj korespondencji dla odmalowania obrazu pierwszego wieku po Chrystusie; rzecz w każdym razie zdała mi się dosyć zajmującą. A że w Genui nie ma co robić, gdy raz obejrzało się pałace i obiegło miasto, zasiadłem do tłumaczenia, zapomnianą nieco odświeżając łacinę.

Nie zaręczam, żebym cokolwiek oryginału, który mi wpadł w ręce, nie przerobił; do wierności względem rękopismu, który Lipsyusz za podrobiony uznał, nie czułem się wcale obowiązany.

I otoż jak ta książeczka powstała. Życzę czytelnikom, aby ich tak zajęła jak mnie zajmował przekład, nad którym wiele godzin strawiłem, o rzeczywistości i nieszczęsnej polityce zapominając, której mi nieustannie *Movimento* przynosiło okrucy.

J. I. K.

1864 w grudniu.

I.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Z głębi Gallii, dokąd cię losy zapędziły goniącego za sławą i Marsowemi laurami, Kajusie drogi, wyzywasz mnie, abym ci opisywał życie moje, co czynię, co z sobą zamierzam na przyszłość.

Długo wahałem się, jak ci odpowiedzieć: czy wielu a rozciąglemi słowy, do których układania nie przywykłem? czy krótkim jakim wierszem poety, coby mnie uwolnił od zadośćuczynienia żądaniu twojemu? Wiersz nawet jużem był znalazł w Horacyuszu, alem go przewróciwszy styl (pióro) zagładził, i postanowiłem przysyłać listy, właśnie dla tego, że nie mam ci czego pisać.

Czynniejsze prowadząc życie, byłbym czasu na opisywanie go nie znalazł; mając do zbytku godzin wolnych, z którymi nie wiedzieć co począć, chętnie się podejmuję pisać o niczem.

Wszakże znasz to nasze rzymskie życie? Nie się w niem nie zmienilo, dni płyną zawsze wśród téj czczej wrzawy, forum, *Via Sacra*, portyków, teatru, cyrku i thermów. Jest to nużące próżnowanie, z którego,

gdy rozwinąwszy wolumen starego filozofa, wynijść za-pragniesz, aby z nim w pogodniejsze i jaśniejsze wnijsć sfery, nałóg niepokoju już ci myśli własnej opanować i kierować nią nie daje. Skaczą ci na paginach te figury, które widziałeś przed chwilą na Flamińskieję drogę.

Piszesz mi, że ty tam tęsknisz po Rzymie naszym wśród barbarzyńskiego, dzikiego ludu i dżdżystego zimnego kraju; lecz na Herkulesa, Kajusie drogi, więcej warte nudy i utrapienia twoje, walki z dzikimi żywioły i zwierzęty, niż wytworne życie nasze wpośród wrzawliwego, zepsutego Rzymu. Bezpieczniejszy ty tam jesteś wpośród nieprzyjaciół, niż my tutaj wśród przyjacielskiego tłumu. Żaden cię dumny wyzwoleniec nie doniesie, iż na uroczystości Augustów nie byłeś przytomny i nowo zapisanemu bóstwu leniwie składasz ofiary.

Starym nie jestem; owych czasów, o których mówią z uwielbieniem ojcowie nasi: Thrazeasz, Syllanus, Kassysus, nie pomnę: powinienbym wzrosłszy wpośród tego świata i w obyczajach jego, być chwałą naszego wieku; czuję przecież, że tak jak jest dzisiaj, nie jest dobrze. Z wnętrza méj duszy głos mi jakiś powiada, że Rzym doszedłszy wysokiego wielkości i potęgi szczytu, wzrosłszy w bogactwa i sławę, nadużywa wszystkiego, a nic użyć nie umie.

Uczucie to nie mojém jest tylko: widzę je na chmurnych czołach starców, w których gronie zasiadają gaszkowie z pyłów cyrku jeszcze nieotarci, na bladych policzkach młodzieży, w zmęczoném wejrzeniu niewiast i lubieżnych żrenicach dzieci, wprzód zepsutych niż dorosłych. Życie Rzymu, jeżeli Rzym żyje jeszcze, nie kona, nie tu dziś jest, ale z wami w le-

giach, które podbijają Brytannów, zajmują Gallię i rządzają w puszczach germańskich, w Armenii i Syrii, na krańcach świata, gdzie jest znój, praca i chwała; albo wśród wieśniaków spokojnie uprawiających swą rolę.

Alem odbiegł od założenia — znać niewprawnego pisarza; powracam doń, muszę ci mówić o sobie. Gdyś do Gallii odchodził z legią swoją, rzuciłeś mnie jeszcze ubogim chłopakiem, wyczekującym z klientami Marka Fulwiusza na jego spadek, testament lub zawiedzione nadzieje. Było wiele prawdopodobieństwa, że stary zapisze raczej Pallasowi, Senecyonowi lub pięknej Epicharis majątności swe, niżeli mnie, ku któremu nie okazywał wcale serca. Wiesz, że Markus był dosyć dziwnym człowiekiem, pozornie zawsze coś upatrzył do mnie, łątał często, i próbując zapewne przyszłego spadkobiercę, najbrudniejszym pasożytem dawał mięsce przedemną. Po śmierci ojca i matki sierotą zostawszy, i nie mając nic nad lichy kawał ziemi w Kampanii, zawdzięczałem Markusowi, że mnie wziął do siebie, żywił lichy, cierpiał w domu, ale mi kupił starego nauczyciela Greka Chryzypa, któremu winienem wszystko czém jestem i co umiem.

Chryzyppos i ja, zaledwieśmy za żywota stryja Marka mieli się czém u niego przeżywić. Wprawdzie stary w jednym rogu swojej *insuli* (domu) dał nam dwie ciupki pod niewolnikami swymi na mieszkanie, niedalekie kuchni, abyśmy mogli woń przygotowywanych dlań przysmaków kosztować; lecz tą też wonią prawie żyć było potrzeba. Nie zbytkowaliśmy resztkami jego stołu, a często owocami i figami zaspakajaliśmy głód, pragnienie zaś u studni Dyogenesowym obyczajem.

Chryzyppos bywał czasem wzywany do starego na

rozmowę; ale liczba biesiadników, na których nigdy stryjowi nie zbywało, jego i mnie przypuścić do stołu nie dawała. Jego to mniej obchodziło, bo do ubóstwa nawykł tak, że w wykwintach wcale nie smakuje; mnie ciężył i wstydził niedostatek, zwłaszcza gdy nieraz głodu przymrzeć było potrzeba. Często białą togę moją, nie mogąc jęj dać do *Fulloniki*, nocą sam przepierać, suszyć i wyciągać musiałem.

Tyle bystre było oko starca, że upokorzenia mojego nie dostrzedz nie mogło, ale nie dopatrzyło niecierpliwości; Chryzyp p nauczyl mnie być spokojnym wśród niedostatku, a nawet będąc wystawionym na pośmiewisko ludzi.

Tymczasem brat mój stryjeczny, Kwintus Fulwiusz, zdawał się być jak najlepiej położonym w łaskach i sercu starego Marka, prawie pewien spadku jego. Spoglądał też na mnie z góry i rzadko dobrém przemówił słowem. Kwintus legiwał na jedném łożu u każdej wieczerzy ze starym, pijał z nim z jednej czarnej chalcedonowej, towarzyszył mu do thermów i do Epicharis, do teatru i na uroczystości; z nim często w lektyce bywał noszony na uczty smakoszków, bo Markus jeść lubił. Nie zbywało Kwintusowi na niczem, aż do pierścieni i szat drogich. Jam tymczasem filozofował o głodzie z moim Grekiem, który mi *Enchiridion* Epikteta odczytywał i komentował, gdy się zbyt młoda krew burzyła.

Cóż powiesz, Kajusie drogi! one to czasy niedostatku, osamotnienia, głodu, uśmiecchają mi się dzisiaj jak najpiękniejsze dni życia, ale się one nie wróca!

Zaiste końcabyś nigdy nie przewidział, jakeśmy go nie przeczuwali! Chciałem już wejść do legii i wybrać się przeciwko Partom lub do Brytanii, albo połączyć

się z tobą w Gallii Lugduneńskiej, by w tęg nużacęj bezczynności dłużej lat młodych nie trawić; ale stryj nałajawszy mi, kazał w Rzymie pozostać...

Chryzyp też dowodził, iż kto myśli, siebie zwycięża i pracuje na sobą, nie próżnuje. Braliśmy więc dalej z biblioteki Markusowej pergaminowe zwoje i napawali się greką mądrością a wymową łacińską. Rozmowa też ze starym Grekiem częzą nie była, bo Chryzyp, choć niewolnik, równego sobie w Rzymie nie miał, a Markus w tęg miał słusznosc, gdy mi dowodził, że w nim dał mi największy skarb, jaki kiedy posiadać mogłem.

Rzadko widując Markusa, od którego wszelkiemi sposobami Kwintus i przyjaciele jego mnie odsuwali, anim postrzegł jak starzec posunął się i zasnął.

Jednej nocy, po długiej biesiadzie, której wesole odgłosy dochodziły aż do nas na drugi domu koniec, gdyśmy już z Chryzypem kłaść się mieli, przybiegł ulubieniec stryja, wyzwoleniec Itychus, dając mi znać, abym się do niego udał, gdyż śpieszno mnie do siebie przyzywa. Zarazem i Chryzypowi iść kazano. Śpiesznie togę zarzuciłem, nie wiedząc coby to znaczyć miało, i poszliśmy do izby biesiadnej.

W *Triclinium* na trzech łożach leżeli: stryj mój Markus z chalcedonową swą czaszą w ręku, Kwintus na konsularném miejscu obok, dalej zwykli jego biesiad towarzysze, pasožyci i klienci. Aeliusz, który go bawił dowcipnemi opowiadaniami, żarłok i opilec Karynus i służący pokornie wszystkim za pośmiewisko Pontykus. Goście już byli dosyć podochoceni i wieńce swe różane do czasz poobrywali; podłoga zarzucona była kośmi i chleba kawałkami, złana libacyami dla wszelakich bogów, powietrze przesyccone wyzie-

wami napojów i jadła. Mimo to stryj Markus, który czarę ulubioną trzymał w ręku, wydał mi się nadzbyt poważnym i bladym na wesołego biesiadnika po wieczery; uśmiech trochę szyderski marszczył tylko jego usta. Weszliśmy. Markus podniósł się na łokciu, i ręką mnie przyzywał ku sobie bliżej.

— Juliuszu, rzekł głosem donośnym—przyszła tedy dla mnie uroczysta godzina: na ciebie kolej żyć, mnie zstąpić do krain podziemnych. Sztuka odegrana, *plaudite cives*, dodał uśmiechając się; nie myślę czekać, aż trybun mi przyniesie wyrok śmierci.

Ty, dodał zwracając się z uśmiechem do Kwintusa, który żyłeś i używałeś ze mną, odebrałeś już w smacznych kaskach to, co ci w testamencie przekazane być mogło. Żegnaj mi! zostawiam ci pamięć chwil, któreśmy spędzili z sobą, i ubóstwo, które cię zmusi do pracy. Ty, kochany Aeliuszu, masz gotowe miejsce za stołem u starego Stadyusza, nic ci nie potrzeba. Tobie, Karynus, po ucztach zbyt obfitych zdrowie ocalając, należy się przepościć; abyś zaś z głodu nie umarł, masz tam na chleb i na *garum* wyznaczony żołd w testamencie. Ty, Pontykus, odpoczniesz nieco w domu po obelgach, które tu razem z mięsem łykałeś. Bywajcie zdrowi przyjaciele! Dosyć żyłem i źle żyłem, ale za mnie spadkobierca mój Juliusz potrafi lepiej, bo surowe miał życia pierwiastki, i nauczył się, na czém polega szczęście, od pocziwego Chryzypa.. nie będzie go, jak ja, szukał w brzuchu tłustej barweny... A! Chryzypie, zawołał, zbliż się, zbliż stary! tobie zostawiam wolność z prawem mieszkania w tym domu, dopóki ci się zda... Jeżeli ucznia twego wychowałeś dobrze, nie masz się co o resztę troszczyć; jeżeli źle... wina twoja!

Chryzyp spozjrzał na mnie i ruszył ramionami szepcząc:

— Mędrzec wolny jest zawsze, ale wdzięczny ci jestem Marku, żeś i o mnie pomyślał; jeno się nie śpiesz umierać, bo ci godzina nie przyszła.

— Mylisz się, odpowiedział Markus: śmierć trzymam w tém naczyniu — wskazał czaszę — przyprawiła ją mądrze Lokusta, sam w nią wlałem... a chcę umrzeć, bom jest niepotrzebnym ziemi ciężarem. Czekalem tylko, aż ten oto owoc—wskazał na mnie—Juliusz dojrzeje; dziś, gdy w sile jest, czas mi z drogi ustąpić. Sprawicie mi, spodziewam się, piękną *apothosis*...

Na Apijskiej drodze, Juliuszu, postawisz mi *Conditorium*. Mam tam dużo przyjaciół. Patrz tylko, aby nadto zbytckowne nie było... Posłuży ono później i dla ciebie.

To mówiąc i naśladując Sokratesa, kazał podać koguta, aby go poświęcić Eskulapowi; uczynił małą libację z czary *Jovi liberatori*, i gdym ku niemu przypadł, uściskawszy mnie za głowę, podniósł czaszę do ust uśmiechających się.

— Lepiej czynię niż wy, rzekł: doczekacie czasów, w których mi zazdrościć będziecie śmierci!

To mówiąc, wypił truciznę, obwinał się togą, oparł na łokciu, osłonił twarz, abyśmy nie widzieli cierpienia, i w pół godziny, pochyliwszy głowę na piersi, skonał.

W godzinę martwe jego zwłoki leżały w rękach *pollinctorów*, na łożu przybraném wspaniale, a dom był pusty.

Opisywać ci nie będę zdziwienia, oburzenia, roz-

paczy Kwintusa, i wszystkich, co się po trosze do objęcia po nim spadku przygotowywali.

Markus mimo bardzo wystawnego życia, zostawił mi *insulę* wielką, czyniącą przychód niemały, bo ze wszech stron *tabernami* otoczoną, skrzynie pełne, wilę niepoślednią w Baijach, dom z gruntami w Tuskulum, drugi na Palatynie przy ogrodach Mecenasa, a niewolników i sprzętu zbytecznego więcej niż potrzebuje.

W jednym dniu stałem się najzamożniejszym z rodziny, gdy wczoraj jeszcze sam sobie bieliłem togę i o chlebie a wodzie filozofowałem. Ja, com prócz Chryzypa nie miał przyjaciela, znalazłem wkrótce pochlebców, klientów, stręczycieli, krewnych, usłyszałem tysiączne ze wszech ust pochwały, ujrzałem oczy wszystkich zwrócone na siebie.

Gdym niedawno przeciskał się ulicą, nikt nie spojrzał na mnie; teraz pierwszy raz poznałem i tę rozkosz, i tę przykrość, o której mówi młody nasz Perejusz, gdy kogo palcem wskazują i mówią: — Oto jest (*Hic est*).

Rumieniłem się, wstydząc się za rodzaj ludzki; a odepchnawszy tych czcicieli złota, Chryzypa jednego jako ojca i dobroczyńcę wyniosłem i w domu osadziłem.

Jemum był winien, że mnie bogactwo i niespodziane szczęście nie upoiło, ani pozbawiło rozumu. Chciałem go mieć stróżem tej cnoty, którą we mnie zaszczeplił.

Otoż moich roczników część pierwsza, kochany Kajusie; ale słuchaj dalej.

Zdawało mi się, gdym nic nie miał oprócz wyszaranej togi i nędznej izdebki, w której zaledwo łożę stanąć mogło, że mnie to, czego mi brakło, uszczęśli-

wieć zdoła; otrzymałem na raz daleko więcej, niżem się kiedykolwiek spodziewał, ale niestety! przyszedł zarazem jakiś żal po postradanem ubóstwie. W niem było pragnienie wszystkiego, gdy w posiadaniu wszystkiego zdobyłem smutną prawdę, iż nic człowieka nasycić nie może.

Uśmiechał się Chryzyp ze mnie, i mówiliśmy nieraz o rozdaniu majątności między tych, co by ję lepiej użyć umieli; ale mi nie dopuścił tego wykonaszaleństwa. — Ucz się dostatku używać, jakeś się nauczył niedostatek cierpieć — mówił mi; — bierz z niego skromnie, aby dusza twoja nie przystała do tego, co wedle Epikteta niewolnikiem uczynić cię może. Człowiek winien wszystko znać i próbować wszystkiego, nie przywiązując się do niczego.

Takem się ja tedy puścił w to życie zwykłe ludzi bogatych i nie nieczyniących; wszakże bardziej jako filozof, który próbuje, niż jako młodzieniec, co używa.

Obraz tego życia znany ci jest Kajusie, — tkane ono z pajęczyn złotych, i jak *Coa vestis* nic nie okrywa, od niczego nie chroni, widać przez nie całą nędzę ludzką. Otoczony tłumem nudzę się, nakarmiony pochlebstwy wolałbym prawie obelgi, w których coś prawdziwy być musiało — mając wszystko, nic nie pragnę.

Chciałbym coś czynić, a do niczego nie czuję się zdolnym; czasy nie po temu, aby o publiczne urzędy i dostojęstwa się starać: rozdają się one wyzwolencom i gachom. Ślizka też i niebezpieczna rzecz wpaść w oko Cezarowi zasługą, talentem, choćby piękną twarzą lub postawą; z miłości jego łatwo się rodzi nienawiść. Żyję więc na ustroniu, a że czémś dni zapętnić potrzeba, wałęsam się jak drudzy, i obyczaj płochy takich jak ja próżniaków przyjąć musiałem.

Śpię długo, tłum natrętnych klientów oblega drzwi dawno; gdy się z łoża więcej zmęczony niż wywczasowany podnoszę, czeka mnie lektyka, niosą niewolnicy na forum, do thermów. Tu używam kąpieli, słucham poetów, którzy deklamują swe wiersze, łapię plotki miejskie o wczorajszej nocy, przygodach na moście Milwiusa lub w ulicach Suburry, błądzę pod portykami, rozrywam się gwarem ulicznym, i tak czas schodzi do wieczery.

W ulicy na *Via Sacra*, na Flamińskiej, nic się nie zmieniło od Horacyuszowskich czasów, mniej może wstydu niż było, przypomnij sobie *Sermones*... Oto trybun ten sam, który niedawno jako niewolnik przybył do Rzymu, w przepysznój todze się przesuwając, z góry na tłum poglądając... Za nim otoczony czeredą służby śpiewak Cezara ulubiony, który zdobył ogromne skarby i już je na pół roztrwonil... Oto pisarek, który się mści epigrammatami za obiady, na które go nie proszą; dalej stoik z bladą twarzą, co przywdział suknię i filozofię, straciwszy majątek na fraszki; oddaj mu jutro pieniądze. a filozofię złoży do kąta... Oto epikurejczyk, który wie jakim sosem przyprawiać należy barweny, i w ptaku upieczonym poznaje smakiem czy spożył samca czy samicę...

Tym wszystkim Horacyusza wizerunkom możnaby dzisiejsze podawać imiona, i więcej ich dołożyć, bo Tygellinusa nie ma w Satyrach, ani pięknej Poppei, ani Eucersa flecisty, ani Vatyniusa gladyatora, ani Epophrodyta... ani... tych co flecistami i gladyatorami się stali dla miłości lub ze strachu Neronas...

Powracam do domu na wieczrę, na którą, gdybym chciał, miałbym zawsze więcej towarzyszków niż liczba muz pozwala; ale motłochowi pasożytów z kuch-

ni dają potrawy do domu, ja zostaję z niewielu lub z Chryzypem tylko. Skromnie używamy przysmaków, które dzisiejszych Rzymian o ruinę przywodzą; nie kocham się w wykwintnych potrawach, nie jem zbyt wiele: karmimy się więcej rozmową niż mięsiwem, więcej mądrością upajamy niż winem. Skoczków i kuglarzy przy stole nie potrzebujemy dla rozrywki; a że stary mój nauczyciel jada zawsze ze mną na jednym łożu, przeciąga się długo w noc rozmowa o wszystkim, co człowieka obchodzić może.

Ziemia i bogi, przeszłość i teraźniejszość dosyć nam dostarczają wątku, choć o ostatniej zamilczeć lepiej, westchnawszy nad nią. Czasem gdy noc jest piękna, przenosimy się do zielonego ogrodu, i w pobliżu szemrzającej fontanny, u posągu Dyany myśliwej, zasiadamy pod drzewami, a tu nam schodzą godziny do brzasku. Otoż co najlepszego w mém życiu, cicha z mým mędrcom rozmowa...

Masz Kajusie kochany małą próbę teraźniejszego losu i życia mojego, nie pełną wszakże i nie całą; — w przyszłych listach szerzej ci się rozpiszę o tém, co mnie otacza i co we mnie samym mieszka. Niech cię bogowie strzegą i Mars oszczędza. — Życzę ci zdrowia i czekam z powrotem w wieńcu laurowym.

II.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Chociaż na pierwszy list mój nie doszła mnie jeszcze żadna odpowiedź od ciebie, korzystam z gońca, którego mi następczo, wiozącego waszją legii rozkazy; i przesyłam ci list drugi, a razem pozdrowienie serdeczne.

Tyś zawsze dosyć lubił Rzym, może dla tego, żeś w nim mało i na krótko bywał; sądę więc, że cię plotki rzymskie świeżo umyślnie pozbierane, na cichém obozowisku twém dosyć obchodzić lub przynajmniej rozerwać potrafią. W pierwszym swym liście mówisz mi, że w pośród głębokiej ciszy dzikiego kraju stare ci tylko dęby szemrzą nad głową, a Dryad ich języka nie rozumiesz; więc niech ci mój głos zastąpi te dokuczliwe drzew szelesty.

Znasz już życie moje, albo raczej tylko jego skorupę, ale nie to życia znużenie, *taedium vitae*, które ona w sobie zamyka. Nie wiem, czybym ci je, talentu Lukana i Seneki nie mając, skreślić potrafił. Zbyt proste są słowa moje i nieuctwo mowy, która ulotnej woni tego życia zamknąć w sobie i przenieść

ci nie potrafi. Czuje to najlepiej: nie pisałem nigdy, przychodzi mi to z trudnością.

Zabawiamy się tu wszyscy gwałtownie, a nudzimy bardzo dla tego może, iż tylko o zabawie i rozrywkach myślimy — przoduje nam Cezar. Do koła spotykam tylko samych znudzonych a wymarzających sobie napróżno coraz nowe zabawki, począwszy od ludu i niewolników, aż do niewiast i dzieci. Znasz Nerona, chociaż od czasu, jak opuścił Rzym, wiele się w nim zmieniło i zmienia z każdą chwilą. Wychowaniec posłuszny Burrhusa i Seneki, dzieciak prowadzony przez Agryppinę, dawno wszystkie krępujące go więzy potargał. Wiesz o pierwszych i najstalszych miłostkach Cezara z piękną Akcją, którą mu Otho i Klaudyusz Senecyon naraili; a Anneusz Serenus długo sobą zasłaniał.

Słyszałeś i o sporze z matką, i o zgodzie, która się Junii Sylany wygnaniem skończyła, choć Parysa nie tknięto; wiesz o nocnych Cezara wycieczkach w ulice i śmierci Juliusza Montana; o wszystkich nowych świętach postanowionych z powodu zwycięstw Cezara, wiadomości o zwycięstwach, narodzin i śmierci; wiesz o pięknej Poppei i dziwnym zgonie Agryppiny, którą wyzwoleniec jęj zabił, — ale nie wiesz może o ustanowieniu *Juvenaliów*, i o zupełném przeistoczeniu Cezara na poetę, aktora, muzyka cytarzystę, wreszcie woźnicę i szermierza. Zwycięstwa wasze i legij armeńskich nie tyle go obchodzą co cyrkowe i śpiewacze... Jaka ztąd sława dla Rzymu! Starzy ojcowie nasi Thrazeasz, Rubelliusz Plautus, Memmiusz Regulus, Sylanus, Pizon patrzą na to z obrzydzeniem i milczącym smutkiem; rumienia się nawet czoła tych, co dawno rumienieć się przestali, gdy Augustanów tłum sy pie oklaski Neronowi... Za przykładem pana, mło-

dzień, starcy, niewiasty zmieniają się w szermierzy i śpiewaków. Znajdziesz woźniców między senatorami i gladyatorki wśród matron rzymskich, gdy między tymi, co za filozofów i cnotliwych uchodzą, trudno znaleźć jednego, coby prawdę mówił, jak Thrazeasz. Seneka wszystko tłómaczy i uniewinnia; mówią, że dla przypodobania się Cezarowi, zaczął wiersze pisać i gotów w komicznej roli wystąpić na teatrze.—Na to ustanowiono *Juvenalia*, aby uświęcić tę rozpustę wszelaką, i rycerstwo a senatorów do niej pociągnąć.

Dokąd idziemy nie wiem; ale trudno dobre wieszczyć z tego co jest. Dużo ludzi sarka i zżyma się; lud i pretoryanie nad losem biednej Oktawii przez Neroną opuszczonej dla Poppei użalają się. Ale krnąbrnych miecz, a słabych datki pokonają.

Poppea nadzwyczaj jest zręczna.

Akte, dawna ulubienica Neroną, raczej jest jego służką i przyjaciółką, niż kochanką, chociaż Serenus głosi, że od azyatyckiego króla Attalusa pochodzi. Dziewczę to łagodne, a istotnie do człowieka przywiązane, który się z nią jak z ostatnią z niewolnic obchodzi. Wcale inna jest Poppea, której prócz uczciwości na wszelakim nie zbywa uroku: piękna, zręczna, fałszywa, dumna, przewidzieć można, że Oktawię odepchnie, aby zasiąść przy Cezarze. Jest to dar Othona, który póty ją wychwalał Neronowi, póty mu o niej mówił, póki go do niej nie ściągnął. Dziś ona wszechwładna. Otho, jak wiecie, w Luzytanii; a na Oktawię sposobią się w ciemnościach spiski poczwarne.

Wszyscy zgodnie źle wróżą Rzymowi z tej obyczajów rozwiązłości i bezprawia, jakie się w nim rozpowszechnia; są, co blizki przepowiadają mu upadek, choć gród rośnie, złoci swe dachy, ogromnemi budo-

wy się pomnaża i w zbytkach wszelakich się kąpie. Zepście wkradło się do ognisk domowych i zmieniło matki bohaterów na zalotnice bezwstydne.

Cnota dawna Thrazeasza i Arryi tak się dziś śmieszna wydaje, jak prosty strój dawnego Rzymianina przy utrefionych włosach i malowanej twarzy gaszków pałatyńskich.

Senat nie śmie myśleć o losie Rzeczypospolitej; zwołują go, by słuchał poematów Cezara, by wyrokował o ilości pieśni, w których on dzieje Rzymu ma zamknąć.

Rzadko bardzo ocknie się duch dawny w mężach, których naówczas sam Neron szanować musi; ale czyści są w mniejszości i zamilknąć w końcu muszą.

Nie ma nic świętego, coby splugawione nie było, aż do dziewic Westalek i kapłanów. Cele świątyń zmieniły się w lupanary, a senat na posłuszny tłum strwożonych klientów.

Co jest w narodzie zacniejszego, milczy, chodząc z czołem spuszczone; boć słowo się dziś nie przyda na nic, choćby je z rostrów pośród forum wyrzekł Domicyusz Afer lub Serwiliusz. Przykłaśniętoby może wymowie, a ominiono treść rzeczy.

Chryzyp mój wszakże nie rozpacza o ludzkości, utrzymując, że bogowie dopuszczają, aby złe doszło do kresu, póki swą siłą uczuć się nie dadzą światu. Bogowie, rzekłem, aliści u nas i bogów już nie ma; bo któż w nich wierzy i kto się z nich nie naśmiewa? Nie znasz może *Codicillów* Fabrycyusza Vejenta; może co lepiej świadczyć, w jakiej cenie u nas to, co dawniej świętym było? Z Azyi, Afryki, Egiptu, Jerozolimy napłynęło do nas wszelakich bogów cudzoziem-

skich i praktyk dziwnych, tak że w tém mnóztwie rzekłbyś, iż na prawdę nie ma.

Świątynie też, krom uroczystości Augustów, na które ludzie idą ze strachu, pustkami stoją; kapłani wyszli na mimów i kuglarzów.

W tém zepsuciu i zubożeniu powszechném kobiety nie dały się wyprzedzić; one zawsze najszybciej idą. Wstyd mi było pisać ci co się dzieje; a gdybym pomyślał o przystrojeniu w bluszcze i wieńce bramy domu mojego, nie wiedziałbym kędy szukać małżonki, którejby straż larów i penatów i domowego ołtarza powierzyć można. Niewiasta *univira* jest niewidzianem dziś przykładem; takić, o którejby nie mówiono, coby w ciszy wełnę przędła i wiodła życie jak żona Thrazeasa, jak Seneki Paulina, z Dyogenesową latarnią szukać potrzeba. Zepsucie od mężów poszło, z ich przykładu i z tego tłumu próżniaczego klientów i pasażerów, który wcisnąwszy się do domu, zgniliznę swą wniósł z sobą. Nie sądz, Kajusie miły, abym tak czarno widział przez oczy starego Chryzypa lub z jakiegoś usposobienia do satyry: — wszyscy niemal, nawet ci, co się temu prądowi unosić dają, widzą jego gwałtowność. Ostoi się zapewne Rzym, mimo zepsucia obyczajów; ale na tę chorobę lekarstwo, jak ona, gwałtowne być musi.

O mojem życiu jużem ci mówił, czeże ono jest; nie prawie do pierwszego opisu dodaćbym nie mógł.

Kładę się tęskny i znudzony, wstaję niepokrzepiony snem; a ledwie powieki otworzył, już szum słyszę u drzwi naciskających się klientów, już dobijają się żebracy z pochlebstwy, z nowinami, z poselstwami, których naturę ci tłómaczyłbym się wstydział. Sześciu

niewolników czeka na mnie u progu z lektką. Co robić z rankiem, jeśli się do thermów nie pójdzie; co robić ze dniem, jeśli się go połowy nie rozsiejie po ulicach? Za lektką biegną obłoceni klienci piesi, drudzy wyprzedzają w swoich noszach, aby jeśli zasłonię nie spuszczać, dokuczać mi pytaniami. Idzie im o obiad lub kawałki ze stołu, innym o pieniężny datek. Zgiełk i wrzawa w ulicach; nie za senatorami i trybunami bieży zgraja, ale za Watyniuszem, Epaphrodytem lub Sofoniuszem Tygellinem, za woźnicą w barwie zwyciężkić, za skoczkiem, za flecistą lub za powożącym się w purpurowym płaszczu lamowanym złotem wyzwolenicem, w którego uszach widać jeszcze ślady pochodzenia.

W thermach, gdybyś chciał, dzień cały albo i rok cały byłoby o czém przepędzić. Sadażki, kąpiel i łaźnia są w nich najmniejszym dodatkiem; cały maleńki świat, rzecz można, w nich się zamyka. Gdyś Rzym opuszczał przed laty, nie było jeszcze thermów nad jedne Agryppy; dziś postarano się o więcej, bo znaczna część nietylko ludu, ale rycerstwa i senatorów, co własne łaźnie mają, tu przecie życie spędza. Nie około *exedrów*, kędy zasiadają greccy słów przekupnie i poeci w rodzaju Kodrusa, ale w *hypaetrach*, na stadyach i w sferysteryach, w izbach balwierzy i około greckich załotnic z pstrami mitrami. Tu hałas, i śmiechy, i kłótnie od rana do nocy. Tłum o wiele pomnażają wróżbici wszelkiego narodu i pochodzenia, sprzedający przyszłość, jak inni rumieńce i włosy. Nie do delfickiego trójnoga, nie do kumejskiej Sybilli pieczar, ani do kapłanów udajemy się po wyrocznie: można je kupić u Chaldejczyków i Judeów za parę asów na ulicy.

Znajdziesz tu i Żydów z lasku Egeryi, i wróżbitów

z Komageny, i czarowników z Chaldei, i wędrownych kapłanów różnych bogów wędrownych, które Rzym wszystkie przyjmuje gościnnie, bo się swojemi własnymi znużył.

Dostaniesz w thermach czego zapragniesz, a często czegoś nie chciał... Ale czas nareszcie do domu. Myślisz, żeś gdzieś po drodze posiał natrętnych klientów; nie, czatują na ciebie pod portykami i ścigają aż do drzwi. Tu, jeśli ich do stołu nie dopuścisz, aby ci nie powalali poduszek na łóżach (bo i zrzuciwszy obowiązek wedle obyczaju, czystiejsi nie są), musisz u drzwi rozdać jałmużnę, aby się ich pozbyć nareszcie, jeżeli pozbyć się ich kiedy można, bo często nocami wartują w progu, aby ich kto z rana nie uprzedził, a że odzwierciedla na jęki jest głuchy, czekają na wybranych, aby za nimi przez próg się przecisnąć. Przykro jest widzieć takie upodlenie człowieka.

Chryzyp na to wszystko uśmiecha się z grecką ironią i trochę nienawiści, mówiąc:

— Zwyciężyliście świat, a samych siebie nie możecie!

Wpółśród tego naprzykrzonego tłumu i próżniaczęj gawiedzi, gdyby nie ten Grek i nie młoda Sabina... nie wytrwałbym.

Widzę, jak się uśmiechnął, czytając wzmiankę o młodej Sabinie; lecz powstrzymaj szyderstwo, a posłuchaj kto ona jest, abyś jej nie mieszał z temi, o których mówiłem wpródy. Krzywdę byś jej i mnie wyrządził.

Sabina młoda jest i piękna, ale nie te przymioty stanowią jej najwyższą zaletę; piękną i młodą jest też druga Sabina Poppea, ale w niczym do siebie nie są podobne. Dwóch takich jak ona nie ma w Rzymie.

Jeszcze się widzę uśmiechać, sceptyku, na te uwielbienia: dodam więc, że całkiem jej obcy jestem i będąc, że nad nazwisko krewnego i przyjaciela innego nie mam.

Sabina jest mi krewną po matce; poznałem ją ubogim jeszcze będąc, gdy często proszony do niej, dla wytartej togi mojej nie śmiałem przestąpić progu, bo wyzwolenicy jej lepiej odemnie wyglądali. Od lat kilku już owdowiała, mężem jej był Treboniusz, o którym, jeśli go kto nie znał, słyszał pewno.

Treboniusz w wielu względach przypomina mi Markusa stryja mego; ale gdy w tym obyczaj był rozwiązły a myśl surowa, w Treboniuszu oboje chodziło parą, obyczaje i rozsądek niewiele będąc warte. Starcem już będąc, poślubił młodziuchną Sabine, którą matka jej oddała mu więcej dla bogactw jego i znaczenia niż innych przymiotów. Treboniusz słynął ze wspańiałości i rozwiązłości; piętnastoletnie dziewczę wydało mu się godnym kąskiem na jego zęby spróchniałe.

Nieszczęśliwa ofiara, czegoż się w tym domu natrzeć i nasłuchać musiała, otoczona niewolnicami wszelkiej barwy, które więcej jemu niż jej posługiwały, chłopiętami wszelkiego wieku i poprzebieranymi w niewieście szaty rzezańcami! Własna tylko cnota mogła ją tu od zepsucia uchronić, a po części też miłość mądrości i nauki, której zawczasu w domu nabrała. Nigdy może małżeństwo nieszczęśliwsze nie było, ani gorzej dobrane. Treboniusz z cnoty jej i surowości szydził, bo go zawstydziała; wstydlivość na pośmiewisko obracał; dom jego nieustannie wystawiał obrazy i przykłady, któreby mniej panującą nad sobą niewiastę rzuciły na drogę, jaką inne idą: ona obrzydzenia tylko nabrała do tego bezwstydu.

Chociaż ją z surowości i dzikości wyśmiewano, wytrwała na tej drodze szlachetnej, którą iść postanowiła.

Treboniusz umarł wreszcie niewstrzeżliwością zabity, zostawując jej ogromny jeszcze, chociaż rozpustą i marnotrawstwem nadwreżony majątek, i małego synka w pieluchach. Odtąd prowadzi ona wdowie życie, i choć najzaciejsza młodzież ubiega się o jej rękę, postanowiła wolną pozostać, aby dziecię wychować na godnego Rzymu obywatela. Mało osób przypuszczanych bywa do jej towarzystwa; chlubi się tém, że mi drzwi jej zawsze stoją otworem.

Tu spędzam często jedno z najmilszych chwil mojego życia; ale nie sądz, błagam cię i proszę raz jeszcze, abym miłością jaką zapalony był dla Sabiny. Przyjaciołmi jesteśmy tylko, i pewien jestem, że gdybym jej okazał, że piękną w niej widzę i pociągającą niewiaścę, więcjby mi progu swojego przestąpić nie dała.

Dom Sabiny leży na pochyłości wzgórza palatyńskiego, tuż obok mego, gdyż oba z jednego spadku pochodzą. Ponieważ *insula*, którą zamieszkiwał Markus i my, w połowie jest wynajęta na różne taberny, co mi znaczny dochód przynosi, ale wrzawę mnoży: chociaż w pośrodku mam dla siebie pozostawione mieszkanie, wolałem przenieść penaty moje do palatyńskiej willi, którą teraz zamieszkuję, tém ochotniej, że mnie ona do Sabiny zbliża. Na Palatynie więc urządziłem sobie po swęj myśli skromne, ale miłe mieszkanie, tu i obrazy przodków i bibliotekę i kosztowniejsze przeniosłszy posągi. Dosyć obszerny ogród, przytykający do ogrodów Cezara, wiele mi sprawia przyjemności; cień w nim bowiem mam, chłód, wodę i ciszę.

Dom Sabiny murem tylko od mego *viridarium*

się dzieli. Z większym on jest od mego zbytkiem urządzony, częścią przez Treboniusza, częścią przez nią samą, gdyż, spędzając w nim całe niemal swe życie, więcj też dla uprzyjemnienia go potrzebuje. Stary Treboniusz bardziej przez próżność niż z zamiłowania sztuki, skupował greckie posągi, korynckie naczynia malowane i obrazy dawnych mistrzów; ona z przyjemnością też otacza się niemi. Liczniejszą też nad moją ma bibliotekę, której na niczém nie zbywa, bo drogo opłaconych nabyła niewolników, *glutinatorów* i kopistów, co dla niej wszelką nowość przepisują, a jej *amanuensis* nie listy do ulubieńców, ale uczone dzieła dniem i nocą kaligrafuje.

Nie mówiłem ci jeszcze, jak wygląda Sabina; o kobiecie zaś mówiąc, powierzchowności jej nie opisać jest, jakby się nie powiedziało; wspomniałem tylko, że jest piękna. Nie wyobrażaj sobie jednak, by po dzisiejszemu piękną była, jak te, co z odkrytą piersią, w siatce złotej, z rozpuszczonym włosom, w przezroczystych osłonach, podobnie wyglądają do *ambubajów* syryjskich niż do matron Rzymu. Skromna jest i piękna jak posąg Westalki cały w *peplum* owity, aby oko lubieżne nie splamiło go nawet wejrzeniem. Postaci wzniosłej i udatnej Sabina, mimo skromności, dba, jak kobiecie przystało, o piękność swoją, ale ani za nadto ani za mało. Nie trzyma ona czeredy niewolnic dla stroju i wymyślnych starań o ubranie; wszakże gdy ci się ukaże, promienieje zawsze szlachetnym wdziękiem, jakby zstąpiła z marmurowego podnoża na ziemię. *Incessu patuit dea.*

Dziwnie też młodo zachowała się przy tej powadze: choć dwudziesty rok sobie liczy, powiedziała byś, że ma szesnaście. Dusza ją tak młodą czyni, choć

umysł starszym jest nad wielu oświatałych mędrców. Bogowie obdarzyli ją obficie nie tylko cnotą, ale szczególną rozumu bystrością, której Chryzyp mój, wielki niewiast nieprzyjaciół, dosyć wydziwić się nie może.

Otoż dom, w którym od niejakiemu czasu spędzam ze starcem moim razem wieczory i poranki. Dopuszczając mnie do poufałości, Sabina nie obawia się obmowy, a wreszcie mniej się o nią troszczy. Starczy jej świadectwo własnego sumienia. W czasach tak zepsutych jak nasze, nie może być, aby nas nie posądzano o miłostki jakieś, z czego się oboje śmiejemy.

Ze serdeczna przyjaźń nasza do miłości zapalczywej wcale nie jest podobną, zaręczyć ci mogę. Mimo to Chryzyp ostrzega, iż mimowolnie między młodymi dalej zapędzić się można, niżeli się z razu przewiduje, a poufałość zawsze jest niebezpieczną. Śmiejemy się oboje z tych gderań staruszka. Sabina w jednej mądrości tylko pokochać się może, a ja i w tej nawet jasno nie widząc, rozmiłować się namiętnie nie potrafię. Wątpię i wątpię, i to mi gorzkiem życie czyni; o czémże dziś wątpić nie mamy powodu?

Alem się ja za długo rozwiódł, kochany Kajusie! Próżniakowi przebaczysz. Bądź zdrow.

III.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Wczoraj odebrałem listy twoje, Kajusie miły, ale ze smutkiem widzę, że ci złe położenie moje odmłodać musiał, gdy to, co by w tobie litość obudzać powinno, niemal zazdrość zrodziło. Na Jowisza! Kajusie mieniałbym się za życie twoje!

Piszesz, że barbarzyńcami otoczony jesteś, a wierzę mi, iż od nich też wiele nauczyć się można, czem gardzić nie należy; więcej może w Gallii niż w Rzymie dzisiejszym mądrości.

Sama ciekawość obyczajów, charakteru i żywota obcych ludów, bliżej niż my natury będących, zajmować cię powinna. Ale ci się naprzykrzyła pustynia, jak mnie wrzawa i zgłęb tego tłumu, który i barbarzyńców niewart, a przez pół też z nich się składa. Rzymianie ani żyć godnie, ani umierać dostojnie dziś nie umieją. Zapytaj też ulicą idąc o przechodniów: pokażą ci w nich Egipcjan, Żydów, Partów, Greków, Germanów, Syryi i Armenii mieszkańców, jednych od Meockiego jeziora, drugich z Brytanii przybyłych, przy-

swojonych, uobywatelonych, a między nimi garść ledwie wycieńczonych i bladych Latynów. Spytasz czy i obyczaj rzymski jest? Nie, grecki raczej lub inny cudzoziemski, jak greccy i obcy są bogowie, suknie, potrawy, stoły i domy nasze.

Jednak Rzym miał odwagę, mężstwo, godność, i te postradał.

Obliczywszy się w Rzymie, może Rzymian jest najmniej, tłumu przybyszów najwięcej.

Zachęcasz mnie i wzywasz, nie mogąc legii opuścić i przybyć do nas, ażeby ci nadal donosił, co się tu dzieje z nami i ze mną?

Powolnym aż nadto znajdziesz mnie żądaniu twojemu, gdyż w próżnowaniu mém listy te i dla mnie niemalą są rozrywką.

Smutne to wszakże są dzieje nasze dzisiejsze i co chwila bardziej przerażające. Wiecie zapewne o wygnaniu Rubelliusza Plauta, przez matkę z rodziny Julia pochodzącego, za to tylko, że głos powszechny, czcząc w nim wielką cnotę i starą czystość obyczaju, za następcę domniemanego po Neronie głosił.

Rubelliusz z żoną Antystią żyli zamknięci i cicho, ale lud czczył ich wielce; kazano im wyjechać do Azji... Smutniejsza jest jeszcze sprawa o testament Domicyusza Balbusa, sfalszowany przez chciwość pieniędzy, przez takich ludzi, jak wnuk Azynia Pollona, Marcellus...

Maluję ci to do czegośmy przyszli, jak dalece upadliśmy... Sądzeni wedle prawa *Cornelia*, ze stanu senatorskiego wyłączeni zostali...

Marcella pamięć dziada od hańby ocaliła. Widzisz w tém rozprzeżeniu tych, co drugim przykładem byćby powinni; cóż dziwnego po tém, że Pedaryusza Sekunda w jego domu niewolnik własny — czy że się wyzwole-

nia przyobiecane go doczekać nie mógł, czy że miłostki jakieś nienawiść w nim i pragnienie zemsty obudziły — zabił. Rzecz stała się rozmyślnie, a wedle prawa inni niewolnicy Sekunda razem z zabójcą, o którego czynie nie mogli nie wiedzieć, powinni byli podlegać téj co on karze...

Lud się wzburzył przeciwko okrutnemu prawu; już nawet pofolgować miano, choć przykład ciągnąłby za sobą zbyt złe skutki; Cezar obstał przy karze, ale drogę, którą winowajców prowadzono, żołnierzem obstawić musiano.

Niewolnicy i tłum szemrze; czuje on w sobie siłę jakąś, nad którą pomyśleć się godzi.

Coć więcę powiem? Poeta Neron przez Antystysza Praetora wierszem wyszydzony został... Ztąd zaraz usłużnego donosiciela skarga, Kossucyanus go wydaje, sądzą. Cezar prawie łaskawego przybiera postać. Inny zachęcony przykładem skarży za Codicille Wejeta. Księgi palą, autorowie idą na wygnanie...

O śmierci Burrhusa wieści was dojść musiały... wszyscy żalują go, szepczą niektórzy o truciznie. wieszczą źle i Senece, który czując niebezpieczeństwo, radby się ucznia czułościom wywinać.

Oczekujemy blizkiego ożenienia z Poppeą, która na Oktawię wszelkich używa środków, aby do rozvodu jęj z Neronem powód wyszukać pozorny. Głoszą bliżsi dworu, że rachując na powszechną kobiet słabość dla muzyków, nasadzono Aleksandryjczyka Euczeruja, flecistę, aby o miłostki z nim nieśczęśliwą pomówić. Poppea, jak łatwo przewidzieć, zwycięży. Ale lud rzymski, płochy wprawdzie i zepsuty, téj pysznej lubieżnicy nie cierpi; a Oktawię czei jako czystą gałązkę rodu Augustowego. Ilekróć pokaże się Okta-

wia, oklaski, kwiaty, okrzyki jój towarzyszą, gdy nie-jeden posąg pięknej Poppei wyrwała ręka niewiedzialna. Zwiększa to zajądlność jój naprzeciw żonie Cezara, której łożę zająć pragnie.

Przywiązanie Nerona do niej zdaje się coraz powiększać. Akte usunięta na stronę, ulubieńcy inni zapomniani; jeden cyrk na Watykanie z nią w sercu Cezara o lepszą walczyć może. Tłum przypuszczony do przypatrywania się wyścigom, widząc go tak zajądlle pędzącego do mety, jak gdyby u niej nie delfiny i nie jaja miał znaleźć, ale szczęście państwa... to się uśmiecha, to poklaskuje. Augustanie pod niebiosą zrzęcnosć i talenta wynoszą...

Na domiar szaleństwa, Kajusie miły, zjawiła się i nowa potajemnie szerzona religia, o której ci napisać co nie wiem, tak różne o niej chodzą wieści. Przynieśli ją tu Żydzi; ale mówią, że i między Rzymianami powoli się szerzy, znajdując skłonnych do jój przyjęcia. Dziwy prawią o nowych jój obrzędach po jaskiniach odprawianych, o czci przez jój wyznawców oddawanój w bitemu na krzyż osłowi, o uctach ich, biesiadach i ofiarach. Wszystko to są uliczne wieści; kryją one w sobie sektę jakąś zaraźliwą, która pewnie nie na zużytych praktykach, ani na rozpustowaniu się opiera, ale na nieznanych nam prawdach, jeżeli istotnie adeptów tak licznych jak powiadają, zyskuje. Dla niedowiarków takich, dla których bogowie dawno nietykalnymi być przestali, trzebaby coś innego a nowego, nie tego co już raz i w różny sposób odrzucone zostało i wyśmiane. Nie Izdy i Mithry tajemnic przyobleczonych w formę inną, ale nowego światła...

Zdziwisz się może zdaniu mojemu, i dla czego ani ohydnam nowój wiary, ani się jój lękam jak drudzy;

ale Chryzypm mnie nauczył nie sądzić o tém, czego nie znam, a łatwiej dobre niż złe przypuszczać.

Mam, wyznaję ci, to silne przekonanie, iż coś nowego światu potrzeba, ażeby się oczyścił, i lepsze, młode rozpoczął życie. Czczość tego, co jest, nadto widoczna i dotkliwa.

Czyli owa wiara tajemna, co się ukrywa kędyś w *arenariach*, jak powiadają, pod ziemią, w nocnych pomrokach, przyniesie nam upragnione dobro, nie wiem, ale trzymam z Chryzypem, że bogowie, złe do kresu dopuściwszy, muszą od zguby uratować ludzkość.

Jest tego przekonania i Sabina, która powiada często, iż nowe źródło prawdy wytrysnąć powinno dla spragnionych, gdy usta wyschną a napoju wołać będzie człowiek. Jeżeli z innemi z obrzydzeniem o nowój sekcie się nie odzywam, Chryzypowi i jój to winienem; w Rzymie zresztą jest ona pośmiewiskiem i ohydą powszechną. Przypisują nawet wpływowi chrześcian to poburzenie się niewolników i ludu w czasie sądu na zabójców Pedaryusza Sekunda.

Zresztą czego Rzym zepsuty się obawia, co nienawidzi, już tém samém przeciwne mu jest, zatem złe być nie może.

Masz tedy i spraw publicznych niejakię pojęcie, i zaprzątnień naszych; zresztą nam życie cicho i dość jednostajnie upływa. W domu Sabiny spotykam poważnych ludzi, z którymi na rozmowie wieczory upływają. Otacza się ona chętnie takimi, co z nią jednę są myśli; u niej poznałem Feniusza Rufa, Torkwata Sylana, u niej znakomitego a może w dzisiejszych czasach najczcigodniejszego niezłomnej odwagi Trazeusza; u niej widuję coraz mniej ukazującego się w mie-

ście Senekę, u niej Pizona. Wszyscy owi tak się na dzisiejsze zapatrują sprawy jak ja i ona. W spokojnym tym zakęcie, gdy Rzym szaleje, gdy okrzyki i wrzawa uczt Cezara od Palatynu tysiącem ogniów płonącego nas dochodzą wśród nocy, my w murach jęj domowstwa, pod kryptoportykiem lub w ogrodzie, poważnie rozprawiamy o losach, państw, ludzi i niestałości rzeczy ludzkich. Trzeba, byś wiedział, że przy dawnym Mecenasa domu na Palatynie, wysoka wznosi się wieża do pałacu Nerona należąca; widzimy ją z ksystu Sabiny. Jedną z tych nocy, o których wspomniałem, siedzieliśmy na rozmowie, gdy jęj wierchołek oświecono... Wszedł Nero przybrany w wieniec, przestrojony na Apollina z lutnią w ręku... i otoczony Augustanami śpiewał... Głos jego nie dochodził uszu naszych, ale postać widzieliśmy wszyscy, i zaniemieliśmy przejęci smutkiem i zgrozą... Sąż to zabawy godne Cezara?... Na dole wrzawa i zamęt, w górze komedia sprośna...

Pomimo pozornęj wesołości Rzymu i ciągłego ucztowania, którego marnotrawstwa i przepychu wyobrażenia daćby ci nie potrafił, głęboki smutek pożera tę społeczność. Samo pragnienie nadzwyczajnych rozrywek, na które świat cały składać się musi trybutem krwi i złota, już zwiastuje próżnię w sercach i umysłach, niczém niedającą się zapełnić. Dziś w Cyrku padają tysiące zwierząt i sta ludzi, jeszcze krew nie wsiąkła w arenę, a oto już nowych zabaw, szaleństw i widowisk woła, domaga się lud rzymski.

Potrzeba mu tęg posoki, tych trupów, trzeba mu darmo rozdawanego chleba, bezpłatnęj łaźni i balwierza, podarków od możnych rozdawanych u drzwi bo-

gaczów, choćby wczoraj dopiero wyzwolonych, upakarzającęj jałmużny, aby był syt i siedział spokojnie, bo inaczej burzyć się będzie.

Pracować nie umie i nie chce *populus romanus*; z wojny ceni tylko łupy i widowisko tryumfów; wkrótce najemnikami legie obsadzać przyjdzie, bo do nich w Rzymie ochotników nie stanie; rycerstwu cięży nawet pierścień na palcu, cóż zbroja? Gdzie się podziało dawne męztwo Rzymian i do boju ochota? oto w plugawęj roztopiło się rozpuście i w bezczynności strupieszało.

Takie jest, nie powiem moje, ale nasze zdanie o tém, na co patrzeć jesteście zmuszeni. Ilekroć zbliżam się do tego świata, niesmak i gorycz z niego wynoszę. Sabina siedzi zamknięta w domu, gdyż uczciwęj niewieście dziś się na ulicy pokazać trudno, już nie tylko dla tego, aby na szaly bezwstydne, które się po nich rozlegają, nie patrzeć, lecz by samęj istotnemu nie podpaść niebezpieczeństwu. Dość być piękną i wpaść w oko jednemu z ulubieńców Nerona, aby we własnym domu nie być bezpieczną. Cnota jest dla nich więćej niż nieprzyjacielem, jest wyrzutem przeciw ich bezwstydności i bezprawiu.

Nigdy też Sabiny nie namawiał, aby się publicznie ukazywała, aleśmy nie uniknęli tego, co widać w jęj i mojem było przeznaczeniu.

Jest w tém nieco winy Sabiny, która jakkolwiek doskonałą jest, przecięj jako niewiasta, ciekawą. Do tęg pory strzegła się ona widowisk tłumnych, do których żadnęj nie okazywała ochoty, brzydząc się krwawemi zapasy; tyle wszakże ostatniemi czasy mówiono o wspaniałości igrzysek nowych, które z powodu zwycięstw w Armenii odniesionych wyprawić miano, tyle

o samym Cezarze, i o ogromném zbiegowisku ludzi a najprzedziwniejszych zapaśników zebraniu, iż Sabina nawet ujrzeć te szaly zapragnęła. Opierałem się temu, usiłując ją odwieść od zamierzonej wycieczki; Chryzypus mnie wszakże nie poparł, i to jej dało zwycięstwo. Wedle niego ciekawość ta była naturalną i potrzebowała być zaspokojoną. Sabina też uśmierzała się z niebezpieczeństwa, jakie ja w tém upatrywałem, na przykład stawiając najpoważniejsze Rzymu matrony i Westalki, które niekiedy igrzyskom przytomne bywały. Rozkazała mi sobie towarzyszyć. Sądzę, że wiadomość, iż sam Cezar miał się tam znajdować, niemało się do zaostrzenia ciekawości przyczyniać musiała, gdyż potwora tego każdy ujrzeć pragnie. Sabina przybrała się nie obyczajem kobiet, które więcej widzianemi być pragną niż widzieć pożądają, osłoniła się tak, że rysów jej nikt dojrzeć nie mógł, ani na strój skromny zwrócić uwagi, zwłaszcza obok innych kobiet, co byle się przybrać, za ostatniego asa odzież i klejnoty najmuja. Dwie towarzyszki, kilku niewolników i wyzwolenców, ja na ostatku i ludzie niosący lektyki, towarzyszyliśmy jej do amfiteatru. Osobne miejsce w galerii krytej dla kobiet przeznaczonej wcześniejmy sobie zapewnili. Ale wszedłszy tu, sądzą, że Sabina wolałaby była, gdyby zwyczaj dozwalał, przenieść się między mężczyzn, tak przykrém znalazła się otoczona sąsiedztwem. Siedziały wprawdzie senatorskie żony i córki obok, lecz któżby się tego z ich twarzy i ruchów domyślił! Nigdy bezwstyd niewiast naszych tak mnie nie raził, jak gdym od niego postrzegł rumieniącą się twarz jej. Na pół nagie, umalowane, utrefione, obwieszane klejnotami, śmiejące się, powołujące i dające znaki mężczyznom, głośno chlubiące się sromotą swą otoczyły ją kobiety:

rzekłbyś niewolnice lub wyzwolone niedawno śpiwaczki i skocznice... Krążyły z ust do ust na widok gladyatorów wykrzyki i imiona ich kochanek... Patrzałem i bolałem z Sabina. Milcząca, na przemiany czerwonością i bladością mieniąca się, z osłoniętą głową, obrócona ku arenie, nie wiedziała gdzie się skryć od otaczającej sromoty. Widziałem na jej twarzy bolesne wrażenie, gdy krew płynąć zaczęła a trupy na gorączkowe domaganie się tłumu dobijano i za nogi wyciągano przez *comitoria*. Smutna oparła się na rękę i płakać zdawała się nad widokiem, który drugich roznamietniał do szału... Cezar z orszakami swym, z Tygellinem, Epapfodytem, Senecyuszem, Poppeą, tłum gachów prawie za niewiasty poprzebieranych, a między nimi celujący krasą Pytagoras... z długim włosiem spadającym na ramiona posypanym prochem złotym... ciekawem był także i dla nas widowiskiem. Poniżej na ławach, świeżo przez Nerona rozdzielonych na rycerskie i senatorskie, orszak przyjaciół C. Pizona, chmurne twarze poważnych ludzi...

Oznajmiono było, iż oprócz igrzysk gladyatorów i *bestiarów*, miano kilku ludzi z tej nowej sekty chrześcian, o której wspomniałem, dać na walkę z dzikimi zwierzęty. Schwytano ich na jakichś nocnych zabobonnych obrzędach... Lud rozpragniony wołał nieustannie: „Chrześcian zwierzętom! Chrześcian!!“ Cezar narreszcze dał znak; wszystkich oczy chcieli się zwrócić ku kratom.

Naówczas ujrzeliśmy widok, którego póki żyw nie zapomnę. Powoli podniosły się zapory, i lew najprzód, potem pantera i tygrys, biczem wygnane z łóżyska, na arenę wybiegły.

Zwierzęta zdawały się wylekłe i wcale do walki

nie okazywały ochoty; tuliły się one do murów poglądając tchórzliwie, jakby szukały kędy się wymknąć. Każdy wrzask widzów nowym je nabawiał strachem. Lew wreszcie położył się, pantera wachając obchodziła do koła, tygrys dał kilka wielkich skoków, i jakby na zasadzce utkwiał, bacznie się rozglądając... Wtém kraty drugiego *vomitorium* zaskrzypiały, oczy wszystkich zwróciły się ku nim, szmer na ławach, wyciągnięte szyje i głowy... „Chrześcianie! Chrześcianie!“ wołano... Czekaliśmy, nic się nie ukazywało. Śpiew jakiś smętny, dziwny uprzedził ukazanie się trojga ludzi... Był to starzec wychudły, młode dziewczę wielkiej piękności i mężczyzna w sile wieku czarno zarosły.

Nie dano im snadź żadnej broni lub też jęj przyjąć nie chcieli, nawet opasek na nogi i włóczni. Przodem szedł najstarszy, a w rękach niósł tylko mały jakiś drzewa kawałek związanego na krzyż, którego użytku i znaczenia zrozumieć nie mogliśmy; za nim postępowało dziewczę, osłaniając się rękami ze wstydu; potem szedł z chmurnym, ale spokojnym wejrzaniem młodzieniec. Idąc, śpiewali ciągle, co śmiech dziki obudziło w tłumach. Doszli tak aż do środka areny, a żadne ze zwierząt ich nie zaczęło; tu wszystko troje poklekli.

Cesar i tłum sądzili, że o litość proszą, i wręcz wszystko zaczęło w teatrze, domagając się walki i śmierci. Kobiety wrzeszczały najgłośniej, niecierpliwiły się zwłoką, plwały i łajały. Oni wcale na to nie zważali, klęczeli, zdawali się modlić. Uważałem, że przelekli, jak się nam z razu zdawało, nie byli.

Trwało oczekiwanie chwilę, a dzikie bestye spoglądały tylko na owych ludzi bezbronnych, jakby się na nich rzucić nie śmiały.

Nareszcie wygłodzony tygrys przypełznął z tyłu do młodzieńca, skoczył nań, obejmując go łapami, gniotąc i szarpiąc brzuch i piersi, a paszczką gruchocząc czaszkę.

Stało się to w mgnieniu oka. Padł chrześcjanin ze złożonymi rękami, krew trysnęła obficie, ale męczarnia była krótka. Tłum szemrać i niecierpliwieć się począł znowu; nie tego mu było potrzeba: walki, dramatu i dłuższego pastwienia się.

Gdy młodzieniec upadł, kobieta o krok stojąca od niego i starzec, podniosłszy głos, śpiewali ciągle, dziwnie, straszno i nadludzko spokojnie. Oczy mieli podniesione w niebo, jakby z obłoku bogów jakich zstąpić ku nim mających spodziewali się. Wprawdzie czułem, jak głos niewiasty a raczej dziecięcia tego zadrział; widziałem jak łzy potoczyły się z jęj oczu; ale starzec klęczał obok niej niewzruszony, i wejrzaniem zdawał się jęj siłę dodawać.

Tygrys swą pastwą się karmił, a raczej rozszarpywał ją okrutnie, niekiedy tylko poglądając na lwa i panterę, — gdy zapach krwi i widok trupa obudziły i tamte zwierzęta. Lew rzucił się nie na ludzi, ale na tygrysa, który od zwłok krwawych odbiegł, pokazując zęby.

Naówczas ujrzelśmy obraz, któryby z oczu najdzikszego człowieka łzy wycisnął, a z ludu rzymskiego dobył tylko naigrzanie okrutne. Młode dziewczę pochyliło się nad zwłoki brata, i stopy jego, płacząc, całować zaczęło. Tak nad niemi pochyloną z boku schwyciła pantera, drasnęła ją ledwie, i piękna jęj główka jak zwiedły kwiat pochyliła się błada, prawie bez śmiertelnego wysiłku.. Ostatnie tchnienie z ust

wyszło z lekkim wykrzykiem, który śpiew przerwał i płacz razem.

Starzec, zapewne ojciec rodziny, pozostał sam; głosu mu zabrakło, ale ustami poruszał, jakby coś jeszcze odmawiał. Tłum wyzywał, zmuszał, pędził do walki, nakazywał, łajał napróżno: starzec smętnie patrzył na zwłoki dzieci, czekając śmierci z okiem niezmużonem.

Nie wiem już jakim uczuciem oddychał tłum, alem uczuł w sobie taką litość dla tych nieszczęśliwych, taką wzdargę dla tych okrutników, co się śmierci starca domagali, że mi się chciało niemal skoczyć i stanąć w obronie chrześcianina... Przekonałem się później, iż szlachetne serce Sabiny podzielało moje uczucie.

Chrześcianie, sekciarze plugawi, przecież to ludzie byli.

Gdym oczy położył ku arenie, ujrzałem lwa rozszarpanego przez tygrysa i wyziewającego ducha z rykiem i chrapaniem okrutnym; dobijali go oszczepami pachołkowie, tygrys krwawe na uboczu lizał rany, a pantera darła białe ciało niewiasty... Kałuże krwi wsiąkały powoli w piasek. Starzec się modlił; rzucono mu oszczep, aby z nim siedł na tygrysa lub panterę, lecz go nie podjął.

— „Na śmierć! na śmierć!“ poczęto krzyczeć ze wszystkich ław; amfiteatr cały, *cavea*, galeria, *podium*, trząść się zdawały od rozpasanego wrzasku; kobiety suknie szarpały na sobie. Na ławach senatorskich najbliższych areny powaga dostojności nie wzbraniała równiej wrzawy jak na najwyższych...

Starzec się modlił, ale widać było, że strach go nie zламаł; nie prosił o życie, nie patrzył nawet na widzów, na Cezara i Westalki. Byłoby to trwało

długo może, bo tygrys ranami a pantera trupem była zajęta, gdyby na znak dany przez Nerona nie przybyli oprawcy. Jeden z nich przyszedł i krótki miecz w piersi chrześcianina utopił.

Widział on jak śmierć szła ku niemu, nie drgnął wszakże, tylko oczy ciągle podnosił ku niebu, goręcej zdawał się coraz modlić, czy do niewidzialnych jakichś demonów odzywać, aż gdy kat przypadł, roztworzył ręce, nastawił pierś... i krwią zbroczony upadł nie wypuściwszy z ręki owego kawałka drzewa.

Nie wiem czy większemu byłoby mężstwem walczyć z rozpaczą, czy z tak stoickim spokojem czekać śmierci, nie okazując najmniejszej obawy.

Gdy trupy wywlekano, lud nie był rad, i domagał się zapewne czegoś więcej nad to, ale myśmy już dłużej wytrwać nie mogli. Sabina dała mi znak, że do domu powrócić pragnie: pośpieszyłem, by jej towarzyszyć, gdyż powrót z amfiteatru o mroku groził większemu niż przybycie niebezpieczeństwem; ulice pełne były młodzieży winem i igrzyskiem upojonej.

Zastałem też lektykę jej otoczoną ciekawymi, a pomiędzy nimi Leliusza.

Znałeś go pewnie, bo był naszym naczelnikiem i razem z nami chadzał do szkoły, gdyśmy jeszcze wszyscy gałki na piersiach nosili (*Bulla aurea*), nimeśmy je z pretekstą i włosami złożyli bogom w ofierze—szczęśliwi, że wychodzimy z dzieciństwa i z pod plag mistrzał

Leliusz jest moim i Sabiny dalekim krewnym, ale z owego pięknego chłopięcia co dziś wyrosło, trudno byś odgadł nie widząc.

Nie mąż, nie *eques romanus*, nie togą okryty młodzian, ale prawie — niewiasta.

W dłuższej fałdzistej sukni pstrój, a tak lekkiej jakby

nagość odkrywać nie zasłaniać miała, z głową utrefioną, złany wonnościami, których połowa starczyłaby na zabalsamowanie umarłego, z rękami w mnóstwo pierścieni przystrojonemi, Leliusz wygląda raczniej na histryona grającego rolę kobiety niżeli na młodego człowieka. Łacno też odgadnąć obyczaje z jego powierzchowności — i że należy do najpoufalszych dworzan Nerona, który jego pochwały równie ceni jak Senecyona i ma go za wyrocznie wytworności i dobrego smaku.

Przez uchyloną zasłonę lektyki ujrzał on Sabinę, i poskoczył wdzięcząc się do niej, nim *plagule* zaciągnąć za sobą pośpieszyła i ukryć się przed jego oczyma. Szczęściem niewolnicy ujęli ją na ramiona i ruszyli z miejsca żywo. Zostałem ja na łup Leliuszowi który mnie poznał, po imieniu zawołał i począł się uskarżać, że Sabina nawet doń słowa nie powiedziała. Tłómaczyłem ją, że to nie było miejsce do odnawiania lub zabierania znajomości, zresztą właściwą skromnością niewieścią. Takeśmy się rozstali. Ale nie rad jestem spotkaniu z człowiekiem, który mi się wydaje niebezpiecznym, a chciwy jest nowych twarzy, nowych miłości i intryg.

Gdym nazajutrz Sabinę odwiedził, zastałem ją pomieszaną i zadumaną, długo myśli jej dobadać się nie mogąc. Przyszła mi się w końcu, jakie w niej obrzydzenie sprawiło to widowisko, i jak była przejęta mężstwem, z którym szli na śmierć owi chrześcianie.

— Wierzcie mi Juliuszu, rzekła, nie może to być prawdą, co rozprowadają o ich rozpuszcie, o szkaradnych praktykach i o zabobonach. Rozpusta odbiera siły, czyni bojaźliwym w obec śmierci. Ludzie ci umieli jak stoicy, jak Rzymianieby nie potrafili — nawet bez oburzenia i gniewu, gardząc obroną daremną, ufn

w jakąś siłę, w coś nam nieznanego, tajemnego, ale potężnego. Uderzona zostałam spokojem tego starca i niewiasty...

Wyznałem jej, że oni i na mnie podobne uczynili wrażenie.

Nigdy smutniejszą i poważniejszą nie widziałem Sabiny, niż teraz, od chwili tego dziwnego widowiska, które dotąd oczom jest moim przytomne. Ale list zbyt długi, Kajusie drogi, kończę go. Wina nie moja; sam żądałeś, abym był rozwlekły. Bądź mi zdrow i napisz też o sobie.

IV.

Sabina Marcya Zenonowi Ateńczykowi pozdrowienie.

Bolesnie mi, że ciebie, do którego rady przywykłam, wówczas gdy pragnęłabym cię mieć jak najbliżej, tak daleko szukać muszę, mistrzu mój drogi. Tyś był ojcem méj duszy, przewodnikiem młodości; starsza i dojrzała dziś w niepewności wszelkiej cię szukam. Gdybyś mnie był nie nauczył, że najpiękniejszą cnotą jest ludziom czynić dobrze, a największą rozkoszą o ich szczęście się starać, możebym cię była nie puściła do twych smutnych i pustych Aten, po których dziś tylko błądzą cienie wielkiej przeszłości. Aleś zapragnął popioły swe złożyć na téj ukochanéj ziemi, która ci była matką, i musiałam zerwać węzły niewoli, co cię do naszego domu przykutym trzymały. A jednak braknie mi ciebie, stary przyjacielu; niemal codziennie na wiele niebezpieczeństw narażona, nie czuję w sobie dosyć siły, aby się im oprzeć. Nie porzuciłeś mię jeszcze dosyć zbrojną, choć ci się czasem zdawało, że już sama życiu podolać mogę.

Przebaczysz mi więc, że spokojną twą starość, któ-

ra byś rad spędzić zapominając może o Rzymie, kłóć zapytaniem trudzącemi i niepokoję listami. Pamiętam dobrze dzieciństwa mojego lata, gdy wszelkie światło z ust twoich czerpałam, gdy ty poniewierany przez ludzi, często wyśmiewany przez nich, wydawałeś mi się stokroć większym nad tych, co ani cię szanować, ani w tobie mądrości cenić nie umieli. Jak spragniony zwierzę idzie do znanego mu źródła, tak ja mistrzu mój stary, śpieszę do ciebie.

Znacie dobrze życie rzymskie, boście na nie patrzali z tego nizkiego stanowiska niewoli waszég i upokorzenia, na jakie wszyscy Grecy są tu narażeni, jeśli się dworactwem i pochlebstwem nie okupią. Lepiej je choć surowiej osądzić może za granicami jego postawiony mędrzec, niż obracający się w niém i pochwycony wirem jego Rzymianin.

Ale od czasu jakście opuścili miasto nasze, nawet od tych lat kilku, wiele się tu jeszcze zmieniło. Wyrosło to, co zdawało się, że się już powiększyć nie może; schorowany świat nasz, jakęś ty go nazywał, słabszym jest dziś niż kiedykolwiek. Wystawcie sobie, jeśli możecie, zwiększony jeszcze szal, dziesięćkroć bezwstydniejsze rozpasanie i zapomnienie wszelkich prawideł, które mądrość ludziom jako wskazówki życia podaje. Przykład idzie z góry, a niewolno mu nie być posłusznym; kto cnoty się dziś trzyma, Cezara obraża, i bogi. Jak cały świat stworzony jest dla Rzymu, tak cały Rzym dla Cezara.

Na cóżbym ci opisywać miała to, czegoś ty widział początki, co odgadnąć potrafisz po ziarnie, z którego wyszło! Pomnisz zresztą niedawną przeszłość, Tyberysza, Kaligulę, Klaudyusza; myśmy ich obyczaje da-

leko przeszli, i wyprzedzili dziwactwa. Dochodzą was zapewne wieści z Rzymu. Zwykle w ustach pospólstwa zmieniają się one, — wiercież, że cokolwiek one wam przyniosą, za małe będzie przy rzeczywistości. Z pierwotnych cnot pozostały tylko wspomnienia i pośmiewisko wszystkiego, co świat nauczył się szanować.

Pojmujesz przyjacielu i mistrzu, że w takim świecie odosobnienie jest obowiązkiem; nie zdziwisz się, gdy ci powiem, że żyję prawie zupełnie samotną. Zamknięta w gynecceum z dziećciem mojem, ledwie mam przemówić do kogo; obcuję z duchem twym i dawnych filozofów twój ojczyzny.

Czasem nawiedza mnie Chryzyppos, nauczyciel Juliusza, dobrze ci znany, i sam Juliusz, któremu wszczepił miłość mądrości i szlachetnego życia prawidła. Juliusz jest młodzieńcem jakich mało, a pamięć Markusa, który go tak wychować potrafił, jest mi przezeń drogą. Nie był on sam, jakim być pragnął; ale cnotę cenić w drugich umiał.

Ponieważ mam ci ważne zadać pytania, bądź cierpliwy nim opowiem, jakem do uczynienia ich przyszła, inaczéj dzikoby ci one brzmiały.

Przyznaję się najprzód, że tego Cezara, o którym świat mówi tyle, histryona, poety i muzyka, który pod karą śmierci wielbić się każe, ciekawą widzieć była. Udałam się na igrzyska. Dziwny obraz uderzył oczy moje.

Powstała niedawno w Judei sekta żydowska, gęsto już w Rzymie rozsiana; zwolennicy jéj chrześcianami się zowią. Rozповідаją o nich poczarne rzeczy, lud ich nie cierpi, Cezar prześladować każe i tępić. Dnia tego właśnie kilku schwytanych na jakichś za-

bobonnych obrzędach, miano dać na walkę z dzikimi zwierzęty.

Wyprowadzono starca, dziewczę młodą i mężczyznę. Gdybyś był widział, jak szli na śmierć, gardząc śmiercią, jak umierać umieli! Był to widok poruszający, choć tłum gniewał się i zrywał, iż nie chcąc się bronić odejmowali mu widowisko przyjemności. Byłam w uwielbieniu dla nich; ale zgraja nielitościwa domagała się okrutnie śmierci i padli wszyscy.

Nie, nie zapomnę nigdy, z jaką godnością konali, bez jęku prawie, w obec tych tysięcy, które boleści ich urągały się szkaradnym wrzaskiem. Widząc ich tak spokojnie idących na śmierć, tak znoszących męczarnie ze stoicyzmem filozofów — pomyślałam sobie, że w nauce téj sekty być coś musi co im daje tę siłę...

Wyznaję ci, że jakem była zawsze może do zbytku ciekawa prawdy i mądrości wszelkiej, tak i teraz uspokoić się nie mogłam, pragnąc poznać tajemnice téj nowéj wiary, o której tak dzikie chodziły i chodzą wieści.

Lecz to, co zakryte jest dla mężczyzn, jakże przystępne być miało dla zamkniętej w pośród czterech ścian niewiasty? Napróżno szukałam środków dobadania tajemnicy; byłaby ona pozostała dla mnie zakrytą, gdyby nie dziwne zrządzenie. Pomiedzy niewolnicami domu naszego od dawna najulubieńszą była mi Ruta *), zajmująca teraz miejsce dozorczyń szat (*Vestispica*). Małém dziećciem kupiła ją matka moja, ulitowawszy się nad jéj wynędznieniem i bladością, ujęta też pięknnością dziewczęcia jasnowłosego, łagod-

*) Imię to spotyka się w Katakumbach.

nego wejrzenia i żywego umysłu. Ruta niewiadomego jest całkiem pochodzenia; kupiec mówił, że nabył ją od tych, którzy po bursztyn wędrowali w krainy północne, często ztamtąd niewiasty przyprowadzając i dzieci, gdy na wojnę jaką między plemionami, kraje te zamieszkującymi, trafili. Matka moja polubiwszy ją, uczyć kazała, ale zważając spokojny charakter, łagodność dziecka i niewielkie jego siły a niepospolitą zręczność, użyła jęj do robot lekkich, potem do składowania, nareszcie do dozorowania szat.

Wzrosła ona razem ze mną, acz może o jaki rok starsza jest odemnie. Przywykłam do cichych jęj posług, miłego uśmiechu i milczącego obyczaju.

Ze wszech miar też Ruta zasługiwała na miłość moją, gdyż i obejściu się jęj i życiu nie zarzucić nie było można. Acz niewolnica, zdawała się mieć poczucie godności człowieczeńj; powagą swą odstręczała do siebie najzuchwalszych. Większą część dnia spędzała w izdebce swęj przy *vestiarium*, w którem teraz przynajmniej, wiele do czynienia nie miała. Ty wiesz, jak ja się zbytkiem w szatach brzydzę i skromność w nich lubię; boć piękność niewiasty nie na stroju zawisła, a szaty wytworność nie doda wdzięku, jeżeli wdzięk z duszy nie płynie.

W ostatnich czasach postrzegłam, że Ruta często oddalała się z domu; pobrażałam, ale w końcu przykro mi było, bom ją o płochość posądzić musiała.

Spadła w oczach moich, wszakże nie chciałam się jęj okazać surową... Hyppia, współzawodnica jęj i nieprzyjaciółka, donosiła mi o częstych nocnych nawet wycieczkach — kazałam milczeć Hyppii.

Jużem do nięj serce traciła i z litością poglądałam na nieszczęśliwą, gdy to widowisko chrześcian tak

mnie całą poruszyło, że powróciwszy do domu, o nięm i o nięm tylko mówiłam prawie ze łzami. Nie dostrzegłam nawet, że Ruta mnie podsłuchiwała.

Nazajutrz, gdy siedziałam zamyślona, Ruta wsunęła się po cichu i ukłękła przedemną.

Miała jakieś łzawe oczy i twarz niezwykłym zarumienioną blaskiem. Nikogo nie było z nami. Odsłoniła szaty, i w rękach ukazała mi taki sam kawałek drzewa związanego na krzyż, jaki widziałam u chrześcian idących na męczeństwo. Poruszyłam się i wstrząsnęłam całą.

— Ruto, rzekłam, co to ma znaczyć?

— O dobra pani moja! odpowiedziała mi: widzisz, i ja jestem... chrześcianką!

Jakkolwiek ciekawam była tajemnicy, na te słowa przyszły mi na pamięć szkarady, które powszechnie o nich opowiadają, i cofnęłam się od nięj prawie przerażona.

Ruta zbladła i zamilkła; zdawało się, że ją wielki przestach ogarnął; schyliła głowę i szepnęła:

— Jeżeli winna, ukarż mnie; ale daruj mi tyle życia, bym ciebie o nauce żywota wiecznego oświecić mogła. Pan! ty jesteś godna być chrześcianką. Umrę chętnie, bylebym mogła ziarno to zasiać w twęj duszy; wzrośnie ono kiedyś krwią polane, choćby moją...

Otoż kochany mistrzu, jak doszłam do upragnionęj mi wiadomości, częm jest nauka nowa. Wyznam ci: zdumiała mnie ona. Znałam prawie wszystko, co rozum ludzki zdobył mądrości wiekami; ale tego, czego mnie uboga nauczyła niewolnica, sam umysł mój nawet z pomocą mistrzów, z wiedzą wszystkiego, czego ludzie doszli, samby wynaleźć i z łupin wątpliwości dobyć nie mógł. Zgadujesz już, że cię o tę naukę pytać będę.

Mówiono mi, że się ona już i w Grecyi rozszerza, że po całym rozchodzi się świecie z zadziwiającą szybkością, która cudem się być zdaje; nie potrzebuję więc wyklądać ci jęj mój mistrzu, znasz ją zapewne. Ty, coś na nabycie nauki życie całe poświęcił, nie możesz być jęj obcym. Powiedźże mi, powiedz proszę, co o nięj sądzisz, jak trzymasz? Czy tylko mnie wydaje się ona tak wielką i piękną w swęj prostocie i pozorném barbarzyństwie? Czy mojemu tylko sercu wydaje się ona tak bozką, dla tego, że jego uczuciom pochlebia? Jest-li to jedyna prawda, jak oni mówią, czy jedna z prawd wielu rozsianych po świecie, których szczątki zbierają ludzie?

Naucz mnie, oświeć; czuję w sobie niepewność wielką, a mam-li rzec prawdę? pragnienie wielkie przyjęcia i poślubienia się religii nowęj. Ale jestem słabą niewiastą i lękam się uroku, jaki ma dla mnie nowość; nie dałam się wprowadzić jeszcze i związać żadnego stopnia wtajemniczeniem. Pragnę i lękam się; czuję, że tu się potrzeba oddać całą. Bóg ich jest zazdrosnym Bogiem, i nie dzieli się z nikim. Mistrzu kochany, z upragnieniem czekać będę, aby mi wiatry szczęśliwe wieść jaką od ciebie przyniosły... Pozdrawiam cię z uczuciem córki.

V.

Zeno Ateńczyk Sabinie Marcyi zdrowia i szczęścia.

Więc o starym waszym niewolniku nie zapomnieliście jeszcze? Zdumiałem się widząc, że jest ktoś na świecie, co o mnie pamięta, któremu na coś przydatnym być mogę. Stary, znużony życiem dogorywałem, gdy mnie pisanie wasze obudziło. Więc niech ci bogowie ten dobry uczynek nagrodzą.

Nie znacie jeszcze, i bogdajbyście nigdy nie poznali, jak gorzki jest chleb w starości człowiekowi, który jak ja za ubogi był, aby mógł mieć rodzinę, dom, aby w jedném mieszkając miejscu, stał się potrzebny, miły, chociażby przez nawyknięcie ludziom znośny. Część znaczną życia mojego spędziłem w niewoli, w obcym mi Rzymie, gdzie tylko upokorzenia, upadku narodu mojego był świadkiem.

Oprócz ciebie jednę, nie mnie do tego grodu nie przywiązywało; z rąk do rąk przechodząc jak bydłę, którem orzą, służyłem za kopistę, za czytelnika, za *glutinatora*, był czas, że z osłem chodziłem na przemiany we młynie, potem dano mi dzieci do nauki,

i znowu nosić kazano wodę ze studni, i znowu filozofować... Nigdzie wszakże człowiekiem mi być nie było wolno, ale niewolnikiem. Cudem bogów uniknąłem, że mnie na czołe lub policzkach nie napiętnowano. Wyście dopiero na stare lata oddali mi swobodę i dozwolili powrócić na tę ziemię, z której sierotą, dziećciem kupiec mnie wyprowadził... na ten długi *hodoi-porikon* niewoli...

Obywatel świata, wracając do ojczyzny, poczułem wszakże, iż ją kochałem; stare serce uderzyło we mnie, gdyśmy do pyrejskiego portu przyплыwali. Wysiadłem na ląd, ofiary czyniąc Neptunowi i Minerwie Ateńskiej, ale jakże przykry był ten powrót! Nikt mnie tu nie znał, nikt nie czekał i nie witał.

Wlokłem się sam jeden z sakwami podróżnemi wzdluż murów długich (*Makra Teiche*), co port z miastem łączą. Ludzie, do których się odzywałem, z głosu méj mowy zepsutej długim w Rzymie pobytem, wzięli mnie za cudzoziemca; jedni odwracali się ze wstrętem, drudzy omijali z obojętnością. Nie miałem ani dokąd zająć, ani o kogo zapytać; imiona, którem wymawiał, śmiech budziły: były to stare grobowych urn napisy... Przyjął mnie ksenodochos*) za pieniądze; gospoda otwarta dla takich jak ja biedaków, pełna nie takiego jak ja ludu, przekupniów, handlarzy, majtków. Nie kupiec, nie podróżny, nie obcy i nie swój, byłem dla wszystkich zagadką, zagadką byłem sam dla siebie. W Atenach, ojczyźnie méj, na pierwszym kroku uczułem się nie w domu, zawsze jeszcze tak obcy prawie jak w Rzymie.

*) Utrzymujący gospodę.

Wystawiałem sobie Ateny nie takimi, jakimi je porzucił w dzieciństwie, bom ich z tamtego czasu nie pamiętał nawet, ale jakimi z ksiąg i podań odmalowały mi się w umyśle... Zapomniałem, że przeszła po nich mściwa ręka waszego Scylli, po której z gruzów się już miasto podźwignąć nie mogło, ani Murychia, ani Pireus...

Znalazłem szczątki na pustyni obcymi zalanej i bez życia. Próznom tu szukał nauki, wywieziono ją do waszego Rzymu, i arcydzieł sztuki, po których zostały opustoszone podstawy; cieniów nawet, co były chwałą naszą, pamięć się zacierała. Znalazłem w miejscu igrzysk Olimpijskich cyrk Cezara Nerona, w ogrodach Akadema waszych Greków z Suburry... W Atenach Aten nie było... wielkie duchy mędrców i bohaterów uciekły z téj pustki; Minerwa Pallas opuściła swe świątynie.

O boleści wielka i niewysłowna!...

Odmalować wam jój nie potrafię... O kiju chodziłem od kamienia do kamienia, bo ludzie się od starca odwracali, a kamienie mówiły mi głosem jednym: — Zniszczenie. — Co zawiniła bogom Grecya moja i ludy Hellady, któż pojmie? Z jawnych szczątków przeszłego życia widzę, żeśmy się więcej zasłużyli światu niż Rzymianie — wszakże co macie lepszego, od naseście wzięli i przerobiliście na swoje... Myśmy stworzyli filozofię, sztukę, obyczaj, poezję...

Zabraliście nam te dzieci nasze, a Grecya opustoszona, jest rzymskiego państwa służebną i niewolnicą.

Mściwi bogowie, za co nas to spotkało?

Ślepym! nie widzę.

Gdzie niegdzie imiona zostały bez rzeczy, gdzie niegdzie obyczaje, którym imienia zabrakło; — na mar-

murach dłótowanych przez Praksytelesa, przez bogów posiane chwasty...

Otoż jakimi znalazłem Ateny, których mieszkańcy wszyscy na Helotów wyglądali, a nikt się nie rumienił przechodząc około posągów Harmodyusza i Arystogitona...

Pierwsze dni spędziłem niemy z żalu i zdumienia—błądziłem po Agorach, przysłuchiwałem się rozmowom, przypatrywałem obyczajom, szukałem powagi ateńskich. — Znalazłem jednych przelekłych i milczących, drugich obojętnych i płochych, a na starych cnot miejscu zepsucie rzymskie i wszechwładnego postrach Rzymu. Potomkowie Cekropsa ustępowali z drogi przed rzymskim żołnierzem, archontowie skłaniali głowy przed wyzwolencami waszymi, areopag nie śmiał sądzić za zbrodnie tych, co Rzymowi służyli... O hańbo i wstydz!e! oczy zakrywać było potrzeba, a pragnąć co rychléj umrzeć, aby z cieniami Hellady, nie z nią żywać obcować.

I mądrość też jak wszelki żywot znalazłem zmienioną: mówić umiano jeszcze nie myśleć, filozofia logomachią się stała.

W ogrodach Akademu kędy bozki Plato chodził, jak mówił, umyślnie dla niezdrowego ich powietrza, aby ciało chorobą łamiąc duszy nowe dać siły... zostało niezdrowie, nie było ani cienia Platonowego.

Wszystko tak wymarło w Atenach, co Grecyi wielkość stanowiło i sławę.—Nie umiałem już potem boleć nad sobą i swém sieroctwem: leż inne, większe, wszystkich, potrzebowało nieszczęście. Żałowałem, żem powrócił: w Rzymie mogłem choć marzyć o Atenach; w Atenach płakać tylko nad nimi musiałem.

Przebacz mi, że obyczajam starych, zbyt długo

i wielomownie bole moje objawiam; ale zbliżam się właśnie do przedmiotu listu twojego, do nowej wiary, która i tu już jest znana.

Rozeszły się tu o niej wieści zaraz po przyjeździe moim przyniesione z Koryntu, który w rzeczach mądrości, nie używa dobrej sławy, głośniejszy jest z miedzi, malowanych naczyń i pstro a kwiecisto postrojonych kobiet, których i w Rzymie dość macie.

Mówiono już o nowej wierze wprzód, nizeli głoszący ją do Aten przybyli; a że z dawnego charakteru tylko chciwość nowostek zachowali Ateńczycy, gorąco się nowym zajmowano Bogiem. Ja mało rokowałem, tyleśmy już mieli cudzych bogów, jak towar tu przywiezionych, a nie byli lepsi od naszych własnych. Cóż to zresztą miało wspólnego z filozofią, z nauką Sokratesa i Platona?... Tajemnice świątyń u nas się wcale tajemnic mądrości nie tyczą: tamte do fantazyi i serca, te mówią do rozumu; a ktoby przykłady brał z bogów, tegoby archontowie ukamienować kazać musieli. Nie byłem więc ciekaw nauki i praktyk nowej wiary, gdy całe Ateny poruszyły się nadzwyczajną ciekawością na wieść o przybyciu Rzymianina, Paulusa imieniem, który tę naukę publicznie opowiadał.

Bieżały tłumy na jego spotkanie; starzec z rodziny i ja poszliśmy za niemi, gdy go przed Areopag powołano na starą Agorę. Ujrzałem nie wieszczka, jakem sobie na podobieństwo egipskich wróżbitów i kapłanów Cybeli wędrownych wyobrażał, ale męża powagi wielkiej, w sile wieku, podobniejszego do filozofa z pod Portyku, mającego młodzież cnoty i prawdy nauczać. Kilku młodszych uczniów mu towarzyszyło, lud cisnął się, uśmiechał, przyglądał, ścisk był wielki, słyszałem pytających do koła:

— Czego chce ten siewacz słów? Po co nam jakichś nowych demonów z Rzymu przynosi?

Nakoniec uciszyło się, spojrziałem na Areopag nasz, i zarumieniło mi się czoło, jużem znał Ateny i archontów, co doń wchodzili, westchnąłem mówiąc w duchu:—Owoż ci, co sądzić będą o nowych bogach i nowej nauce?—Gdy Paulus na podwyższeniu stanął przed zgromadzeniem, cisza była wielka; wśród niej przybysz powoli mówić zaczął. Nie powtórzę wyrazów jego, ale myśl ci opowiem. Począł od tego, że nam nowego Boga zwiastował. *Boga nieznanego*, którego ołtarze (*Ignoto Deo*) przechodząc właśnie na rynku napotkał. Ale jakże go odmalował? Oto tak, jak go pojmowali i pojmują mędrcomie, nie zaś kapłani. Ludowi odkrył tajemnicę dla niego dotąd nieprzystępną, chociaż nam dawno znaną. Mówił o Bogu jedynym, którego dziełem był świat, o *Demiurgu* przedwiekuistym i wieczystym. Cóż innego głosił Sokrates, gdy go jako świętokradcę za bezbożność śmiercią ukarano? coś innego opowiadał bożki Plato?

Sądziłem, że pochwycą bluźniercę i skażą go na ukamienowanie, że lud porwie się nań i usta mu zamknie; ale inne dziś Ateny i czasy! Któż dziś w tych starych zszarzanych bogów wierzy, lub kogo obchodzi przyszłość? Neron potrzebujący pieniędzy, po świątyniach greckich każe z ołtarzy chwytac i topić posągi... ludzie patrzą i milczą...

Słuchano i uśmiechano się.

Mówił długo, w końcu o zepsuciu świata, o potrzebie poprawy i pokuty, naostatek o wiecznym życiu i zmartwychwstaniu. Śmiechy w tłumie odzywać się zaczęły; lud powoli, nie trwając dłużej, rozplywał się obojętny, bo już był swą ciekawość nasycił; wszakże

mała kupka znęconych poszła za głosicielem wiary nowej.

Słyszałem go potem razy kilka pod Portykiem, ale o nowej nauce jego nie zawyrokować nie potrafię. Nie mogę jeszcze powiedzieć, bym ją znał, ani przyznać się, bym się jej domyślał.

Widzę tylko, że łączy w jedno co dotąd rozdzielone było: filozofię i moralność z teologią. Między bogami Grecyi i Rzymu a mądrością rozdział był wiekuisty i nieprzejednany; nie uczyła teogonia życia, ani mity moralności — i owszem. Ktoby był śmiał Jowisza naśladować, tegoby sąd na truciznę skazał lub śmierć haniebną. W nowej nauce Bóg chrześcian jest przykładem nowego życia, któremu panuje nie ciało, ale *psyche* nieśmiertelna.

Cóż więc rzeknę?—nie wiem, wolę nieświadomość mą wyznać, niżeli na ślepo wyrokować. Nie sądzę, aby pod słońcem całkiem coś nowego a niesłychanego powstać mogło; lecz widzę, że ludzkość choruje i potrzebuje lekarstwa, wierzę, iż bogowie, lub jeśli chcesz *Demiurgos* jedyny, musi się swém dziecięciem zajmować.

Najwyższą podobno mądrością jest dojść do tego, by swę mądrości nie wierzyć. Owo stare prawo: *Znaj siebie samego*, nie co innego rzec chciało, jeśli je do poznania prawdy odniesiemy. Rozum ludzki wiele może, ale po za pewne granice nie przechodzi, i wielu prawd sam odkryć nie potrafi. To ubóstwo uznaje on, do różnych odwołując się wyroczni i w nich światła szukając, w Dodony, w Delfickich, w Trofoniosa jaskiniach i gajach przysłuchując się głosowi bożemu.

Nic nie ma w świecie przypadkowego, jeśli jest Bóg

musi być prawo. Na tém kończę pisanie moje do was. Cokolwiek się dzieje, staje się wedle prawa, które Demiurgos świata przy narodzinach jego napisał. Wierz mi, jeżeli światło jest w nauce nowój prawdziwe, przebiję się ono przez najgrubsze ciemności; jeśli czczy w niej słów igraszka, pobawią się nią próżniacy i wyrzucą na rynek dla ludu. Tłum ciemny przerobiwszy to po swojemu, spożyje i zapomni.

Szukać wprawdzie prawdy trzeba. Jeśli ci się ona nastrecza, czemużby ją odpychać, a rozumem nie próbować czy istotnie taką jest, jaką się być oznajmia? Jam już za stary, bym nowego świata doczekał porządku; wy, może. Ale nie ustanowi się on bez boleści i trudu. Gdy Jowisz zstępuje na ziemię, to piorunem, który druzgocze i pali. Nie czują go ludzie w słońcu, co ich codziennie ogrzewa i oświeca, bo się z nim zbyt oswoili; musi więc oznajmić się im zniszczeniem. Niech Demiurgos trzyma cię na drodze mądrości i panowania nad sobą. Długie jeszcze zostają ci lata walki; moje już się kończą, ale czy będzie kto- by mój stos zapalił i popioły zebrał do urny?

VI.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Nalegasz, bym pisał; czynię więc po woli twojej, choć nowego mam niewiele. A najprzód dzięki ci składam za dar *Lacernuli**) galilejskiej, która w istocie coraz bardziej w Rzymie jest używana. Twoja wprost mi ztamtąd przybywa z kąd pochodzi, tém cenniejsza; będą mi jęj zazdrościli, choć ja mały podobno użytek z niej mieć mogę.—Biada narodowi, który suknie nawet dobiera tak, jakby się sobą być wstydził i ukrywać musiał! Za Rzeczypospolitą mało kto, chyba w drodze wdział na togę *Lacernę*, bo nikt się z życiem nie tał; dziś i senatorowie, i rycerze, i lud, zakapturzeni wszyscy, jakby twarzy i oczu pokazać nie śmieli. Z pewnego względu przyda się *Lacerna*: straszno jest coraz bardziej widzianym być, aby prześladowanym nie zostać.

Czym ci wspomniał w liście moim, że Leliusza

*) Rodzaj płaszczka, którego użycie w Rzymie za Cezarów się upowszechniło.

spotkałem wychodząc z amfiteatru, i jak dziś wygląda Leliusz, który więcej myśli o nogach swych i skórze wyglądoniej a bez wlosa, o piękności i zalecankach, niżeli o mądrości i nauce, której tak niegdyś zdawał się chciwym? Leliusz należy do Neronowych ulubieńców, szczyści się jego szczególnymi względy, więc i straszonym być może, gdy za pragnie. Leliusz poklaskuje wierszom Cezara, przenosząc je nad Lukana, śpiewowi Cezara, słodszy go mieniąc nad Batylla, sam także powozi się w Cyrku, ale dla tego, aby Apollinowi dać się wyprzedzić; Leliusz, jak widzisz, jest zręcznym dworakiem i świetną ma przed sobą przyszłość. Dziś wszystko dostępne dla tych, co w talentach autome-medona smakują i głoszą go jako największego w świecie artystę...

Neron maluje i rzeźbi, Leliusz posażek jego roboty nosi na piersiach, nigdy się z nim nie rozstając. Jest to nędzota przypominająca stare etruskie posażki; ale dworak widzi w nim dzieło Fidyaszowe.

Niedawno, gdyśmy z Chryzypem do pożywania wieczerzy zasiąść mieli, słyszę u drzwi wrzawę... Leliusz przybywa. Jedno tylko łoże było przygotowane dla nas i skromny posiłek; Leliusz się wprasza, aby go z nami pożywał. Po Cezara ucztach zapragnął wieczerzy filozofów; nie znalazł tu ani ostryg i muszli, ani zwierzyny, ani słodczy, ani pawich języków, ani olbrzymich ryb niewolnikami tuczonych, ani muzyki i tancerzy.

Łatwo mi było sprowadzić flecistów i nająć skoczaków, ale nie chciałem. Gdy półmiski przynosić zaczęto, zdziwił się ich skromności, *tertia coena* nie zadowoliła go wcale, oglądał się jakby jeszcze czegoś czekał; w winie też nie smakował, choć je sobie grzać

i przyprawiać kazał. Nie dobyłem stariej amfory, abym go zbyt nie ugościł. Poczęła się rozmowa, aleśmy więcej go słuchali niż ją utrzymywali.

Leliusz sam prawie mówił, z równą też chciwością słowom się własnym przysłuchując i widocznie rozmiłowywując w ich dźwięku.

Przykro mi było, gdy zaraz naśmiewszy się z prostoty mojego życia, spytawszy o piękną czarę chalcedonową stryja Markusa, o której mu snadź Kwintus mówić musiał, przeszedł zaraz do Sabiny i o jej piękności mówić zaczął.

— Dwie, rzekł, Sabiny są w Rzymie: Poppea i Marcya, a nie wiem nawet której pierwszeństwo przyznaćby należało!

Zdało mi się, że jej imię w ustach jego obok tego imienia postać nie było powinno; cóż gdy natychmiast mieszać począł wzmianki o innych niewiastach z niesławy i rozwiązości głośnych! Wynosił piękność nadzwyczajną Sabiny, a uśmiechał się zarazem mówiąc o mojem z nią sąsiedztwie i naszej przyjaźni... Potem sądził i opisywał Hippie i Ogulnię i Tukęę i Hispulle, porównywał je, poniżał i wynosił.. wracając zawsze do tego, jak mi mojego sąsiedztwa i stosunków zażyłości. Ubodło mnie, że tak źle o niej trzymał.

— Czekaj, rzekłem w ostatku, niżeli posuniesz się dalej. Jesteś w moim domu, nic ci przykrego powiedzieć nie chcę; ale proszę cię, gdy o Sabinie mówić będziesz, mów jak o matce własnej, jakbyś mówił o siostrze; szanuj ją, gdyż poszanowania jest godna.

Na to rozśmiał się Leliusz.

— Szanuję, rzekł, ale to nie przeszkadza, bym miał oczy i uszy. Jak to! kobieta młoda, bogata, piękna

nad inne, wdowa i wolna, miałyby pozostać zamknięta i świata nie pożądać? Myślicie, iż w Rzymie nie rozumieją co znaczy jej zamieszkanie tutaj, a twoje z *insuli* przeniesienie się na Palatyn, aby przez furtkę tajemną i *xystus* o każdej widywać się godzinie! Sądzisz, że dwudziestoletniej kobiety z młodym jak ty mężczyzną schadzki ranną i nocną porą, nic do myślenia nie dadzą!

Nie pozwalając mu kończyć, poprzysiągłem na stojący posąg Jowisza, iż w niej tylko siostrę widzę.

— Siostrę, rzekł, rozumiem; miłości takiej braterskiej różne widzieliśmy przykłady.

Bezcnych słów jego wstrzymać nie mogąc, zamilkłem wreszcie smutny. Leliusz zmiarkował, że mnie obraził i o czém inném mówić zaczął.

Nieustannie wszakże do Sabiny powracał, a skończył na tém, że zażądał odemnie, abym go do niej prowadził. Musiałem uleść, nie chcąc się pokazać za zdrosnym; alem go uprzedził, iż nie lubi obcych i nowych ludzi przyjmować. Posłałem naprzód Afra, aby jej zapytał, czy widzieć się z sobą pozwoli.

Po wieczery kazał sobie Leliusz podać lirę kosztownie wysadzaną, którą za nim nosił niewolnik, i sam się zaprosił do śpiewania jakichś lesbijskich piosenek.

Stary Chryzypp uciekł z pogardy i obrzydzenia dla tego niewieściucha; jam musiał pozostać, ale mi się czoło schmurzyło. Nie cierpię rozpusty, a miłość zwykłem uważać jako jedną z najpoważniejszych tajemnic natury, która by żyła, wieczną nocą i skrytością otoczona być powinna. Leliusz pokrewny mój, wydał mi się podłym histryonem, i serce się ścisnęło. Cienie przodków patrzyły na ten upadek.

— Czyż już śpiewaków nie stało—rzekłem,—by się rycerstwo rzymskie na nich miało przerabiać?

— Nie! odparł śmiejąc się, jest ich niestety! dozbytku; ale cóż począć, gdy niewiasty rzymskie za grajkami, śpiewakami, za gladyatorami i szermierzami szaleją! Musimy iść dokąd one nas wiedą, boć bez nich żyć nie można. Cożeśmy warci przy Batyllu, Urbikusie, Chryzogonie, przy Echionie, przy innych znamienitych flecistach i mimach? Wiesz wszakże obiegającą Rzym historię Hippii żony senatora, która z gladyatorem jednookim, do Kanopy uciekła?

— Wierzaj mi, odparłem, że dla takich niewiast nie warto z męża i rycerza na lutnistę się przerabiać. Cóż za dziw, że świeży wyzwolenicy patrycyuszów miejscą zajmują, gdy dzieci rycerzy wychodzą na dworaków i gachów, współubiegając się o lepszą z godnym wzgardy motłochem?

— Wszyscy tak czynią, rzekł; chceszże od innych być lepszym i nad wiek swój wyższym? Próznaby to była zarozumiałość.—, Patrz na grubego Damazyppa(*), którego szybki wóz unosi wzdłuż drogi Apijskiej, nad którą spoczywają popioły i kości jego naddziadów. Choć konsulem jest, sam powozi, sam zaprzęga. Nocą wprawdzie to czyni, ale aby wprawiwszy się, mógł to uczynić za dnia. Spotykając poważnych przyjaciół, wita ich machając biczyskiem... Sam siano daje koniom, sam im zasypuje jęczmień, przysięga się na Epone, opiekunkę woźniców, lub na inne bóstwa nade drzwiami stajennemi stojące. Noc nieraz w gospodzie Syrofeniksa przepędza u Idumejskiej bramy, a uśmiech-

(*) Juwenalis.

nięta Cyane w kuszej odzieży, sama mu dzbanek z winem przynosi.“ Cóż ja gorszego czynię, że śpiewam?

— Może nic gorszego, ale równie źle czynisz jak stary Damazyppus, rzekłem. I ty, i on, jeśli wam życie ciche nie smakuje, lepiejbyście uczynili idąc szaleć na granicę, do Armenii, na Partów, na Brytannów...

— A czemuż ty tam nie idziesz? zapytał Leliusz.

— Czekaj, rzekłem; być może, że pójdę wkrótce, bo mi Rzym i obyczaje wasze obmierzły.

Gdyśmy tak rozmawiali, nadszedł Afer, i wcale nad spodziewanie moje oznajmił, że Sabina obu nas czeka, a przyjmie nas chętnie. Przyznam ci się, że mnie to już tknęło boleśnie, bom ujrzał uszczęśliwionego Leliusza.

Ale posłuchaj do końca.

U drzwi od ulicy czekał na nas uniżony *ostiarius*. W *prothyrum* i *atrium* nie było nikogo. Leliusz ciekawie rozpatrywał wszystko, obrazy przodków, ołtarz stojący przy sadzawce i pomniejsze bogi. Zgorszył się, nigdzie nie widząc posągu Cezara. Przeszliśmy *tablinum*. Zdało mi się, że Sabina tu na nas czekać była powinna i przyjąć Leliusza, a nie wprowadzać go do wnętrza domu, do perystylu, który tylko dla poufałych jest przystępny. Przecież tam ją dopiero zastaliśmy, co mnie znowu ubodło. Siedziała nad pugilaresem, w którym coś stylem zapisywała na tabliczkach; przy niej leżały porozrzucane wolumina, a u drzwi na rozkazy pani gotowa ulubienica, jasnowłosa Ruta.

Powitała nas zimno, ale jeszcze nie dosyć chłodno dla Leliusza, któremu jój powaga była raczej zachętą i wyzwaniem niż zaporą, coby go od niej z dala trzymać mogła. Wolałbym był ją widzieć wesołą, wzgardliwą, obojętną. Wszystko mi się nie podobało. Na

chwilę wprawdzie Leliusz zdawał się jej powagą onieśmielonym, ale pigknosc zachwycająca dodała mu odwagi i zuchwalstwa. A kobiety, Kajusie miły, tak zuchwalców lubią!

Wszechła się rozmowa. O czémże taki jak on człowiek mógł mówić? O cyrku, amfiteatrze, sławnych śpiewakach, ulicznych pogłoskach i pustém życiu swoim. Ona go słuchała, obojętnie wprawdzie, ale ze zbytnią uwagą.

Mimowolnie poglądałem na nią, na niego, na siebie, i była chwila, gdym mu téj postaci wymuskanego rzezańca pozazdrościł, jego namaszczonego włosów, wyszlifowanych nóg i upięściowanych palców. Dała mu nadto długo mówić, zbyt go słuchała cierpliwie, a choć w końcu odpowiedziała zimno i szydersko, ale mnie wszystkiego było za mało. Leliusz nie umilkł, owszem ożywał się coraz bardziej; nigdym go przy takiej lekkości umysłu o tyle nie posądzał dowcipu. Stał się zabawnym, i kilka razy nawet uśmiech na jój usta wywołał. Jam nigdy nie był tak szczęśliwy, aby mi się uśmiechnęła.— O kobiety, kobiety! któż zbada serca wasze!

Z natężoną uwagą przysłuchiwała mu się, gdy zaczął mówić o Neronie i wielkich jego a mnogich talentach. Zdaniem Leliusza, Rzym jeszcze nie miał nigdy równego mu poety, śpiewaka, malarza, rzeźbiarza, aktora i woźnicy, ani równego mu pana. Po chwili nawet jął rozpowiadać o Poppei i dowodzić, że zręczna a piękna niewiasta łatwo nim rządzićby mogła, przez Nerona Rzymem, przez Rzym światem całym! Widziałem jak twarz Sabiny pokraśniała, i jak on zwyciężko, postrzegłszy to, zagryzł usta: *Habet!*

Kajusie miły, com wycierpiał przez tę rozmowę

albo raczěj w ciągu długiego tego monologu, opisać nie potrafię.

Łatwo mi było domyślać się, czego ten człowiek pragnął, co zamierzał: chciał może zrażony do Poppei dać nową Cezarowi kochankę, jak mu pierwszą dał Otto i drugą, aby sam przez nią podnieść się i na współ opanować Nerona. Nikczemny!

Przecież niepodobna, by i ona tego nie zrozumiała, a na twarzy jěj nie wyczytałem owego oburzenia, które-gom się spodziewał. Nie kazała go niewolnikom swoim wyrzucić na ulicę, jak zasługiwał; nie zapłomieniło się czoło jěj ze wstydu na samo to przypuszczenie. Podparła się na łokciu, zadumała, Lelusz zdawał się tryumfować... a ja! byłbym go rozszarpał. Znieść wszakże musiałem cierpliwie. Mówiłem sobie: Cóż mnie ta kobieta obchodzi? Nie kochałem jěj nigdy, nie obiecywałem sobie nic po niěj. — Ale była mi świętą jak siostra, jak matka poszanowania wydawała mi się godną. W jedněj chwili zachwiałem się nietylko w uczuciach moich dla niěj, ale w pojęciu o godności niewiasty.

Kruche to są i słabe istoty, Kajusie drogi. Nie darmo przodkowie nasi zamykali je i strzegli dla własnego ich szczęścia: jeden płochy człowiek, jedno lekkie słowo zmienić je może. Z ubóztwianěj stała się dla mnie godną politowania istotą.

Skończyła się nareszcie nieznośna rozmowa. Lelusz wychodził, jam się z nim oddalił, aby pozostając sam nie zwiększać posądzeń i ochłonać z przykrego ciosu, jakiego doznałem. Ale gdym wrócił do domu, nie upłynęła godzina, jużem napowrot u drzwi jěj ogrodu i w jěj się znalazł kryptoportyku. Mogła poznać z méj twarzy, jak byłem poruszonym.

Gdym niespodzianie wszedł, znalazłem ją znowu na jakichś tajemniczych szeptach z niewolnicą Rutą. Zarumieniała się, schowała za suknię zwitek pergaminowy, i odprawiła ją skinieniem.

— Przebac mi, rzekłem, żem tak natrętny; ale sprawa, z którą przychodzę, zwłoki nie cierpi. Słyszałaś, co mówił Lelusz. Tyle bystrym jest umysł twój, że nie mogłaś się nie domyślić, co zamierza, z czém przyszedł. Czy nie lepiej byłoby, żebyś zuchwałych unikając pokuszeń, uszła z Rzymu i skryła się od oczu natrętnych w okolicach Partenopy, w Tuskulum, albo w którymkolwiek z wiejskich swych domów?

Sabina spojrzała na mnie, rumieniając się mocno.

— Juliuszu, rzekła szybko i stanowczo ja za nie nie opuszczę Rzymu. Sądź o mnie jako chcesz — nie mogę.

Zamilkłem przybity.

— Więc choć ja, odpowiedziałem, wynieść się ztąd muszę.

— Ty? A to dla czego? zapytała; obawiałebyś się?

— Nie; ale sąsiedztwo nasze i stosunki dla ciebie szkodliwe być mogą. Ludzie są źli i posądzają. Dał mi to uczuć Lelusz, że naszą niewinną przyjaźń braterską niegodziwie sobie tłómaczą.

Sabina zadrżała, ale uśmiechem pokryła jakieś uczucie niezrozumiałe dla mnie.

— Wyniosę się z domu na Palatynie, rzekłem: do mojej *insuli*. A choć mi tam wśród tego gwaru mniej dobrze będzie, któż wie? może do niego przywyknę, może nawet jak drudzy w nim zasmakuję.

Smutnie spojrzała na mnie.

— Uczynisz jak ci się zda lepiej! — odezwała się po cichu.

O kobiety, kobiety! — Kajusie miły — a jam ją tak wielką i czystą wyobrażał sobie! Dziś mi się potrzeba wyrzec tego posągu bóstwa, który z gliny ulepiłem sobie, nie mając tchu Pigmaliona, aby go ożywić. Wszystko mi mówi, że się omylił, że ona jest niewiastą jak inne, ułomnościami swojej płci dostępną.

Dla czegoż nie chce się wynieść z domu na Palatynie? Dla czego tak łatwo, tak obojętnie zgodziła się na wyniesienie się moje, aby tu nie mieć natrętnego świadka? Na co przyjęła wreszcie tego Leliusza, słuchała go i nie powiedziała mu nic, coby go od dalszych odwiedzin powstrzymać mogło?

Ale niczem jest jeszcze to wszystko.

Afer, który jako niewolnik zgaduje myśli moje i czyta je na czołe wprzód może, niżeli ja sam sobie z nich zdam sprawę,—rad będąc wkraść się w łaski i zostać nareszcie wyzwoleniec, gdy dziś tacy jak on, dodawszy sylabę do zbyt krótkiego nazwiska, do wszystkiego dochodzą,—Afer przyszedł i padł mi do nóg.

Myślałem, że stłukł myrhyńskie naczynie, za które stryj mój kilka tysięcy sestercyj zapłacił, i podniosłem go z uśmiechem. Wtedy po cichu rzekł do mnie, iż choć niewolnik, odkrył w mém sercu... miłość dla Sabiny, i że z dobrą przychodzi radą, abym dla własnego spokoju namietności nad sobą panować nie dawał.

Jakkolwiek nie popędliwy, chciałem go za tę poufałość kazać wychłostać; lecz mi się przyznał, że ma potajemny stosunek w domu Sabiny z niewolnicą jej syryjską, a przez nią wie wszystko co się u nich dzieje: dozwoliłem mu się nagadać... Mówił więc: że od pewnego czasu zaszły dziwne zmiany w życiu i w obyczajach Sabiny; że ulubienica jej Ruta jest z nią w nadzwyczajnej poufałości; że obie zamykają się, odczytując

pisma jakieś, że nocami przebrane wychodzą obie Apijską drogą, często późno bardzo wracając uznojone i przelekłe. Sztyletemby ostrzeż serca mi nie zranił. Nie rzekłem nic, ale z politowania nad Sabina i niewolnika powiernikiem czynić nie chcąc, zakazałem mu surowo, aby nie śmiał nadal śledzić jej kroków, pod groźbą straszną kary. Doszedłem do tego, że mu wydarciem oczu zagroziłem. Upadł mi do nóg przepraszając, całował je, i darowałem mu winę; ale oznajmiłem zarazem, aby się razem ze mną z domu na Palatynie wynosił.

Przewieźliśmy się natychmiast do *insuli* mojej, którą zamieszkuje znowu. Błądzą po niej tęskny, gniewny, zniecierpliwiony, nie poznając siebie. Co powiesz Kajusie? Kochałem ją sam o tém nie wiedząc? potrzeba było aż tego nieszczęścia, aby mi oczy otwarto? Cierpię, ale głupcem nie będę, i nie dam się dla jednej płochęj niewiasty udusić tęsknocie! Jest ich przecież tyle! Bądź zdrow.

VII.

Kajus Macer Juliuszowi Flawiuszowi zdrowia.

Ostatni list twój, Juliuszu drogi, mocno mnie zatrużył, a koniec jego niewymownie zasmucił. Posłuchaj mnie. Z jednej miłości nie leczy się drugą: będzie to zawsze też sama choroba, a gorsza może jeszcze, gdy natrafi na jaką Labullę lub Mewię, o którą z szermierzami na współ przyjdzie się ubiegać i z niewolnikami egipskimi miłość jej dzielić.

Wierzaj mi, na nieszczęśliwą miłość jest jedno lekarstwo tylko: — legiony nasze, zapomnienie Rzymu, którym ty mnie gardzić nauczyłeś. Przez twoje oczy ja przejrzałem i nienawidzę go teraz; tobieniem to winien, własnym twym darem dzielę się z tobą. Przybawaj więc do nas na niewczasy, na strażę, na nocne wycieczki i walki, do szumiących lasów dębowych, nad szerokie rzeki Gallii. Razem będziemy się uganiać za dzikimi zwierzętami, a jeśli chcesz, i za dzikim długowłosym Gallem, i za dziką córką jego, jak Dyana myśliwą, jak ona ogorzała, ale serca prostego i brzydzącego się obłudą. Rzym cię nie uzdrowi, ani forum, ani portyki, ani *suburra*, ani amfiteatry, ani zgłębienie klien-

tów poklaskujących czkawce poobiednej i niezdolności karmiących pochlebstwy. Przybawaj do nas przyjacielu; zapomnij o tej niewieście, w której krwi płynie trzech pokoleń zepsucie. Zostaw ją na pastwę Nero-nom, Leliuszom i jemu podobnym gachom — mężem bądź! Twój list ostatni nie jest mi wcale do smaku; pragnę ciebie albo lepszych wiadomości.

VIII.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Dawnom stylu ani pióra nie brał do ręki; musisz się po mém milczeniu na obozowisku mnie spodziewać, gdy ja tu siedzę przykuty i ruszyć się nie mogę. Dobra była twa rada, ale za późna. Któż słucha rad zdrowych? — pewnie nie chory człowiek.

Zdawało mi się, gdym dom na Palatynie opuszczał, że w nim tę miłość moją świeżo odkrytą, a tak dręczącą, zostawię. Spodziewałem się tego i zawiodłem; wyniosłem ją z sobą i pozbyć się nie mogę — tkwi we mnie, jak strzała Parta...

Chryzyppos radził mi leczyć się szukając innéj niewiasty; nie śmiał mi jednak życzyć ożenienia, bo dziś to jest rzecz nazbyt niebezpieczna. Chciał, bym gorączkę młodzieńczą po młodzieńczemu uspokoił, i wyrzekł się wyobrażeń o dostojenstwie niewiasty. Radził mi jak Caton Horacyusza *) młodemu owemu, którego w niedość dobrze sławioném miejscu zobaczył.

Lecz nie dla mnie to była rada; bo nie żądza jakaś, ale miłość uczciwa ciągnęła mnie ku Sabinie.

Przecież w części mu byłem posłuszny; gdyż do zbytku trapiła mnie tęsknica, i aby nie popaść w szaleństwo, musiałem choć ladajakiéj szukać rozrywki.

Cóż powiesz Kajusie miły! Obrzydzenie wyniosłem z tego towarzystwa kobiecego, które mnie rozerwać miało, i z wyjątkiem jednéj, o której zaraz ci opowiem, wszystkie one wstręt wzbudziły we mnie. Wielem z tego słyszał i widział; ale daleki jeszcze byłem od domyślenia się całej szkarady zepsucia, jakie panuje w Rzymie. Zwierzęta to są nie kobiety, harpie o pięknych twarzach, nie zaś duchy łagodne, *samie i lemury*.

W amfiteatrze najprzód zająrzałem piękną niewiastę; przyjaciele usłudni zaraz ułatwili znajomość, zaproszono mnie do domu. O zgrozo! znalazłem tu nie kobietę, ale gladiatora! W syryjskim grubym płaszczu, wymaszczona oliwą, jak atleta, przed zdumionymi gośćmi popisywała się z siłą i zręcznością, z mieczem i puklerzem, wdziawszy szyszak na głowę. Poklaskiwali wszyscy i pięknie jój było — ale się za nią rumienił.

Zawstydzony omyłką moją, wymknąłem się, choć uprzejmie zapraszano.

Poszliśmy do sławionéj z rozumu i talentu Lucylli, której drzwi otwierają się tylko dla uczonych i filozofów. Chryzyppos sam mnie tu wprowadził, aby zatrzeć przykre pierwszój wspomnienie; sądził, że mnie przy wdziękach oczaruje mądrością.

Ale, niestety! jak tam atleta, tu zastałem grammatyka w przybrukanéj tunice, który zajęty był prostowaniem omyłek w mowie, zaś nie myśleniem i mądro-

*) Horat. Serm. lib. I. Sat. 11, 31.

ścią. Znaleźliśmy Lucyllę wykładającą uczenie różnicę Wirgiliusza i Homera; nie dała nam rzecz słowa, poprawiła starego i mnie natychmiast, aby pokazać, jak wiele umie i śmiało umiejętności swój używa... Potem ujęła podręcznik Palemona, stojący przy niej w kuble, aby się nim poświadczyć, i naprawiwszy wiele, kazała słuchać wierszy, o któreśmy ją posadzili, bo nikt z nas pochodzenia ich nie znał.

Zdumiewali się inni nad erudycją młodzieńczą; ja, wyznam, ziewałem, i choć mi się uśmiechała wdzięczność, jakby dając do myślenia, że nie w jednej grammatyce jest biegła, a młodych uczniów chętnie do szkoły przyjmuje — wyszedłem prędko, czując odrazę od tego zwoju pergaminowego.

Cóż powiem o innych, które i téj nie były warte? Znudziły mnie one i odstręczyły.

Chryzyp widząc, że tęsknicy méj nie rozerwie, zapytał w końcu: — A Epicharys?

Sławną tę niewiastę widywałem był dawniej. Dla nadzwyczajnej piękności stryj Markus wielbił ją może równie jak dla wielkich przymiotów, które jęj wszyscy przyznawali; lubił jęj towarzystwo i miał zwyczaj powiadać, że wyzwolenica ta więcej nad wiele matron patrycyuszów była warta. Lecz za życia stryja z dała ją tylko widywałem, nie śmiejąc bliżej przystąpić. Zostało mi tylko przypomnienie kobiety pięknej, śmiałej, otwartej i dowcipem niezwykłym odznaczającej się. Jeśli nie zasłyszałeś o niej, powiem więc: godna jest wzmianki, gdy już o Lucylli i gladyatorze wspomniał.

Epicharys urodzona w Rzymie z matki Greczynki, możnego senatora niewolnicy, jest jego córką, jak wszystkim wiadomo.

Ukochana od ojca i matki, wychowana była z mi-

łością wielką i staraniem, ale na sposób grecki raczej niż rzymski; kształcono w niej rozum, talenta, piękność, nie do cichego gynecceum, raczej do dworu i na większą sposobiąc ją scenę. Wyrosła też cudownie piękną i zdumiewającą rozumem, w dzieciństwie jeszcze do wielkich zdając się przeznaczoną losów. Zawiodły wszakże nadzieje; zmarł nagle ojciec nie uwolniwszy matki, nie przyznawszy dziecięcia, nie zabezpieczawszy testamentu, a chciwi krewni objęli spadek po nim.

Młodziuchna Epicharys dostała się w działo staremu Statyliuszowi, słynnemu z okrucieństwa dla niewolników i nielitościwego serca.

Wszakże potrafiła go tak ułagodzić i zmiękczyć, że po kilku latach, nie tylko umierając wolność jęj przyznał, ale znaczny bardzo zapis uczynił. Zbogaczona Epicharys życie rozpoczęła nowe, którego dziejów opisywać ci nie mogę; to tylko wiem, że ilekroć o niej mówią, z Aspazją i najsłynniejszymi pięknoscią i rozumem niewiasty ją porównują. Mało jednak obojga; Epicharys słynie z energii charakteru w niewiastach rzadkiej i z nadzwyczajnego męstwa. Słowa jęj śmiałego obawiają się wszyscy; żart jak strzała przebija. Niechciwa pieniędzy ani zbytku, nieopatrna i prawie rozrzutna, prowadzi życie z wytworności i ubóstwa, na przemiany złożone, ani się do pierwszej nadto przywiązując, ani drugiem trapiąc bardzo. Widziano ją nieraz śmiejącą się w największym niedostatku, a smutną wśród przepychów. Samowolna, gwałtowna, idzie za głosem natury i serca popędem, a wrodzony instynkt i rozsądek uchował ją przecieź od upadających namiętności. Nie dbając o jutro, nieraz w świetnej wieczery wyrzuciła grosz ostatni, a nazajutrz śmiała się z siebie u cudzego stołu.

Szczęście jęj dotąd towarzyszyło nadzwyczajnie, tak że po kilkakroć tracąc wszystko co miała, niespodzianie potem stawiała się bogatą jakimś nieoczekiwanym wcale darem.

Bogowie obdarzyli ją nadzwyczajną pięknoscią, której życie nieopatrzne zniszczyć, ani nawet nadwęgryć nie mogło. Dziś jeszcze gdy się ukaże w amfiteatrze, oczy wszystkich zwraca na siebie i zazdrość niewiast obudza. Z rozkazu Poppei zabroniono jęj nawet bywać tam, gdzieby Cezara spotkać mogła, grożąc śmiercią. Śmiała się z tego jak ze wszelkiego śmieje się niebezpieczeństwa, ale nienawidząc Nerona, wcale też drogi zabiegać mu nie myśli. Dom jęj zawsze otwarty, gromadzi w sobie po większej części tych, co Neroni jak ona nie są przychylni. Uczęszczają tam: Pizon, Subryusz Flawiusz jednej ze mną rodziny i blisko mi pokrewny, trybun kohorty pretoryan, Asper, Lukan, Flawiusz Scewinus, Afranus Kwinecyanus i wielu innych.

Szliśmy do Epicharydy, której drzwi wieczorami stoją otworem mnogim gościom; zastaliśmy też ich wielu. Lukan czytał swego poematu ustępy. Epicharys w lekkiej tunice, stała w pośrodku wyglądając na Muzę. Gdy ustał poeta oklaskami okryty, przywitała mnie uprzejmie i powiedziała za sobą powoli aż na kryptoportykus, który ku ogrodowi prowadził.

— Przyznam się, rzekła, że od dawna spodziewałam się was u siebie. Stryj wasz Markus, poczciwy stary żołądek, był moim dobrym przyjacielem; sądziłam, że biorąc po nim dziedzictwo, i przyjaźń dla mnie weźmiesz w spadku... Miałabym się omylić? Dopytywałam się o was: mówiono mi, że zamknęci siedzicie przy pokrewnej waszej Sabinie niegdy Treboniuszowej, jak Herkules u nóg Omfalii...

Uśmiechnąłem się, odpowiadając jęj krótko. Popatrzała mi w oczy, i zdawała się odgadywać, żem smutny i znudzony.

— Dobrzeście zrobili, przychodząc do mnie, dodała. Poznacie tu ludzi, którzy wam przypadną do serca. Młodości nie trzeba trzymać w zamknięciu, aby starość potem nie pragnęła swobody, gdy jęj używać nie może...

Jeśliście przywykli, dodała, do towarzystwa, które wielbi Nerona, jak krewny twój Leliusz, i jeżeli się do Augustanów liczycie, u mnie wam nie będzie miło.

Przerwałem jęj z największym oburzeniem, i twarz się Epicharydy rozjaśniła.

— To dobrze, rzekła: należysz do moich przyjaciół a do wrogów tego potwora...

Potem zaczęła mnie oprowadzać po domu, dziecinie dosyć ukazując jego piękności, posągi greckie, bronz, naczynia, fontanny, obrazy, mozaiki i cały przepych, który ją otaczał.

Z najpoważniejszej mowy przechodziła tak do płochych żartów, ze śmiechu do filippiki wymownej, od łez do zjadliwej ironii.

Z tępem wszystkiem było jęj dziwnie do twarzy, bo wielką energię ducha łączyła z sercem na podziw niewieściem, litościwem i dobroczynnem. Przyznaję ci się, że chwilę spędziłem tu w towarzystwie Pizona i Flawiusza, bardzo miłą; a czarne oczy Epicharydy świeciły się ogniem ożywcym. Ale gdym wyszedł z tego domu, znowu mnie ogarnęła tęsknota. I ta kobieta nie zaspakajała mnie; zajmowała, ale przerażała razem. Nie była ona tą cichą niewiastą, kapłanką domowego ogniska, jaką myśląc o Sabinie w sercu mém wypielegnowałem. Mogła być przyjaciółką w młodo-

ści, ulubienicą kilku godzin, ale nie życia towarzyszką; roznamiętniać potrafiła, lecz nie umiała ani się do człowieka stale sama, ani człowieka do siebie trwale przywiązać. Oddaję wszakże sprawiedliwość Epicharydzie, że pewna uczuć jęj szlachetność wzbudziła we mnie poszanowanie.

Wiedzą wszyscy, że gdy ukochała była niegodnego takiego przywiązania Kajusa Stellę, który mienie swoje i cudze na grę i biesiady marnował, poświęciła mu wszystko, aż do najmilszych kobiecie klejnotów, i popadła była w ubóstwo, z którego się nierychło po śmierci jego dźwignęła. Kosztowny stos i przepyszne mauzoleum nawet jęj winien.

Jest to dom, do którego pójść się godzi dla rozrywki, ale niebezpieczniej tu serce przywiązać niż gdzieindziej; Epicharys do poważnej miłości nie jest zdolna, poświęci wszystko w chwili, ale jutro i o tém, co poświęciła, i o człowieku, dla którego uczyniła ofiarę, zapomni. Cóż winna, że taką ją czasy i obyczaj, a może krew, co w jęj żyłach płynie, uczyniły?

Wróciłem jeszcze do domu Epicharydy, wynosząc z niego zawsze też same uczucia przyjazne dla niej, i tę samą obawę przywiązania się do istoty dobrej, ale sercem swém niewładającej. Jedno mnie w niej ujmuje najmocniej: to nienawiść jęj do Nerona i męstwo, z jakim to głosi. Tęsknoty wszakże po Sabinie ani ta nawet rozrywka zatrzeć nie potrafiła. Po tych bezskutecznych błakaniach pobiegłem skrycie na Palatyn. Sabiny nie było w domu, choć godzina już późna, dochodziła bowiem dwunasta (szósta lub siódma po południu) — oddalenie to ciężkiem do wytlómaczenia czyniła. Błądziłem długo pod jęj drzwiami, wyczekiwając powrotu, czatując którądy powróci, ale wśliznęła

się przez tylne drzwiczki, i niewolnica syryjska, która mnie widziała wprzód, oznajmiła, że zapukać mogę. Wpuszczono; prawie zawstydzony wszedłem do tego domu, który mi tak był miły, a tak niedostępny!

O! Kajusie drogi — potrzeba być niewiastą, aby tak odegrać czułość, smutek, przyjaźń, z jaką ona zdawała się mnie witać. Patrzała na mnie bacznie, jakby mi chciała co powiedzieć, tłómaczyć się z czegoś, i nie śmiała. Spytałem jęj mimowoli, gdzie była? Kładąc palec na ustach, zarumieniła się, i po chwili odrzekła:

— Juliuszu, wierz mi, posądzasz niewinną, ale ci się wytłómaczyć nie mogę. Jest tajemnica między nami, choć wstydzisz się jęj nie mam powodu. Spójrz mi w oczy, powiedz: czytaszże w nich świadectwo występku i upodlenia, lub masz mnie za tak zepsutą, że i niewinność udawać umiem?

W istocie piękniejszą, czystiejszą wydała mi się niż kiedykolwiek, oczy jęj jaśniały jakimś ogniem nie ziemskim. Zdała mi się znowu jedną z owych bogiń, które przyoblekają na chwilę ludzkie ciało, aby śmiertelników uwodzić. Byłem przed nią upokorzony prawie, żem ją śmiał podejrzewać.

— Czekaj, dodała, ufaj mi, bądź spokojny, a wszystko się wyjaśni.

Po krótkiej chwili pożegnała mnie z widocznym jakimś niepokojem, Ruta bowiem przybiegła jęj coś oznajmić na ucho. Poruszyły się obie, wyprawiono mnie co rychlej, a syryjskie dziewczę wybiegłszy do *prothyrum* za mną, szepnęło, że jakichś dwóch nieznanomych mężczyzn wpuszczano właśnie tylnymi drzwiami do ogrodu.

Wyszedłszy dopiero tak bezwstydnie odprawiony, poczułem jak byłem słaby i oszukany; oburzyłem się

poprzysiągłem nie przestąpić jój progę... Niestety! Kajusie drogi, wymawiając przysięgę gniewnemi usty, byłem już pewien, że ją złamię.

Tak jest! ta kobieta zdradza mnie ohydnie, domyślam się, czuje: Leliusz tam musi być potajemnie; może nawet jak Otto do Poppei, już tu wprowadził Cezara. On gotów na wszystko, a któż zmierzy dumę kobiety, która się czuje godną połączyć z rodziną Augustów i najwyższych dostąpić zaszczytów! Któż wie, jakie szkarady dzieją się w tym domu, który ja jak świątynię szanować nawykłem! Gdyby czystą była i niewinną, dla czegożby się przedemną taić miała i wstydzić swojego postępowania?

Nie wytrzymałem, poniżyłem się aż do użycia niewolnika: wysłałem Afra na wzwiady. Poszedł do niewolnicy syryjskiej, i przyniósł mi tyle wieści, tak dziwnych, że się w nich gubię i rozplątać ich nie potrafię.

Jakaś nieodgadniona sprawa tajemna zajmuje Sabine; Ruta jest jój powiernicą jedyną. Ruta wchodzi i wychodzi nieustannie, przynosi pisma jakieś; wprowadza ludzi obcych na narady do ogrodu, do perystylu, do *triclinium*, pilnując u drzwi, aby się z nikim nie spotykali, aby ich nikt nie dostrzegł.

Wchodzą i wychodzą zakapturzeni. Obie one z Rutą na długie godziny często oddalają się z domu, wracając czasem pieszo z zabłoconém obuwiem, w zmokłych, gliną powalanych szatach!

Słuchając tych wieści, wrzałem gniewem i oburzeniem — cóż mam sądzić?

Sabina kocha swe dziecko, a często zdaje się o niem zapominać. Możesz to być co innego nad miłosną sprawę, której wstydzić się musi?

Ona jedna kobietę do takiego zapomnienia przy-

wodzi, ona jedna takim upaja szaleń. Lecz miałaby wszelkiego pozbyć się wstydu?

Powiesz mi zapewne: słuszność masz, lecz czemuż powziąwszy to przekonanie, nie oderwiesz się od niej? Kajusie, radbym... nie mogę.

Kochałeś ty kiedy kobietę? wiesz ty co to jest owa miłość szalona, która w błoto grząże gotowa za przedmiotem swęj namiętności, która nim gardzi, brzydzi się i razem go pożąda, wstydzi się swęj hańby i pragnie, czuje upadek i leci węń? miłość, w której jest razem nienawiść? Taka jest moja właśnie: brzydę się nią i szaleję za nią. Gdybym się dziś dowiedział, że jest dzieciobójczynią, że z Lokustą smaży truciznę, — wzdrygnąłbym się, a kochać nie przestał. Rozumiesz ty to Kajusie? dla tego miłość ślepą malują, a głuchąby i bezrozumną dodać można.

Szydził wczoraj ze mnie Chryzyp, wstydząc, że zostałem niewolnikiem namiętności; czuję sam, iż ma słuszność, ale siły do poskromienia jęj nie mam.

Odpycham od myśli, od pióra tę kobietę, tę zagadkę, tego Sfinksa napróżno: ciśnie się natrętna. Nie tyle jęj samęj pragnę, ile widzieć ją oczyszczoną, taką, jaką sobie wyobrażałem: dawną matronę rzymską, pilnującą kolebki dziecięcia przy domowém ognisku, nie zaś szaloną niewiastę naszego wieku.

Ale zaprawdę dosyć tego przedmiotu, wolę ci już pisać o czém inném, o Rzymie, aby o mojem cierpieniu i głupocie zapomnieć.

Malowałem ci miasto nasze ze wszystkich szpetnych stron jego; masz więc dostateczne wyobrażenie o naszym upadku, choćby z tego jednego przykładu kobiety tak wzniosłego umysłu, która się przecież wrowi tęj brudnej fali porwać i unieść dała.

Nieprzebrany to jest przedmiotem rozmów naszych wieczornych z moim starym Grekiem, który w duszy pielęgnuje nienawiść do Rzymu, ale mimo niej, co szlachetne i piękne w nim, czuje i uwielbia. Na przekorę moim dyatrybom Chryzyp, dowodził, że miłość cnoty i uczucie prawdy nigdy nie wygasa zupełnie, nawet często w tych samych, co pełnić cnoty nie są zdolni, ani prawdy czynem popierać. Czytał na dowód tego twierdzenia ustępy z traktatów Seneki, którym życie jego nie jest podobne, a potem niepublikowane jeszcze ale chodzące w małym kółku po rękach urywki z wierszy nieznanego, młodego poety, o którym ci już mówiłem, Aulusa Persyusza Flakka.

Acz wiersze to nie były poprawne, zagmatwane i ciemne, myśli w nich zawarte uderzyły mnie mocno, tém silniej, gdym się szczegółów o pewnym życiu autora dowiedział. Zapragnąłem poznać tego człowieka, który miał odwagę tak śmiało wystąpić przeciwko społeczeństwu naszemu.

Chryzyp, który go zna lepiej, przyrzekł mi znaleźć zręczność widzenia go i zbliżenia się do niego.

Z wdzięcznością przyjąłem tę obietnicę, i nagliłem dni następnych o jej spełnienie, ale rzecz trudniejszą się okazała, aniżeli on i ja sądziliśmy. Persyusz żyje zupełnie samotnie z matką i siostrą, nie bywa nigdzie tylko u Trazeasa, nie widuje nikogo prócz Bassusa poety i znanego z surowości zasad i prawości charakteru opiekuna swojego Anneusza Kornuta.

Ostatni jeśli nie z pism swych wielu, to choć z rozgłosu imienia znany ci być powinien. Zjednało mu sławę męstwo, z jakim występował zawsze w obec Nerona. On to dał ową sławną Cezarowi odpowiedź w czasie narady nad liczbą pieśni, w których zawrzeć

się miał wielki poemat historii Rzymu. Jeden z pochlebców odezwał się, że czterysta pieśni nie byłoby za wiele. — Czterysta! zawołał Kornutus, a któż je czytać będzie? — Przecież stoik Chryzyp, którego tak wielbicie, więcej ich napisał? zarzucił pierwszy. — Tak, odparł Kornutus, ale księgi Chryzypa ludziom się na coś przydały.

Te słowa w oczy Cezarowi rzucone, dają ci miarę człowieka, co je wyrzekł, a razem ludzi, co z nim jedno, ściślejszą przyjaźnią związane składają grono. Nie liczę do nich Seneki, który im w surowości nie dorównywa, ani Lukana, który płochym się dosyć wydaje. Persyusz, Kornutus, Trazeasz, Agatemer, wreszcie Bassus poeta żyją z sobą tylko, i wśród tego morza zepsucia, jakim jest Rzym — wyspę stanowią spokojną. Biją o nią jego fale, ale jej wzruszyć nie mogą. Z nich wszystkich Trazeasz i Kornutus uchodzą za najsurowszej moralności ludzi, za filozofów stoików; w ślad za nimi idzie Persyusz, a dalej nareszcie Agatemer i Bassus poeta.

O Trazeaszu któż nie słyszał w Rzymie? żywą tu zowią go cnotą. Aby ci zaś odmalował, jak surowości dla siebie niezmiernej mąż jest dla drugich wyrozumiałym i łagodnym, powiem ci, że gdy rozprawiano nad potrzebą brzydzenia się występami ludzkiemi, odezwał się Trazeasz: „Pomnijcie tylko, że kto wady i występki zbyt surowo nienawidzi, kończy na nienawiści ludzi.“

Wprowadził mnie Agatemer z Chryzyppem do domu Trazeasa. Ludzie tu wydali mi się takimi właśnie, jakich szukałem; cieszę się, że ich znalazłem; mimo szorstkości Persyusza, pociągniętym się uczułem ku niemu.

U Epicharydy grono mężów otaczających Pizona, choć na zepsucie czasów i na Nerona siewcę występku oburzało się, nie obudziło we mnie tego poszanowania, co otoczenie Trazeaszowe. Pizon wydał mi się więcéj ambitnym, raczéj Katyliną jakimś niż Arystydem; Trazeasz nienawidzi występku, Pizon Nerona.

W najzepsutszym więc wieku, za jaki nasz nieochybnie poczytany być może, bogowie zawsze prawdę do piastowania i przechowania powierzają choć szczupłemu gronu tych, co ją do chwili zwycięstwa pielegnować mają i powoli rozsiewać.

W domu Trazeasza, tém gnieździe bohaterów—bo żona jego Arya jest córką téj, która wyrzekła: — *Non dolet!* — poznałem poetę.

Jest to pięknej postaci młodzian, z razu milczący i mało przystępny — zdaje się badać człowieka, nim się do niego przybliży; ale gdy otworzy usta, z niezmierną siłą, ze zbytkiem jéj wylewa z siebie potok wyrazów pełnych błyskawic i piorunów. Satyra jego, jak on, jest mimo gorzkiej ironii, poważna.

Znać na nim, że od lat dwunastu wychował się na wsi, że nie zmiękł rozpuszczony zawczasu, choć ojca zawczasu utraciwszy, przy matce pozostał sierotą. Wszystkie uczucia ludzkie zdrowe, naturalne, wypielegnowały się w nim nienadwreżone i czyste... Pobożna matka i siostra, do której ma przywiązanie wielkie, wreszcie Trazeasz pokrewny mu, jego żona Arya, byli przed Kornutusem nauczycielami jego młodości.

Persyusz stroni od świata, patrzy nań z dala okiem filozofa z politowaniem i wzgardą; nie smakuje mu nawet dworak Seneka, który inaczej pisze, inaczej mó-

wi a robi inaczej; ani wesoły, lekkomyślny, pełen talentu, ale płochy nieco Lukan.

Rozmowa w domu Trazeasza była tak poważna jak ludzie, co ją prowadzili; wdzięczem im byłem, że na zalecenie Agatemerosa i Chryzypa byli ze mną otwarci i szczerzy od pierwszej chwili — znali przez nich usposobienie moje.

Wiesz jak szczęśliwą mam pamięć: wszak-ci to dawniej po dwieście i trzysta wierszy Wirgiliuszowych w kilku uczyłem się godzinach; posłużyła mi ona tutaj. Pod koniec bowiem posiedzenia Bassus odczytał nam kilka ustępów z Satyr Persyusza. Schwyciłem z nich jeden, i ten ci przepisuję, abym nie talentu poety, który jeszcze je wygładzić zamyśla i do dziewiątego pielegnować roku, ale jego przekonani i sądu dał próbkę.

Oto co mnie najbardziej uderzyło:

„Złoto wyгнаło ze świątyń naszych naczynia Nummy, miedź Saturna, zastąpiło urny Westy i gliniane wyreby starych Toskanów.

„O serca ku ziemi skłonione! jak w was brak myśli wzniosłych! Przesady wasze do świątyń niesiecie z sobą, sądzicie o bogach z prągnięć własnych spodłonego ciała waszego.

„Ciało! tak, dla niego to, dla ciała rozpuszczać kazać cynamony w zepsutej oliwy soku i runa kalabryjskie gotować we wrzątkach splugawionej purpury. Dla niego perły dobywają z morza, z dziewiczego łona ziemi wyrrywają kruszce, topiąc na sztaby rozżarzone. Tak! ciało jest wielkim winowajcą, ale się przy najmniej zepsuciem tém nasycą, używa. Powiedzcież, kapłani, co bogom po waszém złocie? Co We-

nerze po tój lalce, którą jój dziewczynka przynosi w ofierze?

„Nie powinniżbyśmy raczej nieść na ofiarę bogom to, czego im nigdy kaprawy potomek wielkiego Mes-sali nie poda na misie złotój — chcę rzec — duszy zahartowanėj w uczuciu sprawiedliwości i prawa, serca, w którego głębiach żadna się myśl zła nie kryje, charakteru, któremu uczucie godności nadało siłę szlachetną!

„O! gdybym do świątyni mógł przynieść podobną ofiarę! najprostszj placek przy niej bóztwuby wystarczył.“

Powiedz mi — Kajusie miły, wiersz ten nie jest-li wzniosłym i śmiałym? Na dzisiejsze czasy zarazem niewiary i przesądu, gdy dla jednych nie ma nic świętego, gdy drudzy lada zabobonami się durzą, gdy Cezary gwałcą świątynie, a tłum z uwielbieniem patrzy na smagających się biczami o kościanych węzłach kapłanów Cybeli, — nie sąż to wyrazy zwiastujące czystsze o bogach pojęcie i jakby wiosnę odrodzenia wiary i obyczaju?

Lecz już może rozwlokłem się zbytecznie, sam to czuję; alem ci Rzym chciał pokazać ze strony nowėj, abym moją dla niego słabość wytłómaczył i wyjednał od ciebie przebaczenie, iż do twych Gallii gajów nie śpieszę, a trudów nie dzielam.

Cóż powiesz o Trazeaszu, Kornutusie i Persysuszu? Nie prawdaż, iż tém uwielbienia godniejsi, że na tém gnojowisku zrodzeni, które zgniłe tylko grzyby wyda-waćby powinno, jadęm jego i wonią nie przeszli?

Tem tłómaczę wielomówstwo moje i Marsowi cię polecam, aby zachował cię cało, gdy do walki przyj-

dzie. Choć zaprawdę dla rzymskiego rycerza ani Gall długowłosy, ani niebieskooki Germańczyk nie straszny, — sądzę, że chorągwie i orły nasze samym widokiem swym gnać muszą tę dzicz w niedostępne lasy i błota, jak trąba myśliwca płoszy przełękiego zwierzę... *Vale.*

IX.

Sabina Marcya Zenonowi Ateńczykowi pozdrowienie.

Długo milczałam, mistrzu mój i przyjacielu, ale się temu dziwić nie będziecie, domyślając się z ostatniego pisma, jak ważną sprawą jestem zajęta. Nie-razbym bardzo twojej potrzebowała rady, ale pisanie się lękam, aby listy w cudze nie wpadły ręce, aby na mnie lub na przyjaciół moich nie ściągnęły prześladowania.

Z każdym dniem rośnie nienawiść przeciwko nauce nowój, zwłaszcza kapłanów i ciemnego motłochu, który tamci podburzają. Mnożą się codziennie ofiary, a choć z nimi rośnie liczba uczniów, przeraża myśl, że męczarnie i śmierć tryumf prawdy powstrzymać i odroczyć mogą.

Obawa zdradzenia tajemnicy przez pismo powściągała mnie długo; wreszcie znalazłam zręczność pewną dla przesłania listu, przemogło nawyknięcie odzywania się do ciebie i pragnienie udzielenia ci promieni tego światła, które mnie oblewają.

Coraz głębiej staram się wnikać w naukę przez chrześcian głoszoną. Uderzyło mnie zrazu wielkie nie-

których jęj prawd podobieństwo z temi, które dali światu poznać Sokrates i Plato, a dziś przywłaszczyli sobie stoicy. W rzeczy jednak są to analogie powierzchowne, bo wiara ta z gruntu jest nową, chociaż ludzie od dawna ją przeczuwali.

Nie widzieli jednak prawdy jasno, domyślali się tylko, nie objęli nigdy całości tego, co nam z Judei ubodzy ludzie, nie uczeni, przynoszą pełne i skończone.

Donosiłam ci już, iż maie do niektórych przypuszczono tajemnic; są bowiem pewne stopnie i próby, przez które się przechodzi, chociaż skrytości nie ma. Nowa nauka rozszerzyła się już i rozpościera po Rzymie, nie pomiędzy filozofami i patrycyuszami — raczej wśród wyzwolenców, niewolników, barbarzyńców i najbiedniejszego tłumu. Tędy strumień jęj płynie, chociaż często i innych pociąga za sobą. A jest w niej to dziwnego, że równie zrozumiała i dostępna jest najprostszym, jak zdumiewająca głęboością swą dla filozofów.

Każdy z niej czerpać może wedle sił umysłu i serca; dla nikogo zamknięta nie jest. Nie kryje się ona i nie osłania, tylko o tyle, by swoje trwanie zabezpieczyła. Padają ofiary niemal codziennie, gdyż nadto groźną jest temu co istnieje, aby Rzym cierpliwie mógł patrzeć na jęj rozprzestrzenianie. Nie jest to obrządek tajemnicami osłoniiony, któryby jak Mitry lub Izidy zabobonne praktyki w głębi celi świątynnej mógł się zamknąć godząc z innemi. Nauka ta wychodzi od ołtarza, ale na całą ludzkość spływa, odradza człowieka i rządzić musi najdrobniejszymi jego sprawami. Wnika wszędzie, nawet w najtajemniejszą myśl jego.

Dla tego ta nauka trwogą napęłnia wszystkich, bo nie się przed nią nie ostoï z tego świata, który dziś jest.

Czuja niebezpieczeństwo ci, co korzystają ze złego, które runie; wiedzą co zysczą ci, co je obalą. Przedewszystkiem jest to religia słabych, uciśnionych, odepchniętych.

Pierwsze zasady nowej wiary zaczerpnęłam od niewolnicy mojej Ruty, która od dawna potajemnie ją wyznawała. Nigdy mnie to wprzód nie uderzało, że nawet na Junonę moją, jak inne sługi, przysięgać nie chciała.

Ruta, która zaledwie czytać umie, a filozofii wcale się nie uczyła, która nieuctwo swe w porównaniu ze mną wyznaje w pokorze, zdumiewa mnie objawiając prawdy nadzwyczajnej głębokości, czerpane nie z własnego rozumu, ale z tego źródła mądrości otwartego dla wszystkich. Często to, co ona mi przynosi, ja sama szerzej i jaśniej pojme niż ona... ale ziarno biorę od niej. Upokorzona nieraz jestem jej mądrością, która łatwo i bez mozolu rozwiązuje największe trudności tym kluczem, którego jej nowa nauka dostarcza.

Z początku badałam ją pilnie i zastanawiałam się, aby nie być podobną do tych niewiast płochych, które lada chaldejski wróżbit lub Petozyrys astrolog bałamuci niedorzeczными baśniami. Nie rozrywki szukałam, lecz światła.

Ale z każdym dniem, z każdym słowem przekonywałam się mocniej, że nie zabobonna praktykę, ale filozofię nową, płód innego kraju i wyobrażeń mam przed sobą. Cóż powiecie na to, że się narodziła tam, gdzie nauka ludzka nadzwyczajnie nie jaśniała światłem, że prostaczkowie przynoszą ją zdumionym mędrcom starego świata.

Dla czego ani Grecya, ani Rzym tej nauki nie wydały, choć obie siedziały na krawędzi studni, w której

się prawda ukrywała? ty mi chyba odpowiesz. Naród żydowski, pogardzony, podbity, miał w sobie jedno zdrowe nasienie, na którego łodydze ona się wszeźpić mogła — pojęcie jednego Boga, *Demiurga*, którego u nas znali zaledwie filozofowie, nie pokazując go przed ludem. Nie śmiano poruszyć politeizmu, aby z nim nie obaliła się społeczność.

Pamiętam, jakeś się nieraz uśmiechał z moich posążków odziedziczonych po matce, z nieforemnych bożków etruskich, ze starych penatów niezgrabnych po nad domowym ołtarzem; przecież wszyscyśmy je szanowali, i dzień się żaden nie obszedł bez libacyi i ofiary.

Nikt w te nasze niezliczone bogi nie wierzył prócz niewolników, co w dodatku mieli jeszcze swych własnych, — a stały i stoją one na ołtarzach, pobożni złożą im brody, purpurą malują płaszcze, oliwą smarują ołtarze, kosztowne biją ofiary, które na kapłańskie uczty dostarczają mięsiwa. Uśmiechają się do siebie augurowie, pozostawszy sam na sam, a wnętrzości bydląt rozpatrują codziennie i śmiało z nich co chcą wyrokują ludowi.

Wypytywałam pilnie Rutę, która nie była w stanie nic własnym zmienić rozumem z tego, czego ją nauczono, ani swojemi wymysły okraszyć. Zdumiewałam się codziennie wielkiej prostocie prawdy, która w mém sercu zdawała się mieszkać oddawna, a teraz tylko dobywać z niego; witałam ją jak starą znajomą, długo niewidzianą przyjaciółkę.

Wreszcie czując się coraz goręcej pociągniętą ku tej nauce, gdy już Rucie brakło wyrazów, aby mojemu pragnieniu zadość uczynić,—za zezwoleniem tych, któ-

rzy przewodniczą zgromadzeniu, obiecała mnie zaprowadzić na tajemną schadzkę chrześcian i tych, co jak ja, zostać chrześcianami pragnęli.

Przysłałam na to chętnie, choć miejsce było mi obce, a godzina do wyjścia zdawała się niewłaściwą, i budziła obawę niebezpiecznego jakiego spotkania. Spodziewałam się też zastać tłum niewolników, zbiorowisko najuboższej gawiedzi, owych Żydów z wiązkami siana pod pachą, co zalegają gaj Egeryi, a we dnie snują się około Termów i w gwarliwych uliczkach. Musiałam przeto wdziać szaty niewolnicy, ciemne suknie, któreby mego nie zdradziły stanu. Ruta pożyczyla mi swoich, twarze okryłyśmy kapturami, a ktoby mnie był spotkał, z przebrania mógłby nie wiem o jakie szaleństwo posądzić. Wyznam, że gdym tak odziana przestępowała próg mojego domu, serce biło mi silnie, jak gdybym popełniła występki, zdradzała kraj swój i wiare, stawiała się niewierną opiekuńczym duchom, co strzegły mojej, matczynój i dziadów moich kolebki.

. W tym kapturze i osłonach podobniejsza byłam do rozpustnicy, co niemądrój szuka miłości, niż do niewiasty, którą miłość mądrości prowadzi. Niewiasty nasze, niestety! dały prawo posądzać nas wszystkie o największe bezeceństwa.

Późnym już zmrokiem, o pierwszej dnia godzinie, wyszłyśmy ku Apijskiej drodze. Szczęściem zawsze tu dosyć jest zgiełku i przechodzących, by niepostrzeżonemu przejść można. Ruta prócz tego zamówiła dwu swoich współwyznawców, którzy z dala za nami idąc, strzedz mieli, aby się nam co nie stało.

Pierwszy raz nocą, pieszo, prawie sama znalazłam

się na ulicy, wmieszana w ten lud, na który dotąd tylko z wozu lub lektyki mojej patrzeć byłam przywykła.

Uczułam w sercu przerażenie wielkie. Mijały się zaprzęgi, krzyczeli woźnice, tłumy pijanych niewolników wychodzących z *tabern* zawodziły dzikie, niezrozumiałe pieśni we wszystkich świata językach; mijaliśmy *popiny* pełne wrzawy i motłochu, w ulicy ocierając się o kobiety bezwstydne, z odkrytymi twarzami, w mitrach pstrych i sukniach kwiecistych; przeciskać się było potrzeba pomiędzy konie, osły, muły, stada bydła i stada ludzi piętnowanych, prowadzonych na sprzedaż.

W bramie Kapena ledwieśmy się zdołały przemknąć przez zgiełk ten; dalej już gdzie się poczyniała *Via Apia*, trochę mniej było ludno, puściejszym stał się gościniec, ale tu milczenie nadchodzącej nocy równie było jak tamta wrzawa przerażająca. Mijaliśmy grobowce cyprysami czarnymi otoczone, wśród których duchy starych Rzymian błądzić się zdawały. Naostatek nieopodal od drogi wskazała mi Ruta dom dosyć obszerny, do którego portyku zwróciliśmy kroki. Zapukała trzy razy i drzwi rozsunęły się powoli; weszliśmy, wymieniwszy jakieś wyrazy z odźwiernym, i zatrzymały pod kolumnami obszernego, wspaniałego *atrium*.

Dom był widocznie możnego rzymskiego obywatela, ale z niego znikły już były wszelkie godła i oznaki naszej wiary, bożki, hermesy, posągi i ołtarze. Stał tylko jeden nad sadzawką środkową, na którym dojrzałam godła Bachusa, które zdziwiły mnie; płaskorzeźby wystawiały winobranie. Nie wyrzucono też woskowych obrazów przodków, które ściany przyozdabiały. Pod kolumnami do koła ścisk był tak wielki, żeśmy

niepostrzeżone przez tłum się prześliznęły, i skryłyśmy się po lewej stronie dla niewiast przeznaczonéj. Po prawej stali mężczyźni, a między nimi wielu po to-gach i odzieży poznałam obywateli i rycerstwa rzym-skiego, zmieszanego z niewolnikami. Przez *compluvium* wpadały promienie księżyca, który się z chmur dobywał, a w głębi przy wnijściu do *tablinum*, para kandelabrow z zapaloném światłem bliższe oświecała twarze. Cichość była wielka i uroczysta wśród zgromadzenia, które się składało z najrozmaitszego ludu, wyzwolenców, cudzoziemców, niewolników ubogich i Żydów. Z razu, pierwszy raz w życiu wmieszana będąc w tę cizbę, poczułam się jakby upokorzoną tém zrównaniem z nią; ocierałam się o niewolnice różnej barwy, o zbrukane szaty ludu, alem przypomniała sobie słowa téj nauki słyszane od Ruty, zowiące wszystkich bez różnicy stanu i narodów, Dziećmi Bożemi.

Przytuliłam się do ściany, i zasłonięta cieniem kolumny, czekałam, poglądając ciekawie.

Po chwili od perystylu z głębi domowstwa wyszedł z dwoma towarzyszami młodszymi mężczyzna słusznego wzrostu, twarzy wielce poważnej, z jasnym i pogodnym wejrzeniem, stanął nieopodal od ołtarza Bachusowego, i powiodłszy oczyma po zgromadzeniu, mówić począł.

Pierwsze jego słowa były wymowną, piękną do Boga Ojca ludzi modlitwą, w której niemal cała zamykała się nauka, niewiele wyrazami ujęta. Nie potrafię ci słów dalszych powtórzyć, nie zapamiętałam ich tak dobrze, abym ci je wiernie opisać potrafiła, myśl wszakże zatrzymałam w pamięci.

Mówił ten mąż o jednym i jedynym Bogu, niecielesnym, przedwiecznym, wszechmogącym. Potém o ro-

dzaju ludzkim, o dzieciach bożych równych sobie, dla których głosił jedno na cały świat prawo mające rządzić niemi — prawo miłości i braterstwa. Potém o Synu Bożym, przepowiedzianym przez Sybille, przez proroków, o którym śpiewał Orfeusz, którego prze-czuwał Wirgiliusz; o zesłańcu bożym Chrystusie, który przyszedł prawdę objawić i cierpieć za nią.

Uderzyło mnie to, że wysławiał i wynosił wielką potęgę i zasługę cierpienia, które dotąd filozofowie za złe uważali, a stoicy uczyli je tylko zwyciężać i odpychać, nieprzystępnym się czyniąc dla niego.

Większa część słuchaczów, jak ja, nie była jeszcze chrześcianami; więc nie tyle o tajemnicach religii, ile o moralnych jéj przykazaniach nauczał. Z tego co mówiła mi Ruta, com się tu nasłuchiwała, widzę i ja ową potężną różnicę religii nowéj od innych, o której ty mi pisałeś.

Nasze mity, bogi, obrzędy, tajemnice, nie mają żadnego koniecznego z prawami moralnemi związku, często się im nawet przeciwią. Są to podania, pomysły czy allegorye uświęcone wiekami, które się nie ściągają do życia i postępowania człowieka, raczej do historii świata i wieków ubiegłych. Najnotliwszy z ludzi Sokrates wydał się bezbożnym w oczach Ateńczyków, choć cnoty im zalecał, bo się moralność jego z wiarą ich pogodzić nie mogła.

U nas etyki u kapłanów, w świątyniach próżnoby szukać było; jest ona w filozofii i prawie. Ale prawo jednych narodów to zaleca i dozwala, co innych potępia; — ogólnego prawa moralnego, jednego dla wszystkich, ledwie się domyślali nasi filozofowie, nie przypuszczali prawodawcy. Tak jednożeństwo w Grecyi, po wyludnieniu i wojnie zniesione za czasów Eu-

rypidesa z potrzeby chwilowej, ustąpiło poligamii prawem zaleconej. Nowa religia wcale inaczej jest zbudowana niż dawne; w niej na czele stoi prawo moralne, wiążące się ściśle z tajemnicami wiary i z nich wypływające.

Nie dosyć być wtajemniczonym, nie dosyć wierzyć, składać ofiary, spełniać obrzędy; potrzeba być czystym i podobnym Temu, w którego imię się one czynią. Religia ta nie dla jednego narodu przeznaczona jest, ale dla świata całego; — przynosi prawdy głośne i przed nikim ich nie tai.

To główna natury jęj cecha.

Obejmuje ona sobą całe życie człowieka i zamyka reguły jego w kilku wielkich, głównych przepisach, a raczej w jednym, który w sobie zawiera wszystko: — nakazuje miłość — z miłości wypływa braterstwo, przebaczenie win, pokora... Nikt z prawa miłości wyjęty nie jest, nawet nieprzyjaciel. Bóg, który kocha wszystkie zarówno swe dzieci, wzorem tu jest dla człowieka; ludzie wszyscy winni być jego naśladowcami i ducha jego pełnymi.

Spytasz mnie: jakże słaby i ułomny człowiek Boga wszechmogącego naśladować może? Na to odpowiadają: jest Syn Boży, który był człowiekiem, i wskazał swém życiem, jak Bogu podobnymi być mamy.

Religia ta tworzy też społeczeństwo zupełnie nowe, jedną wielką rodzinę, w której Bóg jest Ojcem, a wszyscy ludzie i naród braćmi.

Nie ma tu panów, wyzwolenców, niewolników, podlejszych i znaczniejszych — wszyscy są równi. Cnota tylko wywyższa i podnosi jednych nad drugich, dając prawo przodowania braciom; występki tylko poniża i kała, nie zaś stan, niewola i pochodzenie. W nauce

tęj wszystko jest miłością — nie ziemską i nie cielesną. Łączy ona ludzi, a im kto biedniejszy i nędzniejszy jest, tém żywszą miłość obudzać powinien. Zważcie, jak to szczególniej dla nas jest nowe.

Nie zna ich Bóg nienawiści, nie dopuszcza zemsty, rozkazuje kochać i przebaczać nawet tym, co nam złe czynią, a dobrem za złe płacić. Oburza się na to duma człowieka, ale serce raduje się prawu temu.

Oto, drogi mistrzu mój, com zdumiona wyniosła z tego posłuchania, którego każdy wyraz w duszy mojej utkwił głęboko.

Sądzę z natury samęj tej nauki, że dla wtajemniczonych w nią głębiej, dla adeptów i kapłanów nie ma innych prawd tylko te, które służą wszystkim. Nie się tam nie kryje innego nad to, co pospolitemu ludowi głoszą, a zbliżenie się do apostołów rozjaśnia tylko zasady nie nadwężając ich.

Nowi wyznawcy godzą się w tém ze stoikami, że uczą cierpieć mężnie, nie przywiązywać się do rzeczy marnych i znikomych, ciało i namiętność zwyciężać, ziemskimi rozkoszami pogardzać. Zalecają jak oni wstrzemięźliwość, panowanie nad sobą, odwagę niepokonaną, wzgardę boleści. Nauka ich z wielu względów zgadza się zupełnie ze stoikami i z tém, co naszego wieku szlachetniejsze umysły przeczuwać się zdawały. Seneka też często przypomina chrześcian, i zdaloby się na pozór, że o ich prawdach wiedzieć musi. Ale nie on jeden, wiele umysłów wyższych trafiało i trafia, ze wstępu do tego co jest, na nowy przyszłych rzeczy porządek.

Czuje, mistrzu mój, że skosztowawszy prawdy, i ja urokowi jęj oprzeć się nie potrafię, a choćby wtajemniczenie miało być z jakąś ciężką połączone próbą, nie

wstrzymam się na drodze. Mówią, że wymagają wyrzeczenia się majątności, rozdania jej między ubogich i dobrowolnego poślubienia ubóstwa. Nie wiem, jeśli temi ofiarami okupię spokój ducha i podniesienie się umysłem i sercem nad gmin zepsuty i zezwierzęcony — nie będą mi się one wydawały za drogie.

Któż wie zresztą, jaki mnie los czeka, jeśli przyjmę chrześcian naukę? Chodzą wieści o wzburzeniu umysłów przeciwko nim i blizkiem a srogiem prześladowaniu ogólnem. Wiele już padło ofiarą. Dotychczas można było unikać okrucieństwa Neronowego, ale na przyszłość? Któż wie? Mamże się cofnąć ze strachu? Czyby mi to doradził uczeń Epikteta? Niet pójdę dalej mężnie cokolwiek mnie czeka.

X.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Pragniesz nowin, nienasycony żarłoku! Szczęście twoje, iż ja równie chciwy jestem zatrudnienia; nie będę ci też skąpił pisania, a tym razem i przedmiotu mi do niego nie zabraknie.

Nie Armenia i Partowie, ale Palatyn i Forum nowin dostarczy.

Zapytujesz o Sabinę, o moją dla niej miłość. Ze wstydem wyznać ci muszę najprzód, że w niej nie ostygłem, chociaż z porady Greka lekarza, szukam na nią antydotum nawet w ladajakich rozrywkach, byle myśl od trawiącej mnie namiętności oderwać.

Więc nowych coraz pragnę znajomości. Wspominałem już o Kornutusie, Trazeaszu, Persyszu, Bassusie, o Pizonach; ale tych wszystkich widując rzadko, niewiele z nich korzystam.

Znudzony, jednego z tych dni w wieczór pogodny kazałem wieść się za miasto do Tyburu, byle tylko nie widzieć Rzymu, który codzień nieznośniejszym mi się staje. Gościniec tyburtyński dosyć jest, jeśli sobie

przypominasz, pusty; droga nie tak nawiedzana. Ci nią tylko jadą, co domy w Tyburze mają, kąpać się chcą w *Aquae Albulae*, dopóki ich Neron nie sprowadzi do sadzawki na Palatynie, lub dalszą w góry przedsiębiorą podróż. Kilka grobowców nad gościńcem, potem tylko pył drogi, przykra woń siarczastych źródeł leczących rozpustników do nowej rozpusty, nareszcie wzgórze okryte gajami oliwnymi i dębami, i oto już Hermes nad drogą, wzniesiony przez Mecenasa, jesteśmy w uniesmiertelnionej przez Horacyusza ustroni.

Na wzgórzu widać świątynię Westy-Druzylli, którą zbudował Kaligula; dalej ogrody i gmachy Mecenasa, dziś nieco opuszczone, zdają się wisieć w powietrzu, i jak pod Partenopą, podziemiem ciemnym przejeżdżać potrzeba po pod gmachami, które ulubieniec Augusta kunsztownie napiętrzył na góry grzbiecie... Pięknie tu, wspaniale, a ciszej niż w Rzymie. Niestety! i tu jeszcze Rzymian pełno, nie dają lasom spokoju i źródłom czysto płynąć nie dopuszczają, oplugawiając je sobą, jak Neron *Aqua Marcia* płynąć akweduktem zeszkaradził. Pili potem kapłani, ołtarze i Rzymianie wody z kąpieli Aenobarba!

Jechałem dalej, gdy na drodze wóz mój spotkał się z bardzo wykwintnym zaprzęgiem nieznanego mi młodego człowieka. Ponieważ koła naszych *big* prawie się o siebie otarły, pozdrowiliśmy się wzajemnie. Zdał mi się twarzy przyjemnej, choć zmęczonej i osmutniałej. Wpatrując się weń bacznie, coś jakby dawno mi znanego w rysach jego postrzegłem.

Ten również patrząc na mnie, odezwał się wreszcie:

— Juliusz Flawiusz! Na Jowisza, miłe spotkanie; ale cóż? Flawiusz mnie nie poznał!

Poskoczył z wozu, ja także, podał mi rękę, woźnicy wstrzymali konie, ale badając twarz tę, nie mogłem sobie imienia jój przypomnieć.

— Przebacz mi, rzekłem: wina to niedołężnej pamięci mej; dawno też nie spotykaliśmy się: bądźcie pobłażający, dopomóżcie mi nieco; inaczej nazwiska waszego nie przypomnę.

— Nic dziwnego, odpowiedział — nie wyglądam dziś jak przedtem, a minął lat dziesiętek, jakeśmy się nie widzieli bliżej. Nie pamiętacież owego ubożuchnego Celsusa, który z Etruryi przybył do Rzymu z matką staruszką, a chadzał z wami razem do szkoły do onego Makroba, co nam wiersze starego Liwiusza, Andronika i Hezyoda wykładał? Grywaliśmy nieraz w kątku we *sferi* lub *duodecim scriptorum*.

Jedno jego imię już mi zaraz całą historię na pamięć przywołało. Straciłem go był z oczu, gdy pretekstę miał zrzucić; nie wiedziałem potem co się z nim stało. Pamiętałem go tylko, jako ładne, miłe, nazbyt łagodne chłopię, które wszyscy do zbytku lubili dla pięknej twarzy czki.

— Witaj mi! rzekłem; pomnę dobrze małego Celsusa, ale dorosły mi znikł z oczu.

— Otoż widzicie, dodał: przez ten czas z odartego chłopaka wyszedłem na wcale majątnego człowieka... mam willę w Tyburze, mam dwa domy w Rzymie, skrzynie niepróżne, naczynia rzezane, posągi marmurowe.

Uśmiechnął się jednak gorzko.

— Mimo to, zawołał, żal mi naszych lat młodych, gdyśmy za przysmak u rogu ulicy kupowali *salgama*, popijając je wodą, zakąsując plackiem oblepionym popiołem... Jakże się to pożywało chciwie, gdy dziś smażone wymiona macior, przyprawne wykwintnie, do

ust nie idą! Historia krótka. Stary Wentydyusz pokochał się we mnie, potem przyjął za syna, chociażem się o to nie starał, a zmarłszy, zostawił mi majątek...

Westchnął znów Celsus. — Odziedziczyłem po nim, rzekł, po niejakić chwili, nietylko domy, skrzynie, niewolników, niewolnice, ale nawet łaski Cezara. Należę do dworu ucznia Terpnusowego. Co do was Juliuszu, mówił dalej, wiem wasze dzieje; o nich i o zawoździe, który z waszćj przyczyny spotkał Kwintusa po śmierci stryja waszego, mówił Rzym cały długo... Markus postąpił sobie nader dowcipnie... poklaskiwano mu. Was widywałem nieraz z dala w Termach i na ulicy... alem się nie zbliżał. Obu nam fortuna sprzyjała...

Spojrzeliliśmy sobie w oczy: mnie i jemu, mimo łask jćj, niewesoło z nich patrzyło.

— Ale dokądże to jedziecie, bez ładownych wozów, mułów i orszaku? — zapytał.

— Tylko do Tyburu, aby świeższćm niż rzymskie odetchnąć powietrzem.

— Dobrze więc, rzekł, odetchniecie nićm u mnie, zamiast w ladajakić gospodzie u Dawusa, któryby was lichćm winem napoił. Mam tu moje *tugurium* (szalas) na górze, winnicę, cień, źródło szemrzące wody czystćj, i znajduć winą amforę nie z dzisiejszego konsulatu. Masz-li co lepszego do roboty?

Otoż jak się stało, żeśmy razem pieszo poszli za końmi do domku Celsusa, i przesiadzieliśmy tam do mroku i księżycy. Alem w towarzyszu innego znalazł, niżelim się spodziewał, człowieka: umysł poważniejszy nad wiek, surowy, namiętności ukojone, smutek wreszcie tych, co dalej widzą niż inni. W dworaku syna Domicyuszowego były to wcale niespodziane przymioty,

i podobał mi się wielce, a on także do mnie z razu przystał.

Pseudourbana Celsusa, choć on ją skromnie szalasem swoim nazywał, wcale była piękna, szczupła, ale wygodna. Chłopić czysto odziane podało nam skromną *coenę* prawdziwie Horacyuszowską, cykoryę, *laganum*, trochę oliwek i owoców, i wino choć nie Faler-na... Więcej na wsi nie było. Położywszy się więc, gdy konie popasano, odpoczywaliśmy rozmawiając. Badałem go o przyczynę smutku. Przyznał mi się, że znudziło go nieznosne domownictwo przy rudobrodym, niesmak terażniejszego życia, z którćm pogodzić się nie umiał, a porzucić go nie mógł.

Wieleśmy mówili o Neronie, jćgo dworze, zajęciach, charakterze i szaleństwach ciągle wzrastających.

— Teraz, mówił Celsus, gdy się przebrało miary wszystkiemu, gdy w ulicach nocne sprzykrzyły się wycieczki, a na moście Milwiusza boi się dostać po łbie, nowe jakieś gotują zabawy. Ale was tćm trudzić nie chcę, przerwał, boście rzeczy zupełnie obcy.

Upewniłem go, że służyć będę wszystkiego, co mi zechce powiedzieć, z zajęcićm; bom ciekaw był spraw Nerona i jćgo dworu. I otoż co mi Celsus dalej rozpowiadał — dziełę się tćm z wami: —

Donosiłem ci o powstaniu sekty zwanćj chrześcianami, która się tajemnie rozszerzać zaczęła. Lekceważono ją z razu, ale nietylko do Rzymu się wcisnęła; po całćm państwie, jak mówią, zabobon ten się rozlewał. We wszystkich niemal podległych Rzeczypospolitej krajach, sekta owa ma swych wysłańców i tajemnych siewaczy, którzy ją szczepią pomiędzy ludem i niewolnikami. Pierwszemu ona podobno obiecuje po-

dział majątności równy, drugim swobodę i obywatelstwo. Zapowiada chwilę, gdy senatorów, rycerstwa, niewoli nie będzie, ale dziwna równość wszystkich. Grozi to państwu wywrotem i nową wojną niewolniczą, straszniejszą od pierwszej; gdyż chce równości bez wyjątku nie tylko ludzi, ale narodów, obala niewolę, barbarzyńców z obywatelami Rzymu kładzie na jednej linii, i bogactwy pogardzać każe, a ołtarze bogów i świątynie wywracać.

Mało z razu uważano na opowiadanie religii nowej, chcąc ją tak jak wszystkie inne podbitych ludów przyjąć do rzymskiego panteonu. Ale oni okazują się nieprzyjaciółmi wszelkiej wiary innej, i zamyślają o zagładzie bogów Rzymu i Grecji, nowego jednego na ich miejsce stawiając Demona, przywiezionego z Judei.

Śmiano się z tych biedaków mieszkających jak Troglodytowie po jamach, kryjących się w pomroce i ciemnościach; lecz oto już podobno nie ma domu, którego by niewolnicy choć w części do tego spisku nie należeli.

Zatrważa to wszystkich, nawet *plebs* Rzymu, bo niewolnicza ludność przechodzi znacznie tutejszą miejscową; cóż gdyby ten motłoch ze wszystkich świata stron przybyły, ciemny, rozuzdany, barbarzyński, przeciwko panom, rycerstwu i senatowi miał się porwać? Kapłani ze swjej strony radzą jak ratować wiarę zagrożoną. Przed dniami niewiele Sylwiusz *Flamen dialis* (kapłan Jowisza) zwołał do siebie innych kolegów duchownych i senatorów, aby naradzić się co czyścić wypada? Niektórzy za małą to rzecz sobie poczytywali, ale kapłani w ogóle są przerażeni, bo świątynie coraz bardziej stoją pustkami, lud od ostygłych

ołtarzów ucieka, nikt ofiar nie składa, a wiar i obrzędów zabobonnych namnożyło się bez liku... Ta mnogość wiar czyni jakby żadnej nie było.

Za najszkodliwszą z sekt, które powstały, uważają chrześcian, którzy opowiadają o swoim Bogu jedynym i jego cudach, niemi lud bałamucąc do tego stopnia, że mu życie wieczne obiecują. Sylwiusz powstając mocno przeciwko bezbożności wieku, usiłował przekonać senatorów, że tu idzie zarówno o państwo jak o religię, gdyż ona z bytem jego ściśle jest związana. Poszanowanie prawa, zachowanie porządku, wszystko zawisło od utrzymania wiary dawnego Rzymu, której Cezar jest najwyższym kapłanem. Sprawa więc to nie samych duchownych, dowodził, ale Rzeczypospolitej i trwałości jej.

Senatorowie przyznawali mu słuszość, popierali inni Flamini, i stanęło na tém, aby Cezar skutecznie zapobiegł dalszemu szerzeniu się potajemnych obrzędów.

Wszyscy innego nie widzieli ratunku nad edykt przeciwko chrześcianom, srogie i ogólne ściganie ich, wytępienie do szczytu, surowe prawa wreszcie przeciwko przybyszom, co nową tę wiarę przywozili z sobą. Przerażeni byli senatorowie samą myślą niebezpieczeństwa Rzeczypospolitej, którą barbarzyńcy, lud wiejski i niewolnicy mogli wywracając wszelki porządek i prawo, w pierwotnych wieków ciemności pogrążyć. Pilno też działać chciano, aby tajemne stowarzyszenie niewolników i przybyszów urosnąć nie miało czasu, albo co gorsza, by wicherzyciele niektórzy z rycerstwa i patrycyatu (o których mówiono, że do sekty przystali) nie skorzystali z niej i nie stanęli na czele.

— Z tém postanowieniem, mówił Celsus, senatoro-

wie Decyusz i Licynus poszli do Nerona... Byłem przytomny, gdy z pokorą się o posłuchanie prosili, przynagleni przez kapłanów. Cezar z razu był dosyć rad im, bo nie cierpiąc senatorów, przy każdej zręczności naigrawać się z nich lubił, a był też pewien, że bez pochlebstwa nie przyjdą, czczego kadzidła będąc chciwy...

Nie stracone dlań zostały przykłady, które mu dali Tyberyusz, Kaligula, Klaudyusz; skorzystał z nich, przejął od nich wszystko, ale posunął dalej sztukę naigrawania się z ludzi, nad którymi panuje. Sądzi się najmniej być bogiem; jako Apollinowi drugiemu wolno mu wszystko, nawet Marsyasza żywcem odrzeć ze skóry, byle potem pięknie zaśpiewał... Ale władca świata, dodał Celsus, nudzi się jak prosty śmiertelnik, szuka zabawy jak rozpieszczony dzieciak, goni za kadzidłami nienasycony, choćby ich miał w stajenych szukać smrodach. Dziś cytarzystą, jutro poetą, dalej woźnicą cyrkowy, aktor, skoczek, rozpustnik, któremu żadna nie starczy rozwiązłość, ani Sporus żona, ani Doryphorus mąż jego, ani Akte, Poppea, ani cała trzoda nałożnic — nie wie co począć z życiem i szaleje. Nigdy dwa razy jednej sukni nie włożył, nigdy ludzkiego nic i przyrodzonego smaku jego nie zaspokoilo. Seneka chciał go uczonymi otoczyć i wywieść na filozofa i retora; ale pazury lwie wyrosły z pod togi, zwierz dziki zawył rozwścieczony. Cza-sem z chorobliwego szału zrywa się nie wiedząc co czynić, i staje się zwierzęciem tém straszliwszém, że nie namiętność nim żadna, ale fantazyja miota rozpłomieniona — wyda się to potomnym baśnią, czemu żywych oczy wierzyć nie chcą...

Taki jest Nero. Gdyby go cnota jeszcze zabawić

mogła, gdyby stotysięczny tłum jój przyklasnął, możeby na chwilę znowu został cnotliwym. Nie jest okrutny z natury, jeno z zepsucia...

Gdy senatorowie weszli, mówił Celsus dalej, a dostrzegł po ich twarzach, że coś nieśli poważnego i o sprawie Rzeczypospolitej mówić mieli, zmieniło się usposobienie...

Już to samo, że oni śmieli bez niego o czémś pierwsi pomyśleć, czegoś żądać, coś radzić, obraziło Cezara. Krwią napłynęła mu twarz płamista, oczy pobladły, jak bywa gdy gniew wewnętrzny nim miota, szarpnął na sobie suknię, i podniosłszy się na łożu czekał.

Stali tak na progu ojcowie, a Neron na łożu z kości słoniowej, okrytém purpurą tyryjską, leżał, oczyma blademi mierząc ich milczący i chmurny. Zdawało się, że ich na śmierć tém wejrzeniem piętnował. Patrzałem z daleka, upokorzony jego siłą a ich przestrachem. Zaniemieli starcy; nierychło przyszli do słowa, — jeden na drugiego spoglądał, chcąc się nim wyręczyć. Licynus wreszcie bąkać coś zaczął, wielbiąc Cezara Augusta, ojca ojczyzny. Wrócił mu głos po trosze, i dosyć zręcznie w przygotowanej mowie odmalował postrach nie tyle o państwo, co o świętą osobę Cezara.

Polechtało to dumę Nerona, zresztą dawało rozrywkę. Siadł na łożu i rozesał zaraz wyzwoleńców, zwołując na radę kogo myśl mu przyniosła, między innymi i Kornutusa, chociaż go cierpieć nie może. Sam się znalazł niewołany Seneka; cierpko go przyjął Neron, ale tém słodziej uściskał.

Od dawna mu on już cięży, bo często się go wstydzic musi. Starzec to czuje, i tém mniej się oddala od

dworu, lekając się skazania na wygnanie, donosicieli i gorszego może losu...

Gdy wszyscy się zgromadzili, kazał Neron Licynusowi rzecz powtórzyć. Słuchali milczący. Cezar to ramiony ruszał, to beźmierny gniew i strach, to niecierpliwość znudzonego okazywał.

— Wiadomo, dodał Decyusz, że się na plugawe obrzędy swe zbierają w arenaryach, więc zamurować wnijścia, zasypać otwory, otoczyć jamy, wymorzyć głodem, wydusić dymem. Po mieście ścigać, chwytac i mordować bez litości, nie przebacząc nikomu jaką-bądź suknią okrytemu... W końcu Cezar może ogłosić edykt przeciw wyznawcom zabobonu cudzoziemskiego, jako na nieprzyjaciół Rzeczypospolitej.

Toż samo prawie mówił Licynus, godzili się inni, że trwogą ich potrzeba było wytępić, lubo Seneka sądził, że sam postrach bez zbytniego krwi przelewu starczy.

Przyszła kolej na Kornutusa.

— Ten, rzekł Cezar pokazując nań palcem, powie prawdę, nie oglądając się na nic, a pewnie taką, o jakiej myśmy nie śnili.

I śmiał się; — stojąc za drzwiami patrzyłem na Kornutusa, który podniósł głowę nieulekniony i powoli mówić zaczął:

— Dla czegożbym prawdy nie miał rzec? Cezarze... prawda należy bogom i Cezarom! powiem ją... Wszystko coście uradzili dobre jest, jeśli z fałszem do czynienia macie; a jeśli z prawdą, nie przyda się na nic.

— Śmieliżbyście twierdzić, przerwał Decyusz, że w tym zabobonie jest prawda?

— A zkądże wy wiecie, że to fałsz? zapytał Kor-

nutus: wy i ja równie nie znamy go; któż tu jest chrześcianinem, aby nas objaśnił? kto z nimi bliżej obcował? Nikt; przeto wiemy o tém tyle, ile wie motłoch uliczny, który lada baśń powtarza łatwowierny; wiem ile wiedzą niewiasty od przestraszonych kapłanów, co żyją ze świątyni a głodu się boją. Ja nie twierdzę, żeby tam prawda była, dodał, ale pewien nie jestem, czy tam ję nie ma. Jeżeli znajduje się choć odrobina prawdy w nauce tej, prześladowanie i krew nie pomogą, prawda zwycięży.

— Więc cóż przeciwko nię? spytał Neron.

— Przeciwno prawdzie nic...

— Ani potęga moja?

— Ani nawet wasza Cezarze, odparł Kornutus. Możecie rozkazać ogniem i mieczem zniszczyć całe kraje, ale nie zetniecie głowy ani jednej wiekuięj prawdzie. Gdyby się ją wam udało udusić w kolebce, nazajutrzby się urodziła na nowo.

Neron zblił i zagryzł usta; wiecie zapewne, że równie Herkulesem się zowie, jak Apollinem.

— Nie jestem więc wszechwładnym? zapytał.

— Nie! Cezarze, życie odjąć możecie, ale je dać nie w waszję mocy — tylko bogowie stwarzają.

Milczeli. Kornutus pochylił głowę.

— Prześladowanie, krew, postrach, wszystko to dobre przeciwko barbarzyńcom, ale bezsilne przeciw prawdzie.

— Czy i wy nie zostaliście chrześcianinem? zapytał szydersko Licynus.

— Dotąd nie, rzekł Kornutus spokojnie; ale gdyby mi się ich Bóg zdawał prawdziwym Bogiem, dla czegożby nie?

Cezar milczał. Szły potém rady różne, w których już Kornutus nie miał udziału; postanowiono tępić chrześcian, bo wszyscy wołali, że Rzeczpospolita podkopana przez nich upaść może, więc dla ocalenia jej wszelkich środków użyć było godziwie. Neron zamknął im usta, sobie ich obmyślenie zostawując.

A gdy odchodzić mieli, Sylwiusz rzekł jeszcze:

— Nie ważcie tego lekko; kto wie czy i na waszym dworze, wśród waszych pretoryan, wpośród sług i wyzwolenców, nie macie już potajemnych chrześcian.

Uderzyło to Nerona, zadumał się; ale po chwili już zdawał się wcale o tém nie myśleć. Wziął lutnię i począł śpiewać, nie wiem czemu, zburzenie Troi... Potém przybrany w dyadem złocisty, popędził na watykański cyrk swój, z niego zanieść się kazał do łaźni, wrócił na Palatyn, i pisał coś, przyśpiewując, a do wieczery, która trwała późno w noc, powołał zwykłych swych towarzyszków, miejsce konsularne dając Sporusowi. Na czole jego nie widać było troski, owszem rozbudzoną wesołość, taką, jaka zwykle wielkie wybuchy poprzedza. Wśród rozmów wracał nieustannie do ulubionego przedmiotu, aby Rzym na nowo odbudować i dać mu imię nowe Neropolis.

Ktoś z przytomnych szepnął, że *Roma* z tych samych składa się głosek co *Amor*, i że to imię święte niedarmo nosi stolica... ale Nero odparł, że z małą zmianą *Eros* w jego imieniu się znajduje...

Oto masz powtórzone rozwlekłe opowiadanie Celsusa, który wnosi, że się na jakąś burzę zabiera. Kiedy jednak wybuchnie, nikt przewidzieć nie potrafi. Rzucony postrach chrześcian tak dalece tkwi w duszy Nerona, podsycany przez jakiegoś wróżbitę z Azji, że

nocą zrywa się, krzycząc, jakby go już ścigano, i przez Eumenidy prześladowanym być się mieni.

Mnogich zbrodni wspomnienia dosyć, by Furye spocząć nie dały.

Z opowiadania Celsusa nieledwiebym wnosił, że jakiś spisek knuje się przeciwko Cezarowi; wspominał wielu, którzy dzielają jego zdanie, a między innymi Senecyona ze dworu, Pizona z obcych.

Razem powróciliśmy z nim dosyć późnym wieczorem do Rzymu, a tu płacąc mu jego gościnność, zaprosiłem do siebie na drugą wieczrę, która się niemal do dnia przeciągnęła. Pytałem go o Leliusza; nicem się o nim dobrego nie dowiedział: w wielkich jest u Cezara łaskach, ale je nieograniczoném okupuje upodleniem...

Miałaby człowiek tak nikczemny uwieść kobietę taką jak Sabina, stokroć nad siebie wyższą? Gubię się w domysłach; ale w sprawach kobiecych co najmniej prawdopodobne, to częstokroć najbliższe,—co bezrozumne, to możliwe. Sądzę, że mi w mojem strapieniu choć politowania nie odmówisz, bom zaiste godzien litości. Bądź zdrów, a szczęśliwszy odemnie.

XI.

Sabina Marcyja Zenonowi Ateńczykowi
zdrowia.

Inaczejbym dziś pisanie moje rozpocząć powinna, mistrzu mój drogi; bo inną jestem niż przed niedawnym jeszcze czasem:—nie ową znaną ci Sabiną Rzymianką, patrycyuszów córką, patrycyusza żoną i matką, ale pokorną sługą ubogich — chrześcianką! Tak jest, obmyta, czystsza, spokojniejsza, szlę ci ten list, rozpoczynając go prośbą, abyś i ty co najrychlej zbliżył się do chrześcian, lepiej poznał ich naukę, i stał się mi bratem w Bogu nowym, Bogu przedwiecznym. Używasz tém pokój i szczęście ducha, jakiego ja teraz używam, chociaż nad głowami naszymi wisi groźba prześladowania i męczeństwa.

Jakżebyś ty mógł być nam użyteczny w rozszerzaniu prawdy, gdybyś całą ją poznał, uwierzył i siedł z nami!

Wahałam się długo, usiłując zbadać wiarę nową; sądziłam, że w niepewności trwać jeszcze będę... gdy jeden dzień, godzina, chwila nawróciły mnie, zostałam jakby oblana światłem, przejrzałam. Nie wahałam się

natychmiast prosić o zjednoczenie z nowém społeczeństwem wybranych. Tak Zenonie mój, chrześcianką jestem, i chlubię się tém, i dziękuję Bogu mojemu, że mnie do siebie powołał. Codzień goręcej czuję błogosławieństwo, które spłynęło na mnie.

Tu w Rzymie nauka nasza cudownie się roztacza z dniem każdym; nawrócenia są liczne i zadziwiające; liczymy do społeczności naszej mężów i niewiasty znakomitych rodzin rzymskich... Świat odrodzić się musi, prawda zwycięży.

Ale wiele krwi jeszcze przeleje się i ofiar padnie, nim nadejdzie godzina tryumfu... Wielu z nas padnie na drodze.

Czujemy wszyscy wiszące nad sobą prześladowanie okrutne. Neron naradza się, jakby nas wytępić; starsi nasi także gromadzą wiernych, wlewając w nich mężstwo i siłę...

Gotowiśmy na wszystko, co spotkać może.

W tej części Rzymu, do której zgromadzenia wiernych Ruta i ja należymy, zwołano nas niedawno do domu jednego z patrycyuszów, którego rodzina przyjęła wiarę Chrystusa. Pierwszy to raz znaleźliśmy się tu prawie wszyscy razem, i zdumieliliśmy się liczbie wiernych, zadziwiliśmy się ludziom, o których powołaniu nikt nie wiedział. Niewolnicy spostrzegli tu panów swoich, panowie niewolników, matki swych synów, żony mężów, i niejeden wykrzyk zdumienia i radości dał się słyszeć w tym tłumie. Z dworu samego Nerona, z jego otoczenia ujrzeliśmy nowych chrześcian, którzy na zawołanie pośpieszali.

Po modlitwie zabrał głos Tymoteusz.

— Oznajmuję wam, rzekł, nowinę wielką, radość wielką i smutek zarazem. Oto zbliża się godzina

próby, mamy cierpieć za Boga naszego, tak jak On cierpiał za nas; świadczyć życiem o prawdzie i wiarę wyznawać krwią. Ale nie trwóćcie się, wszakże nieśmiertelnymi jesteśmy. Co znaczy chwila męczarni w obec szczęśliwości wiekuistej? Nie trwóćcie się, gdyż tylko krwią naszą wiara urosnąć może; świątynia Boga prawdziwego na kościach naszych założona być musi, a ołtarzami naszymi będą groty... Chodzą już wieści głuche, jak grzmoty poprzedzające burzę, o prześladowaniu wielkiem... Czuwajcie więc i bądźcie gotowi. Nie godzi się nam ani rozpaczać, ani uciekać, ani kryć się i trwożyć sobą; winniśmy życie nasze prawdzie. Jakżebyśmy inaczej dali o niej świadectwo? Słowy! słowami wojują poganie, wiara nasza nie jest wiarą retorów ani ziemskiej mądrości, ale ofiarą...

Tak mówił, a milczenie głębokie panowało w zgromadzeniu; potem szmer się dał słyszeć głuchy, i westchnienia, i jęki, i modlitwy.

I wystąpił jeden z ludu rzymskiego imieniem Notus, a otrzymawszy pozwolenie odezwania się, mówił:

— Dla czegożbyśmy trwożyć się mieli? dla czego się poddawać? Z każdym dniem siła nasza urasta, i nieprzyjaciółom bożym potrafimy się oprzeć, obliczywszy się a śmiało stawiając czoło. Na co mamy tracić ludzi, z których każdy nasieniem jest mającym wydać owoce?... Skupmy się tylko i rozważmy co czynić należy. Dla czegożbyśmy w obronie prawdy nie mieli do walki wynieść? Jeśli krew ma być przelana, niech będzie płodna. Jesteśmy w liczbie wielkiej, nie ma już prawie domu w Rzymie, w którymby nie było chrześcianina; pójdą na nasz głos niewolnicy wszyscy, których złamiemy okowy... Ci, co nam zagrażają, zniechęcili są i bezsilni; legie ich rozsiane po krańcach

państwa. Na dany znak swobody, ruszy się gmin, i przybysze, i barbarzyńcy — i powodnią krwi zalejemy nieprzyjaciół nasze.

Zdawało się, że wszyscy pójdą za zdaniem Notusa; szmer gorącego współczucia ozwał się zewsząd... gdy nakazawszy milczenie, Tymoteusz znowu się odezwał:

— Zaprawdę, zaprawdę, rzekł, jeszczeście z siebie skóry starych pogan nie zwlekli! Azali myślicie jak oni, że wszystko na świecie dokonywa oręż i siła, a nie Duch i Słowo? Mylicie się, mylicie, idąc za starym obyczajem pogańskim. Bóg nasz Chrystus miecz do pochew schować sam przykazał, i wyrzekł, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Walczyć będziemy, ale nie tą bronią, jaką nam radzicie i podajecie, — jeno cierpliwością, męstwem, pokorą, świętością, śmiercią chwalebną, odwagą w obec boleści nieustraszoną. Gdybyśmy nawet mieli siłę przeważną i mogli słowem jednym poruszyć tysiące, wywołując zemstę, rzeź i wywrot tego zgniłego Babilonu nieprawości, godziłoby się czynić to nam, którzy jesteśmy głosicielami pokoju i miłości? Gdybyśmy nawet mieli otrzymać chwilowe zwycięstwo, byłoby ono upadkiem naszym, świadczyłoby, że nowymi ludźmi nie jesteśmy, że nie nową przynosimy wiarę, ale starą chęć panowania i ucisku. Nie podbijać mamy, ale rozbrajać ludy; nie mnożyć bezprawie, ale prawo utwierdzać.

Wystąpił drugi i rzekł do Tymoteusza:

— Przeciwno Neronowi potężny spisek się knuje; należą doń i trybunowie kohort, i senatorowie, i patrycyusze, i rycerstwo... Wiedzą o nas, i o prześladowaniu, jakie nas spotkało i czeka... Jeżeli przyjdziemy im w pomoc, obiecują wierze naszej pobrażanie i prawo obywatelstwa w Rzymie...

Mówił, a Tymoteusz pokląkł i płakał modląc się, aż wszyscy potrwożeni zamilkli. Wstał po chwili, podnosząc ręce do góry.

— Nie odrodziliście się jeszcze z ducha, zawołał, gdy nie w Bogu i prawdzie, ale w przymierzu z poganymi i opiece ich, zbawienia szukać chcecie. Nie siłą ich, ale bożą zwyciężymy państwa ich, stolice, wojska. Wszystko runie i obali się za skinieniem bożem, a pracowitą mrówką, która ten dąb podgryzie, my będziemy. Ale nie w spiskach moc nasza: w pokorze i cierpieniu. A jeśliby kto napadł na Nerona, stańcie i zasłońcie go piersią waszą, bo wszelkie mężobójstwo zakazane nam jest. Nikt z was nie wie, azali on nie jest biczem bożym; nikt nie wie, azali ten, co nas zabija, nie pomaga nam; czy ten, co męczy, nie żywi; czy ten, co prześladuje prawdę, nie służy jej mimo swęj woli. O ludzie ślepi i małego serca! czyż nie widzicie, że Bóg wszelakimi drogami iść do swych celów może, a rozum wasz zawodzi?... Padnie Neron, ale wówczas, gdy go dotknie palec boży i usta pańskie wyrzekną: „Już dosyć!“ — i skruszy się siła nieprawości, jako trzcina wiotka, i rozproszą się ludzie, jak cienie, i runie potęga, jak podmyta przez wody skała: a wy zdumiejecie się potęgze Boga... Niech spiskują ci, co wierzą w siebie; kto w Boga wierzy, niech Bogu ufa...

— Więc cóż czynić mamy? zapytał inny.

— Trwać, wyznawać prawdę głośno i za nią umierać, odpowiedział Tymoteusz, — a umierając przebaczyć nieprzyjaciółom, jak przebaczył Syn Boży.

— Wszak ci możemy też wyznawać potajemnie wiarę naszą — rzekł ktoś, — choćbyśmy pozornie składali ofiary bogom ich?

— Nie, rzekł Tymoteusz: bobyśmy kłamali, a fałsz

ust chrześcjanina zmazać nie powinien. Kto się Boga zapiera, aby ocalił życie, tego Bóg zaprze się w chwili sądu, i żywot wieczny postrada. Kto milczy, małoduszny jest i niewierny. Chcemy zwyciężyć, idźmy z uśmiechem na męczarnie, a gdy ujrzą poganie, że gardzimy życiem, uwierzą w niebo i nawrócą się. Jedna jest dla nas droga prawdy, jak jeden Bóg nasz; wyznawać ją musimy głośno i cierpieć za nią.

Jeżeli spytają was, czy jesteście chrześcjanami? odpowiedzcie: „Jesteśmy“. Jeżeli zmuszać was zechcą do zaparcia się wiary waszój, trwajcie w niej aż do męczeństwa — aż do śmierci; niech się zdumieją, strwożą i nawrócą poganie. Między prawdą a fałszem nie ma środka: drogi fałszu są różne i liczne; droga prawdy jedna tylko... przeto jedną tą iść macie.

Niechaj poganie uciekają się do siły i ufają w liczbę, a sądzą, że dzieło boże ludzkiemi środkami obalą: my wierzymy, że duch zwycięży. Przyjdzie siła z nieba trwającym mężnie w prawdzie.

— Więc wynijdźmy wszyscy, rzekł pierwszy, na pośrodek rynku, i wyznajmy głośno przed ludem, że chrześcjanami jesteśmy...

— Czyny wasze niech świadczą za was, a nie cześć słowa i przechwałki, odparł Tymoteusz. Zamiast pogańskiej pychy, miejmy Chrystusową pokorę... trwajmy na modlitwie i czekajmy. Jeśli spytają was, nie zapierajcie się prawdy; ale nie chlubicie się siłą waszą, aby wam wydarta nie została; bo komu pilno do bitwy, ten często pierwszy z niej ucieka. Gdy przywiodą was przed ołtarze fałszywych bogów, a każą składać ofiarę, naówczas klękniście i módlcie się, szyję pod miecz oddając... ale nie wyzywajcie śmierci.

— Więc gdy zginiemy wszyscy, rzekł inny, zginie z nami wiara nasza, która świat odrodzić miała!

— Nie trwóźcie się ani troskajcie—rzekł Tymoteusz—tém co boże jest. Kto zasiał ziarno, ten je uchowa; wasza rzecz nie osłabnąć i nie upaść.

Modlić się potem ukłękli wszyscy i rozeszli smutni, ale posileni jakąś otuchą.

Lecz zapominam prawie, że piszę do was, którzyście jeszcze niewtajemniczeni, tak prawie jak gdybyście już takim byli. Wiele rzeczy, pojęć, wyrazów należałoby wam jeszcze wytłómaczyć i objaśnić. Trudno mi wszakże przychodzi odmalować wam to nowe społeczeństwo, do którego należę; w niczém ono do dawnego nie jest podobne. Dość będzie gdy powiem, że wszyscyśmy bracia, że jako rodzina, żyć, wspomagać się, wspierać, a nadewszystko kochać się jesteśmy obowiązani. Nie ma pomiędzy nami bogatych i ubogich, bo pierwsi dzielą się chętnie czém mogą, drudzy nie żądają i przestają na małym. Ta żądza nabywania, to ohydne żebractwo, które przepełnia Rzym bezwstydnie, u nas nie istnieje. Cóż nam po zbiorach, do których nie przywiązujemy wartości?

Miłość, która jest osią świata chrześcijańskiego, wszystkie rodzi jego cnoty, jak przeciwne jój samolubstwo wszystkich pogańskich występków było matką. Z nięj pragnienie i gotowość do ofiary, zaparcie się siebie, pokora. Zważcie sami, jak świat odmienić się musi, gdy wszyscy wyznawać będą tę naukę, gdy ona do głębi ludzi przetworzy. Pojmiecie rozumem waszym jasną przyszłość dnia, który ta jutrenka zapowiada.

Myśmy w téj wierze nowi, i choć całe jój oddaje-

my serce, jeszcze w nas mimowoli stary poganin się odzywa; cóż dopiero będzie, gdy wychowamy pokolenia nowe, gdy cały naród ludzki ssać będzie prawdę w kolebce i przejmie się nią do głębi! W kilkaset lat, prędzej może, cudownie pięknym, jasnym, szczęśliwym świat się stanie.

Całego systemu nauki i dogmatów religii wypisać wam nie mogę. Gdybyście bliżej z nią obeznać się pragnęli, znajdziecie w Atenach i Grecyi rozsianych chrześcian i nauczycieli. O! jakżebym była szczęśliwa, gdybyście przyszli do nawrócenia! Cokolwiek się stanie, nie potępiajcie mnie, nie sądźcie jako płochą: nie chwyciłam się nierozważnie, ale nie rzucę łatwo, co raz poślubiłam. Prosić będę Boga o nawrócenie wasze.

XII.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi pozdrowienie.

Wszystko znowu ucichło i wielkie owe strachy przebrzmiały; innemi wieściami karmimy się, podając je sobie do ucha: padają ofiary coraz nowe, ale i bogowie oznajmniają nadchodzącą pomstę swoją. Ulubiona córka Neronowa z Poppei umiera w kolebce, piorun pada na posąg Cytaredy i topi go na nieforemną kupę żużli. Neron tymczasem podróżuje i śpiewa greckim Partenopy mieszkańcom, którzy lepiej niż Rzymianie ocenić go umieją. Rzym także igrzysk woła i zabawy. Złocą się dachy jego pałaców, budują cyrki i termy kolosalne, białym piaskiem afrykańskim wysypują areny amfiteatrów, purpurą farbują *velaria*, okręty przywożą stada dzikich zwierząt.

Uśmiechają się już wszyscy niemal z tych, którzy jakieś niebezpieczeństwo dla państwa upatrywali w garści motłochu, co sobie nowego wymyślił Boga. Siła mamy takich, którym dobrze z tém co jest; daliżby obalić porządek i wprowadzić nowy?

Celsus nie jechał ze dworem, często więc teraz

z nim spędzam dni moje, i winienem mu, że nieco o Sabinie zapomniałem; trudno bowiem teraz nawet ją zobaczyć. Coraz bardziej utwierdzam się w podejrzeniu, iż w tym domu dzieje się coś, co wstyd ukrywać każe. Żal mi kobiety godnej lepszego losu, która na bezpiecznej będąc drodze cnoty, tak łatwo uwieść się dała.

Napróżno teraz do drzwi jej przychodzę; znajduje się zawsze przeszkoda jakaś niedozwalająca zbliżyć się do niej: zajęta dziecięciem, domem, wyjechała, śpi, a kochanka Afra powiada, że po całych dniach z Rutą się zamyka lub potajemnie z jakimiś naradzają się nieznanymi.

Mówi ona, że najkosztowniejsze klejnoty, szaty i pieniądze poszły niewiadomo gdzie. Miałaby i ona utrzymywać jakiego rozrzutnika, histryona czy gladyatora?

Wzdryga się myśl na upodlenie takie, ale może być co innego? Uczciwa miłość nicby ją nie kosztowała, a cóż innego, jeżeli nie ta namiętność takich ofiar wymagać może? Gdy na chwilę dopuszczony do niej jestem, przyjmuje mnie chłodno, mileżąca, jakby zawstydzona, nie tłómacząc się nawet przedemną.

Znosiłem to długo; w ostatku zapragnąłem uzyskać jakąś pewność, zawsze lepszą nad dręczące mnie domysły.

Poszedłem do niej, dobijając się natrętnie; nastąpił, aby przyjęła: otwarły się drzwi.

— Sabino, rzekłem, od dawna przygotowuję się jako krewny i brat zapytać ciebie, co jest powodem tak znacznej zmiany w życiu twojem? Nie zaprzeczaj że tak nie jest, fałsz ci nie przysłał, a ja nie jestem tak łatwowierny i ślepy, abym się lada jaką uspokoił

wymówka. Zmiana ta w tobie widoczna; przyjaciele i nieprzychylni ci widzą ją w tobie. Tajemnicę masz, którą ukrywasz.

— A gdybym ją miała? spytała spokojnie, — czy sądzisz, że byłabym ci obowiązana ją objawić?

— Zdaje mi się, zawołałem, że dawna przyjaźń nasza, więcęć powiem, że miłość moja ku tobie...

— Miłość, odparła zdziwiona, miłość? jaka?

— Czyż nie widzisz, że szaleję ku tobie? rzekłem. Sabina zarumieniła się i cofnęła.

— Juliuszu, szybko odpowiedziała: miłość ta daremna jest; ja ciebie kochać nie mogę.

— Kochasz więc innego? zapytałem.

— Nie rozumiem dla czego tak wnosisz, mówiła spokojnie: mogłabym i ciebie i innego nie kochać. Szacuję cię, jestem dla ciebie siostrą, ale miłości ku tobie nie mam.

— A więc... innego kochasz...

— Żle wnioskujesz; lecz jeśli chcesz wyznania, powiem ci, wyznam: tak jest, innego kocham, wielkiego męża...

Wtém zamilkła, oczy łzawe spuszczaając.

— Dokończ, rzekłem.

— Kocham tego, z którym żaden się człowiek równać nie może.

Stałem jak piorunem rażony. Łatwo się było domyślić Kajusie drogi, — któż to być może jeśli nie Cezar, jeśli nie ta poczwara Nero?... Spuściłem głowę i badać ją przestałem.

Mówiąc to, była tak bezwstydnie spokojna, tak dziwnie i cynicznie patrzała mi w oczy, iż mnie obrzydzenie porwało.

Widząc jak cierpię, zdawała się litować nademną.

— Juliuszu kochany, rzekła: gdybyś ty poznał tego, którego umiowałam, kochałbyś go jak ja! jak ja wszystkobyś mu poświęcił.

Zerwałem się oburzony: — Nie mów więcęć! zawołałem: słuchać nie chcę, aby się nie rumienić za ciebie.

— A! czemuż ci wszystkiego powiedzieć i wyznać nie mogę! odparła powoli; — ale nie, godzina nie wybiła, tajemnica pozostać musi pomiędzy mną a tobą. Dowiesz się jęć kiedyś, wytłómaczysz mnie, uniewinnisz.

Milczałem; zwróciła rozmowę na inne przedmioty.

— Co robisz? czém się zajmujesz? spytała.

— Staram się o tobie i miłości mojęć zapomnieć, odpowiedziałem; a że była silna, muszę też na nią gwałtownych lekarstw używać. Nie pytaj mnie o życie moje, próżnuję, zabawiam się, głupięć.

— Złą obraliście sobie drogę do wytrzeźwienia się z tęg namiętności, którą nie wiem jak obudzić w was mogłam, powiedziała po cichu. Sądziłam, że z gorączki leczyć się należy nie winem, co ją powiększa, ale wodą, co ją gasi; więc z szalów podobnych nie rozrywkami, ale chłodną rozwaęgą. Wyście tak dawnięć zdrowo sądzili o tęg społeczeństwie zepsutém, a dziś jużescie się w nie wcielili! Czemu w nauce i myśleniu nie szukacie otrzeźwienia?

— Nauka częcą jest, rzekłem.

— Nie każda — odpowiedziała.

Patrzałem na nią w ciągu rozmowy i podziwiałem. Ta kobieta, która przyznała się przed chwilą, iż ją trawiła miłość ku mężowi, jakiemu żaden w świecie człowiek nie zrównał, tak była spokojna, tak chłodna, jakby się wszelkięć namiętności pozbyła.

W jęć rysach znalazłem także zmianę: schudła

i zbladła, ale zdała mi się piękniejszą niż kiedykolwiek, a twarz jej promieniała jak oblicze Apollina, którego w słońcu malują.

Ażeby od niej oczy oderwać, spojrzałem po ścianach: uderzyła mnie dotąd niedostrzeżona zmiana w domu. Mąż Sabiny był wielkim miłośnikiem malarstwa; niedosyć, że bardzo biegłym mistrzom powierzył był przyozdobienie ulubionego swego domu na Palatynie, ale z Grecyi sprowadzał obrazy, które w ściany powprawiano. Pamiętałem dobrze ich przedmioty; zdziwiłem się więc niepomału widząc, że ta celna domu ozdoba zniknęła.

Postrzegłszy, że na to zwrócił uwagę, Sabina zarumieniła się.

— Cóż to jest? zapytałem: nie widzę waszych obrazów, ani Ledy greckiej, ani Psychy i Amora, ani Tezeusza i Andromedy, ani innych; cóż się z nimi stało? Gdzież ów sławiony Satyr wasz i Bachantka?

— Nie mogłam na nie patrzeć, odpowiedziała mi niecierpliwie: widzisz, że są zastąpione innemi.

W istocie, na miejscu ich spostrzegłem bardzo mierne a raczej liche i pośpieszne roboty: winobranie; Orfeusza grającego na lirze i dzikimi otoczonego zwierzęty; scenę jakąś pasterską, na której wyobrażony był młodzieniec niosący owieczkę na ramionach. Wszystko to niewarte było jednego Satyra i Bachantki.

— Szkoda, rzekłem: były to malowania Tymanta i innych sławnych mistrzów, piękne i drogo opłacone, warto je było oszczędzić.

Nic mi na to nie odpowiedziała.

Patrzałem długo na owego pasterza niosącego owieczkę: dziwnym mi się wydawał.

— Cóż to jest? spytałem; ja tego nie rozumiem.

— Nie wiem dobrze, odrzekła, malarz wyobraził zapewne obyczaje prostoty pełne wieśniaków.

Dawny ołtarz także stojący przy *impluvium*, zmieniony został na jakiś nowy, na którym wyrte były gałęzie palmowe i ryby; uderzyło mnie to równie.

— Wszystko więc u siebie zmieniacie, rzekłem; bo i to widzę jest nowe...

— Tak! odpowiedziała mi krótko.

W ramach nade drzwiami była, pamiętam, bardzo wdzięczna Hebe z Jowiszem; teraz znalazłem na jej miejscu wyobrażoną ucztę jakąś, złożoną z kilku osób siedzących za stołem i dzielących się chlebem.

— Żeście też lepszego nie wybrali artyści, rzekłem wpatrując się—lub któryby zrozumialsze rzeczy malował; żaden Grek ani Rzymianin nie odgadnie, co na nich wyrazić chciano. Wszak-ci to nie uczta bogów?

Milczała, odwracając głowę. Postrzegłem dopiero, że i stare penaty poznikały.

W istocie jest w tém wszystkiém zagadka, której rozwiązanie przechodzi moje siły.

W ogródku posągi Apollina i Junony, Hermes i Pryapus także zdjęci zostali. Co znaczy ta jakaś dla sztuki nienawiść, nie pojmuję — nawet już pytać nie śmiałem.

U wyjścia, gdym się smutny oddalał, wstrzymała mnie.

— Juliuszu, rzekła: gdy się kocha kobietę czystą i pocziwą miłością, nie posadza się jej o złe, stara się ją w sercu uchować niepokalaną. Widzę na czole twém gniew, smutek, żal, urazę do mnie. Nie bądź nazbyt pochopnym w sądzie, wierz mi i czekaj: nie

jestem tak przewrotną, jak ci się zdaje; dowiesz się kiedyś o tém.

Łzę miała w oku, dziwna kobieta! Wyszedłem zasmucony, oszalały; serce mi się tak ścisnęło, że zmuszony był szukać roztargnienia. Wynalazłem Celsusa i pojechaliśmy Apijską drogą za Rzym, koni naszych próbować.

Zabierało się już na zmrok, gdyśmy w Kapeńskię bramie wstrzymani zostali zwykłym tu ścisnięciem wozów i ludzi. Mimowolnie na bok okiem rzuciłem, i postrzegłem dwie niewiasty. Zasłona jednej uchyliła się: po jasnych włosach poznałem Rutę. Gdyby nie ona, druga co z nią szła razem, wcaleby mi w oczy nie wpadła, tak była osłonięta i w płaszc obwinięta; — poznałem w niej po wzniosłej postawie, chodzie i ruchu Sabine. Oczom moim wierzyć nie chciałem, ale wątpić nie było można: przebrana, z kapturzona, szła z tą przekłętą niewolnicą — dokąd? mógłbym odgadnąć?... Gdyby nie Celsus, rzuciłbym był wóz i ścigał ją pieszo; ale zwierzać mu się nie chcąc, musiałem na wozie pozostać. Tymczasem niewiasty przelękłe znikły wśród ścisnu. Za wrotami już ich nigdzie postrzedz nie mogłem. Struło mi to przejażdżkę, i dałem się chętnie Celsusowi wyprzedzić.

Powiedz mi, powiedz Kajusie miły, do czego dojść może kobieta, gdy nią szalona owładnie namiętność! Sabina... Sabina, która stopą nigdy nie tknęła ziemi, chyba w ogrodzie na wysadzaną kamykami ulicze, której *lithostrotum* mogłoby najwykwintniejsze atrium przyozdabiać — Sabina, którą w złocistej lektyce sześciu niewolników nosiło zasłoniętą od słońca i wiatru powiewu — Sabina pieszo, zmieszana z gminem, w brudnym płaszczu, śpiesząca o zmroku na umówioną

gdzieś schadzkę! Wszystkiemu teraz wierzyć gotów, co o kobietach piszą i opowiadają najpoczwarniejszego. Głupim był, że ją nazbyt szanował; byłaby moją, gdybym w porę miał odwagę...

Powróciliśmy z téj nieszczęsnej przejażdżki, aby u mnie z Celsusem wieczerzać, gdy i Leliusza oznajmiono — choroba także go w Rzymie wstrzymała. Nienawidzę go, bo mi się zdaje, że od pierwszych jego odwiedzin nieszczęście się moje poczęło; musiałem wszakże powitać gościnnie.

Leliusz wprost przybywał z łaźni, gdzie go snadź w *elaeothesium* dobrze namaszczone, bo do zbytku woniał z daleka; miał jakąś postawę naigrawającą się, zwycięzką...

Natychmiast sam począł mówić o Sabinie i przesadnie wychwalać ją wyrazy; jam już milczał.

Bez wątpienia, jeśli nie sam Cezar, on to jest tym mężem, z którym żaden inny w świecie porównać się nie może; inaczej dla czegożby tak uparcie mówił o niej i tak ją ciągle wychwalał? Niewiasty lubią tych zniewieściałych dzieciuchów, tak jak czasem bezbrodych miłują rzezańców.

Ale cóż to mnie ma obchodzić? Mogę przecie piękniejszą w Rzymie zwabić kobietę, gdy skrzynię otworzę.

— Słuchaj Leliuszu, rzekłem gniewny: zaprzestań szyderstwa. Sabina obchodzi mnie dziś tyle co Rutylia lub Lisiska; nie lubię postrzałów z boku, mów wyraźnie, co ci się mówić podoba.

— Powiem więc, na Herkulesa, rzekł szydersko: śmieją się z ciebie, żeś Sabine mając pod boki, obcując z nią codziennie, nie potrafił ję sobie pozyskać.

Dziwi mnie to i śmiesz. Juliuszu... Dziś ktoś inny jest szczęśliwszy!

Tu puściwszy strzałę, zamilkł.

— Nie moglibyście powiedzieć mi jego imienia? zapytałem.

— Co wam po nim, skoro to imię waszém nie jest? mścić się przecie nie myślicie? odrzekł. Jest tyle pięknych kobiet w Rzymie!

Dla okazania, żem w istocie niewiele dbał o Sabinę, posłałem po tancerki, po skoczków, po flecistę; kazałem, udając głupią wesołość, dobyć starego Falerna.

Tancerki były wyborne z najpiękniejszych ambubajów, ale jakże mi się wydały nie miłości, lecz litości godnemi! jak ta wrzawa i śpiewy przykro raziły mi uszy! Czekałem z niecierpliwością końca, odprawiłem wszystkich znudzony i zmęczony. Jeszcze dni kilka, któż wie? może do legii pośpieszę; w Rzymie wytrzymać niepodobna.

XIII.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Jeśli ci się listy moje sprzykrzyły jednostajnością, nie winienem; żądasz ich, karmię cię tém, czém sam żyję.

Znowu czasu nieco upłynęło, a moja namiętność dla Sabiny trwa niezmiennie, pędzi mnie coraz dalej w dziwactwa, których granicy przewidzieć nie mogę. Dokąd zabrnę, nie wiem. Od chwili, gdy mi ja i Rutę postrzegł w Kapeńskiej bramie, nie miałem pokoju, pragnąłem nareszcie rozwiązać tę ciemną zagadkę. Posłałem Afra, iżby był uwiadomionym za dobry okup przez niewolnicę syryjską, o której godzinie one z domu wychodzić zwykły. Umyśliłem przebrany i-zaczajony oczekiwać na nie w bramie, i dalej pójść, śledząc ich kroki. Przydała mi się wasza *lacernula*. Niewolnica zaręczyła, że wychodzą codziennie nad wieczór; postanowiłem wreszcie choćby stracić i kilka wieczorów, gdyby tego było potrzeba.

Zasiadłem więc okryty twoim płaszczem galijskim na straży o zmroku, ukryty za murem, oka nie spuszczaając z gościńca. Zmierzchało się, gdy po opisie

ich szat, po postaciach poznał dwie przekradające się ostrożnie pod murami niewiasty. One to były. Ruta szła przodem, Sabina za nią; dwóch jakichś ludzi jakby na straży, postępowało w oddaleniu.

Niepostrzeżony dałem się im wyminąć, a potem powoli, ze sromem na czole, jak *latrunculus* sunąłem się w ślad nieszczęśliwej kobiety.

Wyszły za Apijską drogę, widziałem je obie przed sobą, aż do domu Gemellusa. Tu skręciły ku drzwiom i wcisnęły się do wnętrza...

Wstrzymałem się naprzeciw, nie spuszczać oka z domu, do którego mnóstwo osób różnego rodzaju wsuwało się nieustannie...

Miałyżby tam obchodzić jakie tajemne obrzędy jednej z tych bogiń, które sobie rozwiązałość za opiekunki obrała?

Nie — odpycham przypuszczenie samo, to być nie może! Od drzwi przeciwległej *popiny*, u której młynicy i podróżni do Rzymu przybywający zwykle dla przedziania się stają, patrzałem długo, ale nie wychodzących niewiast dostrzedz nie mogłem. Noc była czarna, snuło się ludzi dosyć.

Któż jest ten Gemellus? Posłałem nazajutrz na wzwiady; w Rzymie, jak wiesz, na usługach ludzi nie zbywa. Ledwieś wyrzekł życzenie, jeśli masz czem je opłacić, stu ci się posługaczy natychmiast do spełnienia go nastrecza. Wybrałem Afra, bo mi najmniej się wydaje niebezpiecznym, i milczeć będzie, gdy każe. Poszedł, i z niczem prawie powrócił.

Gemellus stary już, jest synem wyzwolenca augustowego (*libertinus*), człowiekiem spokojnym i zamożnym, żyjącym na ustroni i w ciszy. Godzą się na to wszyscy, że obyczajów czystych i żywota być ma pra-

wego. W domu swym ma tylko córkę i zięcia od dawna schorzałego, opuszczonego od lekarzów. Gdybym na swe oczy nie widział, że do tego domu weszła Sabina, sądziłbym, że się omylono śledząc ją, lub że to nie była ona. Afer zaręcza, że dom Gemellusa w sąsiedztwie za najspokojniejszy uchodzi, uczt w nim nigdy nie ma, a młodzież doń nie uczęszcza. Gemellus ma być uczonym, oddanym filozofii stoickiej mężem; mówią, że przyjaźń go łączy z Seneką. Czy nie w tém szukać potrzeba klucza zagadki?

Seneka pięknie pisze, ale czyny jego nie zawsze słowem odpowiadają; wiadomo, że usiłuje Cezara odwieść od okrucieństw i pod swą znówu zagarnąć władzę. Mogło mu na myśl przyjść dać mu kochankę poważną jak Sabina... gdy Poppeę powoli obrzydzać sobie zaczyna... Może dom Gemellusa wyznaczono na schadзки z tą nową Egeryą, a podróż do Partenopy kłamstwem jest dla pokrycia stosunków tajemnych. Ale nie!

Gubię się, błąkam w niedorzecznych domysłach, pojąć tego wszystkiego nie umiem.. Gardzę nią, lituję się, nienawidzę i kocham zarazem, chcę zapomnieć, a zajmuję się mimowoli.

Wybierałem się już do Gallii, do ciebie, muły były pojęzione... nie mam siły. Nie pora jeszcze: muszę jaśniej w tém przejrzeć.

Czekaj na mnie jednak Kajusie drogi, zostaw gościnne skórąmi wysłane łoża pod namiotem: może tam wpadnę odpocząć. — *Vale!*

XIV.

Sabina Marcya Zenonowi Ateńczykowi zdrowia.

List twój spokojny, pobłażający, serdeczny, zachęca mnie, bym ci dalsze mojego nawrócenia opowiadała dzieje. Zdaje mi się z niego, jak gdybyś przyznawał nauce, którą poślubiłam, owo bozkie jój pochodzenie, jakiego nosi piętno. Musi ona być istotnie bozką, bo szerzy się przeciwko wszelkim zwykłym prawom i warunkom, jakich inne potrzebowały do wzrostu; zyskuje prostaczków i mędrców. Wśród świata wyżywionego najwykwintniejszą filozofią i nawykłego do najzręczniejszych sofizmów, zwycięzko postępuje prostotą swą i wielkością, burząc co napotka. Żyje słowo i czyn torują jój drogę; mało pisze i mało ma ludzi, coby pisać byli zdolni, lecz gdy natchnieni mówią, czujesz, iż w nich mieszka ów duch, który Sokratesowym demonem za Sokrata czasów zwano.

Duch to jest z niebios, który człowiekowi daje więcej niż Herkulesową siłę.

Słuchaj Zenonie mój, i bądź równie pobłażający, jak byłeś dotąd, na wszystko, co posłyszysz. Zdaje

się, że zgromadzenia w domu Gemellusa i Pudensa musiały być postrzeżone: schwytano kilku chrześcian z poduszczenia kapłanów, i zaczęto ścigać innych, na których padły podejrzenia. Musieliśmy więc, unikając zawczesnych ofiar, przenieść się z obrzędami i całym życiem religijnym do arenaryów.

Po nad Apijską drogą, w okolicach Watykanu i w wielu innych miejscach na kończynach miasta, odwieczne istniały wydrążenia podziemne, z których na budowę Rzymu kamień, piasek i glinę dobywano. Nieraz one bywały schronieniem zbiegłych niewolników i złoczyńców, często nieszczęśliwych ubogich, którzy innego nie mieli dachu. Już w samych początkach przesładowania, dla swobodniejszego odprawiania ofiary i liczniejszego zgromadzania się bez niebezpieczeństwa, obrali chrześcianie arenarya.

Krótko to wprowadzie trwało, ale one posłużyły za wzór do podziemnych krypt, w których odtąd zwykli się zbierać chrześcianie, grzebać ciała swych zmarłych i swobodniej naradzać, uczyć, spoczywać. Słyszałam już o tych jaskiniach, bo Rzym wie o nich cały, chociaż ze wstrętem o nich mówi, z obawą się zbliża, i omija raczej niż nadchodzi. Wnįjscia są skryte, odległe... rozrzucone... Dziś to grobowe państwo śmierci jest światem naszym, tuśmy tylko wolni... Tu leżą zwłoki męczenników zebrane pobożną dłonią niewiast, tu spoczywają zmarli nasi, tu może będzie kołębka nowego świata, i ztąd wnįjdzie słońce, które go oświeci.

Pojmujesz, że w bańniach ludu to tulenie się w ciemności i jaskinie, musiało dać powód do obwiniania i szkarady; nie szczędzą nam też nieprzyjaciele obmowy.

Niełatwobym ci opisać potrafiła wrażenie doznane, gdy po raz pierwszy zstąpiła w otchłanie, jak Orfeusz bajeczny idący do piekieł po Eurydykę. I my tu po Eurydykę—duszę naszą—schodzimy, aby wyrwać ją piekłu...

Niedawno poznałam Pomponię Grecynę, matronę rzymską, jak ja nawróconą, z której ogrodu tajemne wnijście okryte bluszczem i winną latoroślą prowadzi do Katakumb. Ona mnie razem z Rutą wwiodła w ten nieznany kraj ciemności i grobów...

Wszystkie miałyśmy lampy w ręku... Najprzód spuszczałyśmy się po wązkich wschodkach kamiennych, potem zstąpiłyśmy na wilgotną ziemię do galeryi nieforemnie w ziemi wykutęj i nią doszłyśmy do cmentarza... Ciała chrześcian nie są palone, ale starym rzymskim i greckim obyczajem składane w ziemi. Nie zamykają ich w kosztowne sarkofagi, bo ciało znokome powinno się stać prochem nim do nowego życia powróci... Jak w kolumbaryach naszych urny, tu w wyżłobieniach z obu stron galeryi leżą ciała spowite całunami, a przy nich dla rodziny, aby się modlić mogła, dla wiernych, aby przypomnieć ich zdołali, napisy na tablicach z marmuru, cegły, często na glinie tylko.

Tu są kościoły nasze... ale ich *cele* szczupłe i nieozdobre; nie mamy ani posągów, ani marmurów, ani bronzów, ani kości słoniowej i konch perłowych, ani nic coby przepych znikomy przypominało... Ofiara odbywa się na grobowcu męczennika lub kapłana, na prostym sarkofagu z kamienia, w małej izbie grobowej. Innych tu wyobrażeń nie znajdziesz nad te, które symbola wiary wyrażają. Ubóstwo i prostota panują

wszędzie; kapłan nie wdziewa szat kosztownych, a kielich ofiarny z prostego szkła lub niedrogiego jest kruszczu. Lecz gdybyś widział tych ludzi i słyszał ich modlitwy, pieśni, nauk!... Jaki spokój na tych wypogodzonych twarzach! jaka pogarda cierpienia i niebezpieczeństwa! jaka miłość wszystkim ku wszystkim!

To społeczeństwo, które przyniata nas stopami swemi, po głowach chodząc naszych i urągając się nam, jakże lichy i nędznie wydaje się przy ubogim gminie sług Chrystusa!..

Mimo licznego zgromadzenia, które przepełniło wszystkie krypty, bo w nich na kilku miejscach odprawiały się ofiary, cisza była głęboka, wielka, majestatyczna... Ujrzałam tylko podniesione do góry dłonie modlących się i oczy zwrócone ku niebu, które czarne zasłaniało sklepienie. U wnijścia celi stali kapłani i starsi po jednej stronie niewiasty, po drugiej mężczyźni, dalej bez różnicy stanu, ale wedle wieku tylko, sędziwi, młodszy i dziatki...

Pewnie cię dojdą jakieś o ofiarach i uctach chrześciańskich bałamutne opowiadania; nie wiercie im... Proste to są ofiary, błogosławiony chleb, poświęcone wino, które kapłan kilku słowy wyrzeczonemi, siłą mu nadaną przez następcę Syna Bożego zamienia w krew i ciało jego, na pamiątkę krwi jego przelanej za ludzi, ciała umęczonego za nich... Tym chlebem i winem dzielą się wszyscy przytomni na znak braterstwa w Chrystusie, ale oczyściwszy dusze żalem za przestępstwa swoje...

Oto są agapy nasze, oto owe uczy rozpuścne, o których tyle mówią... Maczamy usta w kielichu i pożywamy drobnym złomem chleba...

W obec téj uczty równi są wszyscy, byleby czystymi byli. Nikt do ołtarza przystąpić nie może skalany nienawiścią i zbrodnią.

Gdym tu po raz pierwszy poklekła, przypuszczona będąc do wspólnego stołu, łzy mi biegły po twarzy... Z jednej strony klęczała Pomponia senatorskiego rodu matrona, z drugiej Egipcyanka niewolnica, dalej Żydówka i syryjska dziewczyna i Ruta, i znowu córki Pudensa, na których twarzach szlachetne ich pochodzenie starożytne widoczne było na pierwszy rzut oka.

Wspaniały to był obrząd tych ludzi po raz pierwszy, jak świat jest światem, zrównanych...

Gdyby nowa wiara nasza nie więcej nad to nie przyniosła światu, jużby zaiste złamała barbarzyńskie tysiącowieczne zapory, co rodzajowi ludzkiemu tamowały swobodne jego rozkwitanie. Gdyby skruszyła tylko łańcuchy niewoli, jużby się objawiła bożką posłannicą. Gdyby zamiast prawa siły dała prawo miłości tylko, jużby niem musiała zwyciężyć.

Lecz przebac mi, że mówię do ciebie, jak gdybyś już do nas należał. Czemuż tak nie jest?

Nic mniej podobnego do siebie nad te dwa światy: stary szalejący na ziemi, nowy modlący się pod nią... Człowiek, rodzina, społeczność zupełnie inaczej się tworzą w chrześcijańskim świecie. Tam panuje niewola, tu swoboda, którą tylko hamuje prawo miłości: — Nie czyni drugiemu co tobie nie miło. Tam są tysiące praw dla stanów, dla ludzi, dla położzeń, dla narodów, — tu jedno. Tam wyjątki są dla uprzywilejowanych — tu nie ma ich dla nikogo; ani swobodniejszym jest najwyższy kapłan nasz od najmizerniejszego prostaczka. Co grzechem jest dla niewolnika, grzechem

dla najważniejszego; najzupełniejsza równość moralna panuje między nami. Nie wyobrażaj jednak sobie barbarzyńskiej zwierzęcej społeczności i stada ludzi: — mamy i my zwierzętników, przedniejszych, szlachetniejszych; ale patrycyat nasz daje rozum, cnota i miłość. Dobijać się go potrzeba czynem, nie obleka nim ani ludu okrzyk, ani dekret Cezara, ale męczeństwo, stałość, zasługa, wyższość rzeczywista.

Z pośrodku tego tłumu w chwili natchnienia wyjdzie głos z ust, na których żelazo rozpieczone niedawno upadające kładło piętno; ozwie się niewolnik nieznany, — a słowo wielkie czyni go przewodnikiem drugich: czyn miłości jedna szacunek, powagę, posłuszeństwo...

Wielu z pośród nas rozdało swe mienie między ubogich, sami zapragnąwszy ubóstwa jako próbiec cnoty i wytrwałości; inni codziennie się dzielą tém co posiadają — z bracią. Jakże słodkie są te imiona siostry i brata! jak wiele znaczące! jaki spokój wlewają w duszę!

Po ofierze i podziale chleba, siedzący za ołtarzem na kamienném krześle wstał czując w sobie ducha, który mówić mu kazał... Żałuję, że ci słów jego powtórzyć nie potrafię; aleśmy wszyscy przejęci byli niemi i poruszeni do łez. Proroczo oznajmił nam zbliżanie się godziny wielkiej próby i męczeństwa, a razem kary na zatwardziały w nieprawościach Rzymian i Nerona... Zdawał się widzieć oczyma duszy zapalone stosy, krwią zlane cyrki, wznoszące się krzyże, i pobroczone miecze, i trupami płynące rzeki... Ale to co innychby przeraziło, chrześcijan unosiło i rozżarzało, czuli się przeznaczonymi do utwier-

dzenia wiary, która inaczej niż w boleściach na świat przyjść nie mogła... Łzy mieszały się z wykrzykami radości; niektórzy całowali groby pierwszych męczenników, jakby się z nimi połączyć pragnęli co rychlej... inni ściskali krewnych, jakby przeczuwając pożegnanie, i mówili im: — Do widzenia się w niebie!!

Serce mi biło, Pomponia płakała, a gdy skończył się obrząd i wierni różnemi drogami rozchodzić się zaczęli, gdy i my powoli wydobyłyśmy się na światło dzienne, ta godzina modlitwy i ofiary w podziemiach wydała mi się jak sen, jak widzenie dziwne, i wrzawa blizkiego gościńca płynącego życiem powszedniem Rzymu uderzyła mnie wstrętliwie... Patrzałam, słuchałam z obrzydzeniem i zgrozą.

Spoczęłam w domu Pomponii, lecz musiałyśmy rozejść się rychło, ona już bowiem posądzona jest o chrześcijaństwo i wydana przez którąś ze swych niewolnic. Lada chwila więc, mimo wysokiego jój rodu, przyjść może oskarżenie, niewola, kara, której srogości za czasów Nerona nikt zmierzyć nie potrafi. Jego dzikość, podobnie jak pobiążanie, nigdy się przewidzieć nie może. Nie widzieliśmy go przebaczącego obelgę plującemu w oczy mu prawie cynikowi Izydorowi, a karzącego ludzi, co mu nigdy nic nie uczynili złego, jak Torkwatus Silanus, który pokrewieństwo swe z Augustem życiem musiał opłacić!

Poszłyśmy z Rutą do domu, a od téj pory nie ma dnia, żebym przez Pomponii winnicę lub inne jakie wnijsie w naszych kryptach nie bywała. Tu nam najlepiej, tuśmy sami, i oko donosiciela nie wyszpieguje łez i modlitwy.

Otoż nasze *cubicula*, nasze biesiadne sale, nasze

rozkoszne ucztę... I my jak owi Grecy stawimy obok kościotrupy, lecz nie na to, aby nam *carpe diem* powiadały w tém rozumieniu co uczniom Arystypa, ale iżby znikomość życia przypominały co chwila.

Żegnaj mi, mistrzu mój! Gdybyś był duszy mój nie przygotował nauką swą do przyjęcia światła, nigdyby się dla niego nie otwarła. — Szczęście moje tobie jestem winna...

XV.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Zbyt wiele, zbyt wielkich mam ci opowiadać rzeczy; do tyła wzruszony jestem niemi i przejęty, że nie potrafię tak wykonać tego, jak pragnę.

Doprawdy, od czego zacząć nie wiem i w jaki ująć porządek. To co mnie dotknęło, com widział, com słyszał, zmieszało się w pamięci i tłumnie ciśnie pod nieudolne pióro. Nie wiem, czy wprawniejszeby nawet przedmiotowi podołało. Wybacz mi więc, Kajusie miły, że połowę pracy około tego listu zostawiam tobie: niech myśl twa dopełnia tego, czego mu braknie, niech wyobraźnia odgadnie, niech serce przeczuje.

Siedzieliśmy jednego z tych dni u skromnej wieczery z Celsusem w *triclinium* mojej *insulae*, rozmawiając o świeżem świętokradztwie Aenobarbusa Neron, który Rzymowi wyprawił widowisko, jakiego tu jeszcze nie miano, swém nowém ożenieniem z Pitagoresem. Dojdą was opisy tego wesela, dopełnionego z całym religijnym obrzędem, na który spodleni kapłani nie wiem jak zgodzić się mogli. Na urągowisko tłumowi wystawiono świętość małżeństwa, jakby mu

Neron chciał odjąć wszelkie religijne znaczenie i siłę, a patrycyuszom Rzymu powiedzieć, że odtąd jak niewolnicy będą, którym żon mieć nie wolno... Śmieje się i urąga szaleniec. Wiecie, że Neron do bogów Rzymu wcale pobożnym nie jest, mając ich za równych sobie, a może od siebie słabszych... Przez jakiś czas czcił syryjską boginię, ale potem posag jej zbeczcześniejszy, precz wyrzucić kazał, i innym ofiar nie składa, oprócz małej jakiegś nieforemnej figurki tajemniczej, którą mu plebejusz w ulicy idącemu ofiarował. Tę odkrycie jakiegoś spisku, opiekę możną nad sobą i siłę wielką przypisuje, pięć razy na dzień czyniąc przed nią libacje.

Po tych zaślubinach szyderskich, od których czoła wszystkich pocziwych Rzymian pokrył wstydu rumieniec, a piersi oburzenie wstrząsnęło, wyjechał Neron. Wiesz może, jak się odbywają podróże, z rozrzutnością, której nic równego ani myśmy nie widzieli, ani ojcowie nasi; tysiąc wozów ciągnie za nim, teatr jego, igrzysk przybory, niewolników dwór, purpurowe sieci o złotych węzłach dla rybołówstwa... posagi nawet ulubione... z obciętemi włosy poprzebierane po mężku niewiasty, co mu służą. Muły i konie kanuzyjskie okrywają szkarłaty i srebrne uprząże... Celsusowi pozwolono pozostać; byliśmy więc swobodni i pożywaliliśmy *coenę* z nim i Chryzypem, gdy zgiełk i wrzawa dla nas niezrozumiałe po kilkakroć o uszy nasze uderzyły. Sądziliśmy z razu, że uliczny jakiś bój między dokazującymi ulubieńcami Cezara, którzy pod jego niebytność to w Rzymie czynią, co on sam gdy w nim zamieszkuje, albo że nowo wymyślona jaka uroczystość dla Poppei zakłóciła spokój chwilowo, i wyczeczaliśmy nie zważając. Wtém wpadł Afer zbladły

oznajmiając, że znaczna część Rzymu stoi w płomieniach. Pożar poczęty około wielkiego Cyrku, tam gdzie się do Palatynu i Celiuszowej góry przytyka, wiatr rozdymał potężnie, rzucił się na sklepy olejarzy i inne pełne wszelakiej palnej kupi, otaczające cyrk, a ramionny silnemi obejmował domy na wszystkich strony...

Przerażeni tą wieścią, porwaliśmy się od wieczery, wdziali na prędcie obuwie, i wybiegliśmy w ulicę, każdy w stronę gdzie kto co miał najdroższego. Nie chodziło mi o moje mienie w *insuli*, ani o dom więcęj zagrożony na Palatynie, kędy już płomień jakby falą ogromną się rozlewał, ale o Sabine. Biegłem wszystko rzuciwszy do niej... Ale precisnąć się było tak trudno, iż sam dziś nie wiem, jaką siłą potrafiłem przebrnąć tłumy, które zalegały wązkie uliczki, portyki, wschody świątyń i całe place. Krzyk, wrzaski, płacze, tumult był nie do opisanja; niewiasty, dzieci, wyrzucane z domów i palące się na kamieniach sprzęty, trupy tych, których padające ściany przytłukły, ciżba niewolników ryczących, pokrwawionych, konie, wielbłądy, wszystko to w jedną masę zbite, wiło się otoczone płomieniem i dymem. Ludzie w rozpacz, jak oszaleni, z mieczami w rękach, torowali sobie drogę do domowstw... Powywracane lektyki, pogruchotane wozy, omdlałe kobiety pomijać musiałem; a chociaż mi Afer i dwaj z nim idący niewolnicy dopomagali, nie wiem czybym potrafił przedostać się, gdyby nie oddział straży pretoryańskiej idący przedemną, który śpieszył ku Palatynowi i drogę mi torował, ścieląc ją rannymi i trupami.

O ratunku miasta ani pomyśleć było można... Tybr cały nie miał w sobie tyle wody, ile na ugaszenie płomieni było potrzeba; siła niszczącego żywiołu

wzmagała się w pędzie; co chwila grzmot obalającej się budowy nową oznajmował ruinę... Rozpryskał się płomień szeroko i na nowe domowstwa rzucał ze wściekłością. We drzwiach wielu zaskoczona ludność dusiła się naciskając, i zalegała je trupami, a z góry padające belki dobijały co jeszcze było żywego. Z pośrodku ogniów jakby dzikich zwierząt słyhać było wycia rozdzierające serce. Gdyby w téj chwili zniszczenia każdego własne nie obchodziło bezpieczeństwo, sam przerażający widok tego spustoszenia włosyby na głowie najeżył i krew ściał w żyłach. Ale obojętnie dla drugich, kto się sam ratować musi; co gorsza, staje się okrutnym jak zwierzę.

Gdyśmy się naostatek ku mojemu domkowi na Palatynie przybliżyli, przebywszy jakby walkę z nieprzyjacioły z tym tłumem zapamiętałem, dom stał już w płomieniach. Pod pozorem uratowania pałacu Cezara od ognia, mury rozbijano taranami, zbliżyć się do nich nie było wolno, żołnierze i niewolnicy rozszarpwali co znaleźli...

Biegłem do przyległego domu Sabiny. Płonął już kryptoportykus, i tu już ciżba niewolników Neronowych nadbiegała niszczyć, łamać, rozwalać i łupić, z dziką chciwością rabunku... Przypomniałem Neronową *Quintanę*... W chwili, gdy się zbliżałem do drzwi, przez które wystraszona ludność uciekała, unosząc co kto porwał, ujrzałem Sabine jak oblakaną, dźwigającą na rękach na pół rozbudzone dziecię swe i śpiesznie przedzierającą się ku Apijskiej drodze. Była sama, zdawała się nie widzieć nic, nie myśleć o niczym, tylko o ocaleniu życia dzieciciu. Biegła tak szybko, że mimo pośpiechu i sporszego kroku nie-

podobieństwem dla mnie było ją dogonić. Obawiałem się co chwila z oczu ją nawet stracić.

Wśród tego tłumu wrzącego, który ją zewsząd otaczał, zląkłem się o jej życie... ale cudownym instynktem miłości macierzyńskiej omijała wszystko, co zagrażać jej mogło, wyslizgiwała się niebezpieczeństwom, przeciskała się przez ludzi siłą olbrzymią, uchodziła nie wiem jak najeżdżającym wozom, przebijała się przez natłoczoną ciżbę i leciała jakby nadprzyrodzoną jakąś osłonioną siłą.

Z oczyma wlepionemi w nią ścigałem ciągle wstrzymywany, popychany, bity, party, ranny w ostatku i potłuczony, mieczem się osłaniając i ręką w toge obwiniętą.

Myślałem już, iż w Kapeńskiej bramie doścignąć ją potrafię, tu bowiem stał zбитy koni i ludu natłok, wrac tylko w miejscu, poruszając się próżno, miotając, lecz naprzód nie mogąc się posunąć. Dwa w niej sparły się prądy przeciwnie: tych, co na widok płomieni śpieszyli do miasta z okolic, aby co mieli droższego ratować,—oraz uciekających z pożaru z dziećmi, penatami, resztką ocalonego mienia. Zdawało się, że przyjdzie do bitwy—kiedy niekiedy z krzykiem padali słabsi, a po głowach ich, dusząc i gniotąc, posuwali się silniejsi... Sabina zawahała się, wstrzymała, ale ją widział ciągle; w rozpacz bezsilnej parłem się i ja ku niej, na nic nie zważając, drogę sobie mieczem gotów torować, gdy nie wiem jak tłum od miasta pracy przemógł, obalił przeciwny, otwarło się nagle przejście i runęliśmy wszyscy, ledwie na nogach się trzymając, po trupach i rannych, na Apijską drogę. Tu było szerzej; ujrzałem ją znowu za bramą biegnącą jak wprzód, więc ocaloną... Byłem sam; Afer

i niewolnicy rozdzieleni odemnie, znikli w ciżbie; ja ze zgniecioném ramieniem, pokrwawiony, zбитy, cudem żyw byłem jeszcze.

Nie zatrzymując się, ścigałem ją ciągle, wołając; ale głos głużyły wrzaski tłumu, a ona szła ciągle z równym pośpiechem i lekkością, niosąc dziecko przestraszone... Byłem prawie pewien, że uda się do domu Gemellusa, ale pominęła go, rzuciła się na prawo w ogrody, w stronę przeciwną. Bieglem za nią coraz żywiej; zmrok padał, lecz łuna pożaru szeroko oświecała okolicę; migało przedemną białe jej *peplum*, byłem coraz bliżej, zdyszany śpiesząc,—gdy nagle znikła mi pośród zarośli, jak gdyby ziemia się pod jej stopami otwarła.

Dobiegłem do miejsca, pewien będąc, że po takim wysiłku musiała upaść zemdlona lub wypocząć usiadła; ale z największym podziwieniem mojem, nie znalazłem ani śladu. Z razu nie wierząc oczom, sądziłem, że się omylił; obiegłem w koło, napróżno. Wtém na ziemi postrzegłem jej *sudarium* kilku kroplami świeżej krwi zbroczone.

Zacząłem więc w tém miejscu baczniej się rozpatrywać i rozgarniać gałęzie. Bluszcze i winne latorośle popłatane okrywały jakiś rodzaj studni, opartej o ścianę kamienną na pół obaloną i ukrytą pod zielenią. Schyliwszy się i opadłe podniosłszy gałęzie, dostrzegłem jakiś ciemny otwór i jakby wchód prowadzący do głębi pieczar.

Chociaż nie znałem miejsca i nie mogłem pojąć gdzieby wchód prowadził, prawie pewien będąc, że się tu nie gdzieindziej skryć musiała w miejscu sobie znanem, bez wahania zapuściłem się w głąb téj ciemnicy...

Opierając się rękami o ściany, szedłem wśród zupełniejszej nocy... Przejście było wąskie i wilgotne... Schody kamienne chwiały się pod stopami jakby świeżo ułożone zostały pośpiesznie; wprędce i te się skończyły. Poczulem pod sobą ziemię wilgotną... Zdawało mi się, że żywy wstępuję w państwo umarłych. Zawahałem się nawet, nie przypuszczając, aby kobieta miała odwagę takiego szukać schronienia; lecz przecucie i szal jakiś pędziły mnie dalej. A że z obu stron czulem otaczające mnie ściany, powiedziałem sobie, że łatwo mi będzie, gdy zechcę, powrócić... Szedłem więc coraz dalej, nie licząc kroków, tracąc zupełnie pamięć przebieżonej drogi, poczucie spędzonego na ten pochód czasu. Nie potrafię oznaczyć jak szedłem długo... gdy szmer jakiś dziwny uszu mych doleciał. Stałem... Blade, zaledwie dostrzeżone światelko ukazało się w dalekich głębiach.

Jakkolwiek niczego się w świetle nie lękam, wyznam ci, Kajusie drogi, żem poczuł jakąś nieopisaną trwogę... Głos, który do uszu moich dochodził, był dziwny, coś nakształt szumu dalekiej fali lub poruszanego wiatrem lasu... Wsłuchawszy się, rozpoznałem w nim ludzką mowę, jęk czy śpiew smutny, nie wiedziałem. Domyśliłem się, że mam się znaleźć wśród jakiegoś zbiegowiska ludzi nieznanymi, obcy, sam jeden... Silnie ścisnąłem miecz w dłoń, pot mi na czoło wystąpił. Byłbym się może cofnął, ale zdało mi się, jakbym w świetle galerii ujrzał w dali przesuający się cień Sabiny z dziećciem. To mnie skłoniło pójść dalej ku światłu... Krypta wkrótce rozszerzać się zaczęła; światło coraz wyraźniejsze ciepłało się po jej ścianach wilgotnych; zobaczyłem kilka lampek glinianych ustawionych we wgłębieniach muru.

Baczniej wpatrując się, mogłem już rozeznać, iż przejście, do którego się dostał, stanowiło nieforemne jakieś *Columbarium*. Na bokach niewyraźne dostrzegłem napisy, znaki, godła i kilkakrotnie powtórzone wyrazy:

IN PACE...

Byłem więc — wątpię już niepodobna — w grobach jakichś... Lecz cóż Sabinę skłonić mogło do ukrycia się w miejscu tak oddalonem i niebezpiecznem? Jakim sposobem o tém ukryciu wiedzieć mogła, by wprost ku niemu dążyć?..

Schodząc ciągle w dół, gdyż galeria się zniżała ku wnętrzu ziemi, nareszcie ujrzałem w głębi coraz więcej lamp pouczepianych przy ścianach i wielką ciżbę ludu stojącą w tém podziemiu... Mężczyźni, kobiety, dzieci, napełniali galerie krzyżujące się w różne strony.

Zbliżałem się więc z wielką ostrożnością, powoli, obawiając się być odkrytym. Musiałem też obwarować powrót na wypadek śpiesznej ucieczki. Przejścia się rozgałęziały; aby się wydostać nazad, to, którem wszedłem, oznaczyłem mieczem, ryjąc pasy na ścianie.

Już prawie nie wiedząc co czynię, posuwałem się dalej... rozpoznawałem twarze ludzi, ręce podniesione do góry jak do modlitwy i szaty ich ciemne... Niektórzy klęczeli na ziemi, inni twarzą na nią leżeli. O kilkanaście kroków zobaczyłem wreszcie Sabinę, która usiadłszy pod ścianą, tuliła dziecię swoje i zdawała się płakać.

Obawiając się, aby to zbiegowisko ludzi jakichś nieznanymi, a jak z odzieży poznać było można, w większej części niewolników, nie postrzegło mnie i nie rzuciło się na mnie, osłonięny togą, przytulony do

mur, powolnie i ostrożnie zbliżałem się do miejsca, w którym Sabina usiadła. Nie mogłem z razu pojąć, co ją tu sprowadziło, dla czego się tu przyszyła schronić wśród tej ciżby, która zdawała się być jej znajomą, bo dwie kobiety, stojąc przy niej, trzeźwiły ją i pilne miały koło niej staranie.

Z wrzawy i zgiełku ulicznego, z płomieni i trupów wszedłszy nagle w tę ciszę tajemniczej jakiegś odczłani—wątpiłem o siebie i swym rozumie. Chwilami wydawało mi się, jakby sen jakiś przykry mnie nękał; obawiałem się utraty przytomności, tak to wszystko było niespodziane, przerażające. Łączyła się do tego jakaś trwoga nieokreślona, której sam wstydzilem się przed sobą. Ochłonałem z niej nieco, gdy się przekonałem, że oprócz kilku stojących z motykami ludzi, byli bezbronni, wiele niewiast między niemi, a nikt nawet nie zajmował się mną, choć kilku zwróciło na mnie oczy i bytność moją dostrzedz musiało. Sabina zajęta dzieckiem, osłabła, nie widziała mnie jeszcze, nie śmiałem przystąpić bliżej. Sunąłem się tylko cienia szukając, aby rozpoznać ten lud — i stanąłem nareszcie oddzielony tylko od niej przez dwie czy trzy kobiety...

Szmer, który słyszałem z dala, tu się już zmienił w cichą, dziwną jakąś wspólnie odmawianą modlitwę, której wyrazy były mi niezrozumiałe. Kto byli ci ludzie? Co znaczyło to zgromadzenie tak spokojne, w chwili gdy Rzym wrzał cały i padał w ruinach?.. Jak błyskawica olśniła mnie myśl schadzek chrześcian w arenaryach, o których wiedzieli wszyscy i rozpowiadali dziwy. Nie mogłem już wątpić, że jestem pomiędzy nimi, lecz cóż tu robiła Sabina i kilka

stojących przy niej matron rzymskich? Miałyżby i one do nowej sekty należeć?

Takie sobie zadawałem pytania, gdy szmer powoli ucichł, a mężczyzna w odzieży, po której poznać było można rycerza rzymskiego, wystąpił z małego bocznego wgłębienia. Pokroplił tłum zgromadzony jakąś wodą lustralną, odmówił modlitwę głośną, którą za nim wszyscy powtarzali, ucichło i mówić począł.

Dziwnych słów jego, których z napiętą słuchałem uwagą, nie jestem już w stanie ci powtórzyć; zaniepokoiły mnie, wzruszyły do głębi. Wymawiane były z powagą wielką, więcej powiem, jakby natchnione wieszczo... Była w nich przepowiednia straszliwych gromów i kar niebios zagniewanych na Rzym zepęty i Cezara. Ale Rzym miał nazwisko Babilonu, a Nerona domyśliłem się w liczbie sześciuset sześćdziesięciu sześciu (*et numerus ejus sexcenti sexaginta sex*). Obraz wszakże był tak wierny, że omylić się nie mogłem. Wielu innych wyrazów gorących, wymownych, znaczenia dobrze pojąć nie mogłem. Czułem w nich tylko niezmierną siłę, jakby Sybilli z trójnoga zapowiadającej przyszłość. Tłum, który słuchał, to płakał, to jęczał, to upadał twarzą na ziemię, to ręce do góry wszystek podnosił.

Nie, Kajusie drogi, opisać ci tej chwili nie potrafię—olśniła mnie ona jakby przecuciem jakimś nowego preistoczenia świata, wnijsia nową epokę odrodzenia. Nie miałem już najmniejszej wątpliwości, że znajduję się wpośród chrześcian, ale jakże inaczej wydali mi się, niżeli ich sobie wyobrażałem!

Nieprzygotowany tu wbiegłem, niewtajemniczony usłyszałem wyrazy, których prawdziwe znaczenie było mi skryte, a jednak to co z nich pojąłem, czegom się

domyslił, wstrząsnęło mnie do głębi... Świat odsłaniał mi się nowy.

Mowa tego kapłana trwała dosyć długo, przesłuchałem ją całą z chciwem pragnieniem; wreszcie gdy nowe rozpoczęły się modlitwy, uspokojony o Sabinę, która widocznie należała do zgromadzenia i znalazła opiekę niewiast sobie znajomych, postanowiłem się wycofać z podziemia. Nie godziło mi się dłużej podsłuchiwać tajemnic, do których przypuszczony nie byłem; trzeba się było albo jawnie odkryć, nabawiając ich i Sabinę strachem, albo co rychlej uchodzić.

To też uczyniłem, nie chcąc szerzyć trwogi wśród wylekłego i tak zbiegowiska i zrodzić zamieszania, począłem się cofać powoli tąż drogą, którą przyszedłem. Nie miałem trudności w odszukaniu jęj, bo gdzie się krypty rozgałęziały, porobiłem był znaki mieczem na ścianie, a dalej krypta stanowiła jedną długą szyję, w której się już zabłąkać nie mogłem, mimo panującą w niej ciemność. Dla bezpieczeństwa ostatnią z palących się lampek zdjąłem ze ściany, i otulając płaszczem, puściłem się ku wnijsciu. Kształt jęj mnie uderzył: nie była we wszystkiem do innych rzymskich podobna; wyobrażała gołębia i dwie greckie głoski, jakby początkowe imienia chrześcian...

Prędkiej niżeli się spodziewałem, postrzegłem wschodki, i tu ustawivszy ją, wydobyłem się z łańtwością na ziemię... Z za gałęzi bluszczu, przez który przedzierać się musiałem, uderzyło mnie już czerwone światło pożaru...

Zdawało się, że nie tylko nie ustał, ale powiększył się jeszcze, zniszczenie roznosząc zwycięzko. Widać już było z muru, na którym stanąłem, jakby szerokie morze płomieni, a nad niem kłębiące się dymy krwawe.

Wicher miotał niemi jakby olbrzymiem *velarium* purpurowem nad areną teatru...

Gdziekolwiek z pośrodku ogniów sterczały białe kolumny świątyń obalonych i ściany gmachów, których oknami płomień wyciągał szyję, dym buchał gęsty i iskry gwiazdziste... Jasno było jak we dnie, ale blask to był płowy, straszny jak wśród jesiennęj burzy i piorunów. Aż tu dochodziło mnie ryczenie, huk, grzmot zmieszanych głosów ludzi, zwierząt, i syk niszczących płomieni. Niekiedy głośnieję, przenikliwieję zawyło kilkaset jakichś głosów, oznajmując tajemniczą klęskę i przestרח niewysłowny... Przyszna, był to widok nawet z męskich oczu łyzy mogący wycisnąć.

Siedziałem na złomie muru osłupiały, sam nie wiedząc co począć z sobą, nie wiedząc czy iść, po co, i dokąd? *Insula* moja wpośrodku miasta gorejącego, a z nią wszystko co po stryju odziedziczyłem, dawno już w gruzach dymiących być musiała, dom na Pałatynie widziałem rozbijany i łupiony... Co było robić z sobą? dokąd się udać?

Spokojniejszy o Sabinę, nierychło teraz zacząłem myśleć o sobie... Noc zdawała się późna... wicher wzmacniał się coraz silniejszy... powietrze skwarne niosło z sobą wylizy spaleniżny, jakby śmiertelnego stosu... Nic obiecywać się nie zdawało, aby ta klęska prędko ustać mogła.

Znużony, zgłodniały, senny, powlokłem się szukać przytułku kędyś nad drogą Apijską... Tędy płynęły jeszcze ciągle tłumy z Rzymu pożarem wgnane, od Pałatynu, góry Celiusza, Eskwilinu, z tych miasta części, które już płomień objęły. Płaczące i zawodzące kobiety, z głowami spuszczone w ziemię, niekiedy

z krzykiem rozpaczę odwracające się ku zgłiszczom, jakby żegnały swe domy i bogi, mężczyźni uginający się pod ciężarem uratowanych sprzętów droższych, wielbłądy wylękle i rozbijające ciżbę, stada rozhukanych wołów i powyrywanych koni, napełniały drogę. Nie byli to już prawie ludzie ci, co szli wtedy, ale jakaś dzicz o zachowanie życia rozbijająca się, wściekła, wojująca na oślep.

Wśród zgłisku jeden tylko, jak cała ta tragedia dziwny, uderzył mnie obraz.

Na murze nad samą drogą, siedział ze spuszczone-
mi nogami obnażonymi niewolnik grecki, cynik. . . .
Z ruin płonących, gdzieś wyrwał snadź zwitek pergaminowy, jakieś dzieło filozofa, a że mu dobrze ognie pożaru przyświecały, usiadł je czytać spokojnie.

Kłosa jego głowa spuszczone była nad kartą rozwinętą, i tak był zatopiony w rękopiśmie, iż straszliwej wrzawy pod stopami swymi nie czuł i nie widział. . .
Niekiedy objuczone konie trącały o jego zwieszony nogi: uchylał je, lecz oczu nawet nie podniósł od karty. Stałem przed nim z uwielbieniem. W nędznej odzieży, wychudły, opalony, z poprzedzieranymi uszami, ze znakami niewoli na namulonej szyi, odarty... był wśród tej kłęski szczęśliwy... zapomniał o niej i o sobie.

Pozazdrościłem mu prawie. . .

Szukając schronienia, wspominałem na domek Celsusa, w którym parę razy z nim biesiadowaliśmy: stał za bramą Ostyjską. Nie mając dokąd, postanowiłem udać się w tę stronę, z niejaką nadzieją, że i jego tam znaleźć mogę.

Z wielkim trudem przebijałem się przez uliczki pełne wszędzie zgłisku i tłumu, który dzikimi krzyki

wyrażał rozpacz i miotał przekleństwa. Kupami stojący tu ludzie podawali sobie z ust do ust wieści dziwaczne, o podpaleniu przez Neronowych sług, o rozszosowanych przez pretoryan i germańskie stráže pochodniach, o rozbijanych i łupionych domach. Oburzenie było straszliwe, groźby nawet miotane głośno na Cezara i senat, ale to wszystko tonęło w jękach i płaczach.

Już pod bramą Ostyjską spostrzegłem Afra siedzącego na ziemi z dwoma moimi niewolnikami. Z tych jeden mnie poznał, i wszyscy przybiegli, zmieszani głosy oznajmując, że insula zgorzała całkiem, że do gruzów nawet nie dozwalały się zbliżać rozstawione wszędzie stráže i nie z nich ratować. Dom na Palatynie rozbity, tłukąc mury taranami. . . i rozgrabiono do szczytu.

Z chłodną krwią, patrząc na nieszczęśliwszych od siebie, zniosłem dotykającą mnie klęskę... Milcząc powlokłem się z nimi ku domowi Celsusa, więcej rozmyślając nad przygodą Sabiny i tém wszystkiém, czego byłem przypadkowym świadkiem, niżeli nad własnymi stratami.

Celsus, z którym rozstaliśmy się w progu mojego domu, bom go w zamieszaniu uliczném natychmiast z oczu stracił, nie mając, jak przewidywałem, gdzie się podziać, wbiegł był także do swojego domu. Znalazłem go pogrążonego w zadumaniu, przerażonego straszliwym Rzymu upadkiem. Powitał mnie serdecznie, a widząc poranionego, zwałanego błotem, upadającego na siłach, kazał natychmiast przygotować kąpiel i łożę. Pierwsza zwłaszcza była mi bardzo potrzebna. Orzeźwiony nią, wzięwszy Afra z sobą, nie mówiąc dokąd idę, powróciłem wśród nocy jeszcze w to

miejsce, którą Sabina do krypt była zeszła, nie okazując tylko niewolnikowi skrytego wnijsia.

Czekaliśmy tu do dnia, azali nie wyjdzie i pomocy jakiej potrzebować nie będzie; aleśmy spędzili leżąc na ziemi godzin kilka na próżnym niepokoju, nikt się bowiem nie ukazał. Pożar rozszerzał się ciągle; nocy téj nieszczęsnej nikt pewno oka nie zmrzył.

Nazajutrz płomienie rozciągnęły się jeszcze dalej i silniej, pożerając co tylko na drodze spotkały; tak było i dni następnych. . . Świątynię Jowisza Statora, Romulusową, świątynię Westy i Rzymu penaty, Tuliuszową, Dyany, Herkulesa, Ewandrową ogień spustoszył. Pamiątek tych starego Rzymu, kolebki jego, równie prawie każdemu żal było jako własnego mienia. Kapłani stali na wschodach i darli na sobie szaty z rozpacz. Błądziliśmy wśród zgłiszcz, zaduchu, dymu, razem z innymi pielgrzymami, stawaliśmy jak pijani i oszaleli... Powracałem do domu Celsusa, siedłem na Apijską drogę, przedzierałem się w ulice — i tak przeżyłem dni kilka w jakimś obłędzie, nie wiedząc prawie co się ze mną działo. Pożar to ugasał na pozór, to znowu wzmagął się, rozrzucał, szerzył. . .

Czwartego podobno dnia, gdy znużony i bezsilny zasnąłem twardo w gościnnym domu przyjaciela, nad wieczór obudził mnie Celsus powracający z Palatynu.

— Wiesz — rzekł — Neron powrócił z Antium, za późno jednak, bo gmachy jego na Palatynie całe niemal zniszczone... tylko zgłiszcza ich dymią i ściany nagie sterczą. Została dawna dzielnica niecała i Mecenasowa wieża, do której przeniesiono uratowane wieńce Cezara, jego lutnie i posągi wystawiające go w stroju Cytaredy. Najpierw o nie zapytał. . . Faon powiada, że skóra wężowa oprawna w złoto,

którą nosił dopóki żyła Agrypina, mając ją za puklerz przeciwko czarom . . . znikła wśród zamieszania. . . Widziałem Nerona. Nie sądź, by opłakiwał klęskę Rzymu—uśmiecha się.

— Odbudujemy go stokroć piękniejszym—woła.— To były liche lepianki, ciasne przejścia niegodne ludu rzymskiego, wśród których dusić się nieraz musiano; zbudujemy miasto Cezarów dla Cezarów ludu . . . świątynie... place... termy...

Potém wszedł na wieżę i przypatrywał się długo z zachwyceniem.

— Cudownie piękny pożar! — zawołał klaszcząc w dłonie... Co za obraz! jaka wspaniałość! Dajcie mi lirę, dajcie mi lirę!..

Podano. Stał i śpiewał zniszczenie Troi, chwila mi przestawał... jakby przysłuchując się wtórującym mu jękom i krzykom... złudzenie go radowało, unosiło, patrzył jakby na zagładę Ilionu... poklaskiwał w dłonie, wstrząsał się ze wzruszenia.

Gdy zszedł z wieży, tknął go widok nieszczęśliwych, przestraszył się może przekleństw i zaczął zajmować się losem tych, co schronienia nie mieli. Rozkazał rozbijać szałas i namioty na Marsowém polu, otworzyć monument Agryppy, ze spichrzów wydawać zboże i rozsypać trochę pieniędzy.

Przy wieczerzy wszyscy milczeli posępni; on udawał wesołość. Pod koniec jął naglić pytaniami każdego z osobna aż do sług, co mogło być przyczyną pożaru?

Nikt nie odpowiadał . . . milczenie mówiło wiele zdawał się je rozumieć, sposepniał.

— Cezar tylko—rzekł—Cezar wie jeden, co zna czy pożoga Rzymu; objawili mu to bogowie. Ukarany

Rzym za to, że cierpiał bezbożną religię cudzoziemską i dawał jęj się rozszerzać. . . Tym czasem oni! oni! chrześciane są pożaru przyczyną! Od dawna prorokowali zagładę i sami ją spełnili. . . Nikt inny. . . słyszycie. . . oni! . . . Sprawa to bezbożnych, której mściwi bogowie dopuścili. . . aby nas ukarać. . . . Tylko krew chrześcian powściągnąć może zemstę bogów. . .

Bełkotał tak niewyraźnie przez wicherzę całą, mieszając do odgrózek przeciw chrześcianom obietnice wspaniałego odbudowania stolicy.

Słowa Celsusa nabawiły mnie przestachem o los Sabiny.

— Jakż więc los chrześcian czeka? — spytałem Celsusa.

— Straszliwe, bezlitosne prześladowanie—odpowiedział,—wytępienie zupełne. Gotuje się na nich edykt proskrypcyi, rozkazują chwycić, więzić tych, co by się nie chcieli wyrzec zabobonu swojego, oddawać na pożarcie dzikim zwierzętom, pod miecz katowski. „Będą się oni palili, jak Rzym z ich przyczyny się palił,—mówił Neron — lud się uspokoi i bogowie przeblągają. . .“

Przerażony tą wieścią, nie dosłuchawszy prawie opowiadania, pożegnałem go. Odziałem się i postanowiłem natychmiast iść szukać Sabiny, chociażby mi przyszło po raz drugi spuścić się do arenaryów, byle ją przestrzędz, uprowadzić, ocalić. W tym celu zostawiwszy Afra i niewolników swoich u Celsusa, pobiegłem mimo nadchodzącej nocy ku ogrodowi. Pamiętałem dobrze to wnijsięcie, i jużem się miał, odgarnąwszy gałęzie, do otworu krypty przedzierać przez zarośla, gdy ujrzałem przed sobą jakby z pod ziemi

powstającą postać kobiecą. Była to matrona, którą już raz obok Sabiny widziałem w podziemiu. Oboje stanęliśmy przestraszeni; ona jednak prędzej niż ja oprzytomniała, patrzała na mnie długo, zdając się oczekiwać jakiegoś znaku.

A widząc mnie pomieszany, milczącym, odezwała się nareszcie:

— Co wy tu robicie? Jestem właścicielką tego ogrodu, mam was więc prawo zapytać. Czy szukacie schronienia?

— Na Junonę waszą! zawołałem pokornie—składając ręce i zaklinając się obyczajem sług—powiedzcie mi... chciejcie mi powiedzieć, gdzie jest Sabina Marcya? Znaćcie Sabinę Treboniuszową?

Uśmiechnęła się na to smutnie poważna niewiasta.

— Dla czegoż jęj *tu* szukacie? spytała.

— Nie badajcie mnie, proszę, ale odpowiedzcie co rychlęj—zawołałem.—Idzie tu o jęj życie i bezpieczeństwo—jestem jęj krewny...

— Więc pewnie Juliuszem Flawiuszem! odezwała się niewiasta.

— Tak jest, samiście rzekli—ale gdzież Sabina?

— Równie rzecz ważna, jak dla was wiadomość o Sabinie, dla mnie to, czemu tu jęj szukaliście? Odpowiedzcie mi, a wówczas i ja wam odpowiedzieć się postaram.

Śmiało całą jęj moją opisałem przygodę. Widziałem przerażenie malujące się na jęj twarzy; pochwyciła mnie za rękę i rzekła głosem słabym:

— Wy nie zdradzicie nieszczęśliwych?

— Możecież mnie posądzać?

— Nie, nie—rzekła—z czoła waszego patrzy szlachetna dusza... jestem spokojna. Powiem wam. Sabinę

tu nie ma, ale jest ona bezpieczniejsza niżby tu była. Nie chciała u mnie przyjąć gościnności; ocaliły ję niewolnice trochę sprzętu i resztki mienia; na drugięj mili, za drugim kamieniem drożnym od Rzymu, stoi nad Via Apia *sepulcrum* rodziny Marcyi, tam ją znalazł dziecko z kilku sługami wiernymi. Zanieście ję po zdrowienie od Pomponii.

Ledwie tych słów dosłuchawszy, niecierpliwy powróciłem do domu Celsusa, by dostać konia i natychmiast ku nię pośpieszyć.

Afer najał mi *celesa* (konja pod siodło) i chciał towarzyszyć koniecznie, alem tylko miecz przypasawszy, sam ruszył, aby niewolnicy nawet nie domyślali się, dokąd jadę i po co.

Po nad całą tą drogą otoczoną mauzoleami, monumentami, kondytoryami, piramidami i poliandryami wszelkiego rodzaju, znalazłem tłumy ludu. Wszystkie izby grobowe pootwierane były, i służyły za schronienie bogatszym i ubogim rodzinom.

Znałem dobrze grobowiec Marcyuszów, bo i myśmy nieraz w izbach jęgo bywali z Sabina; służyły one nam dawniej na wieczorne biesiady i przyjacielskie rozmowy rodziny, ale wcale nie były wygodne na stałe mieszkanie, przeznaczone będąc na krótki pobyt, nie na stałe w nich życie. Oprócz izby podziemnej, w której stały sarkofagi i urny, było kilka na górze, dosyć nawet wykwintnych.

Mały ogródek i cyprysów kilka otaczały skromny monument, nad którego drzwiami Kwintus Lucyusz Marcyusz wypisać kazał:

SIBI, ET CONJUGI,
ET LIBERIS, ET LIBERTIS...

Marmurowe podwoje zastałem otwarte, a Sabine z dziećciem siedzącą we drzwiach górnego piętra i poglądającą na Rzym oczyma zapłakanemi.

Z po za ogrodów i drzew zieleni widać ztąd było owo morze ognia, jakby kocioł ogromny wrzący roztopionym kruszczem.

Tak się wpatrzyła i zamyśliła, że mnie ani dostrzegła, gdy m nadszedł, ani dosłyszała zbliżającego się kroków. Czekałem chwilę z poszanowaniem, póki się nie ocknie z dumania.

Dziecię spało tuż przy nię na rozesłanych kobiercach i szatach.

Spostrzegłszy mnie nareszcie, zarumieniła się; widziałem jednak, że była mi rada. Jam przystępował do nię zmieszany, upokorzony prawie dawnymi posądzeniami swojemi, nie wiedząc jak rzecz rozpocząć.

— Od pierwszego dnia was szukałem i szukam—rzekłem powoli.

— I jakżeś mnie znalazł? spytała.

— Będę szczerym—odezwałem się. Gdyście uciekali z domu waszego na Palatynie, dziecę unosząc, z całych sił was ścigałem. Nie wiem, jakim cudem wy i ja przebiliśmy się przez ten tłum w bramie Kapeńskieję.

— Jak to! wy byliście tam ze mną?

— I dalej jeszcze Sabino—rzekłem—byłem w ogrodzie na Apijskieję drodze, u studni, przy której znikliście mi z oczu, i gdzie skrwawione tylko znalazłem wasze *sudarium*.

Niespokojna wstała z siedzenia, patrząc na mnie.

— Tu—szepnąłem ciszej, obawiając się, aby nas kto nie podsłuchał—wypadkiem trafiłem na wnijście, i spuściłem się za wami w ciemne otchłanie.

— Jak to! wykrzyknęła—wy byliście?..

— Byłem, goniąc za wami, w arenaryach, przytomny modlitwie i nabożeństwu chrześcian.

Słyszając to, zakryła oczy.

— Nie obawiajcie się, przerwałem:— tajemnica ta jest dziś moją, zachować ją potrafię, potrafię poszanować. Przebacz mi, Sabino, wszystko, o com cię posądzał... lecz powiedz zarazem: godziło się dla obcych opuszczać stare bogi opiekuńcze Rzymu?

Wstała zapłomieniona, z powagą nakazując mi milczenie.

— Nie bluźnij, odrzekła powoli:—ty nie znasz tego wielkiego, jedyne Boga wszystkich ludzi, przed którego obliczem uludą i prochem są bogi wasze. Jemu odtąd ja służę.— Nie jestem Rzymianką, jestem chrześcianką! dodała...

Lecz wierz mi, Juliuszu— zaczęła mówić po małym przerwie— nie uczyniłam tego lekkomyślnie. Nie jest to płochy niewiasty rozrywka, ale postanowienie wielkiej wagi. Szukałam prawdy i światła, znalazłam je.

— Zamilczę więc, odpowiedziałem;—ale na prochy tych ojców naszych, co pod stopami twojemi spoczywają, Sabino, zaklinam cię, bądź baczna, ratuj siebie dla dziecięcia swego, dopóki czas. Z tą przestrogą i prośbą przybywam do ciebie. Neron powrócił do Rzymu z Antium; przypisuje on pożar Rzymu chrześcianom, aby mógł mścić się na nich, gotując przesładowanie wielkie. Nie przebaczą nikomu. Aenobarbus uśmiecha się zawczasu na widok krwi, którą przeleje. Uciekaj z dziecięciem do Bajów, do Tuskulum, przynajmniej dopóki ściganie chrześcian nie przeminie.

Gdym to mówił, sądząc, że ujrzę na jej twarzy smutek lub przerażenie, zdziwiłem się, widząc pokój

i jakby wewnętrzną radość wybijającą się na oblicze... Uśmiechnęła mi się.

— Zła rada twoja—rzekła mi— ale ci się przebacza, bo nie znasz nauki Tego, co umarł za ludzi!.. Kto wyznaje wiarę naszą, ten z postrachu śmierci nie ucieka. Z tymi, którzy są dziś współbraćmi mymi, cierpieć będę... Jeśli okrutnik skaże mnie na śmierć, pójdę spokojna. Mały mój Paulus znajdzie w tobie ojca i opiekuna. Jeżeli i dziecięciu nie przebaczą, poniosę je na ramionach przed tron boży, aby z aniołami śpiewał chwałę Najwyższego.

Ostatnie wyrazy szczególniej mnie uderzyły, bom ich znaczenia dobrze nie zrozumiał; mowa jej była dla mnie nową i dziwną. Sabina promieniała jakby radością jakąś — stałem upokorzony jej męstwem, milczący...

— Bądź o mnie spokojny, rzekł: — stanie się co Bóg przeznaczył, ale cofnąć się w chwili niebezpieczeństwa, byłoby to zaprzeć się Boga, prawdy — znikczemnieć. Nie! Juliuszu, ty sambyś tego po mnie, dla ocalenia mizernego życia, nie wymagał. Gdy Cezar przysłał centuryona z rozkazem śmierci, wszakże otwieracie sobie żyły, lub nóż wbijacie w piersi ze stoickim pokojem—czemużbyśmy my, gdy nakazuje Bóg umrzeć, z równym pokojem i męstwem słuchać Go nie mieli?..

Moritura te salutat! rzekła, uśmiechając się i podając mi rękę...

— Czemuż—poczęła po chwili— zamiast pożegnania z tobą, nie mogę ci powiedzieć: *do widzenia* tylko! Jakżebyś była szczęśliwa... gdybym cię choć śmiercią moją nawrócić mogła!

— Sabino—odpowiedziałem—daleko pewnie cięży mnie twoje, słowa i nauki nawrócą. Wiesz, jak ten świat rzymski ze swém zepsuciem jest dla mnie ohydny, jak nigdy nie mógł zaspokoić pragnień moich, jakem się zawsze spodziewał, przeczuwał inne prawa, obyczaje i życie. Czemużbym prawdy nie miał przyjać z ust twoich?

Spuściła oczy.

— Ja dla ciebie złąbym była nauczycielką—odrzekła powoli,—nie czuję w sobie siły po temu, ale wyszukać ci potrafię kogoś, co mnie zastąpi... Nie ufam sobie.

— Nikt jednak w świecie skuteczniej nad ciebie nie mógłby przemówić do mnie, Sabino droga—mówiłem;—ty wiesz jak ciebie kocham.

— Nie mów mi tego, o czém wiedzieć nie powinienam—przerwała mi. Wiem, że kochałeś mnie taką miłością, jakiej świat wasz ciebie nauczył — nasza całkiem jest inna. I ja, Juliuszu, kochałam ciebie i kocham, bo naszym prawem jest miłość; ale myśmy wszystkich zarówno kochać obowiązani...

Na te słowa oburzające, porwałem się prawie gniewny; Sabina kazała mi usiąść i mówiła dalej spokojnie.

— Ty mnie zrozumieć nie możesz i tłómaczysz opacznie. Nasza miłość jest braterska, czysta, spokojna; taką ci od dawna dało serce moje. Kochałam cię i kocham może więcej nad innych, może goręcej niżbym powinna, ale dopiero po Bogu moim, którego kocham nad wszystko i w Bogu...

Tu znowu stała się dla mnie niezrozumiałą.

— Nie oburzaj się — mówiła — dla was są to dziwne słowa, do których inne przywiązujecie znacz-

nie. Czémże jest miłość w tym świecie waszym? Kochacie, aby używać, dla siebie tylko; drogie wam jest co wam przyczynia rozkoszy, dla tego, że jest dla was jej narzędziem;—ale pojmujecie miłość, która cierpi, a tém mocniej kocha, im więcej boli ją kochanie? pojmujecie poświęcenie? pojmujecie wreszcie miłość czystą, świętą, siostry i brata, niepokalaną nawet myślą namiętną. Takiej miłości uczy, taką tylko dozwala wiara nasza. To, do czego zobowiązują się kapłanki Westy, jest każdej chrześcianki obowiązkiem.

— Jak to! nie ma więc małżeństw? zawołałem.

— Są — rzekła — ale błogosławione przez Boga, wiecznotrwałe, nierozzerwane, na życie, na śmierć, na wieczność...

Zamilkłem, nie umiając w wątpliwości pogodzić i pochwycić do razu co ona wypowiadała tak wymownie, ale urywkowo.

— Nie pragnę więcej nic nad to, abym się mógł nawrócić—rzekłem wreszcie;—czyńcie ku temu co wam serce siostry wskaże... jam gotów.

Wieczór się zbliżał, mrok padał, z dala biła jasna łuna palącego się Rzymu, zapach zgorzelizny aż tu nas dolatywał, niekiedy szum jakby zmieszanych głosów i syczenie płomieni... Chmura czarna wisiała nad Rzymem i długimi pasy wyciągała się ku góróm.

Sabina wstała z siedzenia i patrzyła znów długo, jakby się modliła po cichu.

— Płonie Rzym, zawołała, podnosząc rękę,—oczyszczają się ogniem nieprawości łóża... a na ostygłych zgłiszczach gotują dla nas stosy i krzyże... a po za niemi już świta nowego dnia jutrzienka... My nie dożyjemy tego wielkiego dnia tryumfu, ale będziemy

sługami co przyszlą ucztę zgotują... A do biesiady nie dziewięciu gości, lecz wszystkie społem zasiadą narody, ludy i stany, niewolnicy i królowie... jako bracia rodzeni... I będzie jeden Bóg, jeden lud, jedna wiara, rodzina jedna... jak jedno jest słońce prawdy—Chrystus...

Lecz nierychło dzień przyjdzie wielki, nieprędko słowo stanie się czynem... Narody uznają Chrystusa, i przyjmą naukę jego, a naśladować go nie zechcą; przetrwa życie pogańskie, obyczaj zostanie stary... wyrazy nowemi dawny człowiek okrywać się będzie...

Juliuszu, Juliuszu!—dodała—ileż wieków potrzeba, aby słowo czynem się stało?

Powtarzam ci, jak umiem, jój wyrazy, niedobrze może zrozumiane, więc i nieoddane wiernie. Byłem wzruszony i przejęty. Noc się zbliżała, należało mi odjechać, począłem jeszcze jój prosić i zaklinać, aby starała się ocalić.

— Nic nie uczynię—odpowiedziała,—aby się narażić na niebezpieczeństwo, ale nie pocznę też nic, by się od niego ukryć i uchować, gdy drudzy cierpieć będą. Jeżeli w jakikolwiek sposób pociągną mnie do wyparcia się wiary mojej, stracić wolę życie, niż fałszem skalać usta.

— Pomnij—odezwałem się jeszcze—że dom twój rozbito i zrabowano, że i w nim znaleźć się mogły jakie chrześcijańskie oznaki; to samo będzie już dostatecznym powodem do oskarżenia. Cezar może pożądać twojego domu i ogrodu na Palatynie, bo dziś mówią o rozszerzeniu gmachów, o wzniesieniu dlań kolosu, jakiemu równego świat nie widział. Nie może to być powodem do oskarżenia, do prześladowania ciebie? nie lepiejżeby uniknąć go ucieczką?

— Ucieczką? dokąd? — spytała — któż kiedy uciekł od swoich przeznaczeń, Juliuszu?

Nie śmiałem nalegać; wymogłem tylko, że we wszelkiem niebezpieczeństwie nie zapomni o mnie, odezwie się, zawoła. Kazała mi odchodzącemu pocałować swe dziecko śpiące.

— Pamiętaj—rzekła—o niem....

Takeśmy się rozstali.

Kończę na tém ten list długi do zbytku...

Rzym jeszcze płonie, zdaje się, że płomień nie ugaśnie, aż oparłszy się o pustynię. Trzy części stolicy leżą w gruzach, ledwie czwarta ocaleje...

Neron troskliwym okazuje się dla ludu, ale w oczy śmieje się ażalającym na swe straty patrycyuszom i rycerstwu, do senatorów tyłem się obraca. Rozdrażnienie przeciwko niemu wielkie, upodlenie przed nim większe jeszcze.

Za dni kilka napiszę znowu sam, lub Celsusa uproszę, aby ci doniósł, co dziać się będzie. Celsus równie jak ja zdaje się do Gallii wybierać; mnie tylko los Sabiny wstrzymuje... Na legie wasze rachuje tu bardzo wielu... zrozumiesz łatwo.

XVI.

Celsus Anarus Kajusowi Makrowi zdrowia.

Zdziwicie się pismu, pieczęci i imieniowi dawno zapomnianemu: Juliusz Flawiusz prosi mnie, abym go wyręczył, gdyż po tych wypadkach niemoc nim owładnęła, i Chryzypp kazał mu się zachowywać spokojnie, wstrzymując go nawet od pióra. Przyrzekłem mu, że za niego do was napiszę, ale list mój jego pisma nie zastąpi... *Voluisse sat est*, powiedział poeta.

Pożar, który kolebkę Rema i Romula zniszczył i niezmierne pożarł skarby, nareszcie po dniach sześciu i siedmiu nocach, ugasać zaczyna. Okropny widok tego zniszczenia, zgłiszcza, rumowisk i popiołów, stosu ofiarnego (rogus), na którym ostatnie starego grodu Numy spłonęły pamiątki. Lud płacze więcej penatów swych niż własnych skarbów, których mu z pod zwalisk dobywać nie wolno.

Poznać nie można niedawno jeszcze tak wspaniałego Rzymu w tych okopconych murach, których sterzą reszty z poopadałemi dachy i na pół obalonemi kolumnami. Smutek a raczej boleść jest powszechna i nieopisana.

Co powiedzą barbarzyńcy? jak się rozradują nieprzyjaciele?

Cezar czynnym się chce okazać, okręty zboże przywożą, a gruzы oczyszczone z tego, co w nich kosztowniejszego znaleźć się mogło — a co na skarb zabrano — splawiają. Lud koczuje na polu Marsowém, tuli się po grobowcach i w arenaryach. Zapowiadają nam Celer i Laceres Rzym nowy, a raczej Neropolis o szerokich ulicach, o świątyniach olbrzymich; — my płacemy po starzej matce naszej.

Spędzić mają jeńców wojennych z całego państwa, aby pracowali około domu złotego Cezara, który w sobie wszystko, co świat ma, mieścić będzie.

Nim się doczekamy igrzysk nowych, chrześciance dostarczą pastwy; poczęło się już chwyatanie ich, ściąganie i tępienie powszechne.

Będzie to zapewne rzeczą dla was nową, gdy wam powiem, że poszukując ich pomiędzy niewolnikami, na wielu patrycyuszów, na wiele matron rzymskich trafiono.

Byłem na dworze, gdy o tém wiadomość przyniesiono Neronowi, wymieniając Pomponię, Grecynę i kilka innych imion znaczniejszych. Zaśmiał się z razu, ale potem widać było zdumienie i przerażenie, które ukryć usiłował, pytając po kilkakroć, czy być może, by zabobon żebraków wkraść się do możniejszych domów i jakaby rozpustą je zgęcił? Ciekawszym począł być i téj wiary, i jég obrzędów, i jég uroku.

W istocie jest czemu się dziwić, jest czém niepokoić... ale Rzym sam zgubę swą zgotował bezbożnością...

Z listów Juliusza znacie może nieco usposobienia moje; nie zdziwicie się więc, gdy wam ja, dworak

Aenobarbusa, przesłę jako nowość wiersz, który po Rzymie obiega. Turnusowi go przypisują.

Mówi on o poetach śpiewających chwałę Nerona:

„Więc śpiewać będą... głód i jego męczarnie, truczynę w jądło wmieszaną zdradliwie; śpiewać będą państwa zgrzybiałość, wycieńczenie, które pokojem zowią, które ci ludzie zdobią imieniem złotego wieku; naostatek pożar Rzymu, marmurowego grodu, pożar godny łez tyłu, sławiony przez nich jako widok przepyszny, *pocieszający oczy wśród nocnych ciemności.*

„Opiewać będą syna cieszącego się ze zbrodni, która mu się powiodła szczęśliwie, z zabójstwa matki,—syna urągającego się furiom mścicielkom, co przeciw nim nowe furye stawia, inne żmije, potwory nieznane, występki okropniejsze jeszcze. Jego okrucieństwa, szkarały jego opiewać będą, wszystko, tak, wszystko — aż do tego poczwarnego związku z dziecięciem, które poślubił — pomnika ohydnej namiętności.

„Muzy rumieniec wstydu postradały; imienia dzieviczystych, czci swojej zapomniały — wszystkiego! A! wstyd skonał, mądre siostrzyce zhańbione, pod przybraniami imion na bezrząd się puściły... One święte córki boże, które ród ich nad ludzkość wynosił, nad życia nędzę, ciała swe zaprzedały za podłą zapłatę...

„Szczęśliwe poddają się zuchwałym zachceniom jednego Menasa, hołdują uśmiechom Poliktetów... słówko pochwały napęnia je rozkoszą... Miłość ich zapala te czoła noszące jeszcze piętn znamiona, łańcuchy tych, co wczoraj byli Getą, blizny niezgojonej chłosty... Dalej sięgają jeszcze, zapominają o bogu swym ojcu, o bogach swych braciach, o staréj czci, która surową otaczała cnotę; furiom i potworom przymilać się sta-

rają... bezecne rozkazy niegodziwego Tytusa w ich śpiewach stają się wyrokami Opatrzności — hołdy niebu nalezne sprzedają piekłu... Śmieją już wznosić bezbożne świątynie, ołtarze bezbożne; przez nie ci synowie ziemi, których niegdyś odtrącił Olimp, panować mają w niebiosach — a głos muz głupi świat oszuka!“

Posyłając wam tę nowość i oznajmując zarazem o chorobie i o powolném przychodzeniu do zdrowia Juliusza naszego, kończę nadzieją, że on sam rychło wam o zupełném wyzdrowieniu doniesie. *Vale!*

XVII.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Dłuższe było milczenie moje niżelim mógł przewidywać, Kajusie miły, gdy m się uczuł chorym a Chryzyp mi odpoczynek zalecił. Pokój ciała nie dał spokoju duszy, a ona była sprawcą choroby; przeleżałem więc długo i przeboleałem wiele. Nareszcie znowu powstałem na nogi. Wiesz wszystko co się mnie tyczy, znasz dobrze moje do Sabiny przywiązanie, dla której tćm gorętszą czuję miłość, że w pomoc jćj przybyło poszanowanie.

Od chwili gdy ją w kryptach na modlitwie ujrzałem, gdyśmy szerzćj o nowćj wierze mówili z sobą na grobowcu Marcyuszów, nie przestałem myśleć jak się do nićj zbliżyć, jak od nićj zaczerpnąć tego światła, którćm promienieje cała. Czuję to, że nikt lepićj nad nią, nikt nad nią prćdzejby mnie na drogę prawdy nie wprowadził. Umysł to mćzki, serce szlachetne: nie mogłaby przylgnać do ladajakiego zabobonu; a to, co *ja* od bogów naszych odwróciło, zdolne jest pewno zaspokoić wszelką duszę światła pragnącą. Na

ślepo temu wierzę: nie dałaby się uwieść marnym ułudom i tajemnicom czarodziejskim...

Myślami temi mćczyłem się w ciągu choroby mojęj, a Chryzyp mimo niecierpliwości wciąż na łozu, w łaźni i domu wstrzymywał mnie, powtarzając zdanie Seneki:

Optimum est pati quod emendare non possis.

(Znieść jest najlepićj czego przemienić nie można).

Długim mi się czas ten wydał; samiśmy bowiem we trzech siedzieli, i rzadko kto nas odwiedził, mieli wszyscy zajćcia i biedy własne. Dwa razy tylko ożywiło samotność naszą przybycie Epicharydy, potćm Lejusza — pisałem ci o jednćj i o drugim...

Epicharys przyszła dla widzenia się z Celsusem, do którćgo mieć musiała tajne poselstwo jakieś; za nią też parć osób późnićj przysunęło dla narady.

Wszakżem opisywał ci kto jest i jak wygląda piękną libertyna? Pożar Rzymu dotknął ją jak innych; mieszkała niedaleko cyrku, spłonęły z domem wszystkie jćj dostatki, z których uratowała ledwie tyle co na pierwsze potrzeby starczyć mogło. Z kosztownych bardzo sprzętów, których jćj niejeden bogacz zazdrościł, została kupa śmieci. Mówią, że nazajutrz potracając nogą popioły, śmiejąc się, zawołała tylko z Horacyuszem:

Pulvis et umbra sumus...

Nigdy obojętnićj stoik żaden elbrzymićj nie zniósł straty; wprawdzie nie pierwsza to była w życiu... Kazała sobie otworzyć grobowiec, który niegdyś własnym kosztem postawiła dawnemu kochankowi, i powitawszy cienie jego libacyą, do niego wniósł się wesoło, gromadząc do koła służy swe i ubogich. Pierwsza jćj

coena składała się z liści malwowych, trochy cykoryi z oliwą i kawałka twardego chleba... Dziś śmieje się wyliczając co utraciła, i rusza ramionami, gdy się kto nad nią lituje.

Słyszeliście może o sławnych dwóch naczyniach, które Neronowi przywieziono z Grecyi: zowią je Homerowemi; kosztowały tak bardzo wiele, iż się lękać napisać co je ceniono. Gdy w Rzymie mówić o nich zaczęto, Epicharys uwzięła się mieć choć jedno podobne, aby nie sam tylko Neron niemi się chlubił. Jak je nabyć potrafiła, nie wiem; podziwiali wszyscy, ofiarowano jęj za nie coby chciała; trzymała wszakże aż do pożaru, który je zniszczył. Sądziłem, że nad niem płakać będzie... ale już nawet nie myśli.

Epicharys jednak teraz po ogniu zaciętszą jest jeszcze nieprzyjaciółką Neroną niżli kiedykolwiek była; wcale się z tém nie tai, że czynnie należy do spisku przeciwko niemu. Domyślasz się, że przybycie jęj do Celsusa miało na celu porozumienie się w tym względzie; niebardzo nawet tajono się z tém przedemną. Słyszałem przez ścianę, jak nagliła o pośpiech w wykonaniu.

Byłem mimowolnym słuchaczem narady, w której Epicharys podżegającą niosła pochodnię, miotając nią z niesłychaną prawdziwie gwałtownością. Przybył tam i Feniusz Rufus i stary Kornutus, który spiskom był przeciwny, bo jawnie czynić doradzał, senat zebrać i ogłosić Neroną nieprzyjacielem Rzeczypospolitej. Rufus godził się niemal z Epicharydą, pośpiechu także żądał. Szły narady jak zamach wykonać: Epicharys żądała, by Pizon zaprosił go, często goszczącego w okolicach Mizeny, do swojej willi w Bajach,

i tam, gdzie on matkobójstwo popełnić kazał, karę wymierzył za nie.

Sama ofiarowała się do Mizeny jechać i dowódców floty do spisku wciągnąć.

Ale Pizon, jak się zdawało, praw gościnności naruszyć nie chciał.

Z łoża mego słuchając tych narad, tak nieopatrznie czynionych, dziwnego doznawałem wrażenia; lecz nie mi tak w pamięci nie utkwilo, jak słowa Kornutusa, który długo milczącym narad był świadkiem, a wreszcie nagłaco o zdanie spytany, odrzekł powolnie z powagą:

— Darowano kobiecie, że na śmierć skazuje nie-nawistnego sobie człowieka, innego nad ten nie widząc środka ocalenia Rzeczypospolitej... szukając oręża w spisku i zabójstwie. Ale cóż pomoże Rzymowi, że Neron zgładzony zostanie? Zważcie, że nie jego występkiem ginie Rzeczpospolita, ale dla braku cnoty waszjej. Mógłżeby on być takim, jakim jest, gdybyście wy inni byli? Zabijcie raczej w sobie złe, a nie będziecie potrzebowali wśród ciemności, strachu i fałszu umawiać się o przelanie krwi jednego słabego człowieka, któremu niedołęztwo wasze daje siłę...

Wyrzekłszy te słowa, Kornutus powstał i wyszedł, a długo potem wszyscy jak przybici milczeli. Epicharys rozgorączkowana ukłękła i ucałowała stopy starca, ale po wyjściu jego dobijała się jeszcze żywiej natychmiastowego postanowienia... Dowiedziałem się, że wieczorem wyjechała do Mizeny, zabrawszy z sobą co miała szat, sług i zbytkownych sprzętów, już po pożarze ofiarowanych jęj przez przyjaciół.

Celsus wyznał przedemną później, gdy Rufus i inni

się porozchodzili, a jam mu nieostrożność naganiał, iż mimo gorącości Epicharydy, jój i innych spiskowych zabiegów, choć na ich czele stoi znamienity Pizon (z rodziny Kalpurniów pochodzący) — niewiele ma nadziei, aby się zamach mógł powieść.

— Wiem o wszystkiém, były słowa jego; jestem wtajemniczony pospołu z mnóstwem innych; ale widzę, że się to skończy prędzej śmiercią naszą, niż Nerona. Czas upływa, lada godzina na ślad wpadną... Co do mnie, już mi to wszystko jedno: dość życiem znudzony jestem... Przyszłą centuryona, sam sobie żyły otworzę... *Valete!*

Mam nawet do wyboru — rzekł po chwili, dożywając z zanadru złotą skrzyneczkę zawierającą truciźną kupioną u Lokusty za pośrednictwem Polliona: — oto drugi mój wybawca... Nie chcę się męczyć długo, połączonemi siły skończę w mgnieniu oka... gdy mi oznajmiał, że umrzeć potrzeba, potrafię godnie i bez zwłoki...

Uściskałem go ze łzami w oczach. O Kajusie miły, co za czasy! jakie życie! jak ciemno i chmurno do koła!

W parę dni potem spotkały nas niespodziane odwiedziny Lucyusza, który zawsze jest jeszcze w wielkich łaskach u Cezara, dzieląc je ze Sporusem, Faonem, Epafrodytem, Akta i Tygellinusem... Równie też jak oni spodlony. Lucyusz nie zapomniał o Sabinie; zdaje mi się nawet, że ona była powodem odwiedzin jego u Celsusa, u którego ze gościłem wiedział. Przyszedł do mnie do łóża i pochylił się, użalając nad chorobą, którą zbliżeniem się swém powiększył. Nie zaraz jednak przystąpił do rzeczy, i począł najprzód od pochwał Nerona.

— Cezar — rzekł — opłakiwał i opłakuje zniszczenie starego grodu; ale ujrzenie jak wspaniały, godny Nerona, wzniesie na gruzach jego... Nie poznają Rzymu dawni mieszkańcy: rozszerzą się ulice, każda insula przyozdobi się portykami o płaskim dachu, z którego na wypadek ognia bronić jój będzie można... Na nowe domy kamień kosztem Cezara przywieziona z Gallii, bo tego ogień pożyczyć nie może. Na Palatynie i Eskwilinie stanie olbrzymi gmach złoty, godny wielkiego Cezara, tysiące stop długie portyki, przed-sienia sto stop wysokie...

Tak poświęwszy najprzód długą mowę pochwałąm swojego Aenobarbusa, i ubolewając, że cnot jego ludzie nie widzą, a zbrodnie cudze na karb jego kładą, zwrócił się powoli ku mnie.

— Cóż wy? co czyni Sabina? spytał; jużście to o nią zapomnieli? dla czego od pożaru nie widać jój ani słyhać o niej? miałażby paść jego ofarą?

Odpowiedziałem mu kłamstwem wprawdzie, ale wymawiając się zupełnie jój losu niewiadomością.

— Jeśliż wy nie wiecie, rzekł uśmiechając się, a któż wiedzieć będzie? Mielizbyście, zrozpaczywszy — dla pięknej, ale zbyt płochą a gwałtowną Epicharydą, która tu was odwiedza — o ślicznej Sabinie zapomnieć?

Nic na to nie odpowiedziałem.

— Gdyby w istocie tak było, rzekł po chwili, gdybyście woleli Epicharydę, bardzobym rad był temu; bo was się, Juliuszu, jedynie obawiałem, a bądź co bądź tę surową Westalkę skłonić muszę, by Lucyuszową się stała kochanką. Użyjcie środków wszelkich; im surowsza jest, tém ponętniejsza dla mnie. Nie słyszeliścież nic?

Milczałem ciągle, ale wstyd i gniew mną miotały, ile razy przez usta jego imię to przechodziło. Szczęściem prawie pewien jestem, że albo ję znaleźć nie potrafi, lub jutro o nię zapomni.

Trzeba mu było wszakże coś odpowiedzieć.

— Nie pojmuję, rzekłem, jak wy Lucyuszu możecie pałać taką namiętnością dla kobiety, z którą nie wspólnego w charakterze i usposobieniach nie macie. Jest to dziwactwo miłości własnej, która ugania się za niemożliwem, a wkrótce ostygnie.

— Nie, odparł Lucyusz: wy mnie nie znacie, lub co gorsza, nie znacie nawet natury tej miłości własnej, o której wspominaliście. Gdyby to była prosta namiętność i żądza, prędzejby ona mogła się stłumić lub uspokoić czem innem, coby ję gwałtowność zmniejszyło; ale miłość własna nigdy się zwyciężyć nie da, gdy raz w swe szpony człowieka pochwyci. Nie myślcie, bym o Sabinie zapomniął, albo choć na chwilę porzucił zamysł zwyciężenia ję dumy i wstretów... ciągnie mię ona ku sobie więcej niżbym sam pragnął...

Milczałem, aby go sprzeciwianiem się nie rozżalać, ale sam wznawiał rozmowę...

Mówiliśmy o czem innem,—przeraził mię w końcu, zapowiadając z lekkością sobie zwykłą ciekawe widowiska męczeństwa tych ludzi, których chrześcianami zowią... Wiedział już, iż wymyślnie ich męczyć miało, czyniąc z tego igraszkę.

— Nero wymyślił, dodał w końcu, rodzaj śmierci osobliwszy: obwiniętych słomą, odzianych kłakami, oblaných smołą palić będzie, i żywemi pochodniami temi ogrody swe oświeci... Jest ciekaw głosów, jakie wydawać będą, konając...

Z tém nas pożegnał, zacząwszy piosenkę Horacyusza, do której śpiew sam dorobił:

*Nox erat et coelo fulgebat Luna sereno... *)*

(Noc była, księżyc świecił na niebie jasnem).

Możecie sobie wyobrazić, jak mnie poruszyła rozmowa, wieści, pogrozki... Drzę o Sabinę. Lada niewolnik niechętny lub chciwy zdradzić ją może.

Z mnóstwa Sabiny współwyznawców nie znajdzie się słaby, co broniąc siebie, drugich gubić zechce i imiona ich podawać?

Myśląc o tém truchleję; bo któż w dzisiejszych czasach, gdy praw już nie ma żadnych, pewien być może jutra? Iluż to chciwych mienia, łaski, zemsty, przypochlebiania się, czyha tylko na zręczność! Sabina jest tak nieostrożna, a kryć się nie umie i nie chce...

Nie, Kajusie drogi, nie oczekuj mnie w Gallii, ty raczj tu przybywaj, ale z legiami waszemi w pomoc tym, co upokarzające jarzmo zrzucić pragną. Rzym już jest tyle zniewieściał, że sam na coś się nie odważy, ale dopełnionej sprawiedliwości przykłaśnie. Oby was bogowie sprowadzili!... *Vale!*

*) Epod. 15.

XVIII.

Lucyusz Helwidyusz Sofoniuszowi Tygellinu-
sowi zdrowia.

Pilną sprawą zajęty, która mi nie dopuszcza u drzwi waszych złożyć ci czci należnej, do was mężu najczcigodniejszy, najmilszy Cezarowi ojcu ojczyzny przyjacielu, którego imię czczę na równi z imieniem Augusta naszego — szlę te słowa prośby pokorniej.

Wyjednać mi raczcie u bożkiego Nerona, któremu zazdrości Apollo, który dzieli swemi i potęgą Herkulesa przechodzi, bo siłę jego łączy ze słońca blaskiem, aby mi dni kilka dozwolił poświęcić własnej sprawie, usuwając się od najmilszych mi obowiązków przy osobie jego. Widzieliście i patrzycie na to, jak wiernie służę panu temu, któremu służyć jest szczęściem i zaszczytem, bo pod stopami swemi trzyma królów, a od poruszenia jego ręki drży świat cały — ale słabym jestem człowiekiem i *humani nihil a me alienum puto*. Otoż i mną miłość ślepa ośwładła, miłość szalona, ku pewnej pięknej wdowie, która mi na złość chce *univirą* (jedno-mężną) pozostać. Opowiadam wam sprawę moją, gdyż wy, jako ziemskie bogi, nic przed sobą

skrytego mieć nie powinniście. Niewiasta owa znikła mi po pożarze Rzymu, którego wspomnienie jedno niezównanej wspaniałości widok na pamięć mi przywodzi. Nie wiem, gdzie się ona ukryła; postanowiłem ścigać i wynaleźć: będziecież mieć litość nademną?

Licząc się do sług tego pana, dla którego nie ma rzeczy niepodobnych, mogę dopuścić, abym był znieważony, odepchnięty i dał się innym wyprzedzić? Chcielibyście, aby nieprzyjaciele Cezara naśmiewali się i urągali z niepowodzenia sług jego? Obejmując nogi wasze, proszę i proszę ponownie o wyjednanie mi dni kilku swobody u najwspanialszego z władców.

XIX.

Sofoniusz Tygellinus Lucyuszowi Helwidyszowi zdrowia.

Prośbę waszą sam Cezar czytać raczył, i zgadza się na krótkie uwolnienie wasze od dworu, z warunkiem, abyście mi ze spraw waszych wierny zdawali rachunek. Listy wasze na ręce moje przesyłane być powinny. Życzę, aby wam Wenus zwycięzka i syn jej w wyprawie tej sprzyjali. Cezar Augustus Apollo wystawia dziś na scenie *Herkulesa Szalejącego*; mnie mam więc, że nie omieszkacie znajdować się w teatrze, aby z rozkoszy słyszenia największego w świecie artyści korzystać. *Vale!*

XX.

Lucyusz Helwidysz Sofoniuszowi Tygellinuszowi zdrowia.

Spełniam bożkiego Cezara ojca ojczyzny rozkazy. Nazajutrz po owiej rozkoszy, jakiej doznałem, słuchając na scenie tego, który nie ma równego sobie nawet pomiędzy bogami, rozpocząłem poszukiwania, od ścisłego przetrząśnienia domu Sabiny Treboniuszowej na Palatynie.

Nie znalazłem w nim jednak żadnego zbiegłej śladu; tylko śmieszną i dziwną pogłoskę pomiędzy ludźmi, którzy gruzы przetrząsali, o znalezieniu w nich śladów jakichś chrześcijańskiego zabobonu. Zapewne któraś ze służebnic Sabiny, jak wielu innych niewolników, zarazie tej żydowskiej uległa.

Rozmyślałem długo, jakbym najłacniej na trop zbiegłej niewiasty mógł trafić; wtém zazdrość szczęśliwie podszeptała mi, abym nie wierząc zapewnieniom współzawodnika mojego i krewnego Juliusza Flawiusza, starał się śledzić jego kroki. Juliusz należał do gorących wielbicieli Sabiny, a chociaż później zdawał się obojętnieć dla niej, nakłaniając ku pięknej, ale pło-

chój Epicharydzie, którą zna Rzym cały, następczoną podobno przez Greka lekarza, jako antydotum przeciw miłości zbyt gorącej a próżnej, posadzałem go zawsze o zachowanie dawnych uczuć dla Treboniusza wdowy. Wnosiłem, że musi wiedzieć o jej ukryciu. Nie mogąc sam ścigać Juliusza i śledzić, nasadziłem nań zręcznego niewolnika Getę, który zasiadł w przeciwną domowi *cauponie* i z oka go nie spuszczał.

Rachuby moje nie omyliły, oby to było wróżbą dalszych powodzeń; zręczny Geta dał mi wiedzieć, że Juliusz codziennie prawie jeździ do grobowca rodziny *Marcyuszów*, w którym się jakaś niewiasta z dziećmi ukryta znajduje. Z opisu poznałem w niej Sabinę, i nazajutrz podkradłszy się pod mauzoleum, widziałem jego przybycie, patrzałem na nich do późna z sobą rozmawiających.

Dziś lub jutro spadnę tu niespodzianie...

W proch upadam przed obliczem Jowiszowóm Cezara Augusta.

XXI.

Sofoniusz Tygellinus Lucyuszowi Helwidyszowi zdrowia.

Z rozkazu Cezara Augusta, który dziś w teatrze przedstawia *Orestesa Matkobójcę*, oznajmuję wam o tém. Potrzeba, abyście wy i inni przyjaciele sztuki przybyli napawać się rozkoszą, jaka niewielu szczęśliwym naszego wieku jest dana. Poufnie uczynię uwagę, iż w przedstawieniu *Herkulesa Szalejącego* Cezar był istotnie Herkulesem, przewyższył wszystkich, samego siebie; dla czegoż głosy, co mu sprawiedliwość oddać miały i zabrznieć uwielbieniem, głosy *Augustanów* naszych, słabiej się odzywały niż były powinny? Cezar Augustus czuje to mocno i pyta: — Powiedźcie, byłem słabszy niż zwykle? nie potrafiłem pozyskać względów widzów moich? lub czyli ukarali mnie za to, że niezgrabnie przytwardzona lwia skóra z ramion się moich zsuwała? Lucyuszu, powinniście to naprawić oklaskami, głosami, brzękami w dniu dzisiejszym. Gotujcie wieńce... przychodźcie. Cezar Augustus jest smutny...

Po pierwszym liście twym, długie milczenie zadzi-

wia Cezara Augusta, który w niém przeczuwa albo zupełne niepowodzenie wasze mimo tak świetnych obietnic pierwszego listu, niezrozumiałe i wam uwłaczające, lub występłą na rozkazy jego obojętność. Oczyszćcie się wyznaniem prawdy, i donieście mi, co z wami się dzieje. W teatrze być nie omieszkajcie. *Vale!*

XXII.

Sabina Marcyja Zenonowi Ateńczykowi
zdrowia.

Ani słowa od was nie mam, mistrzu drogi, po liście ostatnim. Zasmuca mnie to wielce; byłabym niespokojna o życie wasze i zdrowie, gdyby świeżo przybyły z Aten Palladyon, którego Chryzyppos widział, nie zapewnił, że widział was zdrowego i czerstwego, rzeźwo przechadzającego się pod Portykiem z cieniami wielkich nauczycieli ludzkości. Przypisać więc muszę milczenie temu chyba, że Sabina wasza chrześcianką została i wstręt w was przez to obudza. Wiara moja, Zenonie, tę wszakże nad innemi ma wyższość, że mi nie tylko dozwala, ale nakazuje kochać wszystkich, wybaczać wszystkim i żadną mądrością zgodną z jej zasadami nie gardzić. Przyznaje ona, że ją poprzedziły błyski objawienia bożego, przez mężów wybranych głoszone, jak błyskawice poprzedzają gromu uderzenie. Obawiając się wszakże, bym ci opowiadając o rzeczach wiary naszej natrętną nie była — wolę ci mówić o sobie.

Wieść stugębna przyniosła wam już pewnie opis

pożaru Rzymu, okrutnego, niszczącego, który z dzielnic jego czternaście, ledwie cztery nietknięte zostawił. Gruzy zalegają prawie wszystkie siedm gór Rzymu, choć je już okręty wywozić zaczęły.

Straciłam i ja w ogniu tym dom i znaczną część mienia mojego; ale mogę się ja skarżyć, gdy inni postradali wszystko?

Boli mnie tylko, że nieszczęśliwym braciom współwyznawcom w pomoc, jakbym chciała i obowiązana jestem, przyjść nie mogę.

Wkrótce po wygaśnięciu płomieni schroniłam się do grobowca mojej rodziny. W górnych jego izbach niegdyś odbywaliśmy biesiady, przypominając naddziadów; nieraz z matką, ze stryjami i pokrewnymi weselsze spędzaliśmy tu godziny; teraz mi ten jeden tylko został przytułek. Przykro mi, że w pięknej sali, którą teraz zamieszkuje, wszystko przypomina tych bogów, co już moimi nie są, inne obyczaje i pojęcia. Zasłoniłam Jowisza z orłem, aby na niego nie patrzeć. Jowisz mój inaczej wygląda. Nie silny, nie zwycięzki, nie potężny światu się objawia i ludziom, ale jak oni bolejący, jak oni umęczony, upokorzony i wielki tylko swą bożką siłą cierpienia, zwyciężającą słabość natury człowieczej.

Sądziłam, że tu samotna czas jakiś pozostanę, i rada byłam z tego, bom mogła bez przeszkody myśleć, modlić się i nad sobą pracować; ale znaleźli mnie tu przyjaciele i nieprzyjaciele moi. Odkrył najprzód to schronienie Juliusz Flawiusz, zacny młodzian, którego kocham jak brata, a mam nadzieję nawrócić i do bram światłości zaprowadzić. Głębokie mam przekonanie, iż dusza jego prawdzie przystępna będzie, bo jęj całe życie pragnęła. Z troskliwością ma-

tki i siostry pielęgnują to ziarno, z którego jasny kwiat kiedyś wystrzeli. Wcale różny od Juliusza, jest drugi pokrewny mój, Lucyusz, Nerona ulubieniec, zepsuty jego przykładami, którego nieszczęsna jakaś namiętność w ślad za mną goni. Radabym stać się brzydką, aby się od niego uwolnić. Nie mogę pojąć, jak Lucyusz potrafił odkryć mieszkanie moje, i drzę cała na wspomnienie przestachu, którym mnie przybycie jego nabawiło.

Siedziałam u kolebki małego Paulusa mojego, gdy niespodzianie zatętniało na drodze. Sądziłam, że Juliusz przybywa, gdy posłyszałam otwierającą się bramę; wstałam na przyjęcie jego uradowana. Już miałam na ustach wykrzyk i pozdrowienie, gdy Lucyusz uśmiechający się, dumny, zwycięzki stanął przedemną.

Cofnęłam się pomieszana i zbladła.

— Wiem, zawołał, widząc przestach mój: że Sabina Marcya na kogo innego oczekiwać musiała i pragnęła powitać; nieszczęściem, nie ukochany Juliusz, ale Lucyusz nienawistny się stawia. Ale czyż zawsze nienawistny wam będzie?

— Zawsze, odpowiedziałam, dopóki Lucyusz równie będzie zuchwałym i bezwstydnym—dopóki Lucyusz będzie Lucyuszem.

Zaczerwienił się od gniewu.

— Co to ma oznaczać? spytał.

— Chcecie, abym wam to wytłómaczyła? odparłam, Uczynię to najchętniej. Spojrzcie na siebie: wyglądać wy na męża, któregooby uczciwa mogła pokochać, a choćby znosić niewiasta? Macież przymioty coby was poszanowania godnym czyniły? Wierście mi, ani włos utrefiony, ani wybielona twarz nie zyszcza serca godnej tego imienia matrony rzymskiej. Czegoż zre-

sztą wy chceć możecie odemnie? Znacie mnie: płochą nie jestem. Miałam męża jednego i *univira* umrę... Nie miałam ani jednego kochanka, i mieć go nie będę. Wiem, że inny jest obyczaj mężczyzn i niewiast, z którymi obcować przywykliście; ale ten nigdy moim nie będzie...

— Strzeżcie się, przerwał mi Lucjusz gniewnie: wiecie z kim obcuje i przeciw komu to mówicie! Jestem domownikiem Cezara Augusta...

— Wiem o tém, odpowiedziałam, ale zarazem jesteście domownikiem Hippia, Cezennii, Bibulii i Leufelii?

— Dla czegoż nie wyrzucacie Juliuszowi waszemu, że jest przyjacielem równie płochój Epicharydy?

— Bo wierzę, znając Juliusza, że jeśli jój sprzyja, Epicharys lepszą i zacniejszą być musi niż Cezennia i Leufelia...

— Jak to! jedna *Ilbertina*, lepszą, zacniejszą nad kobiety z krwi waszój, patrycjuszowskiej pochodzące? zapytał.

— Krew ta dawno w nich zmieszała się z błotem! odrzuciłam gniewna...

— Sabino — rzekł Lucjusz, bledniejąc i rwąc złote frendzle swojego płaszcza — przestrzegam was, zaklinam na Junonę waszą, nie obchodźcie się ze mną nazbyt surowo... nie przywódcie mnie do ostateczności, nie obudzajcie zemsty w sercu mojem... Nie macież nic, coby na was także ciężyło i dawało mi oręż do pomszczenia wzgardy waszój?

— Więc pragnęlibyście się pomścić! O hańbo! zawołałam, o wstydzie! Ty, mężczyzna, użyłbyś pogroźek i strachu, aby wymódl na kobiecie, czego przymioty twoje uzyskać u niej nie mogły! Jestże to godne tych rycerzy rzymskich, od których ród swój wywodziś!

— Namiętność wymawia wszystko! krzyknął Lucjusz... miłość jest ślepa!

— Lucjusz, rzekłam: namiętność nawet człowieka uczciwego uczciwą być powinna, miłość rozumnego nie może być ślepą. Chceszże obu tych imion stać się niegodnym?

Lucjusz zakrył sobie oczy, ale nie ustępował. Opisuję ci tę przygodę, bo się dla mnie zupełnie nadspodziewanie skończyła.

— Jeżeli tak, rzekł po chwili, jeśli do wzgardy obelgi już łączysz, nie mnie nie powstrzyma, chwycę się ostatecznych środków złamania twój dumy... Wiesz przecie, że jestem poufałym domownikiem Cezara... żem przyjacielem Tygellinusa, który może wszystko... W tej chwili, gdy tu jest, gdy to mówię, obaj oni wiedzą, że gonić za tobą poszedłem. Neron kazał mi przed sobą zdawać rachunek z każdego kroku. Okryty pośmiewiskiem i wzgardą, znajduję tych, co za mnie pomścić się potrafią... użyję sposobów...

— Jakich? zapytałam zdziwiona. Cóż ty mi możesz uczynić? co oni?... Zabić chyba każecie?

— Gorzej nad to, przerwał Lucjusz... mogę cię poniżyć, zbezcześcić... W domu twoim znaleziono ślady chrześcijańskich zabobonów; ty, czy twoje niewolnice należą do sekty, nie wiem,—ale ja oskarżę ciebie... powloką cię do więzienia... któż wie? może na śmierć i męczarnie...

Usłyszawszy te słowa, z największą pogardą i oburzeniem cofnęłam się od niego.

— Podły jesteś! zawołałam... Gdybym ja takiemu nikczemnemu postrachowi uległa, stałabym się równie jak ty podłą... Nie lękam się ani więzienia, ani męczarni, ani śmierci!

Lucyusz przeląkł się siły, z jaką rzuciłam mu w oczy wyrazami temi; ale złość w nim jeszcze kipiała.

— Nieugięta jesteś! zawołał z cicha — miałabyś istotnie być chrześcianką??

Milczałam przez chwilę: sumienie moje i nauka wyprzeć się wiary nie dopuszczały, a jedno słowo oddawało mię na pastwę niegodziwemu prześladowcy. Wyznaję, że pierwszy raz w życiu wystawiona na tak ciężką próbę, zadrżałam w duszy.

Lucyusz postrzegł, jak się zdaje, niepewność tę, obawę jakąś, wahanie, i powtórzył natarczywie:

— Jesteś więc chrześcianką?

Spojrzałam na kolebkę dziecięcia, serce mi biło, czułam jak łzy gorące spływały mi po twarzy. Paulus mój mały, na pół rozbudzony rozmową, otwierał oczy i rączki swe ku mnie wyciągał, nie wiedząc, że miłością macierzyńską kusi mnie do odstąpienia Boga.

Ale w tej chwili niepewności straszliwej, w której stałam na krawędzi pomiędzy dwoma światami, poczułam jakby jasność i siłę z niebios spływającą na mnie. Serce uderzyło mi nie pokorą, ale dumą chrześcianki, córki prawdziwego Boga.

— Tak! jestem chrześcianką! zawołałam, mierząc go wzrokiem piorunującym. Oto masz, Lucyuszu, ów oręż, któregoś pożył; masz broń donosiciela, miecz, co mi życie odebrać może. Jestem chrześcianką i nie zaprę się tego, chlubię się tym przed tobą... wyznam to ciągniona na stos i męczeństwo... Ale powiedz mi, dodałam, kim tym jesteś? ty co dla nasycenia namiętności nikczemnej, dla zemsty, poświęcasz sumienie, szlachetność, poczciwość?

We mnie przed chwilą odbywała się walka ciężka;

teraz na Lucyusza twarzy ujrzałam drugą podobną. Reszta uczciwych uczuć jego serca biła się z zepsuciem w nie wszczepioném; widziałam jak się wahał, słabł, jak błąkał się w niepewności co począć? i przebrałam się prawie, gdy ten przed chwilą dumny, złośliwy ulubieniec Nerona, padł przedemną składając ręce, zmieszany, przelekły, jak piorunem rażony.

Oczy moje patrzyły, a duszą wierzyć nie chciała.

— Przebacz mi, rzekł stłumionym głosem: byłem szalony, byłem zbrodniarzem... tyś wielka, tyś niezłomna, tyś jest uwielbienia godna, jam nikczemny! Bóg twój dał ci siłę zwyczajną.

— Wstań, rzekłam, Lucyuszu! ten Bóg, boś dobrze powiedział, dać może tobie też samą siłę i potęgę; możesz oczyścić się i stać nowym człowiekiem...

— Nie — odparł smutnie Lucyusz, którego siły się wyczerpały: — ja tak czuję się skalanym, spodłonym, że nic mnie podźwignąć nie potrafi. Szał rozpacz gnał mnie do takich jak dzisiejsze zamysłów i kroków; otoczony byłem widokami, które mnie podlegały... przebacz ty mi Sabino!

A po chwili spoglądając na mnie, jakby z obawą jakąś, zapytał:

— Prawdaż to, że ty jesteś chrześcianką? byćże to może?

— Jestem w istocie, odpowiedziałam śmielsza, — i dla tego ani męczarnie, ani śmierć, strasznymi dla mnie nie są. Wiara moja daje mi tę siłę.

Z dziecinną prostotą zabobonnego człowieka zapytał strwożony:

— Powiedz mi, więc kapłani wasi mają tajemnicę napoju, który w was wlewa to męstwo?

Uśmiechnęłam się mimowoli.

— Tak jest w istocie, rzekłam; ale napój ten święty tym tylko wlewa siły, co wierzą w naszego Boga, a zabija i truje niewiernych. Z jednego kielicha piją śmierć jedni, drudzy życie nieśmiertelne...

Umilkł, patrząc wciąż na mnie z jakąś trwogą.

— Więc ty nie boisz się umrzeć? zapytał.

— Dla czegożbym się miała lękać śmierci, która po życiu nędzném i znikomém otworzy mi wieczne życie? My zmartwychwstajemy na drugim, lepszym świecie...

Zamyślił się, stał się pokornym i jakby innym wcale człowiekiem.

— Gdzież wiary tej nauczyć się można? gdzie dostać tego napoju? zapytał.

— Lucyuszu, rzekłam: nie jest ta wiara tajemnicą, nauczy cię jej każdy chrześcianin, a jest ich już wielu między Rzymianami. Ale przysposób duszę choćby nauką pogańskiej mądrości, a dobrze uczynisz. Filozofia grecka jest przecuciem naszej wiary w jednego Boga...

— Jak to! w jednego Boga? zapytał zdziwiony.

Oszczędzę ci opisu dalszej mojej z nim rozmowy. Z trwogi, jaką mnie nabawił, przeszłam do spokoju i pociechy. Zdaje mi się, że Lucyusz nawrócić się powinien. Zaniedbany, zepsuty, słaby, ma wszakże jeszcze w sobie coś szlachetnego. Chociaż w pierwszej chwili wyobraźnia jego tylko uderzona została, wzruszyło się serce, ono za sobą umysł pociągnie. Różne mi drogami ludzie różni idą do jednej prawdy.

Zarzucił mnie pytaniami, na które odpowiadałam jak mogłam i umiałam, zmuszona stosować się do jego wyobrażeń, a nie zdradzać przedwcześnie tajemnic,

których odkrycie mogłoby dziwne w nim obudzić domysły.

Upokorzona się czuje: oto już drugiego ucznia daje mi Bóg, mnie słabiej, nieudolnej niewieście, drugą duszę, którą mam nadzieję na drogę cnoty wprowadzić. O Lucyuszu powątpiewam jeszcze, choć wiele obiecuje gorącość jego ducha; z pierwszych tych wrażeń choć gwałtownych, o stałości i wytrwaniu wnosić jeszcze na pewno nie można.

Już mnie był pożegnał i miał odchodzić, gdy przypomnienie zobowiązań względem Nerona i Tygellinusa wstrzymało go jeszcze.

— Cóż pocznę? zapytał mnie: jeśli spytają i ze chcą wiedzieć, jak się między nami skończyło?

— Nie umiem ci radzić, odpowiedziałam. Moja wiara nie dopuszcza mi, nawet dla ocalenia życia, namawiać do wyrzeczenia fałszu. Mogłabym tobie życzyć, czego bym nie popełniła sama?

— Lecz jeśli im powiem prawdę, ty będziesz zgubiona? zapytał.

Milczałam.

— Nie, rzekł po chwili namysłu: nie powiem im nic... dowiesz się później co pocznę...

Wyznaję, że z niecierpliwością oczekiwałam dni następnych i wiadomości od niego; przybył nareszcie posępny i zmieszany.

— Radźcie mi, pomóżcie, wesprzajcie, rzekł na wstępie. Nie poznaję sam siebie, nie wiem co się stało ze mną. Wielka zmiana, niepojęta zaszła w duszy mojej. Przekonałem się o niej z tego, że to, co zwykle rozrywało mnie, co cieszyło, stało się teraz wstrętnym i obrzydłym... Powołany, przybyłem na

dwór. Neron biesiadował, kazano i mnie zwykle zająć miejsce przy uczcie. Sam Cezar spytał mnie szydersko, jak mi się w mój wyprawie powiodło? Musiałem począć od kłamstwa, mówiąc przed nim, że odjechałście do Tuskulum, i że w was już nie znalazł, a gonić nie śmiałem. Dano mi pokój, widząc mnie strapionym. Lecz ja sam nie poznawałem siebie wpośród tych ludzi i zabaw, do których przywykłem. Ohydny mi wydali mi się Neron otaczający pochlebcy, jak gdybym ja sam do nich wczoraj nie należał; ohydnym i poczwarnym on sam, gdy na pół pijany pod koniec uczty Aktei przyjść kazał i bezwstydną rozpustą chlubić się począł przed nami. Zdało mi się, że widział do koła trupy tych, których dla namiętności swych poświęcił. Późną nocą szkaradna skończyła się biesiada. Neron był opity i senny; kąpiel ciepła zwiększyła jeszcze tę ospałość. Niewolnicy zanieśli go wprost na łóżce, a na mnie przypadła kolęj czuwania w sąsiedniej izbie. Od niejakiego czasu zawsze ktoś nocą w bliskości czuwać musi na straży. Usnął z razu i cisza panowała dokoła; ja przy lampie siedziałem znękany, gdy po północy gwałtowne krzyki z łóżnicy słyszeć się dały. Faon, który u progu leżał na ziemi, i ja pobiegliśmy przerażeni na ratunek. Wchodząc do *cubiculum*, ujrzałem go na wysokim łożu, na którym zwykł sypiać zawsze, nogami już na wschodkach przystawionych do łóża, z oczyma otwartymi, z potarganym włosiem, z zapienionymi ustami, siedzącego i drżącego.

Palcami wskazywał ku ciemnym kątom izby i wymawiał niewyraźnie: Agryppina... Oktawia... Brytanikus!... Precz... furię!

Sen widać straszliwy go przebudził; oczyma wodził wkoło, jakby widma jakieś senne jeszcze się przed

nim błakały. Gdyśmy weszli, powoli dopiero zaczął przychodzić do siebie. Rozkazał natychmiast słabym głosem ofiarę przygotować bogom piekielnym i cieniem matki. Słowa jego ledwie były zrozumiałe, tak niewyraźnie je wymawiał, rzucając się i miotając ciągle.

Przy łożu stało owo bóstwo niewieście najulubieńsze Cezarowi, darowane mu niegdyś przez nieznanego; pochwycił je i przed nim także uczynił ofiarę. W miarę jak ochłaniał z przestachu, stawał się spokojniejszy; zawołać kazał potem Poppeę, aby przy nim siedziała — myśmy odeszli.

Takie było opowiadanie Lucjusza; kończył je, gdy i Juliusz nadjechał. Widziałam niezmierne zdziwienie jego, gdy postrzegł siedzącego u mnie Lucjusza; prawie gniew błysnął w oczach jego, alem mu go natychmiast odjęła kilku słowy, polecając krewnego i zwiastując cudowną zmianę.

Lucyusz ułagodzony, prawie bojaźliwy, sam przyszedł do Flawiusza, oddając się w jego opiekę. Obu ich razem odprawiłam wkrótce, spodziewając się kilku moich współwyznawców na wspólną modlitwę.—Widzicie jakie cuda sprawia siła wiary naszej. Opisałam ci to, abys zrozumiał, dla czego codzień się więcej w niej utwierdzam i Paulusa powoli oświecać zaczynam. O! gdyby i na tobie wyraził moje wrażenie jakie uczynić mogły! *Vale!*

XXIII.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Codzień mniej w sobie czuję do pisania ochoty, Kajusie miły, choć nie dla tego, abym w przyjaźni méj dla ciebie miał stygnąć, ale że mimo bogatęj do listów treści, więcej pracuję umysłem. Nadto też jesteśmy od siebie daleko: pismo rzadkie nie starczy na wytłómaczenie ci tego, co się dzieje ze mną. Obawiam się naostatek, abym ci się nie wydał śmiesznym. Są rzeczy, które ominąć muszę, a ty odgadnąć nie potrafisz. Bez nich reszta niezrozumiałą się staje. O czémże ci mam donieść? Jestem smutny, niepewien siebie, prawie do życia zniechęcony. To, na co patrzę, często niezrozumiałe jest dla mnie, ciągle przykre.

Zapowiadane od dawna prześladowanie chrześcian rozpoczęło, się i nad miarę jest okrutne. Więzienia pełne, krew się leje strugami, w amfiteatrze mają co szarpać dzicy afrykańscy goście, mają na kim sił próbować kaci. Wymyślają męczarnie, o jakich nikt nie słyszał, jakby dla nich tylko stworzone. W ogrodach Nerona chrześcianie palą się słupy żywemi, oblani smołą, lub przywiązani do drzew, nieruchomie oczekiwać muszą

na dzikich zwierząt napady. Mówią, nie ręcę za prawdę ani za fałsz powieści, że nawet sam Aenobarbus w skórę zwierzęcia odziany, bawi się rzucając na bezbronnych, a po nim resztki dopiero mają wilki i lamparty.

Lecz przyznać potrzeba, że nigdy okrucieństwo mniej na tych, między którymi siać miało trwogę i przestach, nie robiło wrażenia. Nikt tak umierać jak oni nie umiał, nawet gdy śmierć poprzedza długa, wymyślna męczarnia.

Patrzymy na to, zdumiewając się codziennie. Śpiewając, idą na ścięcie; na stosach płoną, śpiewają; z tysięcy ledwie setny osłabnie i zgodzi się przed posągami złożyć ofiarę, a często po dopełnieniu obrzędu, przejęty zgrozą, do współbraci na męczeństwo powraca. Kapłanom naszym włosy powstają na głowie; nie wiedzą czemu przypisać tę siłę niezwykłą, i wierzą tylko w jakieś indyjskie czary. Mnóstwo Rzymian, patrząc na te obrazy śmierci ponoszonej tak mężnie, nawróciło się i nawraca; mnoży to liczbę ofiar. Ci, co lepiej o tém wiedzą nademnie, upewniają, iż od czasu okrutnego prześladowania, liczba chrześcian pomiędzy ludem rzymskim we dwójnasób się zwiększyła.

Zasypano już w kilku miejscach otwory arenaryów; tłumy w nich, jak mówią, zginęły; ale przez okna i przeporki słyszano ich do zgonu śpiewających swe pieśni. Głosy te cichły, liczba ich się zmniejszała, w końcu grobowa cisza oznajmiła, że wszystko skończone, że męczeństwo się dokonało. Lecz cóż na to powiesz, iż prześladowanie nie odstrasza? Nazajutrz po krwawych wyrokach, na placu, kędy ciała ich rzucono na pastwę psom zgłodniałym, nie znajdziesz śladu rzezi, krwi, ani trupów. Kobiety, dzieci, starcy, wśród ciemno-

ści biegną zbierać te szczątki, gąbkami i płachtami wyciskają krew z ziemi, i z poszanowaniem chowają jako najdroższe pamiątki.

Opowiadano mi o cudownych nawróceniach katów i oprawców samych, żołnierzy pretoriańskich kohort, niewolników Cezara, i gdybym wiarogodności opowiadań nie miał dowodów, mieniłbym je niemożliwemi.

Wszystko to wyszło z łona tego strupieszalego społeczeństwa naszego, które się zdawało niezdolnóm do żadnego szlachetniejszego czynu i myśli. Rzecz największego podziwienia godna! Boję się, ażebyś znając moje usposobienia, o przesadę w opisie tych wypadków nie posądział; lecz wierząc, że za mało ci piszę właśnie przez tę obawę. Z jednej strony najnikczemniejszy upadek, z drugiej najwyższa siła cnoty prawie nadludzkiej. Tłum pospolity, stojący w pośrodku, który sam w sobie ani występku, ani cnoty wyrobić nie jest zdolen, porwany wirem jednego lub drugiej, wedle skłonności i popędu chyli się na tę lub na inną stronę.

Z opowiadań Celsusa miarkować można, że i Cezar niepokoił się bezskutecznością prześladowania wymierzonego przeciw chrześcianom. Kilku przedniejszych kazał przywozić przed siebie, a żaden się go nie uląkł; niektórzy mówili mu prawdę gorzką, jakiej nie słyszał nigdy, po której chodził zasępiony i wściekły, aż zemstę swą we krwi utopił, krzyżując i mordując bez litości.

Mniej zresztą dziwnąby jeszcze była owa stoicka cnota w mężach, ale w kobietach i dzieciach jest niepojęta prawie. Padło ofiarą wiele niedorosłych chłopiąt i dziewcząt zaledwie wyszłych z dzieciństwa, które wprzód na *lupanary* rzucono; nie przecię ich mężstwa i spokoju zachwiać nie potrafiło.

Seneka milczący, w kole poufałem z uwielbieniem mówi o chrześcianach, chociaż raz tylko jeden kilkadziesiąt ich śmierci był świadkiem. Usunął się prawie całkiem na wieś, unika dworu; władza, jaką dawniej miał nad Cezarem, zupełnie zwałżała; uczuł roztropnie, że jest już tylko niewygodnym świadkiem, którego wejrzenie i milczenie nawet boli, bo zawstydzają.

Szepczą, iż z wyższego podobno rozkazu, wywołanie filozofa niejaki *Cleonicus* dał mu być jakąś truczyną, ale w porę zaradzono. Odtąd żyje starzec samem prawie owocami, a nie pija nic nad wodę, którą sam ze strumienia czerpie. Wszyscy mu śmierć rychłą przepowiadają.

Jedno tylko jego i nas ocalićby mogło zarazem: to wybuch owego spisku Pizona, o którym ci już donosiłem; ale z dniem każdym bardziej wątpić przychodzi, aby się sprzysiężonym powieść mogło. Znam ja ich prawie wszystkich, i nic dobrego nie wróżę. Pierwszy z nich i najgłówniejszy, który po władzę sięgnąłby pono pragnął, ma przymioty wielkie, ambicję nie małą, ale i wszystkie też wady naszego wieku. Lubi przepych, jest hojny, nieco lekki, a mimo miłego charakteru, na czasy surowe, na surowe sprawy za mało surowym jest człowiekiem. Flawiusz Scewinus płochością także grzeszy, rozleniwiały jest i nie dosyć energicznych postanowień. Afranusem powoduje osobista ku Neronowi za jakiś wiersz rozpusty jego wysmiewający zemsta, nie miłość Rzeczypospolitej. Podporę widzą w Feryuszu Rufie, lecz na tego starca nieważnie Tygellinusowa nieustannie ma oczy zwrócone: obrócić mu się, działać, kierować trudno.

Lukan jest poetą, a Seneka — jeżeli prawda, że Pizon mu tajemnicę powierzył — Seneka tylko reto-

rem i sofistą; nie są to ludzie, którychby namulane dłonie postać państwa przemienić zdołały, lub nawet do téj przemiany przyczynić się mogły. Jedenby dokonane czyny śpiewać, drugi mądrze ich naturę rozbiierać potrafił.

W Senecyona też niewiele wierzę. Cóż dopiero rzec o gromadzie niewiast, któremi posługują się w sprawie, tajemnicy i wstrzemięźliwości w słowie wymagającej?

Widzisz więc, jak stoją sprawy nasze.

Chciwość pieniędzy, których braknie Neronowi, równie jest straszliwa jak jego rozrzutność. Niesłychane summy pobrali skoczkwie i histryony; kosztowały wiele tryumfy wszelkiego rodzaju, igrzyska i owacye; nareszcie się też złota przebrało. Marzenie o zakopanych Dydony skarbach w Afryce jak sen na jawie się rozeszło; topią więc posągi bogów pochwytnane w świątyniach Achai, zabierają ofiary z naszych celi, testamenta łamią, a skarb sam dziedziczy. Bogatym czasem umierać każą, aby zbyt długo na ich dziedzictwo nie czekać; kary wszelkiego rodzaju nakładają na niewinnych, aby występki swoje wyżywić mogli. Grecya o pomstę do niebios woła za opustoszone swe świątynie; sam Seneka nawet, ostrożny w sądach, odważył się to podobno świętokradztwem nazwać. Milczą inni; Neron powiada otwarcie, że nie chce w państwie mieć bogatych. Lud więc tylko ma pozostać ciemny i ubogi, i już zapowiedziano zagładę senatorowi, rycerstwu, uczonym, poetom, wszystkiemu co głowę po nad tłum sięga.

Trazeasz, Kornutus i innych wielu, już na śmierć lub wygnanie napiętnowanymi się czują. Cnotliwym, prawdomownym, nieuleknionym być się nie godzi: mo-

gliby ludzie porównywać, urokowi cnoty dać się pociągnąć, wreszcie więcej je cenić niżeli śpiew Cezara, jego wozy i teatralne sztuki.

Zaprawdę, Kajusie drogi, szczęśliwym jesteś, że na to nie patrzysz, że możesz z daleka wierzyć w Rzym i wielkość jego, patrząc na orły zwyciężkie, pamiętając przeszłość. Bogdajby też orły wasze swobodę, godność dawną, życie stare na skrzydłach nam swych przyniosły, i cnotę w Marsowych wykapaną trudach! Któż wie? my w was jakąś pokładamy nadzieję, ty lepiej wiesz słuszną czy ułudną? Niech ci tak wszystko sprzyja jako ja. — Bądź zdrow.

XXIV.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Stało się tak prawie, jakem ja od dawna przewidywał. Neron zwyciężył: spisek odkryty, ofiary padły, padają, mnożą się niepoliczono. Aenobarbus rad być może ze sposobności, która mu się nastęcza do pozbycia się wszystkich, co mu zawadzają.

Prześladowanie chrześcian i dzika zemsta nad tymi, co należeli do sprzysiężenia Pizona, zeszyły się razem; ofiarami codziennymi przerażają Rzym. Cieszy się Aenobarbus, skazuje na śmierć, rozsyła posłów niosących wyroki, zmiata ktokolwiek mu był uprzykrzony, niechętny, na kogo nie lubił patrzeć, w kim niepodległość jakąś przeczuwał. Milczą wszyscy.... Senat się płaszczy i pochwała, a od wyznaczonych na stracenie, usuwają się wszyscy, jak popłoszone ptactwo... Konającymi usty umierający szła mu błogosławieństwa i pochlebstwa, aby niemi dla dziecka lub żony litość wyzebrać...

Nigdy jeszcze od początku panowania okrutnika Rzym tyle razem krwi przelanéj nie widział. Spisek już był wybuchnięcia blizki, siły dostateczne, powo-

dzenie prawie niechybne, bo wszyscy znużeni Neronową dzikością, byliby przyklasnęli słusznój karze za tyle zbrodni. Spierano się już tylko o wykonanie zamachu: jak? gdzie? kiedy? Pizon nie chciał skalać gościnnych domu swojego w Bajach penatów morderstwem podstępny; postanowiono w dzień igrzysk cyrkowych na cześć Cerery napaść nań w teatrze lub na ulicy. Ale i na to jeszcze zgody zupełnej nie było.

Tymczasem Epicharys z żywością właściwą kobiecie i swemu charakterowi, chcąc wciągnąć do spisku dowódcę floty w Mizenie, pierwsza zbytnią otwartością swą na ślad sprzysiężenia naprowadziła. Potém z domu Flawiusza Scewina wyszła reszta tajemnicy.

Wspominałem nieraz o Scewinie. Dowiódł on postępowaniem swoim, że niespełna miał rozsądku, gdy nie będąc jeszcze pewien dnia wybuchu, trwożny już o jego następstwa, począł się w domu rozporządzać i krzątać, jak gdyby w wigilię śmierci, pieczętując nagle testament, rozdając mienie, przeznaczając sprzęty, niewolników wyzwalać, okazując niepokój poprzedzający wielkie jakieś i niebezpieczne przedsięwzięcie.

Musiał się też z czémś wygadać. Uderzyło to Milihusa, jego wyzwoleńca, który pobiegł do Epafrodyta i dał znać, że się wielki jakiś zamach gotuje, że Cezarowi grozi niebezpieczeństwo. Epafrodyt i Tygellinus już mieli podejrzenia jakieś, a raczej szukali pozorów, aby się pozbyć nieprzyjaciół. Ostatni szczególnie nienawidził Juniusza Rufa, którego od dawna przed Neronem, jako niebezpiecznego mściciela śmierci Agryppiny (bo niegdyś kochanka jój) wystawiał. Ujęto kogo chciano, kto był nienawistny, lub zdawał się być niechętnym; a że zrazu nie się dowiedzieć nie było

podobna, rozkazano męczyć podejrzanych, aby z nich prawdę lub fałsz wydobyć boleścią.

Smutne to są dzieje, Kajusie drogi, których opisywać pióro się wzdraga. Gdy to piszę, nie wiem sam jeszcze, czyli ocalonego dotąd Celsusa i mnie, los ten sam co Senecyona i innych nie spotka. Dostyć jest, aby nas jako znanych sprzysiężonym wskazano; dowodów winy nie potrzeba. Nadzieja cała w tém, że za mali jesteśmy, zbyt mało znaczymy, abyśmy uwagę Neronu zwrócili na siebie; ma on i tak czém swe krwi pragnienie nasycić. Dotąd wielu już z patrycyatu schwytano, z rycerstwa także, wyzwolenców i ludu, a nawet z kobiet, które do spisku należały. Rozgąłżony był bardzo, a raczej rozgąłżić go pragną, by się pozbyć wielu. Przestrach błąd Rzymem owładnął, nikt życia nie pewien, nikt mienia. Zemsta lada niewolnika, który dawną jakąś niechęć żywi ku panu swemu, dostateczna jest, by obywatelowi Rzymu zagrozić śmiercią haniebną. Ani badania prawdy innego nad torturę, ani sądu nie ma żadnego; wyrok dyktuje nienawiści i zemsty pragnienie.

Sprawiedliwie czy nie, ofiar padnie bez liku; wszystko co Neronowi uprzykrzone było, aż do tych, co z nim o lepszą w poezyi lub śpiewie walczyli, upadnie. Dziś lub jutro postrada Rzym najcenniejsze ozdoby swoje. Łatwo jest dowieść, że każdy z nas miał stosunki ze sprzysiężonymi; był ich przyjacielem, krewnym, widywał ich, słyszał o czémś lub czegoś się mógł domyślać. Zresztą potrzebaż dowodów? Posądzenie wystarcza, cień podejrzenia, w ostatku starczy nienawiść. Każdy zamknięty w domu, oczekuje posta śmierci, gotów do niej; a gdy w dzień, czy w nocy do drzwi zapuka centuryon przez Cezara wysłany, nie pozostaje

nic, jeno ciepłą wannę gotować i powołać balwierza, by żyły poprzecinał... Szczęśliwy jeszcze, komu dozwolono skonać tak pod własnym dachem, żegnając rodzinę i penatom czyniąc krwawą libację. Mało komu dopuszczają uczynić testament, Cezar bowiem dziedziczy, a ci, co choć odrobinę pragną zostawić dzieciom, zapisy czynić muszą Neronowi lub Tygellinusowi, by przy tych legatach i inne utrzymać się mogły.

Cezar, jak słyhać, za ocalenie Rzeczypospolitej, nada sobie imię zbawcy—*Soter*.

Przerażenia, które panuje w Rzymie, odmalować ci nie potrafię: domy opustoszone, ulice wyludnione, każdy się lęka pokazać twarzy, by nieprzyjaciółom nie przypomniiała, że żyje. Trwożliwi wszelkich wypierają się stosunków, pokrewieństwa; przeklinają spiskowych, którzy tylu nieszczęść i śmierci są powodem; pod niebiosa ze strachu wynoszą Cezara.

Mało kto nawet umrzeć umie.

Wiesz o tém, że Lukan, poeta, także był do spisku wciągnięty, lub o nim przynajmniej miał wiadomość i pochwalał go. Dostyć tego było Neronowi, by mu umrzeć rozkazał. Z dawną nienawidził go, zazdroszcząc mu sławy, której sam doścignąć nie mógł, choć Rzymu całe dzieje miał śpiewać... Wszyscy wiedzieli, że Lukan zginąć musi; lecz któżby mógł, kto by się śmiał domyślać, że ten, co wielkie dzieje i mężów umiał opiewać wielkich, sam się w obliczu śmierci tak małym okaże? Wzięty na męki, chciał matkobójcy Neronowi dorównać: Neron matkę zabić rozkazał,—Lukan swoją wydał, jako należącą do spisku.

Cóż po tém, że nie ocaliwszy życia, złamany, gdy konać przyszło, skonał z wierszami na ustach! Tak jest, Kajusie; gdy mu już ręce i stopy stygnąć za-

częły, przytomny jeszcze, cichym głosem deklamował piękny swój ustęp Farsalii, opisujący zgon żołnierza, któremu śmierć jego miała być podobną... (Lucanus, Farsalia: Scinditur avulsus nec sicut vulnere sanguis etc....)

Codzienną budzącego się ze snu niespokojnego wita niewolnik, zwiastując nocne morderstwa. Rzym cały otoczony pretoryanami, mury osiadł żołnierz, rzekę zaparły statki. Nie ufając swoim, Neron germańskim żołnierzem trzyma miasto jakby w oblężeniu. Nikomu wniknąć, nikomu wychodzić nie wolno; każdy krok podejrzenie ściągą, obawę w niespokojnym Cezarze budzi.

Żyjemy śmiercią; boi się człowiek człowieka, brat brata pozdrowić na ulicy: może trafić na podejrzanego, którego już śledzą oczy siepaczów... gdyby przemówił, jużby był współwinowajcą... Dom, w którym jednego posądzono człowieka, już cały dotyka zemsta, winnych równając z niewinnymi... dla czego wprzód nie odkryli? czemu nie donieśli? Bojaźliwsi sądząc, że obronią siebie, wydają na rzeź rodzinę, przyjaciół, blizkich, i z nimi potem padają sami. Na rękę bardzo przyszedł Aenobarbusowi spisek dla wykonania dawnych zamysłów, zgniecenia patrycyatu i rycerstwa, których zawsze się lękał. Wyzwolenicy wczorajsi miejsca ich zastępują; niewolniczemu woli panować ludowi, któremu chleb i igrzyska starczą,—a nie mężom, którym cnoty i dostojności potrzeba.

Opisałem ci smutny zgon Lukana, który zapomniawszy, że był człowiekiem, pamiętał do ostatka, iż był poetą; nie mówiąc o innych; mnóstwo ich, wzorem jego, powydawało na męczarniach najbliższych swoich, sądząc, że siebie ocalą. O hańbo i wstydziel! Jedna kobieta wzgardzona, *libertina*, Epicharys, zgonem

swoim Rzymian upokorzyła. Spodziewano się ze słabej, rozpieszczonej niewiasty wyciągnąć imion więcej, któreby do nowych mordów posłużyły za wskazówki... Rozkazano więc ją męczyć. Delikatne ciało jej rozszarpano na poły, złamano kości, pogruchotano członki... Epicharys milczała lub w oczy miotła obelgi oprawcom. Dwa dni trwało to pastwienie się nad nią, a życie w wątlęj piersi trzymało się jeszcze... z życiem dusza niezłomna. O sile swojej stać nie mogła, gdy na nowe wysilając się męczarnie, uwolniono ją od nich nareszcie—skonowała pod sznurami, co ją kępowały. Umarła, nie wyrzekłszy słowa, z zaciśniętymi ustami, na podziw katom... I Rzym okryła wstydem. Gdzież się dziś cnota kryje? gdzie stałość i szlachetność mieści?

Twierdzą wszyscy, że blizka z Pizonem zażyłość i Seneki śmierci powodem się stanie, bo Cezar tego dawno pożądał. Również o los Trazeasza i Kornutusa się lękają: i tych cnota surowa na rzeź wyznacza....

W tych dniach ciężkiej próby, podziwienie moje obudza Lucysz; nie poznaję go. Obawiałem się słabości i przestachu: obojętność na śmierć znajduję i niespodziewane męstwo. Z Celsusem i z nim spędzamy wieczory, co chwila dowiadując się o nowym zgonie lub wygnaniu. Lucysz siedzi tu zadumany lecz spokojny, wybrawszy sobie towarzystwo nasze, chociaż wie, jak jest niebezpieczne; bo nie są mu tajne stosunki Celsusa z Pizonem, i spodziewać się może co chwila, że wyrzeczone imię sprowadzi tu posłańca Cezarowego z wyrokiem śmierci. Celsus rozporządził wszystkiém, gotową kąpiel trzymać rozkazał i ze śmiercią się oswaja, czytając o niej i mówiąc.

W Cyclerona *Tuskulanach* pożyteczne znajdujemy nauki.

Niewiele wierzę w zmiany ludzi nawykłych do złego; dla tego nie tak Celsus mnie dziwi, jak Lucyusz prawie przestrasza. Tylko wpływowi Sabiny przypisać mogę tę jego stałość; człowiek ten widocznie walczy z sobą, by się przerobić — i blizki jest zwycięstwa.

Kajusie drogi, pożegnaniem chyba list skończę....
Vita mortuorum in memoria vivorum est posita. . . .
 (Cycero. *Phil.* 9. 5.) Nie zapomnij o umarłym, bo któż dziś pewien, że jutra dożyje? Znajdziesz w testamencie dowód, jak byłeś drogi sercu mojemu. Żegnaj mi, żegnaj, a o dobrém tylko pomnij.... Celsus cię pozdrowić każe... Ulicą konny przebiega żołnierz, kopyta konia hałaśliwie biją o płyty kamienne... czy się zatrzyma u drzwi naszych?... czy wiezie wyrok śmierci?... czy przeleci dalej?... Minął drzwi; słychać tętnienie coraz słabsze.... godzina życia zyskana.... Żegnaj Kajusie!... Lecz czy doczekamy jutra?

XXV.

Juliusz Flawiusz Kajusowi Makrowi zdrowia.

Po długim milczeniu, gdyś już może o życiu mém nawet wątpił, nie list ci szlę, Kajusie drogi, i pozdrowienie, ale całą niemal księgę. Pamięć zmęczona wypadkami, które przebyłem, ledwie może pozbierać ich wspomnienia, nie wiem jak uporządkować je potrafi. Zda mi się, żem w pierwszych dniach po odkryciu spisku Pizona list wysłał, malując ci stan Rzymu i nieszczęśliwe położenie nasze. Sprawdziły się oczekiwania i domysły, jak się zawsze prawie sprawdza złego przeczucie; kazano umierać wszystkim, których życie uprzykrzone było. Ci, których cnota broniła od upadku, dotrwali do końca; ale tych liczba jest mała. Straciłem przyjaciela i krewnego w Fulwiuszu Flawiuszu, trybunie kohorty pretoryan, który sam jeden może z wielu miał odwagę rzucić Neronowi w oczy prawdę okrutną.

— Nienawidziłem cię, rzekł Flawiusz. Nie miałeś wierniejszego nademnie żołnierza, dopóki zasługiwałeś na miłość; zacząłem cię nienawidzić, gdyś się stał matkobójcą, żony mordercą i podpalaczem.

Więcej okazał męstwa w obliczu śmierci nad tego, który go ścinał; drżała ręka oprawcy i kilkakrotnie uderzyć musiał, nim głowę od karku oddzielił. Ofiar nie zliczę: mnogie były. Najmniej winnych, a raczej wcale niewinnych skazano, na wygnanie z Italii do spalonej Afryki, lub na wyspy bezludne, aby tam powoli skonali. Między nimi kobiety i dzieci nawet. Tym została przynajmniej nadzieja.

Przetrwaliśmy te godziny trwogi, hartując się, codzień kogoś żegnając. Zwycięstwo Neronowe serce wszystkich pocziwych ścisłało.

Trwało też ciągle ponawiane prześladowanie chrześcian, które we mnie od początku nieustanną obawę o los Sabiny obudzało.

Napróżno prosiłem, błagałem, zaklinałem, żeby do Tuskulum lub innej jakiejś swojej lub mojej posiadłości na wieś się usunęła: nie chciała oddalać się z Rzymu od współwyznawców.

Z razu nawet powzięła była myśl dom swój przy Palatynie i Eskwilinie podnieść ze zwalisk, przemieszkując, dopóki by nie był dokończony, w grobowcu Marcjuszów. Lecz ani mnie, ani jej gruzów tych podnieść nie dano: potrzebował Neron rozszerzyć jeszcze ogrody swe i gmachy, które na miejscu pogorzałych wznosić zaczął Celer. Wyznaczono podobno za posiadłości te lichą zapłatę, ale nikt o nią upominać się nie śmiał, bo i za żądanie podobne na śmierć lub wygnanie skazanym łatwo być można.

Ja *insulę* moją niezupełnie obaloną potrafiwszy ocalić, dodawszy portyk obyczajem przez Nerona przepisany, na nowo ją uczyniłem mieszkalną. Sabina wszakże przyjąć jej odemnie nie chciała. Przeniosła się na ostatek do małego domku, nabytego między Apijską

a Ostyjską bramą. Pojmowałem dobrze, co ją w te strony pociągało: sąsiedztwo krypt, do których gorliwie uczęszczała, już się z tém prawie nie tając. W nieustannej też o nią musiałem być obawie, z powodu zbytniego narażania się na niebezpieczeństwa. Ta niewiasta niegdyś przywykła do wygodnego i cichego życia, teraz w pracy, w niedostatku i postrachu pędziła długie godziny. Widok ten serce mi krwawił, lecz rady znaleźć nie mogłem: — nie słuchano mnie.

Nie było prawie dnia, żebyśmy o nowém jakimś nie posłyszeli męczeństwie. Chrześcianie czcząc zmarłych, którzy dotrwali w wierze swój do ostatka, około ciał ich i krwi jak największe mieli staranie; zbierano je jak najdroższe pamiątki. Nieraz zakrwawione z wieczoru place, gąbkami i chustami w nocy oczyszczono, tak, że nazajutrz na nich śladu dopełnionych morderstw nie było.

Ale musiano się ukrywać przed strażami, przeprować je, nocą skradać się niepostrzeżonym, ażeby tego pobożnego dopełnić obowiązku.

Sabina wespół z innemi niewiastami, Pomponią Grecyną, dwiema córkami Pudensa, Praksedą i Pudencyaną wychodziły co noc prawie, niosąc z sobą naczynia na krew, wodę i gąbki, powracały z zakrwawionemi chustami, kryjąc często w sukniach poucinane głowy, które nazajutrz razem z ciałami z poszanowaniem w kryptach składano. Niekiedy przynosiły tylko garść popiołów i trochę kości. Kilku dyszącym jeszcze niedobitym strzałami, a za umarłych rzuconym na placu, udało im się tak ocalić życie.

Ja choć niezupełny chrześcianin, bo się do neofitów liczyłem tylko, chętnie pomoc do miłosiernych ofiarowałem uczynków. Musieliśmy nieraz z trudnością

wymijać strażę, uciekać ścigani, a trupy i rannych naszych ukrywać starannie, aby jednych od profanacyi, drugich od pewnej obronić śmierci. Nie, Kajusie drogi, gdybym ci nawet potrafił odmalować to życie niepokoju, pracy, niebezpieczeństwa, wśród którego nie było chwili na spoczynek i wytchnienie — tobyś nie uwierzył słowom moim. Jednakże słabe niewiasty wytrwać w nim, nawyknąć do niego umiały; tysiące ciał ich rękami pogrzebanych liczono. Nieraz trafiało się, że wysłane strażę chwytały nieszczęśliwe ofiary wśród pobożnego zajęcia, które za występki poczytywano; nazajutrz stawiono przed ołtarz Jowisza, aby mu cześć oddawały, i wzbraniające się karano śmiercią w tém samym miejscu, w którym pochwycone zostały... Trzeciego dnia u ich już ciał martwych nowi krzatali się bracia, niezłękniemi ich losem.

Lucyusz i ja chodziliśmy z Sabina, z Rutą i kilku innymi towarzyszami, aby w przypadku od niebezpieczeństwa je zasłonić. Jego jak mnie równe ogarnęło pragnienie poznania tej nauki, która czyniła cuda takie, wlewała siłę i urągała się śmierci.

Wyprzedzał mnie nawet ów zniewieściały gach Neronów w nawróceniu, i podziwem dla mnie się stawał. Wcale bowiem inaczej ja i on szliśmy ku światłu. On z zapalem młodzieńczym, prawie z gorącością niewieścią, ja z przestрахem jakimś i nieśmiałością. Po tak nieszczęśliwie odkrytym spisku Pizona, Lucyusz udając chorobę, zupełnie się od dworu matkobójcy usunął. Tygellinus, choć może się czego domyślał, nie uznając go za niebezpiecznego, zaniechał śledzenia jego kroków. Naówczas Lucyusz, swobodny, oddał się cały wyuczeniu się wiary chrześcijańskiej. I gdy ja, badając każdy krok, posuwałem się z obawą i rozważą, on

z namiętnością prawie biegł, jakby go tylko nowość ujmowała.

Przeobleczonego gacha niktby był teraz nie poznał, tak surowe przybrał oblicze, tak niepozorne szaty, tak się zaniedbał i opuścił. Całe dni spędzał po kryptach, na modlitwach i słuchaniu nauk, posługując starszym, podejmując najcięższe prace. Zdumiewałem mu się, zazdrościłem. O ile dawniej nie znosiłem go i brzydziłem się nim, teraz musiałem uwielbiać. Sabina, której to jest dziełem, unikała go wszakże, aby się przekonać, że nie ziemską namiętność, nie sama chęć zbliżenia się ku niej powodowała nim.

Tak przeszedł nam czas jakiś w trwogach i niepewności. Mnie ocalony cudownie Celsus dawał schronienie, gdyż w *insuli* nie pilno mi było zamieszkać: tu bliżej przynajmniej Ostyjskiej bramy i Sabiny, częściej o nią miałem wiadomość. Widywałem ją nawet czasami, chociaż znajdowałem u niej zawsze jednego z sędziwych chrześcian, i nie rozmawialiśmy o niczem, tylko o wierze, z którą w ten sposób coraz się więcej oswajałem.

Płochym nie byłem i nie jestem, Kajusie miły, ani tak jak Lucyusz wrażliwym i namiętnym, ani méj obraźni zbytniego nad sobą dopuszczam panowania; raczej sceptykiem i zbyt ostrożnym uczyniło mnie życie. Zimnym rozumem więcej niż sercem badałem naukę; jako poganin jeszcze chciałem ją poznać. nim-bym się jęj oddał cały. Uwierzysz, gdy ci powiem, że ja o całe niebo znalazł wyższą nad to, co u nas filozofia i religia razem w sobie mieszczą. Jak ze wszelkiej nauki tak i z tej umysły wykretnie, chęć panowania nad drugimi, sprawy i potrzeby ludzkie, miłość własna i sofizmat, mogą uczynić to, czém ona wcale

nie była u źródła; lecz sięgnawszy do niego, prawdziwie bożkiego zaczerpniesz napoju. W zdrowych sercach i głowach nauka ta będzie żywą odrodzenia wodą; w zgnilych cóż się nie stanie trucizną?

✕ Lecz powracam do opowiadania toku, który niepotrzebnie przerwałem. Męczeństwa nie ustawały, chrześcianie wyjęci z pod prawa, zdani na łaskę niższych urzędników, na ręce katów bez serca, zapelniali więzienia, służyli za igraszkę tłumom. Nie było nic stałego w postępowaniu z nimi: los ślepy rządził życiem, śmiercią, męczarnią, rodzajem zgonu i męczeństwa. Zależało od dnia, od człowieka, często od usposobień tłumy, co z nimi uczynić miano... Jedni zdani na straż mniej srogich ludzi, potrafili ich swoim przykładem nawrócić, a nawet odzyskać swobodę; drugich męczono wymyślnie. Często dziwactwo oprawcy przyspieszało godzinę ostatnią, a opieszałość lub litość ułatwiały z więzienia ucieczkę.

Nie dziwię się, że wielu Rzymian samo oburzenie przeciwko tym okrucieństwom ku nowej nauce pociągać mogło. Nie szanowano bowiem nikogo, co tylko imię chrześcianina nosił, ani siwych włosów starości, ani słabego dziecięcego wieku.

Dziewice rzucano w otchłanie *lupanarów*, na pastwę rozbastwionemu żołdactwu; dzieci z rąk matek wyrwane ginęły pod kopytami koni, ze strzaskanami o kamienie głowami. A któż wyliczy urągowiska, szyderstwa, naigrzawania się z męczarni bezwstydne, nieludzkie! Serca szlachetniejsze ścisnąć się na to musiały, umysły zacniejsze oburzać. To też można rzec, że każde widowisko, na które tłum śpieszył, tylu chrześcian czyniło, ilu ich ginęło.

Z cudownym bowiem spokojem i pogodą szli na

śmierć, jak owa rodzina, którąśmy niegdyś, ja i Sabina, widzieli rzuconą na pożarcie zwierzętom. Niezmiernie mała stosunkowo liczba uległa strachowi, i ocalając życie, skalala je.

Nieraz pieśń chrześcian nócą mimo chłosty katów, stłumiła krzyk tłuszczy i milczącym strachem przejęła lud — na którego czołach widać było przeżalenie posępne...

Szły te ofiary jak na ucztę zwycięzką, ze złożonymi rękami, niewolą wycieńczone, zbite, wybladłe, a wesołe i opromienione.

Zdawało się, że barbarzyństwo oprawców przędź się zmoże niż święta męczenników cierpliwość. Ale nie: ilekroć wstrzymywała się zajadłość, ostygła wściekłość, wnet coś tajemnego znowu ją podżęgało.

Z obawą poglądałem na Sabinę, sądząc, że ten stan niepewności i strachu zdrowie jej nadwergęży, stałość obali; lecz widziałem codziennie śmielszą, pewniejszą siebie. Nie unikała nawet wypadków, które jej samą grozić mogły. Ponieważ wchód do krypty z ogrodu Pomponii był dosyć oddalony, a naostatek i sama Pomponia oskarżona o przyjęcie chrześcijaństwa, przez swą rodzinę w niewoli prawie trzymana była, gdyż los jej oddano familii przez łaskę szczególną; przeto Sabina zajęła się przekopaniem od ostyjskiego domku galerii podziemnej do najbliższej krypty. Rzecz nie tak była łatwa jak się jej zdawało, z powodu służby i niewolników, którym ufać nie było można. Wprawdzie pozwoli znaczna ich część nawrócona została, ale wielu się wahało i obawiało, innych ani się pozbyć ani oświecić nie zdawało się rzeczą możliwą.

Sabina pragnęła mieć z razu wchód z perystylu lub ogrodu, prostą płytą marmuru przykryty; musiała jed-

nak przyzwolić na umieszczenie go mniej widocznie w głębi ogrodu, gdzie pod pozorem studni roboty rozpoczęto.

Chrześciana *fossorowie*, obeznani z tą robotą, wykopali najprzód wchód podziemny, a dalej pracować już mogli ukryci w nim, ziemię nocami wywożąc potajemnie.

Ustawiono *puteal* ozdobny, w rodzaju tych, które się *sigillata* zowią, aby wniście zabezpieczyć i pokryć robot tajemnicę. Lucyusz i ja, pod dozorem *fossora*, częstośmy godzinami całami pracowali w téj podziemnej kryjówce.

Naostatek dzięki zręczności kierującego kopaniem starego Dyonizyusza *fossora*, przejście to połączone zostało z siecią galerij dawniejszych. Z wielką pociechą przyjęła wiadomość o tém Sabina, poświęcono galerję, a Lucyusz doradził, aby na wypadek zamurowania lub zasypiania krypt, które się zdarzało nieraz przy wzrastającym prześladowaniu, galerję nową tak od nich oddzielić, aby wniście do niej niedostrzeżone być mogło. Urządzono w istocie mur ruchomy, który rozpoznać było trudno.

W pamiętnym dla mnie dniu, gdym i ja razem z innymi neofitami szedł do krypt na nabożeństwo, odbywała się właśnie ofiara wieczorna i agapy, gdy Dyonizyusz *fossor* wpadł z oznajmieniem, iż tłum z żołnierzami głównejsze wniścia do krypt obległszy, ziemią je i kamieniami zawala. Z początku instynktem ludzkim porwali się wszyscy jakby biedz chcieli i uciekać; lecz jedno słowo kapłana wstrzymało ich na miejscu. Poblądły twarze, ale modlitwa nie była przerwana... Niebezpieczeństwo w istocie trwało tylko dopóty, póki tłum był u wniścia, a ten długo tam

pozostać nie mógł. Mnóstwo bowiem skrytych galerij prowadziło w różne strony. Z dala dochodził nas szelest sypiącej się ziemi i dzikie, stłumione głosy germańskich żołnierzy. Z góry przez kilka otworów zwanych *luminare*, które odkryli napastnicy, sypała się na nas ziemia i rzucane ogromne bryły kamieni; ale tych łatwośmy unikać mogli, zasypiania zaś całych krypt nie było się co obawiać.

Napad straszny był, ale w istocie nie zbyt groźny. Po odbytem nabożeństwie, lud się wedle rozkazu starszych i *fossorów* porozdzielał, i tajemnemi przejściami rozchodzić począł. Wysiłek prześladowców był nadaremny, nikogo nie dotknął, prócz kilku pochwyconych przy nieostrożnem wyjściu.

Spokojni prawie zdążaliśmy ku *putealowi* Sabiny ogrodu, gdy wychodząc z krypty postrzegłem jęj dom w oddaleniu otoczony strażą, zajęty przez ludzi obcych, z pochodniami przebiegających *perystyl* i *cubacula*, jak gdyby kogo szukali. Ujrawszy to, zaklinać ją zacząłem, aby uciekała lub do krypty powracała, ale mnie odtrąciła z lekka i rzekła spokojnie:

— Oddałam ci w opiekę Paulusa mojego, jedyne dziecko, cały mój skarb na ziemi; ty żyć powinienes dla niego; ja czuję, że godzina moja wybiła. Wielekroć ominęło mnie męczeństwo; dziś gotowa jestem na nie.

— Jeżeli go pragniesz, rzekłem, nie powstrzymuj ze mnie, dozwól mi iść z sobą. Wstydu sobie ani chrześcianom nie zrobię, choć neofita...

Sabina ze złożonemi rękami uklękła przedemną.

— Na jedyne go wielkiego Boga, zawołała, zaklinam cię, Juliuszu, tyś opiekunem dziecięcia mojego, uciekaj.

— Tyś jego matką, odpowiedziałem: żaden opiekun nie zastąpi mu ciebie; dozwól mi iść lub uciekaćmy razem...

— Ale dokądże ucieczemy? zapytała; jestże na ziemi miejsce, gdzieby się od miecza Cezara rzymskiego skryć można? Nie hołdują mu wszystkie ludy i ziemię wszelkie? Zważ, że jeśli dom mój naszli, ja już jestem oskarżona, winna, potępiona; już wiedzą, że jestem chrześcianka; po cóż mam oddalać tryumfu mojego godzinę? — Juliusza, jam już skazana, a o tobie nie wie nikt: dla czegoż masz popełniać samobójstwo i dziecię moje pozbawiać jedynę opieki?

— Gińmy więc razem, rzekłem; ja uciec nie mogę, nie chcę, nie godzi mi się. Paulusa twojego Bóg będzie ojcem i opiekunem. Idę z tobą.

Naówczas usiadłszy na poręczy studni, poczęła płakać, a jęki jej rozdarły mi serce; poczęła prosić i zaklinać. Powiedz mi, co byś był naówczas uczynił? Com ja miał uczynić, aby obowiązku dopełnić? Dziś jeszcze myśląc o tém, nie wiem co szlachetniejsze, co godniejsze było Rzymianina i chrześcianina: czy z nią iść na śmierć, czy pozostać? Wiem tylko, że bolało mnie to, iż zostać musiałem, gorzej niż obawa śmierci.

— Juliuszu, rzekła wstając: widzisz, że jestem wydana im jako chrześcianka; powtarzam ci, szukają mnie, los mój nieuchronny. Bóg nie chce w człowieku ani słabości, ani bezużytecznej ofiary, równając się samobójstwu. Tyś potrzebny i dziś jeszcze ocalonym być możesz. Nie doradzam ci fałszu; jeżeli przyjdzie uroczysta godzina, w której i ciebie zawezwą, abyś dał świadectwo prawdzie, stań mężnie, nie ugnij się, wyznaj Boga i umrzęj dla niego. Lecz dziś, w imię tego Boga rozkazuję ci zostać dla mojego dziecięcia.

Złamany, nie już nie rzekłszy, padłem na ziemię.

— Bracie mój! zawołała Sabina: rzymskim zwyczajem, gdy umiera blizki krewny, na ustach jego kładzie najdroższy mu z rodziny pocałunek ostatni, jakby duszę jego chciał pochwycić... Duszę moją oddaję Bogu, ale braterskim pocałunkiem ciebie żegnam... którego jednogom kochała na ziemi...

Wyrazy te słabszym wymówiła głosem, ale wnet męstwo jej wróciło, położyła mi ręce na ramionach, ustami dotknęła warg moich, i zarzucając *peplum*, śmiałym i żywym krokiem puściła się ku domowi, dając znak nakazujący ręką, abym pozostał.

— Paulus! było ostatniem jej słowem.

Pobiegłem za nią ku oknom domowstwa. Tłum gwaru, żołnierze, niewolnicy jacyś zalegali perystyl, wśród którego migały ich pochodnie... Wysłańcy Cezara badali sługi Sabiny, z których słabsi ulegli postrachowi męczarni i śmierci. Rata jedna stała nieporuszona, milcząca, z rękami złożonemi na piersiach.

Zajadły prześladowca chrześcian, znany z tego, że sam ich dobrowolnie ścigał i na kary wydawał, odarty kapłan *Quirinalis* i wyzwoleniec imieniem Rupas, dowodzili tym napadem na spokojny dom Sabiny. Na widok jej, gdy poważna stanęła we drzwiach, nie okazując strachu, oniemieli z początku, spojrzeli potem po sobie, a Rupas zbliżył się zuchwale do Marcyi.

— Tyś jest Sabina Marcyja, wdowa po Treboniuszu?

— Rzekłeś... odpowiedziała.

— Prawda-li, żeś obrzydliwą wiarę obcą przyjęła? Jesteś chrześcianką?..

— Jestem... głośno i wyraźnie wyrzekła.

— Ani się tego zapierasz, Sabino Treboniuszowa?

— I nigdy nie zaprę...

Męztwo jój jakby uderzyło Rupasa, stał śmiejąc się zgłupiały.

— Myślisz, że cię obroni imię? pochodzenie? — zawołał.

— Obroni mnie gdy zechce Bóg; jeśli nie, potrafię umrzeć..

— Słyszeliście, urąga się! krzyknął Rupas... wyznaje swą szkaradę!

— Milcz! przerwała mu z pogardą—prowadź mnie dokąd ci kazano, jeśli ci kazano.

To mówiąc, powiodła okiem po sługach swoich, i postąpiła kroków parę, jakby wyjść chciała. Ruta natychmiast w ślad poszła za nią i parę jeszcze niewolnic.

Te, które na groźby Flamera Kwirynalisa złożyły były ofiarę, stały w kącie kryjąc się; Sabina ku nim spojrzała tylko. Jedna z nich zerwała się, rozdarła suknię, i natychmiast za nią pobiegła; inne zawahawszy się krótko, poszły za jój przykładem.

Flamen Kwirynalis skinął na nie, że pozostać mogą, ale nie chciały opuścić Sabiny, i płacząc poszły za nią....

— Po co idziecie? spytał Rupas.

— I my chrześcianki jesteśmy, rzekły;—los jój podzielimy.... Bóg naszą słabość przebaczy; chcemy umrzeć! chcemy umrzeć! zaczęły wołać, płacząc.

Kapłan, Rupas i strażnicy zdumieni się znowu. Z chmurnemi czołami wyszli, popychając je i smagając, a nie mówiąc słowa.... Sabina znikła im w drzwiach.

Pozostali niewolnicy jój, płacząc, popadali na ziemię. Naówczas widząc oddalające się strażę, pomy-

ślałem o Paulusie, którego ona mi opiekę powierzyła. Wdarłem się do domu, i wiedząc gdzie sypiał, pochwyciłem dziecko z łóżeczka, unosząc je z sobą.

Ledwie potrafił uspokoić płaczące i zanieść do Celsusa. Przez krótką drogę przyszło mi na myśl, że on pomocnym mi być może. Znaleźliśmy go szczęściem. W kilku słowach opowiedziałem o niebezpieczeństwie, zaklinając go, by przez przyjaciół i stosunki usiłował ratować Sabinę. Świeży przykład Pomponii Grecyny dodawał mi otuchy; ją przecież nie w ręce katów, ale przez wzgląd na senatorskie pochodzenie, oddano na sąd własnym krewnym. Ocalało życie, przyszłość mogła znaczne przynieść zmiany. Ufałem, że i dla niej wyrobić się to będzie mogło. Celsus natychmiast wybiegł na zwiady; ja w strasliwej trwodze, jak odrętwiały, uspakajając dziecko, pozostałem. Zjawił się też wkrótce strwożony Lucjusz, który uszedł przez inną kryptę. Chciał się coś o wypadku dowiedzieć. Opowiedziałem mu wszystko.

— Żegnaj mi więc—rzekł;—jest to dla mnie znakiem, że i moja wybiła godzina; idę i oddam się im sam w ręce. Któż wie, może potrafię na siebie biorąc ciężar winy, ją od niej uwolnić?

Nie mogłem go powstrzymać dłużej; wybiegł, a ja przykuty do dziecka, sam musiałem pozostać. Wstyd mi było mego obowiązku u kolebki, alem go spełniać musiał. Celsus nierychło powrócił, a co gorsza, zatrwajające przyniósł wieści. Liczba mnożąca się chrześcian, ich męztwo, przeraziły Cezara; wydane rozkazy były okrutne; zdano wszystko na łaskę takich ludzi jak Rupas; od nich zawisło darować życiem, karać jak im się podobało, rozporządzać ich mieniem, nawet i czią.

Rupas zamknął Sabinę w lochu własnego domu, i straż postawiwszy, żonie swój doglądanie jęj polecił; z tego widać było, jaką do schwytanęj przywiązywał wagę....

Zacząłem dopytywać o Rupasa, czyliby go okupem zjednać nie można? Dowiedziałem się, że jest świeżym wyzwolencem Cezara, niewiadomego pochodzenia, wielkiego okrucieństwa i dzikości.

Nie zdawał się łącznym ani do ujęcia pieniędzmi, ani do złamania prośbą. Mówiono, że jakaś nienawiść przeciwko Żydom, którzy wiarę chrześcijańską do Rzymu przynieśli, powoduje nim, a duma wyzwolencą jątrzy przeciwko rycerstwu rzymskiemu. Szczególniej miłe mu było ludzi senatorskiego i rzymskiego pochodzenia upokarzać i prześladować, dawnych jakichś zapewne krzywd mszcząc się na nich.—Łatwiej, jak utrzymywał Celsus, dobyć było z rąk jego dziegięciu niewolników, niż jednego szlachetniejszego rodu człowieka. Żona jego Rutylia i on zgadzali się w tęg zajadłości i okrucieństwie, które już głośnie było w Rzymie. W czasie sprzysiężenia Pizona, jemu kilku z kolei dawano na ręce spiskowych, aby tęg wymyślniejsze cierpieli męczarnie. Przystęp nawet do Rupasa domu był trudny.

Nie wierząc nikomu, Rupas więźniów swoich u siebie zwykł był zamykać, i sam był ich strażnikiem, to jest oprawcą.

Drzwi były zamknięte, dom otoczony dokoła strażą niewolników egipckich; on i Rutylia pełnili sami obowiązek kluczników. W domu miało być kilka ciemnic z otworami u góry tylko, przez które winowajców spuszczano, i nie dobywano ich, aż na śmierć iść mieli....

Wszystko to Celsus mi opowiedział pierwszy, potwierdzili inni; znano bowiem dzikiego Rupasa. Noc przeszła nam bezsennie. Rano zdawszy dziecię na opiekę Celsusa, sam postanowiłem udać się do wyzwolencą. Sądząc, że najlepiej uczynię, gdy mu stan mój i znaczenie ukażę—najpiękniejszą lektkę, najdrodniejszych i dobrze odzianych wziąłem niewolników, suknie najkosztowniejsze. Rano jeszcze było, gdy przed domem jego stanąłem; ledwie mi się mógł do drzwi dostukać.

Nie *ostiarius*, ale on sam nareszcie mi otworzył, lichy, brudno i prawie po niewolniczymu odziany.... Przez uchylone drzwi popatrzał oczyma czerwonymi na lektkę, na ludzi, zmierzył mnie potęg wzrokiem pogardy pełnym i złości. Chciał już napowrót drzwi zatrzasać, gdy mi o ile mogłem najgrzeczniej pozdrowiwszy, zatrzymał, prosząc o kilka słów rozmowy.

— Mówmy w progu, rzekł urągająco,—nie miałbym gdzie, na Mitrę, tak dostojnego przyjąć gościa, a i czasu na próżne słowa mi braknie.

— Jestem—odezwałem się—Juliusz Flawiusz, brat Sabiny Marcyi.

— A! rozśmiał się oprawca... więc może i Flawiusza Scewinusa i Fulwiusza Flawiusza...

Obadwaj, jak wiesz, zapłacili głowami za spisek Pizona. Rupas mi to w oczy rzucał umyślnie.

— Nie jestem ich bratem, ale byłem krewnym—rzekłem. Wiecie zapewne, że dla krwi patrycyuszów Cezar nakazuje względy; przychodzę żądać od was, abyście....

Wtém mi, sycząc, przerwał:

— Co wy mi tam mówicie o krwi, o rodzie patrycyuszowskim!.. A gdzież są nieprzyjaciele bożkiego

Cezara, ojca ojczyzny, jeśli nie w waszych rodach i krwi?... Mówicie mi o względach dla patrycyuszowskiego rodu waszego, ale wkrótce go razem z senatem nie stanie.

Wysłuchałem tych słów z pokorą, mimo oburzenia, jakie obudziły we mnie; — Rupas się śmiał dziko i pieniał.

— Proszę was za Sabiną—rzekłem, ucząc się pokory;—zważcie, że jest kobietą. Nigdy żaden z Cezarów rzymskiej matrony znieważyć nie dopuścił.

Rupas śmiać się zaczął mocniej jeszcze, aż mu zęby szczekały.... podobny był do rozjedzonego zwierzęcia...

— Matrony wasze! matrony! zawołał;—każecie je szanować, a sąż one poszanowania godne? Gdzież więcej nałożnicę gladiatorów i kochanek niewolników, jeżeli nie pomiędzy niemi? Gdzie owe *univiry* wasze? A kto knuje spiski, podżega? Epicharys, Flacylla, Kadycya, Atylla... Kto pierwszy obrzędy bezbożne przyjął od niewolników? Wasze to Pomponie i Praksedy!!

I szydził, i urągał. Jam drżał i w proch zetrzeć go nie mógł.

— Krew wasza, matrony wasze! zawołał,—my to wszystko na gemonie wywlecemy.

Oburzenie, prawie szła mną owładnął, ale mi się musiał wstrzymać.

— Rodzina tylko własna ma prawo winną sądzić matronę rzymską—rzekłem,—wszakże tak sam Cezar postanowił o Grecynie?

Rupas usta zaciął, oczy mu błysnęły; pokazał mi pięść czarną ściśniętą.

— Idźże do Cezara, nie do mnie! krzyknął—drzwi z łoskotem zatrzaskując.

Taki był nieszczęśliwy krok mój pierwszy w obronie Sabiny uczyniony. Tegoż dnia użyliśmy wszelkich możliwych środków dla wyrwania jęj z rąk Rupasa,—napróżno!

Wieczorem dowiedziałem się, że Lucyusz sam prawie dobrowolnie oddawszy się w ręce i wyznając się chrześcianinem, do więzienia Tulliańskiego wtrącony został. Ponieważ w dobrych był dawniej stosunkach z Tygellinusem, choć się do niego nie odzywał, na pierwszą wieść o pochwyceniu go, Sofoniusz pośpieszył do więzienia. Wyciągniono go. Tygellinus ledwie go poznał, zdziwiony, iż o przyjęcie chrześcianstwa oskarżonym być mógł; ale z kilku słów przekonał się, iż Lucyusz istotnie innym był teraz człowiekiem. Doniósł natychmiast o tém Neronowi, który Lucyusza niegdyś lubił za zręczne pochlebstwa i sypane w teatrze oklaski, gdzie jedną kohortą wielbicieli dowodził.

Wiedząc, iż Lucyusz ma być przed Neronem stawiony, Celsus postarał się być rozmowie przytomny. Od niego więc uwiadomiony byłem jak się odbyła. Gdy z więzienia wyciągniętego przyprowadzono owego wytwornisia, w zbrukanęj odzieży, wybladłego—Cezar długo mu się z jakąś dziwną ciekawością przyglądał milczący. Chodził naokoło i ramiony podrzucał, trąc brodę rudą.

— Cóż to się z tobą stało, Lucyuszu? spytał na ostatek,—czyś ty oszalał, czy cię ta jakaś miłość w te kloaki zawiodła? To być nie może, żebyś ty chrześcianinem został!

— Jestem chrześcianinem, Cezarze, odparł Lucyusz spokojnie, — a do tego mnie zawiodła nie miłość kobiety, ale miłość prawdy...

Neron milczał trochę.

— A wiesz ty, że chrześciane wszyscy umrzeć muszą?

— Wiem, Cezarze, ale i ty umrzesz także,—rzekł Lucyusz.

— Co śmiałeś wyrzec?

— Nie jesteś nieśmiertelny.... dłużej czy krócej kto żyje, śmierć przychodzi zawsze.

— A ty nie lękasz się śmierci? zapytał Neron.

— Nie...

Cezar popatrzał znowu na niego z poźwieniem i trwogą zabobonną, potem zbliżył się jakby litując.

— Lucyuszu, odezwał się, byłeś mi niegdyś wielce miły... Porzuć to bezbożne szaleństwo, weźmię czarę i libacyą przebłagaj Jowisza mściciela, — każę cię puścić wolno.

— Cezarze, odpowiedział nawrócony — bóg twój nie jest moim Bogiem... wolę umrzeć, niż Temu stać się niewiernym.

— A cóż ci po śmierci?

— Śmierć mi przyniesie żywot inny, wieczny, ku niemu śpieszę...

— Tak oni plotą wszyscy... mruknął Neron, obalamuceni przez swoich unilitów i czarnoksiężników.... Lucyuszu, powtórzył — chcesz dwa dni do namysłu.... to ci je daję.... tak dobrze umiałeś klaskać, żal mi ciebie....

Kazano go odprowadzić do Tullianum.

Tymczasem Rupas zebrawszy dosyć ofiar, wielkie przygotowywał widowisko. Chrześcian poławianych wszystkie lochy jego, mamertyńskie więzienie, Tullianum i jamy te, do których nieposłusznych sadzono niewolników, były pełne po domach siepaczy. Miano je oczyścić wkrótce, wiodąc naprzód więźniów przed

ołtarze Jowisza, Westy, Cerery, a jeśliby im ofiary złożyć nie chcieli, na śmierć różną, ukrzyżowanie, ścięcie, spalenie. Sąd względem chrześcian nie był żadnym sądem; karę na nich wymierzano jaką się podobąło oprawcom. Tylko czasem przed igrzyskami w amfiteatrze, część jakąś zostawiano dla dzikich zwierząt. Innych tłumami palono, topiono, zakopywano, krzyżowano. Nikt się nie troszczył, jaka ich śmierć czekała.

W dni kilka, gdy coraz groźniejsze dochodziły wieści o blizkim dniu męczeństwa, od którego już nie Sabiny ocalić nie mogło, upatrzawszy chwilę, gdy Rupasa nie było w domu, za sowitą zapłatę przez Rutylię, żonę jego, wprowadzony zostałem do domu i więzienia.

Jakże ci opiszę, Kajusie drogi, widok, który przez całe życie oczom mym i sercu będzie przytomny!... Rutylia zawiodła mnie w najciemniejszy kąt smrodliwego, wilgotnego domu. Sabina nie siedziała wprawdzie w jamie takiej, do której niewolników przez okno wrzucano, ale w lochu nad nią okropniejszym może jeszcze. Schodziło się do niego po schodach ciasnych, wykutych w starym murze, w których nie wiem, jak pomieścić się mogłem... Powietrze zgniłe i zatechłe, im niżej spuszczaaliśmy się, tém bardziej dusiło pierś moją....

Idąc przodem, Rutylia niosła lampę... w ję blasku, bo światła i okna nie było tu żadnego, ujrzałem w głębi nieszczęśliwą niewiastę, w otworze wązkim, opartą o mur otaczający głową i jakby na pół uspiooną. Otwór ten, paszcza raczej, zowiąca się więzieniem, była tak szczupła, że się w niej ani położyć, ani na-

wet usiąść nie było podobna. Więzień stać musiał oparty, zgięty, złamany, dniem i nocą bez światła, bez powietrza, bez garści słomy, którą nawet zwierzętom podścielają.

Słyszając szelest, Sabina otworzyła oczy, była jeszcze na pół uśpiona, a sądząc, że już ją na stracenie wieść mają, wyrzekła cichym głosem:

— Jestem gotowa...

Na ohydnej, zwiedłej i pokrzywionej twarzy Rutylia postrzegłem uśmiech szyderski. Wtém blade światło uderzyło na mnie: Sabina poznała mnie, domyśliła się może i zadrżała.

— A Paulus mój? spytała, składając ręce.

— Paulus jest bezpieczny, odpowiedziałem,—bądź o niego spokojna.

— Juliuszu, rzekła po grecku, nie chcąc być zrozumianą przez kobietę, — naucz go kochać Boga, za którego ja umieram... Wreszcie niech tobie będzie podobny... Obadwaj módlcie się za mną. Ciało lub proch, jeżeli można, złożcie w krypcie obok innych współwynawców...

Łzy stawały mi w oczach; nawet dzika niewiasta zdawała się być zdziwiona, jakby strwożona jej spokojem.

Sabina nie płakała. Przytulona do zimnej ściany, drżąca, blada, patrzyła na mnie z pogodą i pokojem niepojętym; mnie dusiły pierś wezbrane jęki.

— Juliuszu, mówiła jeszcze,—mam prośbę do ciebie drugą... Jeżeli będziesz mógł, przyjdź tam, gdzie mi zginąć przeznaczono; bądź tryumfowi przytomny... Nie chcę, abyś brał z sobą Paulusa: na jego serce dziecięce widok byłby zbyt okrutny... choć dzieci

chrześcijańskie zawczasu z męczarnią i śmiercią oswojać potrzeba... Ale tyś mężczyzna... ty mu powiesz kiedyś, jak matka jego błogosławiąc mu umierała...

— Sabino, ale ja choćby w cudzie jakimś mam nadzieję... zawołałem.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Na ziemi nie ma dla mnie żadnej — rzekła.— Dziś we śnie widziałam niebo i aniołów... jutro nas stąd wywiodą... Bądź zdrow... zobaczymy się, znajdziemy, ale na lepszym już świecie...

Głos jej słabł od wzruszenia. Domawiała tych wyrazów, gdy przestraszona, by mąż jej nie nadszedł, Rutylia popchnęła mnie w górę na schody, grożąc. Chciałem ukłknąć i stopy świętej męczennicy ucałować, schyliłem się, ale Rutylia uderzyła mnie klucząmi, które trzymała w ręku, i pogroziła Sabinie.

Znikła mi z oczu... Wyszedłem pijany boleścią z tej otchłani, nie wiedząc co się już działo ze mną. Sądzę, że Afer z innymi sługami musiał mnie gwałtem zawieść do domu Celsusa... gdzieś nierychło do przytomności powrócił. Chryzyp kazał mi krwi upuścić... Osłabły, zwlokłem się nazajutrz z łoża, przypomniawszy sobie żądanie Sabiny i przepowiednię jej, że dnia tego stracona będzie. Tajono przedemną wszystko; ale Afrowi obiecawszy wolność, dowiedziałem się, gdzie chrześcijan tracić miano. Ogromne tłumy ciekawych cisnęły się wcześniej ku wzgórzowi Watykańskiemu—poszedłem, a raczej potoczyłem się z niemi.

Wzrok mój osłabły nic nie mógł w pośród ścisku rozróżnić z początku, oprócz dzikich twarzy siepaczy z powrozami, którzy pędzili jakby wielką trzodę ludzi. Stanęliśmy na placu, u stoku góry, na której wznosiły się trzy białe do ofiar przygotowane ołtarze.

Trzech flaminów stało przed niemi, z kilku kamillami do posługi, poniżej cała zgraja katów, pacholków z narzędziami śmierci i kilka drewnianych krzyżów.

Jako matrona rzymska, Sabina do miecza przynajmniej miała prawo.

Gdy chrześcijanie opasani dokoła tym murem żywym stanęli odosobnieni, ujrzałem dopiero w ich szeregach Sabinę i Lucjusza, a obok nich niewolników i Żydów.

Chciwy zabawy krwawej, lud wykrzykiwał, bezczeszcząc chrześcijan. Jakże mi jego bezduszości i okrucieństwa wstyd było!

Pędzono chrześcijan przed ołtarze, ale pomimo groźb i bicia, mimo wysileń kapłanów, nie tknęli naczyn ofiarnych, i wszyscy z kolei przeszli tam, z kądem już nie mieli powrócić!

Ujrzałem Sabinę nieugiętą, śmiałym krokiem postępującą za innymi, zatrzymała się u ołtarzy i uderzona odeszła... Potem przyszedł Lucjusz, odarty, w jednej tylko tunice, boso; kat mu zerwał z ramion togi; błąd był, ale nieczuły i jakby głuchy na krzyki oprawców. Kajusie, była chwila, żem mu w duszy tej śmierci pozazdrościł.

Gdy po nadaremnych namowach i postrachach, skazani wszyscy zepchnięci zostali na plac kary, tłum się uciszył, a wśród milczenia odezwała się jakby z niebios pieśń przedśmiertna... Od głosu jej pobladły twarze, zadrżeli wszyscy...

Słońce było nad samym zachodem, dzień pochmurny i wietrzny... Nagle, jakby cudem, gdy oni śpiewać poczęli, rozdarły się obłoki sine i gorący światła promień oblał na wzgórzu stojący orszak... Chrześcijanie widzieli w tém znak łaski bożej, i pieśń ich

zabrzmiała głośniejsze, — ale nie długo oprawcy rozlegać jej się dali.

Krwawy, straszny, ale wspaniały to był obraz... Tłum znowu głużył pieśń wrzaski dzikimi. Byliż to ludzie czy potwory z puszczy Hirkańskich wypuszczone, znęcające się nad świętością boleści!

Cierpliwość i rezygnacja męczenników jeszcze zdawała się ich podżegać; ze wściekłością miotali się na bezbronnych, którzy klęcząc, ze złożonymi rękami czekali zgonu, nócąc ciągle pieśń swoją.

Oczy miałem wlepione w Sabinę. Stała, przodując niewiast gromadce; Ruta przy niej, wierna aż do śmierci sługa. Podniosła głowę ku niebu, potem zdało mi się, że w tłumie wzrokiem mnie może szuka. Podniosłem w górę białe jej *sudarium*, toż samo, które u wnijścia do krypt znalazłem był w dzień pożaru. Czy znak ten spostrzegła, nie wiem, ale skłoniła głowę na pożegnanie, rękę przykładając do serca. I jakby tego krótkiego ziemskiego pożalowała, zawstydyła się uczucia, ukłękła zaraz, spuściła oczy, zaczęła się modlić...

Kat nadbiegł ku niej z kolei, pochwycił za włosy, które obciął, a potem jednym zamachem stracił głowę jej z ramion. Padła... widziałem krwi strumień, w którym białe drgało ciało. Krzyknąłem i bezprzytomny rzuciłem się na ziemię... W tej chwili z drugiej strony padał Lucjusz; innych podnoszono na krzyżach i rzucano na rozpalone stosy...

Nieruchomy, odrętwiały, mimo Afra i ludzi, którzy odciągnąć mnie chcieli, stałem w miejscu jak przykuty... postanowiłem pozostać, aźbym mógł z innymi współwyznawcami ciała świętej niewiasty ocalić i przynieść do wspólnych grobów chrześcijan.

Gdy krew łać się poczęła, tłum, który wrzał i urągał się, zamilkł; mimo groźb, zakazów i bicia, rzuciło się wielu chusty maczać w strumieniu czarnym, który się rozlewał po piasku. Oprawcy neliitościwie smagali sznurami i kijami, ale nie nie pomagało. Wśród tego zamieszania i wrzawy, promień słońca zagasł, czarne nadciągnęły chmury, wicher zerwał się silny, szum jego stłumił powstające krzyki.

Oslupiały patrzałem. Wtém nagle cisza się stała wielka znowu, i z tłumu wystąpił człowiek jakiś, wołając:

— Chrześcianin jestem!

I cisnął się w ręce katom, jakby domagając się śmierci.

Wśród oprawców i ludu zamieszanie powstało, postrach jakiś ogarniał wszystkich, rozstępowali się, uciekali od niego, nikt ująć go nie śmiał, nikt się dotknąć nie ważył. Człowiek ten kląkł na piasku przy trupach i modlił się spokojnie. Jeden z katów oparty na mieczu patrzył nań długo, zachwiał się, padło mu z rąk żelazo, załamał dłonie, zadrżał... i upadł przy nim na kolana...

Za tymi dwoma nawróconymi, z pośrodku tłumu zaczęli z płaczem i jękami cisnąć się inni... reszta patrzyła osłupiała.

Trwoga przejmowała widocznie wszystkich; niektórzy uciekać zaczęli, inni zadumani odchodząc, zwracając oczy ku niepojętemu widowisku. Dokoła mnie urywane słowa przestrachu i zdziwienia przelatywały, matki zabierały dzieci, mężowie odciągali żony, ciżba wracała do miasta...

Każdy zdawał się lękać zarazy, którą czuł we własnym sercu...

Pojąłem w téj chwili, że zwyciężeni zwyciężyli, że tryumf istotny był nie przy mordercach, lecz przy zamordowanych.

Kajusie... chrześcijaństwo zwycięży świat! Gdybyś przytomny był temu uroczystemu widowisku, tak jakabyś wyrzekł:—Siły téj nie złamać nie potrafi!...

Rozpierzchły się na ostatek gromady ludu, ja pozostałem z niewielu; noc nadeszła, na placu zostawiono ciała męczenników, któreśmy bez przeszkody zabrać mogli...

Razem z innymi poszedłem tę ostatnią oddać im posługę. Zwłoki Sabiny uwinęliśmy w całun, który kobiety przygotowały; chustkę jej umoczyłem w téj świętej krwi ledwie zastyglęj, i schowałem ją dla jej dziecięcia... Było to świadectwo życia...

Ciała Lucjusza i innych podniesiono, okryto, zebrano najdrobniejsze szczątki, i liczny orszak żałobny towarzyszył im po za murami miasta na Apijską drogę do chrześcijańskich katakumb.

Lecz było wiele wylanych, ale radość mieszała się z żalem... Wszyscy czuli wielkość dnia tego... krew nie darmo została przelana. Uczucie tryumfu podnosiło serca, pieśni brzmiały weselem niebieskiem.

Na przyjęcie zwłok zastaliśmy krypty nasze oświecone lampami, ubrane zielonemi gałęzmi, jak wrota nowożeńca, gdy *sponsa* próg ich ma przestąpić.

Fossorowie przygotowali groby wcześniej.

Na zwłoki Sabiny stary sarkofag był przeznaczony; na nim kapłan odprawił pierwszą ofiarę, i stał się odtąd ołtarzem...

Położyliśmy na nim napis obyczajem chrześcijańskim:

SABINA MARCIA, ANIMA

DULCIS ET INNOCENS, ROGES PRO

NOBIS QUITA SCIMUS ET IN



XXVI.

Chryzyp Zenonowi Ateńczykowi zdrowia.

Z listem twym, stary mój, Nicysz szukając mnie po Rzymie, nie do jednego Chryzypa trafił wprzód, niżeli mnie wynaleźć zdołał. Nigdy ja tu, gdzie skoczki i śpiewacy wszystkim są znani, głośnym nie byłem; a dziś ledwie o mnie wie ten kawałek ziemi, na którym siedzę w kącie termów, prawie Dyogenesowym obyczajem... Nie jestem już niewolnikiem; lecz tym ci gorzej, bo mnie nikt nie karmi, nikt się o mnie nie troszczy, nikomu szkody śmiercią moją nie przyniosę, i wyszedłem na żebraka. Razem z nędzą przyszła też rozumna jej pogarda; nie lituj się więc zbyt nademną. Życia ostatek pędzę patrząc na drugich życie, jakbym był na scenie i na lichych aktorów oglądał.

Miedzy nimi a mną nic wspólnego nie ma.

I pytasz mnie jak żyję? Uwierzysz-li, że domu nie mam? śpię w termach lub w gospodzie, często pod murem na drodze, gdy noc ciepła; wszystek majątek, wedle filozofa nosząc z sobą, bo tunika a płaszcz dziurawy całe mienie. Przetarłszy oczy, idę się do studni

chłodzić, lub na tanią kąpiel za ćwierć asa. *Macellarius* nakarmi mnie na dobre pół dnia; latem w cień, zimą na słońcu w termach miejsce sobie wybieram, na którym nikt mi siedzieć nie broni. Więc słucham i patrzę, a w duszy się śmieję i z wielkich Rzymian, i z małych *Graeculów*, co tu ojczyznę naszą tak nędźnie przedstawiają. Czasem zaczepi kto, zagada, niekiedy znajomy na *coenę* zaprosi; mogę się i wyspać u przyjaciela — ale za to wszystko, jeśli nie pieniędzmi, to językiem płacić potrzeba. Nie lubię też do tego przywykać, czego mi łatwo zabraknąć może; wolę pod murem na ziemi spać, bo już mnie ztamtąd nikt nie wypędzi: tam ja gospodarzem i panem.

Takiego więc Chryzypa niełatwo w Rzymie Nicaszowi odszukać przyszło, bo ich tu podobnych znajdzie dużo jak zgnitych fig na gościńcu; ale naostatek na kupie śmiecia trafiwszy na mnie, pismo oddał.

Żyjesz więc starowino Zenonie! a co większa, widzę, że od świata pragniesz wieści, jakbyśmy my dwaj, ty i ja, do niego należeli. Każesz mi nawet stwardniałemi palcami brać się do pisania; a palce choć niegdyś kaligrafować umiały, dziś już ledwie ruszać się mogą.

Acz się twój słabości lituję, dogodzić jęj pragnę; nie byłbyś Ateńczykiem, gdybyś ciekaw nie był.

Zapytujesz mnie o wiele; postaram się odpowiedzieć choć mało... A najprzód ci powiem, że wychowawica twa ulubiona, jak i mój miły Juliusz, już na tej ziemi nie goszczą. Sabina Marcya przyjęła wiarę obcą, do Rzymu przywiezioną z Judei; za jęj przykładem poszedł Juliusz Flawiusz: ona też pierwsza ofiarą padła, on z innych powodów później.

O wierze tej, którą chrześcijańską zowią, coś wiedzieć musisz, ja niewiele; sądząc z uczynków ludzi,

którzy ją wyznawają, milezę. Nigdyśmy my Grecy obcym bogom gościnności u siebie nie odmawiali: *Theoxenia* nie tylko w Delfach obchodzono, ale powszechnie u nas była przyjęta; Rzym, który nigdy nic nowego, oprócz szermierstwa i okrucieństwa, nie wymyślił, od nas ją także naśladował. Patrzano też z razu na przybysza z Judei jak i na innych bogów gościnnych, dopóki się nie przekonano, że w świątyni, do której On wszedł, już żaden inny postać nie mógł.

Za czasów Hezydowych w Grecji naszej liczono już trzydzieści tysięcy bogów; od tej pory przybyło ich jeszcze, bo się rodzili nowi, a starzy umierać nie chcieli: więc ta mnogość, obawiając się wygnania, wrzawy ogromnej narobić musiała. Gdzież tu się schronić i kędy pomieścić, a jak z boga spaść na prostą marę bez ciała, siły, imienia i ołtarza?

Wiarę więc nową prześladować musiano, bo się obok innych mieścić i żyć z niemi w zgodzie nie chciała... Ale ta, im więcej prześladowana, tém mocniej ku sobie pociągała. Wiesz Zenonie, iż zakazane rzeczy zawsze ludziom są najmilsze, najchciwiej leżą za niemi,—stary już Homer wie o tém... Gdyby też cnoty zabroniono, czyby to do umiłowania jęj nie pomogło?

Ale schodząc do rzeczy, o wierze nowej mówić ci nie chcę: złegobym nie mógł, dobrego nie potrafiłbym; z uczynków sądząc, filozofami ich widzę; a że zwyciężają siebie i świat, przyklaskuję. Jakim sposobem oni prawdy, dla niewielkiej dotąd liczby ludzi przystępne, tłumowi uczynili pojętnemi, i z zapalem je przyjąć mu nakazać potrafili — nie rozumiem. Zdumiewa mnie to, nie przeraża; widzę tylko, że tajemnic wrota

otwarto dla wszystkich. Zresztą nie wyrokuje o tém co mi obce... powiem, że u nich nie

Ἐξ Αἰὸς ἀρχόμεθα,

jak śpiewa Aratus, ale w Bogu koniec wszystkiego, przez Boga i z Bogiem idzie wszystko. Dotąd bogów było bez liku, ale życie się ich nie imać: żyli oni sobie, ludzie sobie, niekiedy wzajem pomagając; człowiek Jowisza prosił, Merkury posłużył się człowiekiem; dwa były światy obok, ale oddzielnie istniejące. Dziś u nich Bóg jeden, ale pod swe rządy objął wszystko i panuje.

Ślepy tłum kamieniami na nich rzuca; jam za stary na branie się do tego, patrzeć wolę a końca czekać. Mówić więc będę, jak sobie z tém w Rzymie poczęto?

Oto jak zwykli robić ogrodnicy: gdy wątle drzewko posadzą — krwią je ciepłą podlewają.

Mądry Rzym, który barbarzyńców krwią i mieczem podbił, z bogami też wojuje tym samym sposobem, innego nie zna.

Uczennica twoja Sabina była jedną z pierwszych, co dostarczyły krwi na podlanie owego drzewa. Nie wiem, czyliś ty ją uczył umierać raczej niż żyć, ale żyła godnie, a umarła nie jak słaba niewiasta, lecz jak mąż stoickiej cnoty. Patrzałem na tę śmierć, sobie życząc równie spokojnego, choć łżejszego zgonu, nie z ręki kata. Masz bowiem wiedzieć, że razem z wielu innymi chrześcianami ścięta.

Rzymianie ścinać i niszczyć umieją; zobaczmy, czy też stworzyć co potrafią.

Juliusz Flawiusz, któremu Sabina twoja dziecię swe powierzyła mając umrzeć, został naówczas ocalony, lecz nie na długo. Neron wprawdzie widząc, że okrucieństwa jego przeciwko chrześcianom nic nie sprawiają i liczby ich nie zmniejszają, nieco się był wstrzymał w bezużytecznym krwi przelewie; lecz z każdym dniem o siebie lękając się więcej, kogo tylko posądzał, iż mu niechętnym być może, na śmierć skazywał. A że poczwara ta czuła, iż nikt kochać jej nie mógł, byłaby powoli świat wyludniła. Z każdym dniem nowe przychodziły wyroki, stosów pogrzebowych nigdy tyle nie widział Rzym, ani tyle łaźni krwią zafarbowanych.

Rzym stał się pusty i straszny, a germańscy żołnierze mogli go przelatywać jak niegdyś lasy swe i odludzia.. Jeden człowiek miotał się u góry, Jowisza udając; reszta u nóg jego pęzłała nie śmiejąc wyrzec słowa. Senat drżał o siebie, coraz nowe tytuły wymyślając dla Cezara, i gotów mu zawsze przyklasnąć, choćby niewolnika swojego między nimi w senacie posadził. Posągi mu lano większe niżeli bogom; ale w milczeniu głuchém słyhać było złowrogi szmer i jakby drgania niecierpliwości.

Ruszyła się pierwsza Gallia, którą łupiono w imię Cezara; wypowiedział posłuszeństwo Windeks, przyłączyli się doń inni legaci i dowódcy sąsiednich prowincyj. Neron panował jeszcze, ale już tylko w Rzymie; po za wrotami jego odmawiano mu posłuszeństwa; srożył się, nie zważano. Jął tedy nowemi wyroki przerażać, szukając ofiar jeszcze.

Juliusz Flawiusz w ścisłej żył przyjaźni z Celsusem, który niegdyś o Pizonowym spisku był uwiadomiony; ale za to, że miał uszy a ust nie miał, ukara-

ny jeszcze nie został. Wydano Celsusa, z nim Flawiusz pociągnięty został. Znalezione listy, wykryto stosunki z Gallii lugduneńskiej burzycielami. Celsusowi natychmiast umierać kazano, otworzył sobie żyły, trucizną dopomógł, i umarł dobrze, bo prędko. U nas to stało się sztuką: są na to prawidła, nauczyciele, wzory, pomocnicy; wprawiono się w Rzymie w umieranie zręczne i przyzwoite. Lukan umierał wierszem, Seneka prozą, inni po żołniersku, inni z sybarytyjskiem obrachowaniem, aby śmierć do lekkiego snu po wiewczy mogła być najpodobniejsza.

Weszło we zwyczaj, jak kobiety *alabastry* (z wonnościami), nosić *pyxydy* złote z trucizną, aby być zawsze na zawołanie gotowym, a Lokusta nie mało ich napelniła.

Niektórzy do takiej rozmyślanie doszli biegleści, że gdy centuryon do drzwi niosący rozkaz zawitał, nim mu otworzono, już byli w kąpielu z otwartymi żyłami...

Flawiusz, któremu, jak się zdaje, wiara jego zadać sobie samemu śmierci nie dopuszczała, czekał na żołnierza i przyjął go mężnie. Spóźniał się umyślnie Neronowy siepacz przez grzeczność, aby Flawiuszowi dać czas samemu sobie odjąć życie: sądził, że go już umierającym zastanie; zdziwił się, spostrzegłszy siedzącym spokojnie.

— Wiecie, rzekł, z czém przychodzę.

— Domyślam się; spełnijcie rozkaz, odpowiedział Juliusz.

— Nie woleliżbyście sami go uprzedzić? odezwał się żołnierz; nie macież mężstwa?

— Śmierć ponieść, znajduję, rzekł Juliusz; ale życia sobie odebrać, prawa nie mam.

Żołnierz się zdziwił. Widząc pierś obnażoną, popatrzał, dobył miecz z pochwy i pchnął w serce...

Zostałem naówczas sam z sierotą Sabiny, Paulusem małym, z którym przyznaję się, nie wiedziałem co czynić. Wszystko co mieli skazani, na skarb zabrano; wyszliśmy na ulicę z trochą odzieży na plecach, którą nam zabrać dozwolono z litości. Byłbym miał wielką troskę o utrzymanie dziecięcia, gdyby mi jakiś nieznany starzec drogi nie zaszedł i nie spytał o nie, wymieniając nazwisko jego i matki. Zapytałem, kto by był? Rzekł mi, że chrześciana jest, a opieka nad sierotą chrześcianki do nich należy. Powierzyłem mu ją, i nie żałuję tego, bo chłopię umieścił w zacnym domu, gdzie i matkę przybraną, i ojca, i czułe znalazło jakby rodzicielskie staranie. Chrześcianie bowiem są jedną wielką rodzinną spójnią, a obowiązkiem jest wszystkich wspólnie się wspomagać.

Gdybym był płakać umiał, płakałbym po moim Juliuszu; ale łzy dawno mi wyschły, niewolnikiem jeszcze lać je przestałem... Serce mi się ścisnęło, pożegnałem pocałunkiem biednego młodzieńca. Myślałem, że mu pogrzeb wyżebrać potrafię, ale ciało znikło... widać że chrześcianie je do swych grobów zabierać musieli.

Neron potem panował jeszcze, ale to już był schyłek jego władzy. Jedne po drugich wieści nadbiegały z Gallii: on niby gotował się iść przeciwko zbuntowanemu, ale wozy przyspasabiał, dwór zbierał, od dnia do dnia odkładano wyprawę; widać było, że nie wiedział czego się chwycić, co z sobą począć. Posyłał do Ostyi, aby przysposobić okręty, to znów wybierał się do Gallii, to oddać chciał władzę i z cytarą w rękę na chleb zarabiać. W porywach niecierpliwości tłukł

naczynia, wywracał stoły, bił swe kochanki, groził, ale siły nie miał, by coś stanowczego obmyślić i wykonać. Doczekał się w końcu tego, że na sam tylko odgłos idących legij Rzym go opuścił, rozbiegli się przyjaciele, dwór, zauszniccy, kochanki, kochankowie. Wszystkie drzwi się przed nim pozamykały, ludzie uciekli; pół nagi, wylekły, oszalały, nocą wśród burzy wyleciał z Rzymu... szukać śmierci, której znaleźć nie umiał. Żył jeszcze, ale już przestał panować... żołnierz go spotkał, poznał i zabić nawet nie chciał... Nędza, głód, przestרח, podłość ludzi, których podłymi być uczył, dały mu się uczuć przed zgonem. W końcu histryon nie tyle panowania i życia, co swego talentu artysty przedwcześnie konającego żałował...

Na tém tragi-komedy Nercnowa się skończyła — ale nie Rzymu plugawego. Z kolei, gdy Neron upadł, gdy został zabity, gdy się go już nie lekano, senat go głosił ojcobójcą, wczorajsi pochlebcy plwali na jego pamięć, chlubił się każdy, że go nienawidził... Stałem i śmiałem się... O Rzymie! Rzymie! nie zabraknie ci Neronów! słusznie mówił Kornutus: twoja podłość i nizekzemność ich rodzi, twe pochlebstwo wykarmia, twoja rozpusta rozwiążymi czyni.

Patrzę jeszcze i śmieję się, Zenonie... Bogowie wiedzieć muszą, do czego to wszystko służy; jam głupi, nie rozumiem. Widzę mimów i aktorów na scenie, ale końca sztuki się nie domyślam, a nie dożyję go pewnie...

Mówisz mi, bym porzucił nienawistną mi kloakę rzymską, a do Aten powrócił. Nie: Rzymu nie cierpię, ałem do niego przywykł; nie rzucę go, aby nowój nienawiści szukać. Z dała Ateńską czczę Minerwę, a nużbym i jēj jak tu Jowiszowi Kapitolińskiemu stał się

niewiernym... Niedługo też ebodzić będę po splugawionėj przez rzymskie żołdactwo ziemi.

Pod koniec uczty gdyś na łożu dobrze się rozsiadł, gdyby ci konsularne miejsce ofiarowano, czybyś je przyjął? Nie warto...

Mam tu już dobry kąt pod murem, gdzie mnie stare drzewo figowe, bluszcz i winna latorośl osłania. Kamienie bokami wytarłem, że mi wezglowie zastępują i przyszły do miary. Wiem gdzie woda najświeższa i w której tabernie najtańsze oliwki i placek... Po co mi więcėj?...

Którejś nocy stężeje ciało powoli, *psyche* uleci, a przechodnie zdziwią się starym kościom nad drogą, które przez litość spalić będzie potrzeba i kędys w kącie poliandru porzucić...

παρὰς γούον — *)

*) I Eurip. Suppl. III. (Omitte luctum).

PAMIĘTNIK MROCZKA.

POWIEŚĆ.

Sit nomen Domini benedictum.

Nigdy, jako żywo, nie byłbym pomyślał o opisaniu wypadków, które w dosyć długim życiu Pan Bóg przeżyć pozwolił, ratując mnie łaską Swą, gdyby nie naleganie usilne dzieci i przyjaciół, abym dla nich i potomstwa ich pamięć tych przygód zostawił, których oni ani tak objąć, ani tak jako świadek oczny opowiedzieć nie potrafiliby, chociaż je nie raz jeden z ust moich słyszeli. Więc nie żebym mizerną swą osobą chciał zajmować ludzi, boć takich jakem ja był i w podobnych przygodach, naliczyłby tysiące, ale że mi Pan Bóg dał w wielkiej imprezie i sławnej onęj wiktorii nad Turkami pod cesarską stolicą otrzymanej uczestniczyć, a rzecz ta pamięci jest wiekuistej godna, przeto się nakłonić dałem, aby coś o tém, jakom na to oczyma własnymi patrzył, zostawił. A że się nie obejdzie, bym przy téj okazji czegoś i o sobie powiedzieć nie miał, niech mi to będzie przebaczone.

Rodzina moja z Mazurów pochodzi, gdzie od wieków dawnych Boleszczyce siedzieli i gdzie im Ziemiowit książkę mazowieckie przywileje wielkie nadał, jako możesz czytać u genealogów naszych. Ci świadczą, jako się rozrodzili i rozdzielili Boleszczyce, a potem

i po całej Polsce rozeszli, tak, że mało gdzie kąt znalazłeś, aby tam naszej krwi kogoś nie odpytał. Ano miał zwyczaj mawiać stary Nowowiejski, który też Jastrzębcem, inaczej Bolestą się pieczętował, iż nas prawie narodem raczej niż familią zwać się godziło, tak liczni byliśmy od wieków na polskiej ziemi. Najstarsze kroniki już onych Jastrzębców wspominają dobrze przed Krzywoustym, tak, że *originem* rodziny bodaj do pogańskich czasów odnieśćby należało; z czego, uchowaj Boże, chluby nie szukając, dla tego to piszę, abym nie zamilczał co się mojego rodu tycze. Już w tym czasie kiedy Ziemowit w 1408 r. ów przywilej nasz spisać kazał, który Bolestów wszystkich, naówczas w Księstwie Mazowieckim zamieszkałych, od jurysdykcji wszelkiej krom sądów książęcych uwalniał, było ich tam co niemiara po wsiach, od których imiona pobrali, jako: z Psarów, Czeszewa, Myśliszewa, Kozłowa, Mańkowa, Chorzewa, Bobrowa i t. p. Takeśmy i my, Mroczkowie, od antecessora Mroczka czyli Mrucysława nazwani, z Łukowca się pisali, i niektórzy Łukowieckimi się poprzyzywali. Wszystkie też rodziny Jastrzębczyków, których mało kilkaset różnego miana naliczyć było można, jeden herb nosiły i noszą, jeśli z odmianą, to niewielką, w szczycie podkowę z krzyżem, a na hełmie jastrzębia czyli kanię, jak do myśliwstwa były używane, z centkami u nóg. I mogliby byli owi Bolestowie potężni być, gdyby się byli trzymali jako jeden ród i zawołanie; ale od owego nieszczęśliwego zabójstwa Św. Stanisława za karę snadź Pan Bóg im szyki pomieszał i rozproszania dopuścił, tak, że się już za swych nie znają i samopas każdy chodzi, choć wszyscy do jednej rodziny należą. Byli bowiem z królem Bolesławem Szczodrym, jako jego przy-

bocznym, w to nieszczęsne zabójstwo wmieszani Bolestowie, za co im potem i imiona i szlachectwo odjęto niektórym, a potem znów przywrócono. Od onego też wypadku już się nigdy rodzina podnieść nie mogła do pierwszej świetności swej i popadła w ubóstwo. A potomkowie tych, co się krwią Świętego zmazali, zawsze w rodzinie miewali, jako żywe świadectwo swojego szaleństwa, jednego, który szalał.

O ile wiem i od ojca to słyszał, który dziada swego pamiętał, zaręczali najstarsi, iż między Mroczkami nie się podobnego nie trafiało, w dowód, iżśmy tam nie byli na Skalce, gdzie się krew niewinna męczeńska lała, aniśmy się nią pomazali. Wszelako należeliśmy do rodu i z nim widać dzwigaliśmy losy wspólne, bo się nam też nie wiodło, mimo ciężkiej pracy.

Mroczkowie z Łukowca, jak wielu innych Jastrzębczyków, dawno się byli wynieśli z ojczyznan, a nam już przypadło kawał ziemi trzymać na Podlasiu około Bugu, kędy się był pradziad wyniósł z okazji tej, że się ożenił z Pawlicką, po której wioska mu się dostała w tym kraju zapadłym. Już wtedy ś. p. ojciec mój Paweł tam na świat przyszedł, i jam tam także światło dzienne ujrzał w Górze Pawlickiej, d. 23 Junii 1657 r., za onego nieszczęśliwego panowania Joannis Casimiri, nad które nie wiem czy kiedy smutniejsze być mogło. Tych przecie czasów srogięj kary Bożej nie pamiętam, bo to były lata niemowlęstwa i dzieciństwa mojego, a jak sięgnąć mogę przypomnieniami, już się też było u nas nieco poprawiło.

Jednakowoż nie w naszej rodzinie, bo myśmy naszą Górę utracili, którą nam za dawny dług niesłusznym procesem wzięto, od czego ojciec zmarł ze zgry-

zoty wielkiej, rady dać sobie nie mogąc. Matce też ze mną przyszło po cudzych tułać się kątach, mało co nad ruchomość ocaliwszy, a i ta się rozpraszała. Miałem stryja, człeka niezbyt majątnego, ale na własną siedzącego wiosce; ten jednak mało się losem moim chciał zajmować, a całe matki i mnie przyjąć nie myślał. Matka więc u swęj siostry Zawickiej przemieszkowała, można powiedzieć, na łasce; a gdy się to trafi, choćby u rodzonej, zawsze ciężko opłacić trzeba. Co tedy tam zniosła i przecierpiała, mleczniem pokryć wolę. Mnie z Zawickim razem do szkół posyłano, a i tu Boże odpuść, tylko że nie za chłopca bratu cioteczemu służyć musiałem, i tyle nauki chlipnąć, ile jęj trzeba było na życie. Przypadły mi jakoś szkoły właśnie pod ten czas, kiedy król abdykował z dobrej woli, a później obrano w miejsce jego Michała. Ale się owe wielkie przepowiednie na Piasta nie ziściły, i pszczoły, co tam siadły czasu elekcyi, miodu nie zrobiły. Mijam tedy ów czas, bo o nim niewielebym mógł powiedzieć, kiedym nad moją książkę szkolną dalej nie widział. Później dopiero cokolwiek w oczach się świat rozjaśniać począł, a już się i lepiej wiodło onemu królestwu za wstąpieniem na tron hetmana wsławnego zwycięstw, jakiego nam właśnie było potrzeba.

Ża łaską i protekcyą krewnych moich, którzy też i zbyć się może załogi życzyli, bardzo tedy młodo rycerską począłem praktykę, i nieźle mi się wiodło — a jakim się dał poznać i pocziwe imię sobie zasłużył, toć ludzie wiedzą i tego nie ciekawi.

Wracam tedy szczególniej do tych czasów, których pamiętać radbym zostawił, i do lat doroślejszych, gdy już w registr był wpisany i począł chleba wojskowe-

go kosztować. Nie doczekała pocziwa matka moja poprawy chudopacholskiego losu, gdyż jakoś na rok przed stryjem, po którym wiosieczka mi się dostała, u Zawickich zmarła.

Chorząła już od dawna, przeto chociaż się i gorzej miała, i blizką zgonu czuła, pobłogosławić mnie i zobaczyć pragnęła. Pożalowali posłańca do mnie, bom był przy chorągwi mojej, naówczas konsystującej na Rusi. Niech im tego Pan Bóg nie pamięta, choć mnie im ciężko zapomnieć wyrządzoną krzywdę! Zmarło się biednej matce tak nędznie jako żyła, a pogrzebu nawet przystojnego jak należało nie sprawili, niemal jak sługę, nie jako krewną najbliższą pochowawszy bez wszelkiego apparatu, z jednym księdzem. Jam to później nagrodził, solenne wyprawując egzekwie, na które chociażem Zawickich prosił, czując się źle na sumieniu, przybyć nie chcieli.

Dopiero po pogrzebie listem mi ciotka dała wiedzieć, że Pan Bóg matkę wziął z tego świata na lepszy i że po niej mi nic nie zostało, krom ślubnej obrączki ojca i obrazka Najświętszej Panny Częstochowskiej, który za relikwię chowam. Zapłakawszy tedy nad swém sieroctwem, rzekłem jako mnie nieboszczka nauczyła:

Sit nomen Domini benedictum.

Nie upłynął rok potem, a byłem niemal ciągle przy chorągwi, i to tak jak sam prawie, bo się towarzystwo porozjeżdżało, każdy do domu, lub do swoich, jam zaś i pojechać nie miał dokąd, chyba po bliższych dworach znajomych, — gdy odbieram posłańca od starego przyjaciela ojca, pana Jacka, przybyłego z Podlasia, abym *eo instante* pośpieszał do stryja, który wyraził chęć widzenia mnie przed śmiercią, co się kazało

domyslać, że miał jakieś względem mnie zamiary; a jeślibym tego nie uczynił, obawa jest, żeby Wólka nie poszła w cudze ręce.

Nigdy ja, prawdę rzekłszy, na ten spadek, choć mi się święcie należał, nie rachował; stryj bowiem serca dla nas nie miał, otoczony był obcymi i dalszymi, a ci tam dobrze swoich interesów pilnowali. Wszelako, słuchając rady pana Jacka, wzięwszy kartę a poczet zostawiwszy na miejscu, samowtór z pacholikiem Grzesiem puściłem się co rychlej ku Podlasiowi. Aleśmy też i pośpieszać nazbyt nie mogli, bo czas był wiosenny, roztopy same; śniegi ledwie tajać poczęły: tu lód, tam grzęzawica, ślizko, błotno, niebezpiecznie dla koni, nocy ciemne. A i konie moje nie były tak przedziwne. Siwy, któregom sam miał, to jeszcze; ale pod Grzesiem był deresz, szkapa ciężka i nieco dychawiczna, tylko zakuwana. Jakaśmy się poczęli wlec, konie nogi poobrażały na lodach, nie bez tego, by i kolan nie potłukły, bo szpetnie padały, choć ostro kute. Tak potem po gospodach leczyć je i obwiązywać musieliśmy coraz, choć się jednej godziny nie straciło na próżno,—i kiedyśmy do Wólki przybiegli, w Wielki Czwartek na zaraniu, Grzesz postrzegł pierwszy, iż się świece paliły wokoło tapczana, a na nim stryj już leżał.

Pusto jak wymiotł, tylko tam nieco służby, stara klucznica, włodarz i trochę odartego wieśniactwa; owych przyjaciół, co go objadali, opijali i obierali ze wszystkiego, ani śladu. Boć też koniec owym zapustom, które nieboszczyk wyprawiać przywykł, a po kątach, śpiżarniach i komorach, jakby Tatarowie przeszli.

Kiedym owe świece żółte zobaczył i babki przy

nieboszczyku, serce mi się ścisnęło. Zsiadłszy z konia, poszedłem wprost do izby, ukląknęłem w nogach, i pocałem Anioł Pański.

Stryj, któregom dawno nie widział, straszliwie był zmieniony; twarzy i oczu mało co było znać, dla srogićj obrzękłości, a że go i ubrać nie mogli z téj samej przyczyny, więc był tylko poobwijany w odzież ubogą i zszarzaną. Nędzie też a goło wyglądało dookoła, aż się serce ścisnęło patrząc, i rozpląkałem się, widząc przykład na nim niestałości fortuny. Toć to ten dworek przez lat dwadzieścia nigdy nie pustoszał od wesołych przyjaciół i towarzyszków; a teraz, miły Boże, w ostatnim terminie i jednego z nich nie było, choć nieboszczykowi dotrzymał, tylko ja przybyły z daleka, o którym on słyszeć nie chciał za żywota.

Jeszcze był Anioł Pański nie dokończył, słyszę, klepie mnie ktoś po ramieniu; obracam się, patrzę, stoi pan Jacek i wyciąga ręce do mnie. Przeżegnawszy się więc, wyszliśmy na podwórze razem. Grzesz jeszcze konie wodził, nie wiedząc co począć z nimi.

Jał mnie ścisnąć stary przyjaciel ojca i matki, i z razu się rozpląkał, że i słowa z niego dobyć nie mogłem, krom jednego:

— Jakże ty się masz?

— Co się tu stało? pytam.

— A no, widzisz, powiada, śmierć, *ultima linea rerum*, przyszła i wymiotła śmiecie. Pouciekało od umarłego, co żywcem dla chleba się łąsiło; objedli, opili i poszli. Dotrwał do ostatniej godziny jeden Wojakowski, który na Wólkę czyhał, a myślał, że mu ją zapisze. Nie wiem co się stało nieboszczykowi panu Krzysztofowi, ale się uparł i testamentu zrobić ża-

nego nie chciał. A tak, dodał, z łaski bożej została ci się owa Wółka dziadowska.

Tegom się ja nie spodziewał, i rozplakałem się znowu.

— Nie sądź, mówił dalej pan Jacek, żeby to wielkie były rzeczy: wioszczyna mała, są i długi, a czasu choroby obcy powynosili resztę mienia, tak, że ino cztery kąty i piec piąty zastaniesz; ale Bogu niech będą i za to dzięki.

Poszliśmy tedy po dworze i gospodarstwie, żeby zobaczyć czy się co na pogrzeb da zebrać, a jam też zapasu nie miał. Jak żyw takić pustki i zniszczenia nie widziałem, dezolacyi i ruiny. Nigdzie nic na zawinięcie palca, tak tam dotąd gospodarowano; a o co było spytać, to ten to ów z przyjaciół zabrał, to temu to innemu oddano, gdy już nieboszczyk sobą nie władał i z izby się nie ruszał. Okrutne też opuszczenie wszędzie, jakby od dawna oka brakło i starania wszelkiego, ażeśmy z p. Jackiem gniewali się i płakali. Wyglądało ono niespodziane dziedzictwo jak *Arabia deserta*. Gdym się łamiąc ręce frasował, pan Jacek rzecze do mnie:

— Dopóki i ziemi i ludzi, nie trzeba rozpaczać, do wszystkiego się dochodzi.

Ale tu nieboszczyk na tapczanie, a i pogrzebu nie ma mu za co przystojnego zakupić. Pojechaliśmy zaraz do proboszcza; zaprezentowałem się i przyjął nas w sieniach, do izby nie prosząc, bo był na odjeźdnem, ale z dobrą twarzą. Powiedział pan Jacek o co nam chodzi i w jakim jesteśmy frasunku; on też, choćby z serca pomódz rad, nie był przy pieniądzach.

— Kawalerze mój, rzekł proboszcz, mały to fra-

sunek. Pogrzeb przystojny będzie i bez grosza, toć mój obowiązek. Żyjemy z ołtarza, aleśmy też i ojcowie duchowni i bracia, więc się to po bratersku załata. A jeśli jegomości jakimi dwustu złotyma wygodzić mogę, proszę je przyjąć na pierwsze potrzeby, to mi je oddacie.

Małom staruszka w rękę nie pocałował, coby też grzechem nie było, bo wielce poważny był i szanowny, a osoba duchowna. Wprowadził nas dopiero do izby, dobył talarami bitymi dwieście złotych i wyliczył zaraz. Chciałem się kwit pisać, ale nie dopuścił, i pod pozorem pośpiechu, bo konie stały zaprzężone u ganku, zwinął się żegnając nas.

Duch tedy w nas wstąpił, i powróciliśmy do Wółki nazad, myśleć około pogrzebu. Odprawił się przystojnie, bez zbytniej okazałości, ale też z wystawą nie ostatnią, a mało kto nań przybył, krom nas i ubóztwa. Z tych przyjaciół serdecznych, co to z Wółki nie wychodzili całe miesiące, nie było ani jednego.

Dopieroż gdy się zadość uczyniło zmarłemu, poszliśmy z panem Jackiem spisać inwentarz i opatrzyć pozostałości. Nie było wiele roboty: tak czysto chodzili inni około zapasów wszelkich.

Przecież nie mogli wynieść do szczegółu, i coś tam gdzieś się w kącie przystało. W izbie, w której nieboszczyk zwykł był siedzieć, gdzie i umarł nie na łożu, ale w krześle, — stało jeszcze owo krzesło naprzeciw komina wygasłego, tak jak je rzucili nieboszczyka zdejmując. Przychodzimy tam z p. Jackiem, a ten powiada do mnie:

— Toby to wynieść na strych, bo i sprzęt niezdar-ny, i pamiątka smutna.

A było siedzenie stare, skórą obite, wygniecione,

bo na niém wiele lat przejęczał stryj, rzadko z niego schodząc. Odpowiem tedy przyjacielowi:

— Postawię w kącie, niechaj choć ta po nim zostanie tu pamięć.

A że nas było tylko dwóch w izbie, wzięliśmy za poręcz, aby je z drogi usunąć.

— O dla Boga! krzyknie nagle pan Jacek, a toć to co?

Patrzę, a on z pod materaca za kutas skórzany ciągnie trzosik, który snadź na złą godzinę przy sobie trzymał nieboszczyk, nikomu o nim nie mówiąc, ze strachu, aby mu i tego nie wyludzili i nie odebrali.

Po worku znać było, że tam niemało czasu przeleżał. Szczęście, że go słudzy nie podpatrzyli, boby i to było przepadło; ale Pan Bóg uchował.

— Otoż waści na inkrutowiny, zawołał p. Jacek, i poczęliśmy liczyć.

Było czerwonych złotych ładnych, obrączkowych dwieście dwanaście, portugał jeden wielki wagi dzie sięciu, i pierścioneł z oczkiem dyamentowém niezbyt wielkiém, jak małego grochu ziarno; na spodzie kartka żółtka, z konnotatką jakąś nieczytelną.

Wyrażną uczulem Opatrzność Bożą nad sobą, i pierwszą myślą moją było dać na nabożeństwo za duszę jego, proboszcza zaspokoić sowicie, a dalej dziury latać, bo tu ich było więcej niż wątku w téj nie-szczęśliwój Wólce.

Że nas tam dwóch tylko było przy owém krześle, nikt historyi trzosiku nie wiedział, bośmy o tém oba zamileczeli. Przemacał potém pan Jacek poduszki w siedzeniu i dobrze obrewidował je, ale już więcej się nic nie okazało. Znów tedy wstąpiło we mnie serce, żem się ochoczko wziął do gospodarstwa.

Ciężko mi szło w téj ruinie, a śpieszyć się też musiałem, jako tako urządzając, w przewidywaniu pewnym wojny z Turkiem; bo już była Rzeczpospolita pozwoiliła na przymierze przeciwko niemu, i nieochybnie tego roku iść mieliśmy w ziemie cesarskie, które poganie plondrowali. Wszyscy się tego spodziewali, jam też ino czekał i wymawiać się nie myślałem cale, bo mi to mogło być dobrą okazją wysłużenia czegoś i pokazania się po kawalersku.

Tymczasem jednak, dłuższe uwolnienie otrzymawszy, wzięłem się z pomocą pana Jacka i za radą jego do roli, opatrzenia budynków i skupienia inwentarza. Ba i nasienie jare kupić też musiałem: tak był śpichlerz wymieciony czysto; a sąsiedzi mnie chudziny nie pożałowali i dobrą wzięli cenę. Jeden pan Jacek, płac mu Boże, owsa dla koni pożyczyl chętném sercem, choćem go o to ani prosił.

Do sąsiadów, którzy nieboszczyka ogołocili ze wszystkiego pod pozorem przyjaźni dla niego, nie miałem ochoty jechać, ani znajomości robić, ale się znowu oprzeć niepodobna było tym, którzy przyjacielską dłoń wyciągali. A jak to człowieka zwykle nigdy ani jedna bieda nie spotka, ani jedno szczęście, bo się to oboje kupą trzyma, stało się tak i ze mną.

Na Niedzielę Przewodnią pojechaliśmy z panem Jackiem do kościoła, gdzie tego dnia odpust był, z okazji anniwersarza konsekracyi. Frekwencyę szlachty i ludu znaleźliśmy nadzwyczajną: tłok taki, że się prawie docisnąć było trudno. Nas przecie przez zakrystę wpuszczono, i stanęliśmy około wielkiego ołtarza. Nabożeństwo było solenne: nie mogłem też, jadąc na nie niemal po raz pierwszy, pokazać się ludziom ladajako; więc się tam z tłumoczka dobyło co lepsze, choć nie-

zbyt wspaniałe, ale ochędźne. Uważałem, iż się postawie rycerskiej trochę przypatrywano, choćem się nie rezentował z całym rynsztunkiem pancernym, tylko szablę przypasał i obuszek w rękę miał, żeby się było na czém oprzeć... W czasie nabożeństwa, choć pobożny byłem, prawie mimowoli patrząc ku balustradzie oddzielającej prezbiterium, widzę niewiastę młodą klęczącą, niezmierną piękności i skromności. Mogę powiedzieć, że ino ją ujrzał, serce mi wzięło. Miała coś w sobie i skromnego, i pańskiego razem, że się w niej wydawało i pochodzenie z krwi zacnej, i dusza wielka...

Myślę, że mi tam potem, Panie odpuść grzech, z cierzem się plątało i nie szło raźnie, bom już oczu od tego obrazu oderwać nie mógł. Postrzegł to pan Jacek. Wychodzimy z kościoła, a ten mi w ucho kładzie:

— A cożes to waszeć tak do starościanki Heleny był pobożny, więcej niż do wielkiego ołtarza?

Skonfundował mnie mocno; — powiadam:

— Gdzie? jaka?

— Ale, nie udawajże niewinnego, rzeczce. Klęczała przy galerii... musisz ją znać.

— Jako żywo, mówię: pierwszy ją raz oczy moje oglądały, ale pewnie do śmierci nie zapomnę.

— Tylko się tam daremnie nie zwracaj z affektem, odparł na to Jacek: senatorski dom, buta wielka, trzech braci zawadyaków, starających się éma, bo posag pański i zapisy tam jakieś. Bracia jój chudemu pachółkowi nie dadzą.

Wstrząsnąłem ramionami, a tuż widzę kroczy banda cała na probostwo, kiedyśmy też szli. Jacek mnie w łokieć trąca.

— Otoż i oni, panowie Nałęczce...

Poszliśmy do księdza na kieliszek wódki i zakąskę, bo taki już był zwyczaj w tej parafii, że lubił mieć u siebie ludzi.

Na probostwie izba pełna. Kobietom i mężczyznom zastawiono stoły, co kto chce, ale skromnie... Widzę i moja owa kościelna znajomość, panna starościanka, ze starszą panią nadchodzi, i wszyscy ją oczyma gonią. Tu mi się dopiero wydała jeszcze cudowniejszą.

Na mnie, jako na nowego człowieka, obróciły się wejrzenia ciekawych; spostrzegli, że też nie lada jako wyglądał, i poczęli się po trosze garnąć ku mnie. Pan Jacek mnie swoim prezentował, ci drugim; wszczęła się rozmowa o wojsku, o towarzystwie, bo tam niejedyn miał i znajomego, i krewniaka, więc pytań i ciekawości było dosyć. Patrząc, przystępują też i starości we trzech do nas, a z nimi drab okrutny, pan Floryan Chabrzyński, o którym słyszałem już, że był pierwszym rębaczem na okolicę i zwady szukał chętnie. Poznaliśmy się zemną bardzo grzecznie, gadamy; — wtém jeden z nich, młodszy, zaprasza do siebie na obiad. Nie wiedziałem, że wszyscy i z siostrą mieszkają razem, ale powodu odmówienia nie było; pana Jacka też wzięto.

Pojechaliśmy wszyscy, jak kto stał, do zamku ich o półtoręj mili. Rezydencya była pańska, dwór wielki, w domu *honeste* wszystko i zamożnie. Zaraz mnie tedy przedstawili i siostrze, i kobietom innym, i godnej matronie pani podczaszynie, o której wiele już wprzód słyszałem. Ta mnie też zaprosiła, abym ją odwiedził.

Niewielem się do starościanki mógł zbliżyć, alem

w nią jak w tęczę patrzył, dla nadzwyczajnej jęj piękności. Widziało się po świecie niewiast wiele, takiej przecię nigdy. Wspaniałość i łagodność połączone w nięj były *mirabiliter*. Świeciła tam wśród niewiast, gdyby gwiazda. Miałem zręczność kilka słów przemówić, i oczarowany zostałem. Całe poobiedzie trwały zabawy rycerskie, ścigania się, strzelania z łuku, a fuzyj i muszkietów, z pistoletów i t. p. Mnie obuszek mój, com go był tak jak z przypadku wziął jadąc, kazawszy Grzesiowi przyczepić do siodła, bardzo usłużył. Umialem z nim tak dokazywać jak nikt, a byłem przywykły do jego wagi i rzucałem jak trzciną, choć drugi ledwie go mógł dźwignąć. Admirowali więc szczerze tę sztukę, a niemniej kiedym im pokazał jak to się z łuku strzela, bo żaden tam tego nie umiał. Bawili się kuszą i strzałami gdyby dzieci; dopiero ich nauczyłem, że i w tém sztuka jest, a można tak dobrze w cel wystrzelić jak i kulą.

Już nie wiem czy im miło było, że może zręczniejszym nad nich w kawalerskich popisach okazałem się, ale musieli mi przyznać, że niedarmo żołnierzem się nazywałem.

Poczęli pod wieczór pić i dokazywać, w czém już nie dopisałem im do końca, i wynieśliśmy się z panem Jackiem nieznacznie. Gonili nas podobno, ale nie złapali.

Już tedy potem do starościców zaprosin było bez końca, że się im i obronić stało rzeczą niełatwą, zwłaszcza że mnie tam owe piękne oczy ciągnęły. Trafiło się i tak, że prawie sam na sam z panną zostawałem i z ochmistrzynią jęj, bo matki nie miała, i konwersowaliśmy z wielką przyjemnością, gdyż panna była tak rozumna jak piękna, a mowę miała tak gładką ja-

ko lice. Tyleż mogę rzec szczęścia miałem w tym domu co z nią, bo panowie bracia wkrótce krzywo na mnie patrzeć zaczęli. Ale na to się niewiele zważało, chociaż ilem razy pomyślał, że mnie zły humor panów braci z tego raję wygnąć może, ciężko mi było.

Gdy się to dzieje, a ja wioszczynę moją z tego trzosika porządkuję, i konie kupuję, i sprzecziku trochę różnego, już tedy coraz wojna owa zapowiadana z wiosny bliżej a bliżej — więc i do chorągwi wzywają... Ale napisałem do porucznika, że się na czas stawię.

Tymczasem do starościanki się jeździło, a z braćmi zabawiało, jak to młodzież zwykła. Tylko z nimi już nie pierwszym obyczajem, bo mi widocznieć coraz okazywać poczynali, że niespełna radzi byli, kiedym się do siostry przysiadł. Wszelako już mnie to odepchnąć nie mogło, bo mi tam jakoś bardzo szło szczęśliwie, i w niedługim przeciągu czasu przyszło do tego, iżem jęj wyznał miłość moją, za co się nie rozgniewała cale, i otrzymałem tylko odpowiedź:

— Niechże ten affekt będzie stateczny, bo on nie mało obojgu nam zmartwienia i trudności przyczyni...

Jakoż się nie omyliła.

Już jak się raz te pierwsze lody połamały, tośmy konfidencyjalnie naradzili się, jak sobie poczynąć, aby to do skutku przyprowadzić, i stanęło na radzie, iż czekać potrzeba nie przynaglając.

Najpierwsza ze wszystkich dostrzegła co się święci pani podczaszyna, która starościankę Helenę kochała jak własną córkę, a że u nięj miałem względy, okazała i w tém łaskawość swą dla mnie, radząc cierpliwość i wytrwanie.

Już codzień gęściej mówiono o wyprawie pod Wiedeń, ku któremu wojska tureckie pod wodzą wezyra

wielkiego Kara Mustafy dążyły, aby go obledz i zdobyć. Dochodziły wieści z Warszawy o wielkich przygotowaniach, a Lubomirski przodem miał ciągnąć na posilek, nimby sam król wyruszył z resztą wojska. Byli tacy jednak, co do ostatniej chwili rezolucyi królewskiej nie dowierzali, gdyż się tam na dworze różne opinie ścierały i wpływy ważyły.

W tym składzie rzeczy, który opisałem, niebardzo mi może w smak było iść karku nastawić; ale czułem się jako inni *miles christianus*. Ino też, miły Boże, myślałem, coby się z tą wszystką moją imprezą stało, gdyby wojna wybiegła i przydłuższa być miała, jak się tego po nieprzyjaciela uporze i sile spodziewać było można! W Wólce bez mała wszystko jeszcze do góry nogami, jak nieboszczyk stryj zostawił, i gospodarstwam ledwie dotknąć miał czas... a moja starościanka!

Pojechałem w tej alteracyi do pana Jacka, gdzie kompanię zastał dosyć liczną a poważną, niemal całe sąsiedztwo, a tu właśnie pan Szemesz podsedek piński przywiózł znowu ponowną relacyę, iż lada chwila ruszać przyjdzie, że już się i dwór królewski sposobi. Więc się tylko westchnęło, — a zresztą co ma być — *sit nomen Domini benedictum*. Wszelako nie mogę powiedzieć, żeby mi z tego wszystkiego bardzo na sercu nie było tęskno.

Rozmowy około tego były różne, a sądy też, jak to u nas nie nowina, niezbyt zgodne. Mówili jedni: iść na Turka, — drudzy przeciwnie, że przymierze utrzymać należało, a rakuskiemu domowi, którego wdzięczność wątpliwa, sukursu nie dawać.

Kiedy pan Szemesz wszedł do komory, w której siedzieliśmy, popijając wino, atoli skromnie, a zawołał

od progu: — „Panowie bracia! wici niose; *larum* bije trąba wojenna. Na poganina z królem!“ — uważałem, że niejednemu jak mnie twarz pobladła i oko się zaćmiło. I była chwila milczenia jak makiem zasiał. Dopieroż gdy pan Jacek, który sam z Turki i Tatary się ścierał, podniósłszy kielich zawołał: — „Pijemy się ścierał, podniesienie imienia chrzestedy na zgubę pogan, a podniesienie imienia chrześciańskiego!“ — wszyscy mu zawtórowali ochotnie.

Na powitanie Szemesza, a dla lepszej fantazyi, bo tam dużo było z pod różnych chorągwi panów szlachty, kazał pan Jacek, co u niego rzadko, beczulkę zatokać do komina i przynieść kielich sporszy. Gdy kolej z naciskiem iść poczęła, a na dobre ku pijatcy się miało, wyniosłem się chylkiem i o białym już dniu powróciłem do Wólki.

A jak to wszystko w człowieku od chwili zależy! Kiedym w dziedziniec wjeżdżał, jakby inaczej mi się wszystko tu wydawało, taki mnie żal ścisnął, że to porzucić przyjdzie, mało co tknąwszy. A tu tyle do roboty zostawało! Gdzie spojrzę, jeszcze ku mnie wзираła nędza i bieda; obory przez bydło ze strzech poobjadane, płoty poobalane... tam ściana koślawa, tu kałuża szpetna...

Miałby tu człek, myślało się, i co poczynąć i czém się pocieszyć, jakby na złote jabłko tę miłą acz małą Wóleczkę przerobił. Ale nie jako ty Panie Boże rozkażesz: *Sit nomen Domini benedictum*.

Było to, jak dziś pomnę, dnia dziesiątego Julii, dzień gorący. Gdzie spojrzę, to mi się *omina* wojenne nawijały. Z biesiady owęj wesołej powróciwszy na zaraniu, nie było się czasu kłaść; słońce wschodziło, trochem się obmył i ruszyłem do gospodarstwa. Tylko ja na próg, patrzę... na samym gościńcu dwa

jastrzęby się tłuką, aż z nich pierze leci, a to tak blisko dworu, żem się już chciał strzelby chwycić, aby ich jedną kulą pogodzić; ale jakoś się rozerwawszy, poleciały. Poszedłem do stajni konie opatrzyć, bo to potrzeba będzie i pod siebie ze dwa, i pod pocztowych, i pod wozik niezgorszych, aby na wypadek postrzelenia lub zdechu, wyprządz można pod kulbakę. Siwy mój, którego chowałem nietkniętym, aby sobie dobrze wypoczął i boki wypełnił, a stał dawno chmurny, z głową zwieszoną,—kiedym przemówił do niego, począł rzeć i nogą kopać, aż się rwąc do mnie. Wiecem w ekspektatywie podróży kazał mu jeszcze dać obrok lepszy i wszystkie szkapy opatrzyć a pokuć, aby w skok były gotowe, jeśliby nas na wyprawę zawołano.

Serce mi uderzyło, alem westchnął, kiedy stanęło mi przed oczami co tu porzucić przyjdzie.

A no, wola boża. Gdy tak myśląc wchodzę do dworu, wpada za mną Grześ, wołając, iż gości widać w ulicy. Obróciłem się patrząc... konnych dwóch i służby kilkoro prosto wali we wrota. Poznałem starszego brata starościarki i tego Heroda Floryana, co to nie stąpi, żeby burdy nie spletał. Pomyślałem zaraz, iż coś w tém być musi, kiedy ci goście moją strzechę słomianą nawiedzać raczą; bo ostatnim razem gdy był u nich, kwaśno na mnie spoglądali i jeden mi bryzgał słówkami, ażem kipiał. No, ale gość to gość, ma swe prawa. Wyszedłem na ganek, i słyszę już z sieni, jak Floryan na kulbace siedząc, krzyczy do Grzesia:

— Jest pan doma?

Wyszedłem:—Czołem—czołem!—Zsiadają z koni ku mnie; proszę, aby je do stajni odesłali, a starościec odpowiada:

— Nie; pojedziemy zaraz dalej, tylko słówko przemówić trzeba...

Proszę ich do środka; jakoś się zawahali, ale przecież chorąży nie pogardził ubogą chatą i wszedł, a za nim pan Floryan. Wprowadziłem ich do pierwszej izby, siedzieć proszę, ale widzę, że szepcą coś do siebie jakby się naradzali... Kazałem wyrostkowi podać flaszę wódki i przekąskę; oni się przeciągają po drodze, a na mnie prawie ani spojrzą. Myślę sobie: a długoż to tam tego będzie? Wreszcie począłem o tém i o owém, aż chorąży się odzywa:

— Jakżeś tam waszmość ze swój Wólki rad, czy nie?

— Czemubym nie miał być rad? rzekłem. Najprzód że to dziadowska chata nasza; powtóre, że to mi jak z nieba spadło po stryju... a ot, jest za co ręce zaczepić.

Pan Floryan, wciąż chodząc po izbie i przypatrując się to tu to owdzie po kątach z taką miną, jakby chciał sztydzić, podśpiewywał.

— Ej mospaniel! rzekł: niewielkież to włości odziedziczyłeś; wioszczyyna mała, a jeszcze ją za nieboszczyka wyszali dobrze, ino kości zostały.

Tknęło mnie to do żywego, témbardziej, że w domu własnym, gdzie się przecie i nie godziło przymawiać.

Rzeknę więc:

— Miłościwy panie a bracie, jak co komu... Nie myślę ja przed światem udawać tego kim nie jestem: ubogi byłem, to mi i ten zagon miły. Szlachcicowi i tego dosyć, choć panuby mało,—a na onych kościach, o których mówicie, może z czasem i mięso porośnie.

— Ale co to mi za folwark! dodał pan Floryan...

Maciek zarobił, Maciek zjadł, na dwa dni z wczorajszym.

Jeszcze się wstrzymywał, i rzeknę mu:

— Ha, no! co komu Pan Bóg dał. *Sit nomen Domini benedictum*. Masz waszmość zapewne dobra większe, cieszyć się niemi, a drugim do małego smaku nie psuj. Widywaliśmy też niejednego, co posiadał większe włości niż wy, a poszedł z torbami, widywaliśmy i uboższych odemnie, co do wielkich dóbr przychodzili.

Przycichli tedy, a chorąży się odezwie, spojrzawszy na towarzysza:

— Mówmy-no o téj sprawie, co nas tu przywiodła.

— Jest tedy sprawa? pytam.

— A jest, rzecze brat; co rychlej z nią, to lepiej.

Milczę tedy, czekając.

— Oto rzecze, uprosiłem ja pana Floryana na świadki, iż nie w złą myśl, ani bym waszmości chybiać chciał, przyjeżdżam, ale się nam rozmówić potrzeba. W bawelnę obwijać nie będę. Waćpan, panie Janie, bywałeś w domu naszym, gdzie jako zacnego kawalera i miłego sąsiada przyjmowaliśmy go ochotnie i z serca. Ano, coś się z tego święci, czemubyśmy nieradzi byli. Mów waszmość szczerze, czy myślisz o siostrze naszój?

— Dla czegożbym miał się zapierać? rzekłem. Jeśli affekt swój skłoni ku mnie, miałbym się za wielce szczęśliwego, gdybym rękę panny starościarki pozyskał.

Na to się zerwie chorąży z passją.

— Otoż wara o tém myśleć, mospaneńku! Nie ujmuje mu ani szlacheckiej godności, ani przymiotów, ale za wysokie progi na walcie nogi. Senatorska

wnuczka, siostra nasza, panna posażna, znajdzie łatwo sobie równego.

Ażem gniewem buchnął na tę impozycję. Plunę przed niego i rzeknę:

— A co mi to waszmość prawisz? Czy toby i w moim domu nie znalazło się krzesło albo i buława, gdybyśmy poszukali? Żem ubogi, tego się ani wstydzę, ani zaprę; waćpanowie też przecie siostry przemocą za mąż nie wydacie.

Pan Floryan, przystąpiwszy do mnie, jak jest drab wielki, myślał, że nastraszy, i szeptem:

— Panie Janie, usłuchajcie dobrej rady, bo gorzej być może.

— Jak to waszmość rozumiesz? spytam.

— Bierz jako sobie chcesz, rzekł.

— Na wszystkim gotów, powiadam; tylko znowu mnie waszmość ani jeden ani drugi strachem nie odsadzicie.

— A kiedy ja, jako starszy brat, waszeci dom nasz wypowiem? zawołał chorąży.

— Dziwna rzecz, rzekłem śmiejąc się: żeby kto pod czyjąś strzechę wlaższy, swój dom w jego domu wypowiadał.

I począłem ujawszy się w boki, przedrwiwać.

— Kochanku, przerwie mi Floryan, biorąc za rękę: nie śmieć się, ino słuchaj. Maluczkim jesteś człowieczkiem i nie tutejszym; niedawno tu między nas wlażł, siedźże cicho.

— Tak uczynię jak zechcę, rzeknę z fantazją, bo mnie już ta ich buta naprzykrzać się zaczynała. A waszmoście też róbcie jak się patrzy.

Jeli się tedy zaraz do czapek. Nie wstrzymywałem. Na progu już powiada chorąży:

— Czyś mnie waszmość dobrze zrozumiał?

— Nie, rzeknę: bo kto nierozumnie prawi, tego zrozumieć niełatwo.

— Ino nie wyzywaj licha, póki śpi, woła Floryan, bo ja ci bakalarza sprowadzę...

— Choćby się licho obudziło, to się nie zlekne, krzyknąłem, a bakalarzowi mogę też dać nauczkę.

Działo się to w samym proggu; ano patrzę ku oknu, sadzi na bułanym Zegrzda prosto do ganku. Pomyślałem w duchu: „Pan Bóg go tu wyraźnie zsyła!“ i przybyło mi serca dużo.

Floryan porywa mnie za rękę i woła:

— Dobywaj szabli, to się spróbujemy! Wypiszę ja waści komentarz na czole, co go będziesz miesiąc sylabizował!

— Ino nie tu, zawołałem. Gośćmi dla mnie jesteście, a u mnie po staremu: nie biją gościa ani łają. Chcecie się spróbować, nie od tegom, ale proszę za granicę.

— To podobno niedaleko, jak kijem cisnąć? spytał szydząc Floryan.

— W istocie, rzeknę, tyle ile potrzeba, abys waszmość parę Zdrowasiek odmówił na intencję tego sukcesu...

Wtém wpada Zegrzda; mało się na Floryana nie zwałił, z takim impetem szedł, już trochę rozmowy usłyszawszy, że się do szabel miało. Jemu w to graj, nie może być lepij. Ci jak go zobaczyli, ino po sobie zerknęli, ale mnie serca przybyło i trzymam za słowo.

— Dobrześ mi tu spadł, wołam do Zegrzdy: biorę waszmości za świadka, iż mnie tu we własnym domu obrażono i zmuszono do szabli. Ale starego oby-

czaju pamiętny, gość mi święty; proszę na granicę. Zegrzdo kochany, będziesz mi przyjacielem?

— Będę z serca i duszy, rzekł.

Skinąłem na wyrostka, który tam po za drzwiami był:

— Dawaj szable!

Zegrzda, upatrzawszy stojącą flaszę na stole, poszedł się napić; ci już na koń siadali, ale jakoś milczący; woleliby byli nie mieć świadka. Wyprowadziłem w ganek Zegrzdę i mówię:

— Jeszcze raz biorę waszmości za świadka, miły panie bracie, jako ci ichmoście najechali na dom mój, aby mnie pokrzywdzić lekkimi słowy. Niesłychana to jest rzecz i nieszlachecka, mówię śmiało. — A no, wolę bożą szanuję, która ludzi używa za narzędzia. Wyzwany będąc w domu własnym, obu waszmościom służę, jeśli potrzeba.

Zmilczeli, siedzą na kulbakach i wąsy gryzą. Zegrzda, jak nigdy gadatliwy nie jest, tak i tu ino się po szabli uderzył, czapki poprawił i oko jedno przymrużył drwiąco, a tuż wodze wgarść i już siedzi na siodle.

— Dawaj mi siwego! krzyczę na Grzesia; w skok uzdę mu zarzuć i derę, choćby bez kulbaki.

Ręce mi się aż trzęsły. Przypasałem do boku swoją zwyczajną na taki raz starą *indyckę*, która już jednemu dała się we znaki. Ci na koniach wszyscy stoją, a tu jak z bicia trzasł i dla mnie też ze stajni siwego klusem wiodą, a ten leci, ogona odsadziwszy, tak ochoczo, jakby mnie z pół roku nie widział. Skoczyłem nań, choć nie był osiodłany, tylko mi kilimek

popręgą przymocowali, i ruszam szparko z kopyta. Jedziemy milczący... widzę, że co mnie fantazyja rośnie, to im ubywa.

Wskazałem ręką lasek. Poszliśmy wyciągniętym kłusem wszyscy, a miałem i tę satysfakcję, że ich konie za mną siano wiozły. Pierwszy przybiłem do mety; zsiadłem nade drogą u Bożej Męki i przeżegnałem się, westchnąwszy do Zbawiciela i Matki Jego, aby mnie pokrzywdzonego we własnym domu na pokąśnienie nie dała...

Był krótki spór, czy się konno lub pieszo potykać mamy, ale woleli na szable i piechotę. Wyrwał się najprzód ów Herod na mnie.

Zegrzda, jak stał z boku, powiada do chorążego pod nosem:

— A cóż to my próżnować będziemy? Ja chorążemu służę, jeśli wola i łaska.

I już się miał do szabli.

— Nie mam do waszmości żadnej urazy, odparł chorąży; lecz kielicha i szabli nie odpycham...

Alem ja, posłyszawszy, wszedł między nich.

— Za pozwoleniem. Moglibyście, mówię do Zegrzdy, uczynić chorążego niezdolnym do walki, a toć ja się przecie potykać z nim mam prawo. Zatem *prioritas* przy mnie.

A pan Floryan, śmiejąc się z dala, woła:

— Nie bądź-no tak skory a gorąco kapany! Nie zjesz nas przecie obu; za mało masz gęby; będzie ci, myślę, jednego dosyć, albo i za wiele. Ja cię odprawię jak należy.

— Wszystko to w bożej mocy, odpowiem. Jeśli się to stanie, o czém nikt z nas jeszcze nie wie, bę-

dzie na szable ichmościom czasu dosyć,—ale ja moich praw bronić muszę.

— Słuszna rzecz, rzekł Zegrzda—poczekam.

I włożył swój smyczek do futerału.

Dochodzimy tedy z drabem owym na ścieżkę suchą; dobrze miejsce opatrzywszy, dobyliśmy szabel, zrobiliśmy krzyż przed sobą i wołam:

— Panie Boże żywy! widziałeś krzywdę moją, bądź sam jój mścicielem! Twym się wyrokom poddaję.

— Nie módl się tam, mnichu, a broń się.

Złożyliśmy się raz — nic; drugi raz — darmo. Ten chcąc mię ciąć zamachem wielkim, ośliznął się jedną nogą, i widzę jakim go tylko macnął, leci w tył. Ja go przez łeb, nim się uchwycił, ja go drugi raz! krew mu oczy zalewa i już krzyczy:

— Dosyć! dosyć!

— Widzisz,—zawołałem, płazem go jeszcze dobrze po plecach poczęstowawszy,— że przyszła kréska na Matyska.

Dałem mu tedy pokój; siadł na murawie i nuż mrużąc do chust, do wody i plastrów z sakiew... a ja do chorążego się zwracam i wołam:

— Służka jegomości.

Jakoś widzę zbłądł nieco, nie taki już butny, ale go gniew pochwycił, i sadi na mnie, ledwiem się miał czas zasłonić. Dopiero jak się zaczęliśmy siec a rąbać, aż szable jęczą, skry się sypią; ale ani ten temu, ani ów drugiemu nic zrobić nie może. Zegrzda tylko stoi i dziwuje się. Mnie już i ręka drżeć zaczęła, bom i nocy nie dospał, i sił pełna nie było. Myślę sobie westchnąwszy do Św. Jana Nepomucena orędownika mego, patrona dobrej sławy:—„Pomóż a ratuj!“ I w tym samym momencie, pochwyciwszy zręcznie sposobność,

płatną po rękę, aż mu szablę wytrąciłem, i palec wisi tylko na skórze. Krzyknął: „Jezus Marya!“ pochwylił się za okaleczoną rękę, a jam uskoczył i stoję.

— Gdybym miał z kawalerami dobrymi sprawę, zwołałem, wiedziałbym jak począć: prosiłbym was pod tę ubogą strzechę, pod którąście przyjechali biedzie mojej uragać, a dom mi swój wymawiać. Ale tych, co mnie od siebie pędzą, ufając w butę swoją, ani śmiem, ani chcę ujmować. Bywajcie waszmość zdrowi, a pamiętajcie, że jakoście doświadczyli, iż się Pan Bóg za niewinnością ujmuje, tak ujrzycie, że dumą gardzi i karci ją.

Siedliśmy na konie z Zegrzda, i stępą pojechaliśmy do domu, zostawiwszy tam ich z ludźmi, żeby się lizali jak chcą.

Dał tedy Pan Bóg wiktoryę, ale nie wesołą, bo myśląc, że Helusi mój najdroższej widzieć nie będę, i że mi ten dom zaparto, który był sercu memu najmiłszy, tylko nie płakał. Zegrzda, widząc mnie posępny, rzekł, wracając:

— Bądź dobrej myśli, wszystko się to jeszcze odmienić może. Wiem o co szło. Strachy na Lachy.

Ja mu na to:

— Juściż tam noga moja nie postanie więcej.

— Sami cię oni jeszcze może prosić będą.

Wróciliśmy do domu, gdzie przyjaciela przyjąłem jakem mógł i umiał, bo mi swém przybyciem dogodził bardzo.

Cały dzień do nocy przegadaliśmy, więcej ja niż on, bo był obyczajem swoim milczący. Tylko to z niego dobył, że już na dobre o wyprawie wszyscy mówią, że też nam lada chwila potrzeba nie mieszkając pod chorągwie, bo będą jedne wici za troje. A tak się ten

dzień skończył zwycięstwem dla mnie, który mógł być pohanbieniem.

Jedenastego Julii jeszcze mi się przystał Zegrzda i jakoś mu się trochę gęba rozwiązała, gdy począł o starościńskim domu opowiadać. Senatorski ród, ale siła dopustu bożego przezeń przechodziło. Dziad panny mój, a ojciec starosty, ożenił się był na Szlązku z Niemką, panną Opelsdorfówną, szlachcianką nie ma co mówić, bo i z grafskim tytułem, ale kobietą dziwną i więcej podobno lubiącą świat, niżby zameżnej niewieście przystało. Syn jego, znalazłszy po myśli pannę, także Szlązaczkę, zamtąd ją sobie przywiózł. Z małżeństwa tego czworo Bóg dał potomstwa: trzech ichmościów Nałęczów i córkę, moją bogdanę, pannę Helenę. A no, prawie szczęściem było dla dzieci, że matka zawczasu zmarła, bo je już swoi wychowali, szczególnieć córkę, którą krewna ojcowska, bardzo bogata a bezdzietna, wzięwszy małą, prawie za własne dziecko przysposobiła i wychowała, majątek jej też znaczny bardzo po sobie zostawiwszy. Więc tak z matki i z ojca, jako z zapisu opiekunki, panna starościanka więcej miała nawet niż bracia, których trzech na substancję po ojcu było. A to nieszczęsne bogactwo sprawiło, że tam jako o koronę się dobijali przez braci konkurenci, ludzie wszystko bogaci renomowani, znacznych rodów i fortun niemałych.

Ichmość panowie staroście, że doma przy ojcu rośli, w wielkiej dumie i swawoli się wychowali. Można rzec na senatorskie wilki to wypędziło: buta ogromna, marnotrawstwo wielkie, rycerstwa prawdziwego i bojaźni bożej mało, a dumy i pychy do zbytku.

Nadszastało się też majętności przez różne ekscesa i pono chciałoby się siostrę tak wydać, aby

posagu nie płacić, aby wianona majątności zapisał jego-mość nie odbierając, a panowia bracia znowu mieli co po trybunałach i zjazdach rozrzucać. Ale Pan Bóg sieroty obrońca.

Odjechał Zegrzda ku wieczorowi, a choć małowyny, przecie mu język świerzbiał, że się wygadał o potykaniu się mojem ze starościcem i Herodem. Rozeszło się to piorunem po okolicy, a że ichmościów niespełna szlachta lubiła, ten i ów przybiegł winszować, że m rozumu nauczył, i radość była powszechna, i mnie omal na rękę nie nosili.

Przyjechali zaraz pan Grabowski i Sierociński, i nuż ścisnąć a całować.

— Bóg ci zapłaci! Toś się gracko spisał! Powetowałeś honoru swojego i naszego. Będą na przyszłość ostrożniejsi ze szlachtą. A warzmości nowo tu przybyłemu, posłuży to wielce, żeś sobie w kaszę napluć nie dał.

Zegrzda też rozniósł jak się to stało, iż byłem cierpliwy i zimnej krwi do samego ostatka, a oni sobie lekko ważyli człowieka rycerskiego stanu, pomiatając nim tylko dla jego ubóstwa.

Byłoby mi to zwycięztwo na inkrutowiny między bracią szlachtą bardzo na rękę, gdyby goryczy nie dolewała myśl, że m już starościanki widzieć nie miał, ani się zbliżyć mógł do niej. Boćby mnie byli rozsiekali z gniewu, tak się odgrażali, gdybym się im na ich podwórze pokazał.

Myślałem tedy: albo ją jeszcze spotkam w kościele, lub już nigdzie, póki Bóg łaską swą rzeczy nie odmieni. A oto i listy wzywające do powrotu pod chorągiew nadeszły, i nie było cò myśleć, tylko na koń cò najspieszniej, aby wstydu nie pić, ostatnim będąc.

Naradzaliśmy się tylko z Grabowskim i Zegrzdą, jak się wybrać. Jam chciał jak najszczuplejszym dworem, by w takim ciagnieniu, przez cudze zwłaszcza kraje, a Bóg wie jakie drogi, nie zawadzać obozem i taboru za sobą nie wlec, coby nas ociągał. Wszyscy się na to zgodzili, że m miał słuszość; ale jak przychodziło do pakunku, tego i owego żal porzucić, to i owo zda się, pacholik wepchnie węzelek, ktoś beczułkę, jeszcze to, jeszcze tamto... i góry się zbierają, a rycerz wygląda jakby kotary włókł za sobą. Jam jeden tylko dobrze kutą wózek węgierski wziąć postanowił; a była w nim zbroiczka druga lżejsza, trochę szat, trochę szmat, mało co zapasu na głodne dni, i po wszystkiem. Słonina a jagły, dosyć na czas nagły.

Już tedy lada godzina ciągnąć było potrzeba, a tu serce podszeptywało, aby ją jeszcze raz choć ujrzeć... Tożem rychtował, pakował, a wciąż się zdało, że tego i owego brak, aby chwilę jeszcze wyjazd opóźnić.

Anim przeczul, jak mnie Pan Bóg w łasce Swój miał pocieszyć.

Kazawszy jeszcze osie zapaśne i kół parę okuć, wstrzymałem się dzień, dla tego, że m poniedziałku nie lubił do wyjazdu i w kalendarzu był *feralis*. Dawszy tedy na mszę świętą przed ołtarzem Św. Stanisława, do którego tém większe mam nabożeństwo, że m mojej krwi ludzie wyrządzili krzywdę—pojechałem raniusieńko jój wysłuchać. Powracam do Wólki, a tu mi Grześ daje znać w progu o posłańcu od podczaszyny, którego pod nieobecność moją, bo chłopiec niegłupi, przyjął przystojnie i utraktował. Tknał mnie zaraz ten poseł, że to tam nic złego być nie mogło, chyba dobre. Wszedłem do izby, patrząc... a tu Je-

remi, podczaszyny zaufany, człek pocziwy z kośćciami, prawa ręka w domu, który mnie też kochał zawsze. A jako mnie zobaczył, skłoniwszy się powiada, że podczaszyna zaprasza na rozmowę i z obiadem czeka, abym zaraz pośpieszał i niedługo mieszkał, boby się pieczyście na różnie wysuszyło. Uczestowawszy jeszcze i uściskawszy posła, kazałem sobie podać karego podjezdka, bom siwego przeciw podróży oszczędzał, chciałem, aby się wystał i wypoczął. Mało co około ubioru poprawiwszy, puściłem się do Sorokowa.

Jeremi, że wózkiem jechał, w tyle pozostał, bom drogi nie pilnując, miedzami się puścił, aby prędkiej. Nieraz-em to ja sobie myślał, czy też gdzie na świecie trafi się tyle osobliwszych dworów i ludzi osobliwych, co tu u nas. A wszystko to serce czyni, które jest wielkie, i fantazyja, która jest niemała. Niechże by mi kto pokazał taki wdowi dwór u obcych, jako był téj zacnej pani podczaszyny, albo tak osobliwe życie, jako jój było. Młodo za mąż poszedłszy, męża na wojnie, a sześcioro dzieci w kolebkach utraciła, sama jedna została na świecie, piękną jeszcze, młodą i bogatą. Ludzie dla niej głowy tracili: przecież sobie żywot prawdziwie wdowi obraża. Ubrawszy się w żałobę i odprawiawszy wszystkich ichmościów, poczęła po swój myśli życie prawdziwie święte.

Opatrznością też dla okolicy stała się podczaszyna. I oto już lat dwadzieścia naówczas było, od kiedy się ten porządek osobliwszy u niej zaprowadził, a trwał niewzruszony.

Nie było rodziny, stworzyła ją sobie jejmość; dwadzieścia panien szlacheckich na wychowaniu miała zawsze, gdyby w klasztorze, tylko weselój niż za klauzurą. Wszystko to brało się ze szlachty ubogiej,

a na żony i gospodynie dla szlachty chowało. I co jedną wydała a wesele jój sprawiła, ciągnęło zaraz kilka na to miejsce.

W zamku nikogo, tylko siwowłose starce, fraucymer ten osobliwy i ona, kapelan starowina i ochmi-strzyni. Kiedy to tam do stołu siedzie wszystko, gdyby wianek z róż i lilij, podczaszyna jak królowa wygląda pośród tego dworu. Tak, nie mając swoich dzieci, przybrała sobie cudze, a opiekuje się niemi, jakby w istocie własne jój były, i chociaż już za mąż powychodziły, o każdą swą wychowankę dowiaduje się, pomaga, obsyła. To też podczaszynę kochają wszyscy, a uboga szlachta porębaćby się za nią dała. I nie znudzi się tam nikt w tym klasztorze jój: mimo rygoru, takie wesele a ochota wszystkim z oczu patrzy, ano święte i pobożne wesele. W zapusty przystojna młodzież i skrzypki się znajdują, ale pod okiem dobrodziejki i skromnie; dom też niepusty zwykle, a biedny szlachcie, szukający skromnej i pocziwej towarzyszki, jak w dym goni do Sorokowa do podczaszyny. Niemało ich też w okolicy, co się z temi podczaszankami poženili (bo je tam wszyscy tak nazywają), a żaden nie żałował.

Tylkom z karego zsiadł a z pyłu się otrząsł trochę, słyszę... aż tu na obiad dzwonią i białe gąski z małego dworu ciągną, a stary dworzanin, który w ganku stał, prosi mnie, że podczaszyna w sali czeka z barszczem. Skoczyłem tedy do ucałowania ręki staruszki, już tu wszystkich znajdując uszykowanych wedle stołu, samą panią w czarnym kwefie (bo tak całe życie chadzała), ochmistrzynię panią Zuwałską, starszka kapelana i wszystkie panny. Okrom tych,

które przy stole siedzieć miały, z kolei były wyznaczane jedna do gospodarstwa kuchennego tego dnia, druga do przyjęcia i zastawy; dziewczęta wiejskie posługiwały, sposobiące się na szwaczki i kucharki... ano królestwo amazonek, gdyby nie nas dwóch z kapelanem. A śliczności jak to wyglądało, gdyby wojsko jednako umundurowane, podzielone, z jednakiemi wstążeczkami we włosach.

Ledwie przypadł do ręki, rzecz mi staruszka na ucho:

— Po obiedzie mam ja waszmości coś powiedzieć; ale zażywajcie bożego daru spokojnie, bo sądzę, że to wam nie będzie przykro.

I uśmiechnęła się. Wskazano mi miejsce; usiadłem, z niemałą ciekawością czekając końca obiadu. Gadałszy o tém i owém, najwięcej o przyszłej wyprawie przeciw poganom, o której się tu dowiedziałem wiele, bo listy otrzymała podczaszyna, że wezyr już był pod Preszburgiem i ciągnął w ogromnej sile na stolicę cesarską, z której cesarz jegomość już do Linzu uszedł, ścigany przez Tatarów; więc, że nieochybnie nam pośpieszać będzie potrzeba ku odsieczu, nimby stolica okrążona do ostateczności przywiedziona była. Pisano, że nuncyusz Ojca Świętego Pallavicini i poseł cesarski Wilczek, naglili bardzo na króla; ale tam jeszcze intrygi francuzkie coś około tego psuły. Ostatecznie wszakże w sercu króla jegomości przemógł interes chrześcijański, mimo że z domem rakuskim nigdy w serdecznościach nie był, a raczej się go obawiał, niż miłował. Podczaszyna, jako to była statystka wielka, toż i kapelan ciągle w to bili, mówiąc o odsieczu naszój, że pójdziemy na pomoc nie cesarstwu,

ale sprawie całego chrześcijaństwa; powiadano, że i król tę rzecz tak rozumiał, a nie innym powodem dał się skłonić do traktatów.

Gdy się obiad skończył, a kapelan modlitewkę zwykłą odmówił, podczaszyna mi rękę podała, i zostawiwszy panny swe z ochmistrzynią w sali, zaprosiła do gabinetu na rozmowę. Tu kazała mi usiąść wedle siebie, chociażbym był przed nią stał, szanując ją jakby rodzoną matkę, ale gdy kazała, nie było sposobu. Obróciwszy się tedy do mnie i pogroziwszy mi, pyta:

— Cożeś mi to waszeć za breweryę zrobił z panem chorążym i z panem Floryanem, obu ich na jeden raz szpetnie pokaleczywszy?

— Podczaszyna dobrodziejko, rzeknę, Bogiem się świadcę, niech tak zdrów do domu dojadę, zem ja temu nie winien. Ani w obyczajach, ani w humorze tego nie mam, choć rycerskie rzemiosło traktuję, abym ludzi na rękę ladajako wyzywał, tém-ci mniej pod własną strzechą, *quod Deus avertat*. Ale się stała rzecz niesłychana, iż mi ci ichmość, przybywszy do Wólki, na moich własnych śmieciach afront uczynili, prawie się sami dopominając szabel. Nie mogłem tego przenieść z honorem, a sam Bóg, mściiciel pokrzywdzonego, dłoń moją prowadził.

— Ale mój panie Janie, odparła mi na to podczaszyna łagodnie—tęmeście sobie szkody niemałej przyczynili, i drzwi domu zamknęliście sobie, gdzie was niejedno oko mile widziało.

— Ależ mi oni wprzód z impozycją i pogrózkami dom swój wypowiedzieli—rzekłem na to.

— Byłoby się to dało załagodzić, powie podczaszyna—a teraz...

— Moja mościa dobrodziejko, rzeknę — jaka jest wola boża, taką przyjmuję. Szwanku na honorze szlacheckim i żołnierskim, choćby dla osoby mi najmilszej, przenieść nie mogłem; a i to dodam, że w oczach tych, u których mam cokolwiek łaski, i tę trochę straciłbym musiał, gdybym więcej ścierpiał od tych ichmościów, niżeli przystało. *Sit nomen Domini benedictum...*

Pomyślała trochę podczaszyna i roześmiała się łagodnie...

— Cóż dalej poczynać myślicie? pyta. Wszakże to panna Helena od tego dnia utulić się nie może, a bodaj ci tego nie ma za złe, żeś sobie tą krwią drogę do niej zagroził.

— Własnejbym nie żałował dla niej — odpowiedziałem na to, — ale ufam, iż zrozumie, że ta rzecz inaczej skończyć się nie mogła.

Jąłem tedy opowiadać wcale jak się to miało, powołując się na Zegrzdę, który był niewinności mój świadkiem; a dokończywszy, ścisnąłem kolana podczaszyny, prosząc, by mi orędowniczką być chciała przed panną Heleną, żem sobie lekko nie postąpił, a inaczej honor rycerski nie pozwalał.

— Przed wami, dokończyłem — mogę odkryć całe serce moje, gdyż się w niem niczego nie wstydam, a panią podczaszynę dobrodziejkę szanuję, jakbym rodzonej matki więcej nie mógł. Kocham pannę Helenę, Bóg widzi, affektem szczerem i czystym, a jakom w duszy ślubował jej wiare, tak też dotrzymam. Ona mi nic niewinna, ani mogę się wbijać w tę pychę, żebym na jej przywiązanie miał rachować. Jeśli zechce, może począć z sobą jak Bóg natchnie. Co do mnie, będę z ufnością na lepsze czasy oczekiwać,

zawsze przenosząc to, co powinnoś każe, nad to, czego dusza pragnęła.

— I dobrze waszmość czynisz, że tak trzymasz, rzekła mi podczaszyna, — bo teraz, gdy od was to usłyszała, powiedzieć wam dopiero mogę, iż panna Helena przed braćmi wczoraj uroczyste, z determinacją prawie mężką zapowiedziała, iż za nikogo innego nie wyjdzie, tylko za waszmości, choćby lat dwadzieścia czekać miała. Były i fochy straszne, i odgróзки wielkie, ale ona, jak mur stanąwszy, ze swoim wyszła...

Aż mi się świat rozjaśnił, gdy to usłyszałem; jąłem przypadłszy znowu do kolan podczaszyny, ręce jej całować.

— Ano mi waszmość nie dziękuj, rzekła ze łzami w oczach, — tylko jej, bo to jest niewiasta jakich mało, takiego ducha i serca, iżby mężczyznę niejednego zawstydziła. Staraj się na nią zasłużyć.

— Ubogim-ci jestem, odpowiedziałem, — a dary fortuny w ręku bożych; imię, choć niepoślednie, nie pańskie też noszę; reszty się z bożą pomocą dorobić myślę...

Wstała tedy staruszka wzruszona i rzecze:

— Jeszcze jedno od starościarki poselstwo sprawić do was muszę: oto prosi i zaklina, abyś nie starał się z nią widzieć, gdyż tam wielkie są na waszmości odgróзки i przechwałki. Prosi, abyś zaraz do chorągwi jechał; w ostatku, aby wam tęskno nie było, bez jakiegoś dowodu życzliwości jej puścić się na tę wojnę, która się zapowiada, przysłała waści przeze mnie pierścione, jako zakład, iż mu wiary dotrzyma. Kazała mi rzec, abyś wytrwałem sercem znoś odda-

lenie i przeciwności, a w jój sentyment stale wierzył, choćby też inne wieści szerzyć chciano.

Już tedy miary nie było szczęściu mojemu, gdym ową obrączkę ujrzał, którą mi podczaszyna oddała. Zaraz matki méj ślubną w zamian wręczyłem dla Helusi, a nie ręczę, bym nie płakał, choć rycerzowi niebardzo to przystoi. Staruszka też, błogosławiąc mnie jak syna, dobrze szlochała.

Na tém się skończyło, alem wyjechawszy z Sorokowa, tak był jakoś uniesiony szczęśliwością i wdzięcznością przejęty, że mnie gwałtem niemal ciągnęło wpaść do Nałęczów choć na chwilę, aby nogi starościanki ucałować, postanowiwszy niezmiennie natychmiast do chorągwi ruszyć.

Więc przez cały czas powrotu biłem się w sobie z tą myślą: „Jechać do Nałęczów, czy nie?” Ale stało na tém, by się jój wola spełniła, nie żebym się tam miał kogo obawiać, lecz by jój przez to nie przyczynić utrapienia.

Takie w sobie czułem męztwo naówczas, iżbym się na kilkunastu porwał i przemocy nie uląkł; ale rzekłem sobie: „Niech się lepiej też i krwi oszczędzi.” Postanowiwszy więc na ręce podczaszyny list dać do starościanki, powróciłem do domu, dając sobie słowo, iż natychmiast, *sine mora*, wozy pakować każę i do chorągwi wyruszę.

Już mrok padał, gdym do Wólki powrócił. Patrząc... w dziedzińcu konie jezdne wodzą. Domyśliłem się gości. Czekali na mnie w ganku: pan Jacek, co mi za ojca stał, Zegrzda, co mi jako brat wygodził niedawno, i Grabowski, nad którego krewny lepszymby być nie mógł. A jako mnie zobaczyli z dala, podnieśli czapki do góry i wołają:

— Winszujemy! winszujemy!

Myślę sobie: „Co u kata? a to już chyba spenetrowali po co do podczaszyny wzywany byłem, i jaki tam drogi dar mnie spotkał!”

Lecz cale co innego się święciło, czego się nie domyślałem.

Gdym z konia zsiadł, ujął mnie pan Jacek i począł serdecznie ścisnąć, ukazując list, który trzymał w ręku, czegom z razu nie zrozumiał. Bo jakże miałem się domyślać tego, czego zgoła pojęcia nie miałem. Więc stałem, nie wiedząc co począć, i rzeknę do pana Jacka, jakem go nawykł nazywać tatkiem:

— Tatku miły, powiedcież mi, czego winszujecie i czego się cieszycie? bom, Boże odpuść, jak w rogu, i nic nie wiem.

— Jeśli masz czém, rzekł na to Jacek, — dawaj wypić swe zdrowie i sukcesów rycerskich, a potem dowiesz się reszty.

Grześ stał za węglem. Skinąłem nań: — „Dawaj miód kapucyński!” A ten, jakby już był na to przygotowany, niesie butel i szklenice.

Zawsze jednak nieświadom rzeczy, nalewam, aż Jacek się odezwie:

— Niesłuszna rzecz, abyśmy mu wprzód o jego szczęściu nie oznajmili; lepiej mu miód przez gardło pójdzie...

A ja stoję ciągle, jak ten co go powiesić mają, a nie wie za co.

— Zlitujcież się, wołam, — a nie trzymajcie mnie tak za jedną nogę w powietrzu. Mówcie co jest, bym się cieszył, albo-li też smucił.

— Słuchaj, ozwał się Jacek—spotyka cię szczęście istotnie wielkie, którego ja niegodnym jestem sprawcą, a lepiej mówiąc, sam Pan Bóg, używszy misernego służy za narzędzie. Litowałem się waszmości, ażebyś tak na tę sposobną się wyprawę miał iść bez przyjaciela i wodza osobliwie dlań skłonnego, przeto bez wiedzy waszój udało się to uczynić, iż waszmości do orszaku samego króla, a do boku królewicza odkomenderowano z chorągwi. Oto i ordynans dla waszmości, w którym stoi, ażebyś niezwłocznie wprost do Warszawy i Willanowa się udał, z kądem ze dworem dalej na ewenta, da Bóg szczęśliwe, niech Opatrzność prowadzi.—Powiedzcież, azali nie było powodu miodem podlać nowiny, której waszmości niejeden towarzysz pozazdrości?

Jąłem ścisnąć pana Jacka, bom niebardzo nawet rozbierając ową wiadomość, czuł, iż mi to nie może posłużyć inaczej, tylko ku przyszłej krescycywie. Boć człowiek ufny w to, że swoją sprawą powinność całłem sercem, już wiele otrzymał, gdy ją pod okiem samego wodza a króla pełnić może i dać się mu ocenić...

Fawor też był niemały u boku bohatera iść na taką wyprawę, w której bodaj nie świata losy rozstrzygać się miały. Aż mi się w głowie zmaciło,—a Jacek, a Zegrzda i Grabowski winszowali, i śmieli się, i applaudowali, wróżąc jako z wielkim łupem honorów i wszelkiej zdobyczy z onój imprezy powrócić.

Wszak-ci wszystko było w ręku bożych, tak zło jako i dobro.

Myślałem też jeszcze, jako ja tam chudy pacholek, do pańskich dworów i obyczajów nienawykły, radę sobie w tym świecie dla mnie nowym dać potrafię....

I wypowiadałem się z całej myśli panu Jackowi; ale mnie zakrzyczano, że to tam nie święci garnki lepią i że prostą drogą idąc, wszędzie człek trafi do celu.

A tuż dodał pocziwy tatko, że jeszcze nim do Wólki z listem i ordynansem przybył, puścił już pomiędzy ludzie, szczególniej dla Nałęczów, wiadomość o tym faworze, który mnie spotkał, aby się też trochę zazdrości najedli i zżółkli. I śmiał się, wiedząc jak to im nie w smak pójść musiało; jam zaś tylko myślał, że starościance serce urosnie, gdy się dowie, że w tak dobrej komitywie mam się sławy i chleba dorabiać...

Nie było czasu zbyt uctować; więc do wieczoru pogawędziwszy, na jutrzejsze rano wybór w daj Boże szczęśliwą drogę naznaczyłem, pomodliwszy się na tę intencyę.

W Wólce gospodarstwo i wszelkie staranie o chudzinę tam moją, wziął na siebie tatko, za co mu, równie jak za wszystko, nieskończone winienem dzięki, aby tylko odsłużyć.

Nazajutrz *summo mane*, bom też i spać z wielkiej radości niebardzo mógł, wzięło się do pakowania wozów, rzeczy, zapasów i wszystkiego, com z sobą zabrać przecię musiał. Tu tedy kłopot nowy, by się zbyt nie obciążyć, albo potem łada czego w drodze nie płacić gotowym groszem. Zawszem był tego zdania, że się żołnierz małym powinien nauczyć obchodzić, co u nas nie wszyscy umieją. Przyjdzie ciągnięcie, wleczenie się wozów a ciurów, a podwód wszelkiego rodzaju, że tego będzie więcej niemal niżeli wojska całego; więc i dla ubogiego ludu po gościńcach i stacyach ciężar niedmierny, i wojsko nieobrotne, i po złych przepisach w roztopy szkód i marnowania bez miary.

Panowie oboźni i strażnicy niedosyć tego pilnują; drugi hussarz, miasto trzech wozów, co je mieć powinien, a czego bardzo dość, choćbyś go z pacholkami liczył, często sześć za sobą wlecze z domu, a potem i dwóch nazad nie przyprowadzi, bo konie głodem, a wozy się na rozdrożach pomarnują.

Więcem też ja, choćbym się miał trochę po chudo-pacholsku na dworze pokazać — niechaj sądzą jako chcą — nie wziął ino jeden wóz i Grzesia, bo poczet i tak przy chorągwi miał pozostać, a zdałem go na dobrego przyjaciela Przyłuskiego, żeby tę czeladź na oku miał. Około południa byliśmy w gotowości, i konie, i ludzie. Opatrzyłem od kopyta do ogona, od koła do dyszla, od podeszew do czapki każdą rzecz, i w Imię Boże wyruszyliśmy z Wólki, przeżegnawszy się i odmawiając: *Sub Tuum praesidium*.

Kiedym ino się obejrzał na ten mój kątek miły, co mi go Pan Bóg od niedawna dał, kiedym przypomniał co mnie tu spotkało, począwszy od onéj chwili, gdy na katafalk stryja przybył, a starościanki lice stanęło przedemną gdyby żywe, — nie ręczę, że się tam po wąsach perłowa łza nie potoczyła. Ale się z téj babskiej czułości musiałem otrząsnąć. *Sit nomen Domini benedictum*.

Droga szła mimo kościoła i plebanii. Niechby Bóg uchował, bym pocziwego księdza nie miał nawiedzić, pożegnać i prosić błogosławieństwa, témbardziej, że się miało ku niesporom, a był dzień albo sobotni, lub wigilia święta, tego dobrze nie pomnę. Zsiedliśmy tedy z koni. Widzę, ksiądz z brewiarzem idzie właśnie do kościoła, a ujrzawszy mnie w zbroicze i po podróznemu, może też co i wiedział o wyjeździe, witając, zawołał:

— Zajdźcie, synku, przed ołtarz Pański, nigdy ci to nie zaszkodzi, że z Bogiem poczniesz; ojcowie tak czynili, a było im z tém niezgorzėj.

— Szedłem do was po błogosławieństwo, — odpowiedziałem, — westchnijcie za mną.

Ten już nic nie rzekł, ino mi ręką wskazał kościół; więc wszedłszy pokleknałem, a dusza się sama modliła. Spojrzę na to miejsce, kędy pierwszy raz w życiu starościankę klęczącą widziałem, i myślę, że mi się w oczach zdwoiło. Patrzę i nie wierzę: widzę ją klęczącą i modlącą się na tém samém miejscu....

Że w dziedzińcu ani kolebki, ani ludzi nie dostrzegłem z razu, tak mnie to zdumiało, jakby cud jaki. Więc goręcej jeszcze modliłem się, i wielka siła a ufność w opiekę Opatrzności wstąpiły we mnie.

Odśpiewał ksiądz nieszpory, potem skinął na mnie, abym do ołtarza przystąpił. Poszedłem ja i Grześ po błogosławieństwo. Dopiero kiedym już od niego wracał, ujrzałem jęj twarz, obróconą ku krzyżowi, modlącą się, a tak świętości pełną, jakem nic w życiu nie widział piękniejszego i pono na ziemi nie ujrzę. Zdawało się, że mnie nie widziała nawet, tak była w modlitwie zatopiona.

Więc wyszedłszy, stanąłem we drzwiach niby posąg; aż po chwili słyszę szelest jedwabnych szat i czuję ją blisko, anom oczu nie śmiał podnieść.

— Za dobrą to wróżbę mam, rzekła mi po cichu: że się tu w kościele u ołtarza spotykamy jeszcze.... Bóg wam szczęście, panie Janie! Ślubowałam wiarę i dotrzymam. Pamiętajcież i wy, że na waszą rachuję. A nie zrażajcie się niczém, nawet gdyby was doszły

wieści, żem słowo złamała; nawet gdyby wam pierś-
cień odnieśli.

Tylkom jój rękę całował, słowa rzec nie mogąc.

— Szcześć wam Boże! powiedziała raz jeszcze.

Oczy miała łez pełne; a i jam był nieweselszy,
choć spokojny.

— Starościanko, pani moja — rzekłem, — prędjéj
umrę, aniżeli się zmienię; a do żywota mego nie wy-
rwie mi nikt z serca tego obrazu, który w nim noszę.
Przysięgam wam na Chrystusa ukrzyżowanego w tym
ołtarzu: waszym ja sługą na wieki!

— Pora się rozstać — szepnęła mi: — ludzie źli, oczu
dosyć. Niech Bóg was prowadzi i odprowadza do
nas!...

Wrosłem był w ziemię, tak mi od niej ciężko od-
chodzić się czuło; ale gwałtem się prawie wyrwałem,
tylkom widział jak mnie z dala przeżegnała. Proboszcz
na drodze czekał i dodał:

— Na koń, synu mój! w drogę! a z Bogiem!

Więc już nie było co zwlekać. Dosiadłem siwego
i ruszyłem z kopyta, na wóz i Grzesia się nie oglą-
dając, którzy mnie aż pod lasem dopiero dogonili.

Opisywać nie będę, z jakimi myślami w dalszą
ciągnąłem podróż, w jakowych dumach i tęsknotach
a niepewności jutra; bo i dwór, i król, i te nowe obo-
wiązki dawały do namysłu.

Warszawę mało co znałem, a Willanowa wcalem
nie widział. Ścisk, tłok, wrzawa, że mi się ledwie
lichą gospodę wyszukać udało; a dobrzem musiał
Grzesia wyuczyć, aby się wyciągnąć w pole nie dał,
bo w takim zbiegowisku różnego ludu, pewnie i złego
dosyć. Poszedłem na wzwiady, jak mi się tam do tego

dworu dostać, meldować, z kim gadać; ale jakby na
złość, żywéj duszy znajoméj nie spotkałem.

Ano, wiedzieć jeszcze trzeba, żem króla żywego też
nigdy nie oglądał, ino tyle co na pieniądzech i na
wizerunkach. Przebiegłszy miasto całe, dobrze niecierp-
liwy już, puściłem się pod wieczór ku temu Willa-
nowu, za wskazówką ludzi, aby choć wiedzieć którédy
nazajutrz z moim taborem jechać. Wieczór, jak dziś
pamiętam, był pogodny, a po gorącym dniu, powie-
trze tak miłe i chłodnawe, jak rzadko podczas upa-
łów w lecie.

Jużem był drogą uszedł kawał spory i nie było
po co daléj; ale w polu czułem się jakiś rzeźwiejszy,
i szło się już tak, aby sobie iść. A mijało mnie ludzi
konnych, pieszych, na wozach bardzo dosyć. Żem
szedł prędko, napędzam szlachcica w poważnych la-
tach, tuszy okazałéj. Ten sobie idzie samopas, ręce
w tył założywszy, w letniéj czapce białéj, bez szabli,
jakby koło domu; kitel na nim jasny, jakiego na wsi
używają, laska za plecyma w rękach, a para psów
przed nim. Myślę sobie: „Nie chybi, ktoś ze dworu;
dobrze dostać języka.“

Przyśpieszywszy więc kroku, równam się z nim,
a że człek w latach i bardzo słusznie wyglądał, skło-
niłem się mu, przystanawszy. Ten też mi czapki
uchyla i przystaje, a patrzy mi w oczy.

— Czołem.

— Czołem.

— Coś tu mi waszmość obco wyglądasz — mówi.

— Tak wyglądam jakem jest, mój mości dobro-
dzieju, — odpowiedziałem. Prawdę rzekłszy, pierwszy
raz w téj tu stronie.

Przypatrzyłem się twarzy: piękna była. Wąs sumiasty, czoło wysokie, oczy jasne i coś dobrego a smutnego miał w obliczu.

Idziemy dalej.

— Cóż to tu waszmości sprowadza? pyta znowu.

A ja mu opowiadam całą moją historję, począwszy od wojska. Słucha, rozpytuje. Doszedłem do tego, jakem ordynans dostał, i tknąłem téj mojej biedy, że nowicyusz, ani wiem jak się to dostać, z kim mówić i komu się kłaniać.

— Boć wiem, powiadam, że to do króla jegomości niżeli się człek doprosi, przez wiele alembików przejść potrzeba; a straszniejsi ci ludzie, co majestat otaczają, od samego onego majestatu, który ojcowską słyńie dobrocią.

Ten mi się w oczy popatrzywszy, rzecze:

— A to może i słusność waszmość masz. Ale kiedy się to już sądziło nam spotkać, ja waszeci pomogę. Mam tam znajomych u dworu.

— Byłbym panu memu stokrotnie i póki życia mojego wdzięczen, odpowiedziałem, — boćbyś mi ojcowską łaskę uczynił.

— Słuchajże-no, powiada mi przystanąwszy: już dziś nie pora, ale jutro rano przybywaj do Willanowa i melduj się wprost do Duleby. Powiesz tylko, że cię pan Orondat Tarcza przysłał, bo ja się zowie Tarcza, a ja go dziś uprzedzę.

Chciałem, nie inkommodując go, zaraz pożegnać i wracać, ale mnie wstrzymał.

— Nie bądźże waszeć tak gorąco kąpany, rzekł. Ja lubię pogawędzić, a jegomość mi się podobasz z tego co słyszę. Siądźmy-no tu na kłodzie, to sobie pogadamy.

Leżało drzewo od wiatru obalone nieopodal drogi; siedł mój towarzysz ku niemu, ja też za nim, siedliśmy, a ten mnie dopiero na egzamin.

Od kiedy żyję tak ciekawego a bystro umiającego z człowieka wyciągnąć co ma na dnie duszy, nie spotkałem. Tak mnie rozochocił, że mu całe *curriculum vitae*, od deski do deski, a może i za wiele nawet wygadał. Ale na duszy mi przyzbierało tęsknoty, tyle, iż rada była, że ucho względne znalazła.

— Mój jegomościuniu, rzekł w końcu pan Orondat Tarcza — ze wszystkiego widzę, żeś kawaler zacy, i winszuję królowi jegomości, iż go dostanie na tę porę. Nie zmieniaj sentymentów, w Bogu ufaj, ano On większe cuda rabił, niż te, o którebyś Go miał prosić. Alem ja też, dodał, dworu się dotykał, patrzałem na wiele przygód w życiu; widziałem jak to się tam ludzie psują. Zachowaj waćpan tę duszę i serce proste, szczere i prawe, nie naśladowaj fałszu, choćbyś widział, że nim ludzie dochodzą do czegoś. Bo to szatańskie mamidło ta pomyślność, która się kupuje ofiarą sumienia. — A wstając dodał:

— Teraz waści do miasta czas; nie zapomnijcież jutro rano się stawić i do Duleby się meldować, ten już na wszystko poradzi, bo to mój dobry przyjaciel. Ino mi też swe nazwisko daj, żeby mój go nie przepomniał.

Dobył tedy z kieszeni maleńkiej książeczki i ołówka, zanotował, potem się skłonił, i gdyśmy do gościńca doszli, jam do miasta musiał pośpieszać, a on widział mi się o mroku, iż tak o staję może, gdzie stały kolasy, do wozu jakiegoś siadł i pojechał.

Wróciłem raźniejszy do gospody. „Istna, myślę so-

bie, Opatrzność Boża nademną, zem tego Orondata Tarczę napotkał.“

Nazajutrz, że się po owéj nocy chłodnéj na wielki skwar zbierało, myślałem rano z końmi się dostać choćby do jakiej gospody w tym Willanowie, aby ich nie pozamęczać; wyciągnęliśmy tedy uczciwie.

Droga z Warszawy nie była długa. Przybyliśmy; aliści o żadnej tam gospodzie i myśleć nie było można. Pańskie dwory i ludzie taborem pod namiotami stały, a ciżba, a tłum jak w samej stolicy, jeśli nie gorzej. Gmachów też mnóstwo, nie wiedzieć dokąd się udać, a u każdych drzwi co straży, pacholków, dworzan, ludzi rycerskich, cudzoziemców — nie policzyć. Znalazłem się jakby u wieży Babel, samotrzeć wyglądając tak niepocześnie, że aż mnie się rumienić przyszło. Postawiwszy tedy wóz z Grzesiem wedle jakiegoś płota, gdy godzina słuszną przysła, nabrałem otuchy i wszedłem w dziedziniec paradny. Myślę sobie: „Do tego Duleby ja tu niełacno trafię, ale na końcu języka musi być“.

Na lewo w skrzydle, u pierwszych drzwi, patrząc: stoi sobie człek w latach, figura dosyć okazała, chociaż nie tak jak mój wczorajszy pan Orondat Tarcza, ręce w kieszenie włożył i pogląda. Idę do niego wprost, skłoniłem się, pytam, a ten mi zaraz:

— Otoż to nos, kiedy nos, rzecze; trafiłeś waszmość od razu jak w dym na samego Dulebę. Czy kto ci go ukazał?

— Nie.

— To coś osobliwego. Ja Duleba jestem. A że mi dobrze waści mój przyjaciół, jmc. pan Orondat Tarcza, polecił, już tu będziesz jak w domu. Wiadomy

nam ordynans: przy boku jego królewskiej mości i królewicza Jakóba zostawać będziesz; ale nim ruszyć przyjdzie, to w Willanowie waszmość tylko osobą swoją zostaniesz, konie i ludzie jakich masz, odprawiają na gospodę do Warszawy. Tam im oznaczają bezpieczną i dobrą, nie bójcie się. Dla waści stancję pokaże ten, którego mu dam; rzeczy waść znieść poleć, ubierz się przystojnie i przychodź do mnie, a ja sam królowi jegomości was przedstawię, około południa.

Dictum, factum. Podziękowawszy, idę za dworzaninem, którego mi dano za przewodnika; poznaliśmy się prędko. Prawdę rzec, stancję dostałem na pierwszy raz niewytworną, ale dziury już porządniejszej, dla natłoku, w Willanowie nie było. Izdebina pod strychem, a i w téj jeszcze fura była rzeczy czyichś, co je ktoś tam odjechał. Ale żołnierzowi aby gdzie położyć głowę; Grześ przyniósł wody wiadro, omyłem się z pyłu, wziąłem na grzbiet co było najlepszego, i przed południem stawię się do pana Duleby.

Nie powiem, żebym ja tam wśród tych przepychów królewskiego dworu bardzo wspaniale mógł wyglądać; ale też niepośledniom się prezentował, bo we mnie każdy poznał żołnierza, który o błyskotki i zalecanie się oczom niewiele dbał. Kiedym szedł przez podwórce, wodzili za mną oczami z ciekawości.

Duleba mnie od stop do głowy obejrzał, obszedł dokoła, to i owo poprawił wedle zbroi, bo był snadź sam dawniej żołnierzem i koło żelaza chodził.

— Idźże teraz za mną, rzekł; bodaj czy król jegomość nie jest w ogrodzie, ale gdzie go natrafimy, tam się mu waszmość przedstawisz.

Weszliśmy zatem na ogród, jakiegom nie widział

nigdy. Woda biła do góry, posągi jakieś dziwne, drzewa osobliwe, altany różne, a kwiecie barwnego zagonami, aż się oczy napatrzeć nie mogły. Ulice szerokie, sypane piaskiem, żwirem, a dokoła chyla się drzewa najrozmaitsze. Już chyba w raju nie może być piękniej.

Uszliśmy w milczeniu spory kawał, bom z admiracyi języka w gębie zapomniał. Aż patrząc, w ulicy idzie prosto na nas mój wczorajszy pan Tarcza, ubrany tak prawie jak był, ino mu się twarz śmieje dziwnie. Duleba też mustruje się wyraźnie, aby nie parsknąć. Rzuciłem się przedź, by powitać.

Ano, mój wczorajszy pan, com się tak przed nim spowiadał — był to sam król jegomość Jan III.

Dłużej taić nie było można. Zaląkłem się i jałem przeproszać go, że tak *sine debita reverentia* gębę wczoraj puściłem; ale mnie wstrzymał, śmiejąc się do-rodusznie.

— Nic się złego nie stało, rzekł, nie złego. Lepiej się waszeć zarekomendowałeś, niżeliś sądził. Jużemy teraz jak starzy znajomi; tę tylko radę, którą waści Tarcza dawał, król powtarza.

Wśród rozmowy nadszedł i królewicz. Więc sam ojciec polecił mnie synowi, który snadź wiedząc o wczorajszym, śmiejąc się głową pokiwał. Poczém ucałowawszy rękę króla i ścisnąwszy kolana, jużem szedł nazad i był jako w domu.

Sit nomen Domini benedictum.

Wczorajsze spotkanie, o którym sam król rozpowiadał wszystkim, rozeszło się było po dworze, i ono mi też bardzo wiele ułatwiło. A że król jakoś serce ku mnie łaskawe okazał, śmiały się też wszystkie twarze. Musiałem mało razy dziesięć tego dnia powta-

rać każdemu jak się to stało, a wszyscy mi z tego prorokowali sukcesu wielkie. Szło już dalej jak z płatka. Rozgłosiła się przygoda po mieście i omal mnie na rękę nie noszono, dopytując; a jakom ja sam później tę historię słyszał z drugich ust, już jój poznać nie było można, tak ślicznie wyhaftowana. Bo nikt nie wytrzymał, żeby tam czego nie dodał.

A już się nie żartem brano ku wojnie, bo od księcia Lotaryńskiego i od Lubomirskiego niemal codziennie nagłace przychodziły wieści, które króla niepokoiły. A chociaż, jakem to teraz lepiej widział, różne wpływy przeszkadzały i starały się odciągnąć króla, zachwiać jego postanowieniem, uważałem też, że choć dawał mówić co kto chciał, przy swoim stał jak mur.

Jam tam na dworze niewiele miał do czynienia, bo służby żadnej nie było. Czasem króla list do Warszawy zaniósłem, albo z ustném poleceniem się przejechał. Grzesz spał, aż boki odlegiwał, bo nie miał też pół dnia co robić.

Przez ten czas dworum się uczył i dobrze mu przypatrywał. Poznałem też, że, z małemi wyjątkami, ludzie to byli acz bardzo pokazni, ale niewiele warci. Szczerości za grosz u nich nie dostał, a drwinek nie kupił.

Z królewiczem choć się spotykało, dla nas małych ludzi przystępny nie był; królową się tylko z dala widywało. Pani urody snadź była bardzo pięknej, a choć nie pierwszej młodości, jeszcze w niej pańską krew i pochodzenie królewskie łącznie poznać było.

Nie powiem, jak złe języki utrzymywały, żeby król miał być zawojowany, bo w wielkich rzeczach wolę swoją miał, ale w małych ulegał, dla tego że ją nadzwyczaj kochał. Nie było w żadnym stanie tak

czułego małżonka, jak był ten pan dla królowej Kazi-miry, ani tak wylanego ojca.

Już podówczas dobrze podstarzały, niełatwo nawet konia dosiadał, ale gdy raz na kulbakę ze stolka się dostał, to go z niej lada co nie zruszyło. Pobożny był bardzo, szczególnie do Św. Trójcy, w której dzień co było najszczęśliwszego w jego życiu zawsze mu się przytrafiało.

Do mnie od owego spotkania affekt powziął szczególnie, tak, że mnie już do samej osoby swój wyzna-czył, odebrawszy królewiczowi. Nie było tego dnia, żeby choć kilku słów nie przemówił, nie uśmiechnął się, nie wejrzał łaskawie. Postrzegłszy zarazem, że nie był bardzo zamożny i że przed wyprawą wiele mi braknąć może, kazał dnia jednego do ogrodu za so-bą iść, i tam po cichu, tak, żeby nikt tego nie widział i żeby zazdrosnych nie czynić, własną ręką swą dał mi sto talarów bitych czerwonymi złotem; ażeby mnie zaś nie upakarzać, więc tytułem przyszłego żołdu. Jed-nakże, jak się później okazało, nigdzie mi tego nie zapisano i nie notowano.

A wielce mi też ten grosz dopomógł, bo dużo brakło około rynsztunku; na czas pokoju było go do-syć, ale przeciw takiej wojnie musiał się człek dobrze opatrzyć. Kupiło się to i owo, a szczególnie mi się trafił koń, któremu-m później życie był winien, nieo-szacowany, cisawy, w siedmiu niespełna leciech, stwo-rzenie jakiegom drugi raz nigdy nie spotkał, prawdzi-wy wojskowy, mało nie człowieczego rozumu i serca. Ten mi, mogę powiedzieć, stał się przyjacielem i do-brodziejem; a nie koń był, tylko istne cudo. Gada-łem z nim, a rozumiał, puszczałem go za sobą, szedł jak pies; wachał, całował, myśli zgadywał; głód i chłód,

fatygę przecierpiał, ani po nim znać było; a w bitwie nietylko że się nie uląkł, ale gdy się rozsierdził, to leciał i drugie konie nieprzyjacielskie gryzł, jakby wie-dział swą i rycerską powinność. Mogę to do osobi-w-szych dzieł Opatrzności nademną policzyć, jakom tego cisawego dostał; bo gdyby go ludzie znali, poszedłby był wysoką ceną, żebym się go nie dokupił.

Pojechałem raz z Willanowa do Warszawy, aby obejrzyć co się z wozem dzieje i ze szkapami. Po drodze myślał: jakby się trafił koń pod siodło, nie szkodziłoby. Ledwie na gospodzie mojej przystanął, bieży znajomy mi Żydek do mnie, ciągnie za rękaw i woła, że po nieboszczyku Ptaskim, który zabity był w pojedynku, rzeczy i konie sprzedają. Tknęło mnie... idę. Ludzi było dużo, co oglądali. Wyprowadzają ci-sawego, a trzeba wiedzieć, że chociaż maść cisawą i piękną miał, z razu się nie prezentował bardzo butno, co ja dziś temu niechybnie przypisuję, że pocziwe zwierzę jeszcze po swoim panu bolało. Koń był bo-wiem wielkiego serca. Szedł ze spuszczoneym łbem, bez fantazyi, ciężko, alem zaraz postrzegł, że pod kul-bakę paradny. Piersi szerokie, noga sucha, łeb pię-kny, oko wysadzone, chrapy rozdęte i jakby krwawe, chód pewny, w zadzie szeroki. Wydał mi się wałow-i-ty, ale myślę sobie: „Od tego ostroga, a jeździec dobry ognia mu doda i szparkości dobędzie.“

Co zaś? — Zaprosili z razu bardzo słono, poczęli się ludzie śmiać, bo nie był wielkiego wzrostu i w siód-mym roku; potem spuszczałą zaraz. Ja w targ i do-biłem za trzysta złotych, a drudzy drwinkowali, że nie przepłacił. Dałem od uzdy jeszcze, i derę piękną, pod którą stał, kupiłem też. Zawiedli go do mojej stajni. Tum zaraz się sam do niego wziął. Kazałem myć,

czyścić, wystrzydz, nakarmiłem, a jak to u mnie we zwyczaju, tom chodził, gadał, głaskał, aż w kilka dni koń jakby zmartwychwstał. Spróbowałem pod kulbakę, a na nim jak w kolebce; ze szklanką wody można było jechać i nie rozlać. W kłusie rzucał, ale póki się nie wyciągnął dobrze; za to noga tak pewna, że się jako żyw nie potknął. Sadził płot czy rów, na samo cmoknięcie i znak dany, bez forsy żadnej; słowem cudo nie koń.

Dopiero jak mnie na nim raz a drugi zobaczyli, proszą się: „Odstąp.“ Dawał Żmigrodzki pięćset złotych, postąpił krewny mój daleki, a imiennik Mroczek, do sześciuset; alem się śmiał tylko, bo gdyby mi dał kto półtora tysiąca, nie byłbym patrzył. Taki koń, to życie i zdrowie. Ukochałem też go, żem niemal z nim jadł i spał, a pilnował jak dziecka; i nazwałem go Py-lades, co tak bestya prędko zrozumiała, że bywało gdy z dala zawołałem, zaraz łeb odwraca i rży. Wnet z nas tacy byli przyjaciele, jakbyśmy rośli razem od dzieciństwa.

Nimeśmy jeszcze z Willanowa na Falenty do Piotrkowa ruszyli z królem, na kilka dni przedtém trafiło się mi, zanocowawszy w Warszawie, powracać rano do rezydencji. Na drodze, jakom jechał, stykam się z chorążym Nałęczem i tym Herodem Floryanem. Nie-rychło mnie poznali, choć wiedzieli, żem tam był; mi-nałem ich, ledwie obróciwszy głowę, ale mi w sercu zakipiało.

Żem był posłany od króla do pana Denhoffa i miałem się z poselstwa sprawić, wróciwszy szedłem do ogrodowej altany, gdzie król jegomość siedział, listy pisać i raporta przyjmując. Gdym tu jeszcze był u boku królewskiego na rozmowie, patrzę, idzie pan

Nałęcz i Floryan z jakąś wojskową sprawą. Jak mnie tu znowu ujrzeni i blisko przy panu, dobrze im twarze poprzeciągały się. A tu jeszcze jak na złość im, a mnie na pociechę, król się śmiał i po ramieniu mnie klepał; poznali zaraz, żem był w faworze.

W parę godzin, kiedym sobie już odpoczywał, pa-trzę, wchodzi Pakulski do mnie. Siada i poczyną prawić różne historye, ale nieboraczysko, że chciał zachodzić z ogródka, a nie był *peritus*, poplątał się szpetnie. Naostatek mówi mi, jak to piękną rzeczą zgoda jest, że ja sami bogowie pomiędzy sobą na Olimpie umieścili, i to i owo, ażebym ja rękę Nałęczom podał, a tylko się zrzekł wszelkiej pretensyi do ich siostry, to mi już będą druhami do śmierci i obiecują gdzie-indziej bogato swatać i żenić.

Dopieroż ja w śmiech; ale musiałem się gorzko jakoś rozśmiać, bo Pakulski aż się ze stołka porwał.

— Mój panie Adamie, rzekę, stare to przysłowie: palca między drzwi nie kłaść. Anim się ja z panami Nałęczami chciał kłócić, ani łaski ich i dziewosłębów dziś potrzebuję. Pan Bóg mnie zaswatał sam, to mnie i ożeni; żebym zaś miał frymarzyć przyjaźnią sta-řeścianki, rzecz ta jest ohydna, iż gdybym nie wie-dział, żeś mi ją przyniósł tu przez głupotę raczej niż złą wolę, tobym waszmości uszy poobcinał, iżeś się ważył takiego podjąć pośrednictwa.

Pakulski tedy do szabli. Pohamowałem go.

— Nie czas się rąbać, rzekłem. Pójdziemy obaj na Turka, a jeśli całe kości przyniesiemy, służę waści jak sam zechcesz i jak się podoba.

Poszli więc jak zmocy, dobrze markotni, a jam przy swoim został.

Zaraześmy tedy z królem i dworem poczęli ciągnąć

ku Krakowu, jako się napisało wyżej: pierwszego dnia do Falent pana wojewody pomorskiego, gdzie król odpoczywał; trzeciego dnia do Nadarzyna, a tu obiad jadł, i przybiegli posłańce, donoszący, że cesarskie wojska, z powodu bliskości wielkiego wezyra, cofają się na wyspę Szyt. Dalej ciągnęliśmy na Radziejowice, rezydencję bardzo piękną kardynała, do opactwa wiktowskiego pod Piotrkowem Trybunalskim, aż do Krotoszyna.

Tu też było się czemu podziwić: bo pałac hr. Denhoffa, ogród, wody w nim, jak rzadko gdzie u nas widzieć; drzewa, wały sypane dokoła, nawet ogrodzenie pańskie i dla oka obrachowane.

Ztąd już zajechaliśmy do Częstochowy, gdzie król jegomość w klasztorze u ojców Paulinów stanął i mieszkał, dla zażycia nabożeństwa u cudownego obrazu Matki Miłosierdzia, a myśmy się po miasteczku, jak kto mógł, rozgościli. Nie piszę już jakie były ceremonie i jaka pobożność przed tak wielką imprezą, jakie wota składano i jak król jegomość z całym dworem do kommunii i spowiedzi przystępował, sposobiąc się, aby czystym sercem w czystej sprawie stawać.

Tu nadbiegł Głiński od hetmana Lubomirskiego z listy od Wiednia, że się już oblężenie stolicy rakuskiej na dobre rozpoczęło i osadzili ją poganie dokoła. Król Głińskiego do siebie zawoławszy, sam go rozpytywał i badał, a potem listy rozpisywał na wszystkie strony do książąt i panów, oznajmując, że ciągnie na odsiecz niezwłocznie, aby też drudzy obowiązku swojego chrześcijańskiego dopełniać się starali.

Żem nieźle pisał, byłem i ja pod ten czas do niektórych skryptów w kancelaryi użyty, przed czém mi słowo szlacheckie dać kazano, że nic nie wyjawię z te-

go, co mi do uszu dojdzie. Ale to tam próżna była ceremonia, bo się to u nas nigdy nie praktykowało, żeby się jaki sekret uchował, dla téj otwartości charakteru naszego, która i siedmiu pieczęciami zamknięte usta otwiera.

Przyjąwszy błogosławieństwo przed obrazem N. Panny i solenne złożywszy wota, pośpieszniej już, dla odebranych wiadomości, ciągnął dwór prosto na Kraków, a wojska dwiema drogami nas poprzedzały ku tarnowskim górcom na Szlązku, w dwunastu milach od Krakowa.

Nie mogę wypowiedzieć, jaka nas tu w stolicy spotkała ludu, szlachty, duchowieństwa frekwencya, jaka widzenia króla jegomości chrześcijańskiego ciekawość, jaka miłość powszechna, wydająca się wszędzie, jakie processye, nabożeństwa, bicie w dzwony, oracye, dary i jaki wszędzie nacisk zdążających za wojskami. Żem się już dworu trzymał, stałem w Łobzowie z innymi, z kąd tylko do miasta za królem wyjeżdżaliśmy, głównie dla modlitwy po różnych kościołach. Byłem też gdy król jegomość odwiedzał staruszka księdza Dąbrowskiego, w collegium niegdy nauczyciela swego, od którego brał błogosławieństwo. Rozpowiadano, czegom ja świadkiem nie byłem, że król się świątobliwego starca dopytywał, jak też owa wielka wyprawa poszczęścić mu się miała? i że ojciec Dąbrowski miał mu odpowiedzieć, przyobiecując zwycięstwo, lecz zarazem śmierć sobie prędką prorokując, że téj pociechy dożyć nie miał, co się później jótą w jotę sprawdziło.

Król też d. 6 Augusti jechał ztąd na musztrę ciągnącej armii hetmana polnego, opatrując lud dobrze i pięknie wybrany, którego było więcej dwóch tysięcy.

Sam główny korpus wojsk pod hetmanem wielkim przyszedł w kilka dni później i położył się obozem pół milki od Łobzowa. Jam tedy, otrzymawszy pozwolenie, do swoich pośpieszył, aby i poczet zobaczyć co się tam z nim działo, i przyjaciół powitać.

Dopieroż to była radość, gdy mnie ujrzeni! dopiero krzyki, wołania, witania! bo byli zasłyszeli o moich sukcesach, a zazdrościli mi wszyscy po trosze, czemu się nie dziwuję, zbliżenia do osoby króla jegomości. Alem i kwasu miał trochę, bo mi Bulski mój konia jednego splecył, drugiego schodził i zatarł szkaradnie, żem go z błotem mieszać musiał. Szkoda też przez jego niedbalstwo okazała się i w wozach, jak to zawsze bywa, gdzie cudze oko patrzy, a pańskie daleko. Alem to wszystko przy pomocy bożej, połatawszy, a z przyjaciółmi zażywwszy chwil wesółych, o frasunku zapomniał. Drudzy go też w ciągnięciu, jeśli nie więcej, mieli.

A to muszę dodać, że nie wiem czego mi towarzysze więcej zajrzeli, czy królewskich łask, czy mojego Pyladesa, kiedym go im okazywać zaczął, bom umyślnie na nim do chorągwi jechał. Był applauz dla cisa-wego powszechny, gdyż jużem go był sobie sprzyjał-nił zupełnie, i stał mi za psa, takie sztuki umiał.

Dnia piątego Augusti przybyli do króla posłowie, panowie znaczniejsi szlęzcy z tém, że wszystko było pogotowiu w ich kraju dla wojsk naszych i wozy pod piechotę spędzone. Dziewiątego poszły ordynanse, aby wojsko ruszało i poczęło zewsząd ciągnąć ku Szląskowi. Regiment kanclerza wielkiego szedł z Żywca i inne za nim.

Dziesiątego wielkie nabożeństwo i błogosławieństwo

na zamku w kościele odbywało się, któremu i ja z całym dworem był przytomny.

Po mszy świętej uroczystej u grobu Świętego Męczennika, nuncyusz papieżki Pallavicini króla jegomości i wszystkich przytomnych benedykował i ogłaszał wielkie przez Ojca Świętego nadesłane odpusty nadzwyczajne dla rycerzy chrześcijańskich, z których radości wielkiej i męstwa nam przybyło.

Opisywać już nie będę, jakieśmy ostatnie dni do 15 Augusti, to jest do Wniebowzięcia, przebyli, ciągle prawie będąc pobożni; jak nas tu żegnano, błogosławiono, otaczano; to tylko powiem, iż mimo wieści, które przychodziły o potęgde tureckiej, mimo słusznój apprehensyi, jaki mógł być skutek wyprawy, od wodza do ostatniego żołnierza wszyscyśmy naówczas mieli to przekonanie pewne, iż zwyciężyć musimy. Zkąd się brało owo bezpieczeństwo, nikt nie tłumaczył, ale to pewna, że we wszystkich sercach mieszkalo. One krocie pogan, o których mówiono, że niemi całe pola były okryte — nic się nam nie zdawały groźne.

W Będzinie, ruszywszy z Krakowa w dzień Wniebowzięcia, zastaliśmy oczekującego grafa Caraffę, od cesarza Leopolda wysłanego, który z bardzo kwaśną miną przybył, nie wierząc pewno, aby miał król w czas z odsieczą podążyć. Rozpowiadano tu, iż zastawszy markiza Darkena, który króla wyprzedził, obiadując z nim, gdy mu ten ręczył, iż Najj. Pan przybywa, odparł nieufnie, podając to w wątpliwość:

— Tak to mówią.

Aliści rozjaśniła się Włochowi twarz, gdyśmy na-dążyli, a miał to szczęście, że z królem obiadował, szeroko rozpowiadając o nieszczęśliwem położeniu stolicy i radząc jakby najlepiej Turków od niej odegnać.

Nie byłem ja tam w czasie ich rozmów, ale potem sobie je powtarzałem. iż zaklinał i modlił, aby król jęomość pośpieszał, jeśli na sromotne gruzы patrzeć nie chce. Cesarz też, uchodząc z Wiednia, a nie mogąc z sobą zabrać skarbów niezmiernych, jakie tam były nagromadzone, frasował się więcej obawą ich straty, niż upadkiem stolicy.

Tu już, gdy i królowa jęomość rozstała się z nami w tarnowskich górach, pośpieszaliśmy, a był wielki czas.

Trudno wyrazić, jak nas wszędzie przyjmowano, jaką znaleźliśmy gotowość, jakie żywności wszelkieży zapasy, jaką uprzejmość Szlązaków i zabiegi, aby nam na niczem nie zbywało. Wozy pod piechotę, owsy, chleby, słowem dostatek wszelki.

Odprosili się tylko Szlązacy od Litwinów, że im tam niestworzonych rzeczy nagadano na uciążliwy ich odciecz w ciągnieniu. Jakoż przez Węgry idąc i kraj zawnieprzyjacielski uważając, niemało w istocie dokazywali. Składano to znowu na onego nieszczęsnego Tyszkiewicza, który część regimentów zbieranęj drużyny prowadził, i za głównym obozem podążał, na tego samego, którego strzelanie do Francuzów tyle narobiło hałasu, a co pono nie z jego naprawy wyszło, bo go pod on czas w Warszawie nie było. Tu już królowęj nie znalazł, ażeby go obroniła.

Wracam do tego, jakeśmy szli dalej, z pośpiechem wielkim.

Dnia 22 Augusti król, odprawiwszy przodem piechoty, pono dla tego, że się tam nie było z czém popisować, bo nieświetno wyglądała, jechał razem z komissarzami cesarskimi na wojska ukazanie, które było prawdziwie wspaniałe. Puszczono wprzód ten głos,

aby każdy wystąpił jak tylko mógł najlepiej, żeby przed obcymi się nie wstydić, i wypadło też, żeśmy się i sami sobie i oni nam dziwowali, z takim bogactwem i świetnością szły chorągwie.

W ogóle zważaliśmy, że na panach komissarzach wojsko, jak się potem odzywali, zrobiło wrażenie wielkie, tym przepychem, z jakim się prezentowało.

A tuśmy się też zaraz od Gliwic ze dworem całym oddzielili od armii naszéj, zostawując ją za sobą; wziął tylko król dwadzieścia kilka chorągwi lekkich i kilkaset dragonii z sobą, a dwudziestu hussarzów, którzy bez kopij na straży przy nim jechali. Jakeśmy w Szlązk weszli tylko, nieustannie nas spotykano ze wszelkiego rodzaju honorami, darami, mowami, biciem we dzwony, oracyami i tryumfy.

Radość z naszego przybycia wszędy widać było wielką, a dostatek mieliśmy wszystkiego i na kuchnię, i dla koni, że nie można było niczego zażądać, czego by już wprzód nie nagotowano.

Jam, będąc u dworu królewskiego, opływał,—i tylko mnie to trapiło, że tego jak dla żołnierza było za nadto, żeby człowiek nie zmiękł. Prawda, że po noclegach, najadłszy się do sytu, napiwszy często nad miarę nieco, przy wesołym towarzystwie potem musiał człek legnąć, kulbakę tylko mając pod głowę i namiot, który Pan Bóg rozpiął; ale to się już i nie liczyło.

Gdy hussarzy na straż dla króla wybierano, markotno mi się zrobiło, że między nimi chorążego Nałęcza najrzał, alem go niby nie widząc i nie poznając, dyssymulował. Starał się pono o ten fawor bardzo, i nielekko mu przyszedł, bo byli Porkowskiego wyznaczyli (z Rachcie); ale ten zachorzał i miejsca mu

ustąpił. Nie na wiele się to Nałęczowi zdało, bo król uprzedzony był, i choć z innymi konwersował, na niego i nie patrzył. Posadził mnie o to chorąży, alem nie był nic winien, bo nieprzyjacielowi nogi nie mam zwyczaju podstawiać, ale stoję oko w oko, jeśli stać przeciw przychodzi.

Szliśmy już coraz pośpieszniej, zdążając na Opawę, miasto wcale piękne i obronne, gdzieśmy jako tako spoczęli. Król w stodole na przedmieściu dobrowolnie się lokował. Minąwszy Raciborz, gdzie nas pańsko podejmowano, ciągnęliśmy pod morawskie góry do Ołomuńca, a góry dosyć przykro przebywać przyszło. Ale mimo tych dróg, niezwykajnemu człowiekowi i koniowi przyciężkich, nacieszyć się nie mogliśmy pięknnością kraju dla oka, który jakby w obrazie malowany wygląda.

W Opawie, jak tu po drodze wszędzie, króla oprywali temi powitaniem, i słyszałem jak mówił, narzekając na te oracye ustawiczne, dla których się jako pan młody do ślubu ubierać musiał i wszędzie z paradą hussarską wjeżdzać. Miasto chędogie, lud grzeczny, a co błogosławieństw było i okrzyków, wyliczyć trudno. OO. Jezuici szczególnie panegirykami kościelnymi przyjmowali, a co krok — *Erat missus Joannes*.

Nigdy też jeszcze tak osobliwego zegaru nie widział jako tutaj: bo gdy miał godzinę wybić, występowała z niego cała procesya misternych laleczek i obchodziła go dokoła, z wielkim kunsztem kłaniając się, ruszając, głowy chyląc, gdyby żywe Pigmejczyki, czemu się mógł napatrzeć, bo królowi dali kwatery w kamienicy naprzeciw zegara, bodaj nie naumyślnie, aby mu się dziwował.

W tym pochodzie, ile nam razy serca przybywało i ubywało, nie zapamiętam; to jeno wiem, że ciągle gońce, posły, listy dobiegały do króla, zwiastując różne wojsk pogańskich i Tekelego z niemi za jedno trzymającego ruchy. Ginęli, to wychodzili z ziemi Tatarowie a Turcy, i groźno, to się tchórzliwie okazywali wszelako im bliżej ku Wiedniowi podchodziliśmy, tém się bardziej na baczności mieć było potrzeba, aby nas nie zaskoczono kędy w zasadzce.

Ale kraj czyście piękny jako raj, a że ciągnąć przyszło w porę jesienną, kiedy wszystko dojrzewa i rośnie na umór, więc nie wdzięczniejszego wymyślić niepodobna nad to, na cośmy patrzali.

A znać, że i lud około bożych darów chodzić umie, bo dostatnio wszędzie i chędogo; muru więcej niż drzewa, chocia z drzewa i muru bardzo misternie budować umięją razem, czego u nas rzadko widzieć, i koło każdego domowstwa owoców, winnej macicy, brzoskwiń, pachnącego ziela różnego w bród.

Na polach zboża w kopach stało jak usiał; urodzaj nadzwyczajny, kop jak gwiazd. W Brnie morawskim stanęliśmy w święto i na odpust Św. Jana Chrzyciela, gdzieśmy nabożeństwa zażyli, o ile fatyga i czas dopuścił.

Sam książę lotaryński królowi *obviam* miał czynić, i spodziewano go się co chwila u nas, aby króla i wojsko znaglić do pośpiechu, bo już Turcy strasznie szturmowali, a dowódca stolicy rakuskiej Staremborg prawie desperował. Podkopywali się pod niego i minami szli, grożąc murom. Zewsząd też kto tylko mógł z rzeszy, ciągnął pod Wiedeń.

Dnia 31 Augusti, gdyśmy byli obozem, a właśnie namioty rozbijać dopiero poczynano, w momencie kie-

dy się z nami łączył hetman polny, który był inną drogą pod górami ciągnął, dano znać, że księżę lotaryńskie przybywa.

Spotkali się król z księżęciem w polu, właśnie przed szeregami jakby do boju wyciągnionemi. Prezentował się tego dnia monarcha nasz tak wspaniale i z takim majestatem, jakby się na tronie urodził. Zsiadł księżę z konia o dwadzieścia kilka kroków, król też mało poczekawszy także, i powitali się bardzo uprzejmie, razem potem idąc do obozu, który dopiero się rozścielał. Z wielkiego rozgłosu około imienia tego księcia, nie mogłem się spodziewać, żeby tak mizernie wyglądał. Człeczek był niewielki, po trosze brzuchaty, twarz melancholiczna, ospowaty szpetnie, a koło niego tak, żebyś go wziął chyba za pisarza obozowego, gdybyś go spotkał na uboczu. Suknia prosta, odarta, kapelusz zmięty i bez pióropuszu, bóty zabłocone. Był przy nim Talf, który w Polsce posłował odeń, i tu go niemało ludzi znało.

I koniowi i panu napatrzeć się nasza dwornia nie mogła, bo choć szkapę miał niezgorszą pod sobą, ale siodlisko wybite, wysiedziane, uzda prosta i prezentacji żadnej. Wszelako król go przyjął bardzo *honeste*, a choć dopiero się nasi zabierali coś prażyć, w mgnieniu oka i ogień był naniecony, i jedzenie gotowe, i wino dobyte. Nie mieliśmy się co wstydić popasu, bo sobie dobrze panowie podjedli, a bodaj i podpili. Stałem-ci tam, patrząc na wszystko, i widziałem, że s. lotaryńskiego hamował od kieliszka jego ten Talf, a przecie gdy król dolewać kazał, dobrze sobie podchmielił w końcu, i była taka wesołość z racji naszego zbliżenia się, taka otucha, tak się im na widok wojsk oczy śmiały i serca przybywało, aż i nam go

urości. Tylko słychać było z pod namiotu wiwaty i wykrzykiwania na cześć króla naszego, dla którego imion dosyć znaleźć nie mogli, Salwatorem go mieniać i Messyaszem, posłanym od Boga na zbawienie chrześcijaństwa.

Rozjechali się nareszcie, w bardzo wielkich oświadczeniach przyjaźni dla króla i królewicza, bo pierwszego ojcem swym, a drugiego bratem co chwila (po winie) księżę lotaryński nazywał, i to po polsku; ale mu i tego ojca i brata co chwila podpowiadać mu siano.

Kto dawniej znał przed laty kilku naszego pana, że był nieco zwolniał a ocięzał, teraz go poznać nie mógł, tak wymłodniał, ochoty, rzeźwości i humoru nabrał; i nie dziwić się obcym, że im majestat jego oczy ślepił, gdy nawet my, do blasku tego przywykli, coraześmy jakby nowego człowieka w nim dopatrywali. Rosnął nam codzień. Ten szybki pochód, i trud, i niepokoje nietylko go nie zmęczyły, ale zdawały się go orzeźwiać i coraz nowe mu myśli poddawać. O każdej najmniejszej rzeczy pamiętał, nie dojadł, nie dospał, ludzi zamęczał, a sam jeno się krzepił.

Gdybym na to nie patrzył, nigdybym temu nie uwierzył, ażeby człowieka duch wielki mógł tak z gruntu przeistoczyć i takiej siły mu dodać. Samo wejście na twarz królewską już zwiastowało jakby rozbudzenie wielkie, jakby natchnienie boże osobliwe.

Wszyscy tu swoi i obcy powiadali zgodnemi głosy, że go nigdy jeszcze takim nie widzieli; od rana do nocy zajęty, czynny i zapominający o sobie, zawsze gotów bez uprzykrzenia, wesół a dziwnie majestatycznego oblicza, jakby w nim Duch Święty mieszkał, przezeń mówił i kierował nim. Coś wielkiego i potęż-

nego wydawało się w każdym jego słowie i ruchu, a co dziwniejsza, że jakim się nieraz o tém przekonał, miewał przeczucia, proroczo widział co się stać miało.

Z samych kart i opowiadania, dobrze wprzód nim pod Wiedeń przybył, nim opatrzył pozycę, mówił już z góry gdzie obozem stanie i zkąd nieprzyjaciela atakować będzie, ciągle o Kalembergu powtarzając, aż się ludzie dziwowali. Chodził, mówił, rozkazywał, jakby w świętej jakiejś gorączce, nie zastanawiając się i nie potrzebując ani namyślać się, ani poprawiać.

My, cośmy osoby królewskiej bliżej byli, tylkośmy podziwiali go, a w końcu uwierzyć musieli, że tam boża prawica nad nim spoczęła. Jako był wyszedł z kościoła po oném błogosławieństwie w Krakowie, a potem z celi ks. Dąbrowskiego, tak już na chwilę teraz nie zwątpił, nie zawahał się. Nie można wypowiedzieć, jak ta jego pewność wszystkim serca ogromnego dodawała, i z ludzi nawet poślednich czyniła rycerzy.

Niemąło się też i ten pochód, przed tryumfem już tryumfalny, przez Szlązk i Morawę, przyczyniał do utrzymania króla na duchu, bo go zbawcą chrześcijaństwa całe ludy proroczo witały, jakby objawienie tego posłannictwa bożego wszystkim świat przedtém miał.

Przychodziły mu też to te, to owe myśli pośród ciągnięcia, jak ze snu przebudzonemu i jakby z rozkazu z góry. Jednego poranku wstaje w namiocie, gdzie i ja blisko był. Słyszę wołanie się rozlega:

— Sam tu!.. a jest tam który?

Więc na łeb lecę; król się odziewa.

— Słuchaj Mroczek, rzecze: tyś człek rzetelny, ty grosza chrześcijańskiego nie zmarnujesz, ani z niego nie zechcesz korzystać, tobie to polecę. Widziałeś ty?

toć to w wojsku kopij i dzid połowa ludzi nie ma, a zapaśnych cale. Bez tego w boju z nimi nie stąpić. Naści pieniądze, wyrachujesz mi się. Idź przodem czy bokiem, czy jak ci się tam zda, a przysposóbcie mi kopij i dzid, żeby był zapas dla wojska. Niechaj to odemnie pana swego mają, bo sami tu między obcy mi nie postarają się o to. Tyś człek młody i obrotny, na ciebie to zdaję, a sprawże mi się jak się patrzy po kawalersku. Ilu Turków te dzidy zgniotą i zmiotą, tyle waść kresek dobrych u Pana Boga, a i u mnie sługi Jego mieć będziesz.

Włożył tedy to na mnie, i latałem jak oparzony około roboty, Bóg widzi, że niełatwé; a potem co mnie gdzie zobaczył, to mi się spowiadać kazał, ile już gotowego i co i jak. Ale mi te kopie u króla niemały fawor wyjednały, bo mi poszło, z pomocą swoich, cale dobrze i na chwałę.

Jak się w wojsku dowiedzieli tylko, że król własnym kosztem drzewce sztyftuje i rozdawać ma tym, co ich nie mają, filuty z hussarzów a nawet i pancernych do mnie: — Kupuj u nas dzidy, wszak ci to wszystko jedno. Ale mziarkował o co to szło, i że byłoby z obrazą sumienia to kupować, co już było, a nie przyspasabiać więcej, jak król chciał. Więc odrzucił, choć się na mnie za to gniewali; królowim przecię słowa o tém nie szepnął.

Nie wiem zkąd i kto mu powiedział o tém. Trzeciego dnia woła mnie do siebie i daje trzosik z talarami.

— Weźmiéj to odemnie, rzecze. Kocham waść: to za one kopie, coś ich u tych trutniów kupować nie chciał. Masz sumienie. A dużo ich tam już na wozach?

Wszystko mi to coraz więcej u niego łaski jednalo.

Jużeśmy byli pod Tulum przyszedli, gdzie most na przeprawę budowano, aż nas dopędził posłaniec królowej z listy z kraju; a była ich do całego wojska taka moc i zależałych, i starych, i nowych, że się każdy prawie miał czem pokrzepić; torbami je noszono i rozdawano po chorągwiach.

Jam też odebrał pisanie od pana Jacka: nie tak bardzo szczególnego, tylko mnie tknęło, że w obwitych wyrazach wspominał, abym tam lada jakim wieściom nie dawał wiary, że wszystko u nas po staremu, a nie gorzej.

Po obozie z temi listami było wszędzie czego się nasłuchać. Temu ten umarł, owemu się narodził; ten płakał, ów się śmiał, inny dzielił się czem Bóg dał.

Wieczorem poszedłem do swoich Podlasiaków pod namiotek, alem trafił nieszczęśliwie. Patrząc, siedzi za beczką, która za stół służyła, Nałęcz. Jak mnie ujrzał wchodzącego, tylko się poprawił na pieńku. Cofać się też przed nim nie wypadało. Zwali mnie tam, z powodu tych kopij królewskich, panem kopińnikiem; więc nuż wołać:

— Czołem panu kopińnikowi! Czołem! Czołem!.. Wypijesz wina?

— Aby nie zbyt, rzekłem.

Siadłem pomiędzy nich. Jak pszczoły w ulu gwarzyli, każdy o swoim. Przypominał się każdemu dom, rodzina, przyjaciele, krewni, a tu bój i śmierć były za rzeką tylko, a w sercach przeczcucia różne, więc i w mowie pełno żalości. Słowem gwaru, śmiechu, westchnień i przekleństw tyle, a tak się żywo przypominała każdemu swoja ziemia, żeśmy, można powiedzieć, zapo-

nieli gdzieśmy stali i z czem szli, że lada dzień przyjdzie gardła nastawić, a może kości na obcej ziemi położyć.

To ten, to ów gadał, a wszyscy słuchali pilno. Aż Nałęcz poczyną w głos:

— Mnie też Pan Bóg pociechę zesłał. Z domu mi piszą wszystko dobre; szczególniej zaś rad jestem temu, że siostrę dajemy w taki dom, który naszemu imieniu skazy nie przyniesie.

A tu mu drugi przerywa:

— Panna Helena idzie za męża?

— Tak jest, prawi, przed Adwentem ślub jęj na pewno z panem Stadnickim ze Żmigroda, z onych dobrych Stadnickich, co się liczą do pierwszych w kraju familij. Czego chcieć więcej? Dobra, piękna, kawaler młody, przystojny, parantele jak najlepsze. Bogu tylko podziękować, żeśmy przecię jęj uporu nadłamali, bo się była dała zdurzyć staręj kwoce podczaszynie, która jęj szaraczka tam jakiegoś stręczyła i forytowała. Ale to jak przyszło z niczego, tak i z niczem poszło.

Posłyszawszy szaraczka, myślałem, że nie wytrzymam. Dobrowolski, który siedział przy mnie, pohamował z razu. Ten widząc, że milczę, prawi dalej:

— A jużby też na biedę poszło Nałęczom, żeby ich dziewczki za bezdomnych chudopachołków się prosiły.

Wstałem i krzyknę:

— Łżesz, mości chorąży!

Ten się zerwał do szabli, a tu trzymają za ręce, bo pod boki królewskim i czasu wojny burdę poczynąć, sprawa gardłowa.

— Łżesz! dodałem, i bezczęścisz szlachcica takiego

dobrego jak i ty, bo co Jastrzębiec, to i Nałęcz, albo starszy i lepszy. Anim to ja, do którego waść pijesz, bezdomny, ani taki chudzina. Jeszcze raz ci mówię w żywe oczy: łesz! Zechcesz się rozprawić, tom ci gotów, jeno po wojnie, pieszko czy jezdno i na jaką ci się broń podoba.

I wyszedłem trzęsąc się z namiotu. Tknęło mnie to co o Stadnickim powiedział, alem przecię krzty nie wierzył. A że król wysłał z listami do tarnowskich gór, zkąd już nasza poczta szła przez rozstawionych trabantów, napisałem o tém co mi się przygodziło i do podczaszyny, i do pana Jacka, i do starościanki.

Potém-em się dowiedział, że gdy z namiotu wyszedłem, co było w nim Jastrzębców, a tych wszędzie pełno, gdzie jeno jest szlachta polska, wsiedli wszyscy na Nałęcza, że ich coś około dziesięciu na rękę go wyzwało, i Nowowiejski się mu zaklął, że go Jastrzębce bić będą, dopóki jak wróbla nie zatłuką. Wpadł tedy przez swe głupstwo w taką kaszę, z której już nie wiedział jak wybrnąć, bo nie mnie jednego, ale cały ród na siebie obraził.

Nazajutrz rano król do dnia wstawszy, bo się tym mostem niepokoił srodze, że go za wczasu nie postawiono, wiedząc o przyjsciu, najrzał mnie za płotkiem namiotu.

— A chodź ino tu wasze, rzecze. Co to tam za burdy wyprawiacie — he?

— Ja, Najj. Panie? odpowiem: żadnej w świecie.

— A coście się to znowu z tym głupcem Nałęczem powadzili?

Rozpowiedziałem tedy co do słowa jak było, a król tylko słuchał.

— N. Panie, kończyłem: na honor krwi naszjej na-

stępować gdybym dał komukolwiek bądź, a cóżbym ja wart był? Przecię tego nie poczyniał. Chodzę około Nałęcza jak około czego złego, omijając, nie zaczepiam go; ale dla świętego pokoju, choćby mi nie wiedzieć jak był miły, posponować się dać nie mogę.

Król na to:

— Ino bez burd. Jak czas będzie po temu, to się sobie w szable złożycie; ale myślę, że mu się tego, poczekawszy, odechce, bo ja mu uszu natrę.

— N. Panie. odezwałem się: jeśli mam cokolwiek łaski u waszjej królewskiej mości, proszę i błagam, nie czyńcie nic, aby nie pomyślał, zem ja się tu użalał.

— A no, niech i tak będzie, rzekł król. Tylko pamiętaj, bez burd! Cudzoziemcy na nas zewsząd patrzą: niech się to meztwo i sierszistość nasza na pogany schowa. Tego sam Bóg, co nas tu zesłał, wyciąga.

Nie wiem jak tam już ten pan nasz na to czas znalazł, żeby jeszcze o tém pamiętać, bo nieustannie byliśmy zasypani odwiedzinami, radami i listami.

Wszystko się do nas i do króla jegomości kupiło, ściagało, przyjeżdżało, a nie można rzec, tylko że mu honory wielkie oddawali. Tu u tego mostu pod Tulmem, zkąd już jeno mil kilka do Wiednia, stać przyszło póty, póki, jako Dunaj dwiema wyspami jest przernięty, trzech mostów dla wszystkiego wojska przeprawy nie wystawiono. A było z tém kłopotu dosyć; pięćset dragonów i półtora tysiąca piechoty do tego budowania prędkiego przeznaczono, i nie było ich za wiele.

Król sam chodził, przynaglał, rady się też wojenne raz w raz zbierały; a wszyscyśmy się wydziwić nie

mogli zaślepieniu Turków i wielkiego wezyra, któryby był mógł pochód nasz jeśli nie wstrzymać, to opóźnić i zrobić jakąś dywersję, mając siły tak ogromne. Przecię żywej duszy nie posłał przeciw, znaku życia nie dając. Istotna w téj ślepcie jego okazywała się Opatrzność nad nami, bośmy prawie aż pod sam Wiedeń nieprzyjaciela ani najrzeli.

Mówiono, że gdy im tam Tekeli o naszym ciągnięciu dał wiedzieć, nic a nic mu wierzyć nie chcieli, śmiejąc się i mając to za urojenie.

Tu do mostu przybył na zamek grafa Ardeka do króla jegomości księżę elektor saski, krom innych. Bardzośmy też i tego pana byli ciekawi, ale nie wystąpił wielce. Dostyć miernego wzrostu, otyły nieco, włosów niemal rudych, krótko pozakręcanych, z brodą ze staroświecką, lat około czterdziestu. Suknię miał i szarfę czerwoną z frenzlą. Wyglądał nam na bardzo prostego człeka i roztargnionego umysłu. Księżę lotaryński, generał Caprara i inni należeli do rady wojennej.

Szóstego Septembris poczęliśmy się przez Dunaj przeprawiać, najprzód pan hetman wielki, potem reszta. Tegoż dnia dwór i my obozowaliśmy, popasawszy na jednej z wysp, na drugim brzegu Dunaju; ale tuśmy czekali przez 7 i 8 Septembris, ażby się wojsko całe przepравиło, za którym zaraz elektor bawarski ze swymi nadążał.

Za Dunajem poczęły się góry przykre, a drogi niezajome, gdzieby nas do nogi wybito, rozwleczonych, porozsypywanych, gdyby krztę rozumu byli mieli Turkowie, a nie ufali tyle w swego proroka. Ale prawdzi się tu też przysłowie stare, że kogo Bóg zgubić chce, zaślepia.

Wojska ciągnęły wawozami niemal aż pod sam Wiedeń, nie spotykając nigdzie niewiernych; parę razy najrzeli ciurów ich pasących spokojnie woły, ale tałałajstwo to, nie dobywszy nawet szabli, uciekało precz. Dziwniejsza rzecz, że gdy szły piechoty nasze, które Denhof prowadził, wpadli w jednym jarze na garść Tatarów, w ciemnej dolinie zewsząd opasanej górami; myśleli, że się bić będą i stało się poruszenie między ludźmi, ale starszy, co ich prowadził, podjechał do Denhofa, nie dobywając z pochwę oręża, ani się biorąc do łuku, i pyta go łamanym językiem, jacy to ludzie, których prowadzi? Ten mu wręcz odpowiada, że należą do wojska, któremu sam król jegomość dowodzi. A Tatar w śmiech, machnąwszy ręką, i woła:

— Myślicie, że nie wiemy, iż was garść tam przyciągnęła z Lubomirskim w pomoc Niemcom, i tyle wszystkiego.

Zabrał się tedy, nie poczynając ani myśląc bić się, do odwrotu powoli; nasi też go nie napastowali, po części ze zdumienia samego, a po trosze dla tego, że się rozwinąć nie mogli i nie byli przysposobieni, choć na dobry ład nogaby jedna ztamtąd wyjść nie była powinna.

Jakieśmy ztąd dalej ciągnęli, opisać to trudno. Łaska boża nas prowadziła, bo o przewodników było ciężko; wozy musieliśmy porzucać, aby innemi drogami powoli za nami zdążyły; a darliśmy się na wysokości lasami okryte, przez wawozy, góry, przepaści, tak, że często i koło człowieka i koło konia było bardzo kręto. A co odzieży i twarzy poszarpanych, co szkap poderwanych i okaleczonych, jaka bieda i głód nawet nas tu potkał, nie wyrażę.

Nie mieliśmy już ani namiotów, ani żywności, ani nawet wody; król sam w te dni chlebem suchym się karmił, wody pożyczając od bawarskich żołnierzy, co ją w blaszankach z sobą wszyscy tam nosić zwykli. Jest to zwyczaj dobry, któryby naśladować potrzeba. Ale jak bohatersko to wszystko czynił, z jaką wesołością i uciechą, nie wypowiem. Drudzy z ludzi stękali, on się uśmiechał, prawiąc, że przed wielką uroczystością zawsze kościół post nakazuje, aby do niej duszę przygotować, ciału ujmując.

Czasami dwór tak od wojsk odstawał, które rozbite po górach się kryły, że nie wiedzieć nawet w której stronie było ich szukać, alisci gdzie z za pagórka ukażą się kopie hussarzy, to już wiemy, że przed nami są. Tam to ja dopiero Pyladesa poznałem co był za koń, że się chyba w górach rodził i znał dobrze z niemi; bo nie było ścieżki najwęższej, przez którąby się nie przedarł, z taką poczynając sobie ostrożnością, jakby rozum miał ludzki. Jam tylko admirowałem, a drudzy, którym szkapy padały i kolana się otłukały, nie mogli się koniowi wydziwić. Jużem mu cugle na karku położywszy, samego puszczał, bo pewnie lepiej odemnie sobą kierował; a zdawał się w tém rozkoszować, że sobie wolno sam téj drogi zażywał, i jakby swawolił, to liści pyskiem szarpnął, to się o gałąź otarł, a w przykrzejszych miejscach nogi stawiał z taką rozważą i namysłem, iż satysfakcja była na niego patrzeć. Co tam drudzy ze swemi końmi mieli, nie wypowiedzieć; niektórym pospadały z gór i karki pokreśliły w niwecz. Na jedném miejscu wśród gestwin, kiedy się tak wlecemy niby ścieżyną, ale fałszywą, przyszliśmy na wązki jarek, w środku którego rzeczka płynęła, ale łokci ze dwadzieścia albo więcej

w głębi, a brzeg jeden i drugi jaru był wysoki. Szerzyny od jednego do drugiego mogło być łokci praeter propter do pięciu. Wszystko się to nad jarem zastanowiło, bo w dół się spuścić nie było podobna, boki jak ściany prostopadłe i obrosłe, a gałęzi suchych i ciernia pełno. Wieg się poczęli zwracać w lewo a w prawo, szukając lepszego miejsca do przejścia. Jam też z Pyladesem nad samą krawędź parowu nadażył, i co tu dalej robić, nie wiem. Cuglem mu rzucił, patrzę, a tu drudzy klną i rozsypują się w różne strony. Jednym razem anim poczuł, że konisko nogi zbiera, grzbiet dźwignął, i jak da susa, to oparłem się na drugim brzegu, tylko piasek i kamienie posypały się. Powiem szczerze: omal mnie ten skok niespodziany z siodła nie wysadził,—i to szczęście, że cugli nie miał, bobym był szarpnął, a wtedy — po wszystkim: obabyśmy w jarze byli leżeli.

Jeden był głos, że podobnego Pyladesowi drugiego w całym wojsku koniaby nie znalazł.

Ale nie czas było o koniach naówczas myśleć, gdy wszystkie umysły tylko blizką walką z nieprzyjacielem, ostatecznym końcem naszej imprezy, na ostatek ciężkiem położeniem naszym smutnie zajęte były. Można powiedzieć, że król tylko jeden nie utracił wielkiego ducha, a ten w nim rósł owszem z każdą godziną. W oczach nam z ciała opadł, policzki mu się ściągnęły, ale we dwójnasób ognia w oczach przybyło i takiej żywości młodzieńczej, żeśmy mu nastarczyć i podążyć nie mogli. Ja, com często koło namiotu sypiał i przede drzwiami na zawołanie stał, to wiem, że mi ciężko było tam bez snu wytrwać, gdzie król jegomość i oka nie zmrużywszy, ani się zdawał trudzić. Ordynanse ustawicznie na wszystkie strony

szy, bo jako u naczelnego wodza, z każdego wojska szli odkomenderowani do tego ludzie przy jego boku, a listy, a rozkazy, a nieustanne odwiedziny książąt, grafów, wodzów, cudzoziemców wszelkiego narodu, najróżniejszych języków i twarzy, wolontaryuszów, kawalerów chciwych sławy wojskowej i nauki rycerskiej pod tak wielkim wodzem.

Jednego dnia, niżejśmy jeszcze te góry nieszczęsne przebyli, nagle się rozeszła wieść, że cesarz sam przyjeżdża, aby króla naszego powitał; ale to było wido- cznie ułożone tylko, aby niby gotowość okazać, a w rzeczy bał się ruszyć i nie miał po co, bo tuby wcale nie poradził, a zamieszał dużo. Przybyłoby z nim ceremonii i parad, ostrożności względem poszanowania, a rycerska sprawa byłaby cierpiała na tém.

Z niezmiernym tedy trudem i uciążliwością drapa- liśmy się na górę Kalemberg, przy niesłychanym wietrze, który nam dał wsame oczy, iż miejscami trudno się było ludziom na koniach utrzymać. A żeśmy się już zbliżali ku temu placowi, który miał rozstrzygnąć losy nasze, i gdzie właśnie pogan siła niezmierna le- żała, więc nieustannie i prawie mimowoli przyprowa- dzano języka, włóczęgów od wojsk wezyrowych, za- brane bydło i konie. Aleśmy tyle tylko od Tatarów dopytać się mogli, że ani o nas wiedziano, ani się troskano: a czego król jegomość najwięcej się lękał, żeby turecka moc nie odciągnęła, nimbyśmy przybyli i szabel naszych na niej spróbowali, o tém i mowy być nie mogło, gdyż się wezyr kuśił właśnie o zdo- bycie miasta i w siły swe ufał, jakby go nikt w świe- cie pozyczyć nie zdołał.

Nim na ostatnią górę wlaźć przyszło, król u stop jój popasał i spoczywał. Tu nam zaręczono, żeśmy

już wszystkie przeszkody zwyciężyć mieli, i że od wierz- chołka Kalemberga pod sam Wiedeń spuścistém wzgó- rzem, między winnicami, wygodnie wojsko schodzić będzie mogło. Aliści się i to inaczej potem okazało.

Wojska nasze poszły wyniosłość tę zająć na pra- wo, Niemcy zaś, Sasi, Bawarczyści i inne w lewo, a tu już odkrył się nam przed nocą widok wielki na miasto całe i na to obozowisko wezyra, które było straszli- wie rozległe, jakby miasto drugie, gdzie wśród na- miotów i szałasów tysięcy tysięcy, dopatrzyłeś i księ- życów złotych, i różnych wspaniałości, kolorów, cho- rągwi mnóstwo. Wszystko to jako mrowie u stop naszych leżało na takiej przestrzeni, że obliczając co tam ludu być mogło, przestrach ogarniał. Król się tak niecierpliwił jadąc, że gdy widok się odkrył, do- piero odetchnął, a przystanawszy tu jak wryty, nie wiem co czynił, ale zdawało się jakby się modlił. Ludzie do niego mówili: nie odpowiadał. Stał długo; dopiero jakby ocknąwszy się, rzecze do hetmana:

— Oszukali nas: góry téj w prawo nigdy nie oka- zali wprzód, a zejście dużo gorsze niż opisywano. Przyjdzie cały szysk bojowy zmieniać.

Potém spokojnie z góry wojska te krocie przeżeg- nał, i konia zawrócił.

Wojsko nasze całe rozstawiono wszecz na jakie do- bre pół mili po lasach, tak, że ścieżkami tylko od skrzydła do skrzydła przedrapać się można było. Król przy piechotach w odkrytém nieco miejscu na samym skraju z prawej ręki kazał sobie rozbić na- mioty. Dokoła półków piechotnych obciągniono wo- zami i końmi jakby obóz, i postawiono kilka sztuk, dział, które były przyszły w porę. Konnice, dragony,

hussarze, pancerni, petyhorce, gdzie kto mógł i jak mógł po lesie; tylko szczęście że nas w tym nieporządku nie napadli. Do późna, aż ściemniało, król nie mógł spocząć, ino patrzył, rozglądał się, posyłał, ordynował, a powtarzał:

— Cóż to za pocziwe Turki, że na nas czekali! Inom tego się lękał, żeby mi nie uciekli. Bądź Panie pochwalony, żeś ich tu oślepiwszy, wstrzymał.

Mało kto téj nocy zasnął pewnie, bo niemal przez całą z dział bito ustawicznie i łyskało ciągle a huczało; drudzy też, choć zmęczeni pochodem, z ciekawości zdrzemnąć się nie mogli i niepokoju o dzień jutrzejszy. Wśród obozu mało z razu ogniów niecono, żeby nas nie odkryto przed czasem; ale w nocy przysłał król z nakazem, aby drzew narąbać i kilka stosów dobrych nałożyć, tak, aby z Wiednia je dojrzeć mogli, i żeby im to otuchy dodało. Więc około tych ognisk siła było w wigilię bitwy takich scen, żeby ich na wołowej skórze nie spisać. Różne są natury ludzkie i humory ludzi, a nigdy się to lepiej nie okazuje, niż w tych chwilach, kiedy ludzie z karbów powszedniego żywota wyszedłszy, mniej na siebie zważają i cugli sobie puszcza wolniej. Tu się też popisywały różne usposobienia w przededniu wielkiego boju, wróżąc, marząc, zgadując i na jutrzejszy się dzień sposobiąc.

Mnie że był właśnie król na oględziny wysłał, abym powoli obozowiska objechał, humory wybadał i zdał sprawę co po wojsku się dzieje, jak żołnierz się ma i co sobie tuszy, tom całą niemal noc spędził, od ognia do ognia się włócząc, serca dodając, śmiejąc się z jednymi, z drugimi kłócąc. A już jako żyw téj nocy na Kalembergu nie zapomnę.

Młodzież też, po zwyczaju, gorączkowała, wytrawniejsi nie dowierzali i przemyśliwali; w ogóle duch był jak najlepszy, ale wiał on od króla. Widzieli wszyscy, jak szedł i jak promieniało mu tryumfem oblicze.

A tu też dodać muszę co mało komu do wiary, chociażem ja na to oczyma własnymi patrzył, a i wielka część wojska także, godna rzecz pamięci i cudowna. Jakaśmy w góry morawskie wchodzili jeno, ponad tą gromadką gdzie i ja byłem przy królu, wleciał orzeł ogromny, niewysoko ciągnąc, może na strzelenie z łuku; a prowadził nas tak aż na Kalemberg, to się podnosząc, to zniżając, wciąż jednak kołując nad głową prawie królewską, przez więcej niż siedm mil. Jako przy ogniskach sobie to opowiadali, omiunując dobrze.

Było rozmów, żartów, śmiechów, zakładów co nie-miara. Podjeżdżam do jednych, a był między nimi Śniatyński z pod chorągwi księcia wojewody, żołnierz jakich poszukać i nie znaleźć, stary już szpak: ten sobie na rożenku głogowym piecze jakiegoś ptaszka, oskubawszy, ale chmurny jak ze środy na piątek.

— Czołem, mości panie.

— Czołem.

— Co się jak éma po nocy tłuczenie? pyta.

— Z rozkazaniem królewskiém.

— To co innego.

— Ale cóż to wy, powiadam, jakby nie swoi? czy co dolega?

— A co ma mi dolegać? rzecze ze śmiechem: skóra dobrze wyprawna nie boli, kości też niemiękkie, mięsa zaś nie mam, a dusza do azardu przywykła.

— Przecież czegoś sumujecie, rzekłem.

— Nie, ale się przed bitwą spowiadałam sam przed sobą, a całe życie przechodząc i po tylu trupach stąpając, toć wesoło bardzo być nie może.

Nazajutrz też Śniatyńskiego na świecie nie było. Innych znalazłem różnie: modlących się, odgrażających, a wrzawy, a śmiechu ile dusza zechce. Przy jednym ognisku byli Turcy powiązani, którym świniny dawszy jeść, winem popoili, na wzgardę proroka, i tak to jak drewno legło, nieprzywykłe do trunku.

Jużem, objeżdżając swoje ognie, dotarł aż do Niemców, kiedy przybiega Łukowski, odwołując, że tam ktoś na mnie czeka opodał. Podjeżdżam, widzę, na chudój szkapie ni to Tatar, ni ciur od naszych, ogorzały, ale gada do mnie połamanym językiem niby naszym, a coś mruczy, że go dobrze zrozumieć nie mogę, a zerka na wsze strony, a belkoce. Zbliżam się do niego; ten mi okazuje na migi, że ma na stronie do pomówienia ze mną.

— A cóż to za szczególna miłość waszmości dla mnie? albo-li się to znamy?

— Tożci waszmość ze dworu od króla, powiada.

— No, od króla.

— A ja do króla, rzecze, prowadź.

— Z czém? pytam.

— Z językiem.

I jakoś mu się gęba rozwiązuje, że coraz lepiej gada. Myślę sobie: „Niechże jedzie.”

— Ruszaj waść za mną!

Nuż się napowrot mimo ogniów drapać przez krzaki pod namioty królewskie. Wiodę go jakby jakiego jeńca, a że do dyabła był podobny, patrzą na nas ze wsząd i dziwią się.

Dobiliśmy się do namiotów wreszcie; złążę z ko-

nia, dając go Grzesiowi, aby iść z raportem; więc go pytam znów: czego chce? Ten mi swoje:

— Do króla.

— Stójże, powiadami i czekaj. A jak cię mam oświadczyć?

Dopiero ów, przystąpiwszy, tak, iż myślałem, że mi ucho odkąsi, szepcze raz i drugi:

— Mówcie od hana, od hana Mirza Mehmed Abdula. Król mnie zna; powiedzcie mu, że ten z pod Chocima.

Poszedłem tedy do namiotu. Tylko co się była ostatnia rada wojenna skończyła. Zastałem króla je-gomości zamyślonego nad kartą, ale nie smutnego, rzeźwój myśli. Odwrócił się.

— A co?

Pocznę tedy mówić com widział i słyszał, aż narreszcie o Tatarze. Król się wzdrygnął mocno.

— Gdzie jest?

— Przed namiotem.

Pomyślał chwilę.

— Dawaj mi go tutaj!

Więc ja po mojego Tatara i prowadzę. Nikogo nie było, przeto mi król przykazał u drzwi pozostać.

— Słuchaj, rzekł, choćby cię pieczono i warzono w smole, nie powiadaj co się dzieje w szkole; rozumiesz?

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Wszedł ogorzały ów z pokłonem, milczący, patrząc w króla jak w tęczę, a król w niego długo i pilnie.

— A co wy tu robicie? zapytał pan po chwili, jakby ochłonawszy z podziwienia i poruszenia, które się w twarzy wydawało.

Tatar miał głowę spuszczoną, patrzył niedobrze

z pode łba, nierychło i niełatwo zebrał się na słowo, ale począwszy od bełkotania, potem już mówił coraz płynniej po polsku.

— Musimy, rzekł, swoich posiłkować. Idziemy z Kara Mustafą za chorągwią proroka; alebym to ja, królu, mógł was zapytać lepiej: co wy tu robicie? Wszak to ziemia nie wasza.

— Sprawa to Boga naszego, odparł król, i ten mnie tu zesłał.

Tatar zamilkł na chwilę.

— Mamyż i my potykać się z wami? spytał—my stare wrogi i stare druhy? Siedzi naszych braci wiele a dawno na ziemi waszej, i dobrze im z wami. Byliście im gościnni jak bracia. Choć musimy bić się z wami, nieradziłyśmy. Dajecie nam podarki i pokój mamy od granic. Za cóż krew nasza i wasza o cudzy spór się ma przelewać?

Teraz król milczał.

Po chwili rzecze:

— Po coś tu przyszedł? Zbliża się godzina, kiedy boża prawica między nami a wami ma rozstrzygać. Nie pora na słowa. Po coś tu przyszedł?

— Jam tu tak przyszedł, odparł Tatar, jakem przychodził do was pod Chocimem: z ręką wyciągniętą. My się z wami bić nie chcemy i nie będziemy. Han mnie przysłał pozdrowić was i powiedzieć: „Pokój z wami!” Nie napadajcie na nas, a my bez boju zejdziemy z placu.

— Chcesz, bym temu uwierzył? spytał król,—a cóż mi ręczy, że słowa twe nie są zdradą?

— Przekonacie się, wielki królu, rzekł Mirza. My nie pójdziemy na was. Han wie, że was tu siła boża prowadzi, że jesteście większym czarownikiem niż my.

Nie chce walczyć i próżno krwi przelewać. Przysłał mnie ze słowem zgody i pokoju; przychodzę. Poślem jestem, jakem już raz był—pamiętacie?

Zamyślił się król, i rzekł po chwili:

— Uczynicież jako obiecujecie, a braci waszej u nas będzie jak w domu rodzicielskim. Potwierdzimy im przywileje i swobody. Nie chcę, byś bez upominku odszedł.

Wziął król z kufra, który stał w namiocie, kieszę ze złotem, i dał ją z rąk własnych Tatarowi, mówiąc:

— Oto będzie znak, że i ja was odsyłam do hana ze słowem zgody i pokoju. A ten oto—wskazał na mnie—odprowadzi was do przednich straży.

Tatar czoło pochylił.

— Nie trzeba, rzekł; znalazłem ja tu drogę pośród obozu waszego, odszukam ją i napowrot, mimo nocy. Niech Bóg wszystkim ludziom dobrym da błogosławieństwo!

To mówiąc jeszcze się raz pokłonił i wysunął.

Jam stał jak oniemiały. Król skinął na mnie, abym go przewiodł. Ruszę więc w ślad, ale tuż za namiotem w tę noc ciemną padł jak w przepaść, tyle go oczy moje widziały.

Powróciłem tedy do króla. Modlił się już przed obrazem N. Panny. Po chwili wstał z wesołą twarzą.

— Milczećże mi, rzekł cicho. Nie wierzę ja w te tatarskie offertory: *timeo Danaos et dona ferentes*; ale nie godziło się odpychać. Jeśli jest komu zostać na straży, idź wasze spoczniej, bo jutro będzie robota ciężka i bodaj długa, a dobrze się już i tak zmachałeś.

Wyszedłem, ale nie spać, bo wcale mi się na sen nie zbierało; a żem o południu trochę się zdrzemnął w czasie odpoczynku, mogłem całą noc trwać obu-

dzony, jak sobie postanowiłem. Szedłem tedy do swoich, gdzie dwór leżał, ale tu już mało nie połowa spała. Kilku zapamiętałych jeszcze kości rzucało; inni gawędzili o różnych wyprawach na Turków, jak sobie z nimi poczynano.

Ledwie się pokazał, potyka mnie pan Hrehory Szamowski, łapie za poję i woła:

— Dobrze, że cię mam, bo potrzebuję. Chodź ino ze mną.

Idziemy, nie mówiąc nic, ku ogniom. Patrząc siedzi Nałęcz z kubkiem w ręku. Chciałem się wycofać, ale ten trzyma.

— Jutro, nie chybi, rzecz, gra o śmierć lub życie; przyjdzie niejednemu nałożyć głowę. Nie godzi się iść na sąd boży nieprzejednanemu. Musicie sobie podać ręce z Nałęczem, nic nie pomoże.

— Ale się ja, powiadam, nie klócił, ani też i gościć myślę. Siła od niego poniosłem, siłam przelknąłem, a cierpię milcząc. Nie możecie żądać większego upokorzenia odemnie.

Hrehory mi na to:

— On też sam ci pierwszy rękę poda i przejedna się z wami, tylko o pannie ani słowa.

Ledwieśmy to sobie powiedzieli, widzę idzie pan chorąży z panem Floryanem ku mnie, wołając:

— Panie Mroczek, dosyć tam już tych kwasów! Jutro z nas jeden może Świętą Trójcę zobaczyć, bo kule a postrzały chodzą, nie przebierając, czasu bitwy; więc dajmyż sobie ręce po szlachecku, po bratersku, a spór odłóżmy na spokojniejsze czasy.

Wyciąga mi dłoń. Nie mogłem swojej odmówić. Podałem rękę w milczeniu.

Wołają tedy:

— Zapijmy zgodę!

— Byle nie wielkim kubkiem, dodałem.

Roześmieli się. Pan Floryan dobył srebrnego, co go zawsze przy sobie nosił, naleli wina i wychyliliśmy. Poczém już niewiele mówiąc, ale ze łżejszém sercem, powróciłem do namiotu królewskiego.

Wrychle też szarzyć poczęło. Obóz, co był nade dniem nieco uciwnął, powoli rozbudzać się i poruszać zaczął.

Czyli król téj nocy co spał, nie wiem. Jak dzień, znowu były narady wojenne; przyciągnęli książęta i wodzowie; a że z tych kart, które były wcześniéj królowi przysłane, niedobre miał wyobrażenie o sytuacji, przyszło cały szysk boju i plan batalii odmienić. Ponieważ zejście z Kalembergu wśród winnic a jarów wcale nie było tak łatwe, jakeśmy sobie z razu wyobrażali, i spadzistość daleko przykrzejsza niż mówiono, i zawał różnych wiele, przeto król jegomość postanowił, że przez trzy dni mieliśmy iść do głównej armii tureckiej i dopiero trzeciego stoczyć bitwę stanowczą. Oznaczył też na karcie i na ziemi od oka te miejsca, do których każdego dnia dojść byliśmy powinni. Tak było ułożono po ludzku, ale Bóg to lepiej sam sprawił, jak się zaraz okaże.

Mieliśmy z razu, wedle myśli króla jegomości dawniejszej, całemi regimentami razem przeciw linie nieprzyjaciela; teraz zaś to odmieniono tak, że niewielkimi partjami znosić trzeba było pojedynczo ich kupy, zdobywać pozycje i wyruszać z posterunków, samym one zajmując.

Myśmy z wojskiem naszym prawie całém, wyjąwszy kawalera maltańskiego Lubomirskiego, zajmowali prawe skrzydło, obejmując z dala, szeroko, półksiężycem

plac, by się osłonić od tatarskiego jakiego z boku natarcia, król bowiem owym obietnicom hańskim wcale nie ufał. Książę lotaryński stawiał z przeciwną stronę, od lewego skrzydła ku Dunajowi, zajmując górę Kalemberg i sąsiednie pagórki. Z tego powodu, będąc bliżej nieprzyjaciela, miał też nań wprzód nacierać. Elektor saski ze swymi był po prawej stronie księcia lotaryńskiego; bawarski też koło niego także z prawicy. Wszyscy książęta na czele swych ludzi osobami swemi potykali się.

Na zaraniu wszystko się to szykować zaczęło. Król już był na nogach, dawał rozkazy, a w chwilach spoczynku modlił się, nic od rana w usta nie wzięwszy, gdyż postanowił spowiadać się i komunikować przed bitwą.

Nieopodal stała niewielka kapliczka Św. Leopolda, gdzie właśnie mszę świętą z błogosławieństwem miał dla nas odprawić włoski kapucyn ks. Marek Aviano mąż pobożny a prawie święty, o którym wieści takie chodziły, że za łaską bożą cuda miał czynić.

Gdy król się udał do kaplicy, kto tylko mógł to się tam za nim cisnął; drudzy z odkrytymi głowami stali przede drzwiami, bo ledwie dla przedniejszych miejsca stało we środku. Kapelani też i różni duchowni po chorągwiach, gdzie było można, na ołtarzach z darni i pniów wprędce przysposobionych dla wojska, wszędzie mszę świętą odprawiali, czemu się obcy dziwowali niemało, żeśmy tak się okazywali pobożnymi aż do ostatniego ciura.

Gdy król przede mszą się wyśpowiadał, królewicz też i hrabia Malini, wyszedł ksiądz ów ze mszą cichą, po której przyjęliśmy wszyscy komunię z rąk pobożnego starca, i naostatek błogosławieństwo na bój,

do czego dodał po łacinie przemówienie ku nam i królowi.

Te tylko słowa jego zapamiętałem dobrze, iż odezwał się kończąc:

— Jeżeli ufność macie w Panu, otrzymanie zwycięztwo. *Si habetis confidentiam in Deo, obtinebitis victoriam.*

Zaczął święty ów człowiek pokłęk, a potem położył się krzyżem i modlił, a gdy przyszło iść już na nieprzyjaciela, ująwszy krucyfiks w ręce, szedł przodem z nami, tak mężnie i spokojnie sobie poczynając, jakby jeszcze w kościele był, nie na bojowisku.

Wracając z kaplicy Św. Leopolda, król, który od wczora kropił wody w ustach nie miał, a sił potrzebował, musiał zasiąść pod namiotem dla niego postawionym prawie w przodku szyku, poniżej zamku, gdzie mu obiad przygotowano, który spokojnym umysłem pożywał. Była godzina, myślę, około jedenastej na półzegarzu, kiedy wstał od obiadu.

Wdział był król na ten dzień uroczysty kontusz sukienny niebieski, na żupan biały jedwabny; konia pod sobą miał maści płowej, bardzo dobrego i wytrwałego, pewnych nóg i wielkiej mocy, bo też miał co i nosić. Krom Pyladesa, który był przyjaciel nie koń i stworzenie rozumem obdarzone, takiego drugiego w całym wojsku nikt nie miał. Do samej nocy idąc z królem po najgorszych drogach, nie utknął. Jechał koło króla jegomości poprzedzając go, giermek z puklerzem, w kształcie herbowej Janiny, i chorąży z proporcem, do którego przymocowano u góry, na znak przytomności królewskiej, pęk skrzydeł sokolich.

Królewicz Jakób prezentował się też kawalersko, w lekkim szyszaku na głowie, ze zbroją piękną na

piersiach i szpadą u boku. Przyczepili mu wszakże po naszymu do siodła szablę krótką a szeroką, bo gdyby sam bronić się potrzebował, szpadąby niewiele dokazał.

Obyczajem rycerskim, iż się bitwa z nieprzyjacielem za największą uroczystość liczy, każdy też brał co miał najlepszego, i przystrajał się a przesadzał w rynsztunku, rzędach, siodłach i zbroi. W chorągwiach niemieckich tegośmy zwyczaju nie postrzegli, ale u nas się to działo od wieka i przechodziło tradycją z ojca na syna, aby do bitwy stawać jak do ołtarza, w paradzie. I wszystko się odbywało uroczyście dnia tego, począwszy od mszy świętej, benedykcji, pieśni pobożnych, które nócili chorągwiemi wszyscy, prócz piechoty cudzoziemskiego autoramentu, aż do samego iścia i spotkania, które czyniono jako powinność wielką, z duchem do Boga wzniesionym i dobrą sprawą przejętym.

Gdy wszystko było w pogotowiu, wojsko z okrzykiem na całej linii w Imię Boże posuwać się zaczęło. W pośrodku stanął sam król, któremu zdano całkowite dowództwo i przykaz od cesarza samego, by jego ordynanse święcie spełniano. Książę lotaryński przysłał na ten cel do orszaku królewskiego dosyć swoich wojskowych, aby z ordynansami było kogo rozsyłać. Dział mieliśmy i niewiele i małych; przeto choć je na górze ustawiono, a ognia z nich dawano, kule albo nie sięgały Turków, lub mało co im szkody czyniły.

Byłem przy królu jegomości, gdy na koń siadał, i mogę zaświadczyć, bo na to własnemi oczyma patrzałem, że z niecierpliwości i tego pragnienia boju, jakie miał, gorzał wyraźnie. Wydawało się to na jego twa-

rzy, która cała była jaśniejąca i na podziw rozweselona, promienista, jakby na największą szedł ucztę. Z góry już ztąd cały porządek bojowy doskonale oglądać było można.

Turcy się prawie nie ruszyli, i zdawało się, że nie zważając na nas, coraz zapamiętałej do miasta szturmują; zajęli tylko z wieczora samo podnoże gór pod zamkiem, w dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi, których ukrytych w głębokim rozdole ledwie wierzchy chorągwi widać nam było, bo ich góra zasłaniała.

Od rana poczęły się już były na lewém skrzydle szarmyle, ale małemi kupkami, jakby na próbę ze szczęściem różném. Występowali do nich dragoni sabaudzey, trocha Sasów i nasz też oddział z kawalerem maltańskim Lubomirskim, marszałkiem naówczas nadwornym koronnym. Już żwawe były utarczki wprzód, nimeśmy też my poczęli, a półkownik chorągwi Lubomirskiego, niejaki Kiński, dostał szablą przez głowę od Turka tak szpetnie, mimo że sobie z rana w czapkę włożył był podkowę od ciecra, iż we trzy dni potem Bogu ducha oddał.

Turcy tém z razu Niemców oszukiwali, iż wedle swego obyczaju, zsiadłszy z koni, potykali się, a dawszy ognia, koni znowu dosiadali, na których sądzono, że uciekać myśleli, więc się jazda na nich oslep rzucała w gąszcz, a oni ją obstąpiwszy, siekli, że ledwo kilku z życiem uszło.

Już gdyśmy z królem naszym na konie wsiedli, bitwa się była na lewém skrzydle rozpoczęła na dobre, a i koło nas też pukano. Taki harc po tych górach, rozdolach i jarach wszczynał się coraz żywszy, że aż gorączka brała samemu tam wpaść i szabli też dobyć a pohulać; ale obowiązek za nogi trzymał.

Turcy się byli pozaszywali wszędzie między owe winnice, po za murki, w jary, w doły, a wyprzeć ich posterunki nie wszędzie było łatwo, i krwi to naszej kosztowało dosyć. Aleśmy się posuwali w dół i całym ciężarem padaliśmy na nich zewsząd jak grad z góry.

Prawie w samym bitwy początku spotkał króla i nas smutny *omen*, z którego gdyby nie lepsze serce i ufność w Bogu, można było bardzo źle wróżyć o dalszych naszych losach. Chorągwią hussarską ojca swego, kasztelana krakowskiego Jędrzeja Potockiego, dowodził zawołany rycerz, wypróbowanego mężstwa i sławy już wielkiej a nadziei dla ojczyzny młodzieńiec, starosta halicki. Znaleliśmy go wszyscy z najpiękniejszych duszy i serca przymiotów, jako męża rycerskiego, któremu hetmańską buławę prorokowano, boć nie nowina była Potockiemu hetmanić. Ten to był, który z młodu wiele już podróży odbywszy, z Włoch powracając do Belgii, ze statkiem prochami wysadzony został niedaleko miasta Brukselli, ale prawdziwie cudownie, za łaską widać tego Św. Wincentego, którego ciało w Rzymie Papież mu był ofiarował, salwował się z życiem, cało i zdrowo na kępę będąc wyrzucony. Gorącego temperamentu w potyczce, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, starosta halicki prowadził hussarzy na okrutną rzeź, gdzie wielu godnych kawalerów poległo i on sam, mimo koszuli żelaznej, którą był okryty, śmiertelnym strzałem na wylot rażony został. Znalezione potem ciało jego wśród winnicy, z ręką na piersi, ale już zimne, które nieszczęśliwemu ojcu odwieziono i pogrzebiono w Stanisławowie.

Kiedy o tém znać dali, król aż zapłakał, bo go

kochał jak syna i wiedział, jaką to sprawi boleść kasztelanowi krakowskiemu; ale to w niczem jego mężstwa i ufności w Bogu nie zachwiało. Szliśmy tedy naprzód, wciąż posuwając się, a raczej w dół, gdy przypadło drugie poselstwo, że wyprawiony przed pół godziną przez króla jegomości pan podskarbi nadworny Modrzejewski, gdy z rozkazami przed linią przejeżdżał, od postrzału także zginął.

Tak się nam ten dzień od fatalnych klęsk poczytnał, jak gdyby Bóg stałości naszej chciał próbować, ale i król mimo żalu, i ks. Marek zagrzewali, ażeby choć do tego miejsca dotrzeć, kędyśmy wedle myśli królewskiej stanąć na noc obozem byli powinni. Gdyśmy się spuszczały coraz z gór, już i cała ona armia Kara-Mustafy pokazywać się nam zaczęła odsłonięta, a było tego jak mrówia, tak, że my, choć rozłożeni na przestrzeni znacznej, kupkaliśmy się przy nich wydawali. Na samym skraju obozu stały siły główne tureckie, ku nam obrócone, chociaż inne tymczasem dobijać się do miasta i szturmować nie przestawały.

Od rana dnia tego skwar był tak okrutny, jak w kanikule nikt nie pamiętał; słońce piekło gdyby rozpalonem żelazem, że się nam szyszaki na łbach palić zdawały, a pot z koni i ludzi strumieniami się lał; pragnienia zaś nie było czém ugasić, ni człeku się czém orzeźwić.

Gdy tak posuwamy się pod tą pieką, jakby pod piecem rozpalonym, król skinął ręką na mnie, abym się zbliżył, i wskazuje ku hussarzom na prawo, by co rychlej ruszyli się zajmować pagórek.

— Leć wasze do nich, a powiedz—woła—na Boga żywego, niech mi co najprędzej biorą ten garb, a wyforują to tałałajstwo tam z nory.

Od spodu bowiem kupa była Turków zasiadła i przyczaiła się.

Spiąłem ja Pyladesa, który tego dnia cudów dokazywał, i poczną sadzić; ale spadzistość miałem na drodze tak wielką, iż myślałam naprzód, że koń padnie, potem, że ja mu na łeb polecę. Na grzbiecie-m mu się kładł, by usiedzieć. Gdzieby był człowiek innym razem ledwie się stępa ważył, tu było w czwał potrzeba. Ciężar jeźdźca i zbroi zdawał się konia przygniatać, ale ten nieoszacowany Pylades wyrывał mnie ze wszelkiej toni; jam się przeżegnawszy modlił, on swoje robił. Tuż wpadam na hussarzy trzeci szereg, alem się utrzymać nie mógł i poleciałem do pierwszego. Znalazłem się więc razem z nimi, którzy nie czekając rozkazania, na Turków wsiedli pośród samej bitwy. Thukli ich dobrze. Wzięła i mnie tedy chętką, bo cóż miałem być nieczynnym spektatorem i martwym rozkazodawcą? Puszczę się w kupę z drugimi między one kaftany i pozawijane lby, a dobywszy szabli i zrobiwszy nią krzyż w powietrzu, kiedy nie poczną siec w lewo, w prawo, nie patrząc! A mój koń też, poczuwszy co to za gra, gryzie sobie i chwytą co napotka....

Turek bestya, olbrzym ogromny, w czerwonym kitlu, zakasawszy rękawy, z nożem w zębach od zapasu, sadi na mnie wprost, krzywego handzara podniosłszy; ja też nań. Płatnę go raz, tylko świsto w powietrzu, nic... zgiał się tak na siodle i położył, jakby go na szkapie nie było; aż z nienacka pochwyti się podniosłszy, i przyskoczy do mnie wraz koniem, gdym wcale nie był gotów.

Tylko się przygiął, myśląc sobie: — „Tu mi dopiero koniec!“ Aż Pylades ze mną przeciw niemu

kiedy nie chluśnie, potem pyskiem za gardło pogani-na, który się podał nieco, i ścisnął go tak, że mu szabla z rąk na ziemię wypadła umarłemu. Tak mnie to pocziwe, rozumne zwierzę od niezawodnej śmierci salwowało swoim meztwem i roztropnością. Nie było czasu koło trupa chodzić, choć wydał mi się jakiś znaczny komendant, tyłkom trochę zlął, by mu żeber pomacać, ano niedarmo, bo za pazuchą kiesę napytałem dobrą, i zegarek złoty, wielki jak rzepe. Tom tylko wziął, — siadłem na koń i dalejże znów, choć miałem przykazanie, wydawszy ordynans, powracać zaraz; ale już pot poczuwszy, głowę straciłem. Puszczę się raz jeszcze w tłum; natyka mi się właśnie Nałęcz, jakby mnie Opatrzność dla niego zesłała: z ręki mu krew chlusta, a bije się ostatkiem sił. Bryzgnęło na mnie krwią, aż mało mi oczu nie zalało, i całą twarz miałem umazaną. Dwóch Turków na nim siedziało, a bronił się im, nie było co rzec, bardzo rycersko. Wtedy ja, choć niebardzo miłemu, ale bratu mojej panny, na odsiecz wedle powinności chrześcijańskiej pośpieszyłem. W samą porę, bo słabł od utraty krwi. Z boku z Pyladesem przyskoczyłem, i jednego z pogan poczęstowałem tak pięknie zaraz że się mi aż do ziemi pokłonił. Nie czekając więc, przesadziwszy trupa, szedłem na drugiego i płaćnąłem w ramię; Nałęcz też go pobłogosławił, aż padł. Odwróciwszy się, chorąży mnie dopiero poznał.

— Co tu waszmość robisz? rzecze; — anom ci życie winien...

Chciał jak siedział ścisnąć, ale rękę mu tylko podałem, a widząc, że krew uchodzi z rękawa, jakby butel odetknął, związałem chustą, którą miałem u pa-

sa, i wołam, by ustępował, bo i mnie też wielki był czas powracać do króla.

— Do żywota ci tego nie zapomnę,—rzekł, całując mnie. Poczciwieś pocał!

Jużem milczał, rzekłszy tylko:

— Nie ma za co dziękować.

Anom myślał, że mnie w rzeczy samej Pan Bóg prowadził na to szczęśliwe spotkanie.

Chciał jeszcze chorąży zostać ze swymi, ale ręki tak jak nie miał. Wziąłem go z sobą i pojechalśmy gdzie stał król, a on na tył do wozów, bo mimo obwiązania mego, cyrulik był koniecznie potrzebny. Ani chlebem tam, ani pajęczyną takiej rany zatkać nie było podobna.

Właściem do króla powracał na to miejsce, do którego był przez ten czas doszedł, gdy czerwony namiot wezyrski (pod którym, jak później się okazało, wtenczas właśnie wezyr z dwoma synami swymi i hanem tatarskim wespół kawę pił) król ujrzał przed sobą. Oczy mu się zaraz zapaliły, spał konia co prędzej naprzód; my też wszyscy za nim. Ręka mu drżała, gdy na ten czerwony daszek wskazywał. Było przy nas nie więcej nad trzy małe działka, które powoli podtaczano na kółkach, z biedą wielką ustawiając tu i owdzie, bo ich inaczej po górach przewieźć nie było podobna.

Król do mnie, ujrzawszy namiot, odwrócił się, patrzy (a miałem całą twarz we krwi) i woła:

— A gdzieżeś się tak umalował?

Dopierom postrzegł i ja, że cały byłem pomazany przez Nałęczę, i począłem się uśmiechać.

— N. Panie, nie moja to jeszcze krew, choć-em trochę z hussarzami poharcował.

Pyta:

— I zdrówes?

— Nic mi, N. Panie, ani mnie drasnęli.

— To dobrze. Lecze, mój Mroczek, na rany Chrystusowe, do naszych działek, niech mi wszystkie wałą w ten oto, widzisz, czerwony daszek. Za każdy strzał pięćdziesiąt talarów dam, by gęsto a raźnie! Niech dobrze celują, proś Francuza, zaklinaj!

Francuz był przy tych działach Murié, aleśmy go zwali Marmurek, bo miał twarz od ospy tak popsutą, że wydawała się niby żyły na marmurze.

Jużem się kopnął z miejsca, a król jeszcze za mną woła:

— Na krew Pańską, powiedz Francuzowi, niech nie odpoczywają, a do czerwonego namiotu walić!

Lecę tedy na złamanie karku, wprost do tych dział z rozkazem, i trafiać na największy zamęt—rozstap się ziemio, nie ma flejtuchów do nabijania. Rozsyłają po obozie, by ich dostać, bo się w porę nie zaopatrzyli. Powiadam Francuzowi owo poselstwo królewskie i o talarach obiecanych; skreślił się, gorąca sztuka. Patrząc, porywa się za łeb, zerwał sobie perukę, bierze rękawice, chustkę z szyi, ano i tego mało, wyrwał z pluder pakę papieru drukowanego, skreślił to wszystko razem i w działo wpakował. Uśmiełem się z Francuza i jego gorączki, choć nam tam nie szło wówczas do śmiechu; ale kula, znać niedobrze wycelowana, poszła dyabli wiedzą gdzie, razem z peruką Francuza.

Szło tedy dalej wojsko, padając z téj góry na nieprzyjaciela coraz szybciej, nadeszły w tym punkcie piechoty nasze i zawzięła się bitwa okrutna, na którą król patrzył, nieustannie rozsyłając gońców w różne

strony, a pobudzając wszystkich do czynienia powinności. Sam też naprzód się darł i pędził, że go ledwie utrzymać było podobna i z nim zrównać. Mimo skwaru okrutnego i znużenia, dziwnie się zdawał rzeźwym i wesołego oblicza.

Byłem raz jeszcze wysyłany do hrabi Malini'ego, który razem z koniuszym koronnym siedł na Turków przodem, by to wzgórze zajmował, które pierwszego dnia za metę i spoczynek wyznaczone było. Powróciwszy, stałem już u boku królewskiego znówu, gdy jakoś wprędce ujrzelśmy, że się stało wedle ordynansu, a wojska nasze zajęły łatwo oznaczone miejsce, i tu przystały, jak rozkazano było. Król plasnął w ręce i konia sparkł. Pośpieszyliśmy ku nim. W dole pod nami srogi trwał bój.

Dotąd, a było już nad wieczorem, Turcy nam opór dzielny stawiali, i ani myśleli pierzchać. W chwili gdyśmy przybyli na skraj góry, król konia wstrzymał i począł się mocno wpatrywać.

Poglądaliśmy i my, i wszyscy tam zgromadzeni dowódcy wojsk cudzoziemskich, ale nikt nie nadwyzajnego nie dopatrzył, żadnego szczęśliwego ani złego znaku; tylko królewskie oko, bystrzejsze, nawykłe do tureckich wojen i ich sposobu poczynania, czyli też jakąś osobiłszą łaską bożą oświecone, więcej od wszystkich dopatrzyło.

Jak stał król, tak nagle ruszył się, rękę podnosząc do góry.

— Niech będzie Imię Pańskie błogosławione! zawołał—Bóg z nami! pierzchną, złamani są! Hussarzy naprzód! Hussarzy, na miłość Chrystusa, naprzód!

Że wprzód wydany był rozkaz, ażeby tu stanąć i spocząć, aż do jutrzejszego rana, wszyscy się zdi-

wili niepomалу, ale wnet posłuszni rozbiegliśmy się z nowym ordynansem.

Król nie zważając na zdziwienie powszechne, bo tam, oprócz niego, nikt nie osobiłszego między Turkami nie dopatrzył—ciągle powtarzał:

— Na rany Chrystusowe, teraz pora, lub nigdy! Do jutra się opamiętają. Teraz im na kark wsiąść, kto w Tróję Świętą wierzy!

Ta ufność, z jaką król ciągle jedno a jedno powtarzał, i po polsku, i po łacinie, i po francuzku, tchnęła też we wszystkich jakąś wiarę niezmierną; ogarnęła chęć walczenia, mężstwo i gorącość nadwyzajna każdego; ruszyli się wszyscy, każdy sobie, żywo a mężnie.

Pchnął król zaraz jednego z oficerów księcia lotaryńskiego do niego o posiłki, drugiego do hussarskich chorągwi, by na łeb na szyję szły naprzód. A tu w istocie na skrócenie karku jazda iść już musiała, bo przez takie wertepy z góry na dół, po murkach, przez winnice, nierównym strasznie gruntem, że się tam innego czasu ledwie pieszemu człowiekowi można było na nogach utrzymać. Zdawało się, że to wszystko pospada; przecięż ludzi, bodaj nawet konie, jakiś duch ożywiał, którego nikt nie pojmie, kto go w sobie nie czuł. Waliło się to z odgłosami, z okrzykami radośnemi, a ochotą i sercem tak wielkiem, żeśmy się sami nie poznawali.

Król też nie pozostał w miejscu, i z wojskiem, które miał przy sobie, ruszył z impetem wielkim; ks. Marek z krzyżem przy nim. My wszyscy, dwór, straż, puściliśmy się ku samemu środkowi wojska wezyrowskiego. Tylko nimeśmy ruszyli z tego miejsca, król przyzwawszy do siebie hrabię Malini'ego, szwagra

swojego, człeka meźnego i statecznego w boju, oddał mu królewicza Jakóba, by był nieodstępnie przy jego boku,— sam zaś, przeżegnawszy się, z rozweseloną twarzą konia spał — i poszliśmy jak w otchłań na to pogan mrowisko.

A była to owa chwila stanowcza, w której nam Bóg dał zwycięstwo. Wszystko winno było wojsko jednemu temu wejrzeniu i natchnieniu króla, który dalej i lepiej, bo proroczo widział, gdzie dla drugich ciemno było, a sam tylko przeczuł ową jasną przyszłość, która nam zgotowana była.

Wstąpił taki duch we wszystkich, taka gorącość i ufność w pewne zwycięstwo, że choć na dziesięćkroć liczniejszego szliśmy nieprzyjaciela, jużemy w sercach czuli, że go złamiemy. Od tego rozkazu posunięcia się naprzód zależało wszystko, los dnia, stolicy, chrześcijaństwa może, a sławy naszego oręża.

Hussarze z pod chorągwi królewicza Aleksandra poparli przodem w sam środek wojsk Kara-Mustafy, i przełamali je zaraz. A tu już słów zaprawdę brak, by opisać jak się reszta dokonała, bo w tej zamieszce, wrzawie i weselu onego niesłychanego a gwałtownego tryumfu, człek ani się rozpatrzył, ani mógł opamiętać. Tośmy tylko przed oczyma mieli, że otrzymujemy zwycięstwo, że się nam nie oprzeć nie potrafi. Król był jakby rozpromieniony, jasny, a dyszał i oczyma stał się cały; ksiądz, podnosząc krzyż w górę, śpiewał już natchniony: „*Te Deum laudamus.*“ Już nas wszystkich jakaś moc nieziemska prawie unosiła.

Nie było czasu dawać i odbierać rozkazów, samo się to już składało do reszty. Przed naszymi hussarzami jako wymiółł pierchało wszystko, a skoro pierwsze chorągwie tureckie tył podały, stał się nie-

wypowiedziany popłoch i tumult w wojsku nieprzyjacielskiem, a trwoga taka, jakby sam Pan z niebios na nich zstąpił. Rzesze te niezliczone waliły się, cofały, uciekały, rzucając oręż i krzycząc, potraciwszy głowy i przytomność wszelką. Namioty gruchotano, pole uścielało się trupami, konie po ciałach żywych i zabitych, po targających się i obalonych rumakach, po wszelkim rynsztunku nagromadzonym kupami przekakiwały. A tu kto chciał mógł sobie uczynić zadość, bo ledwo dziesiąty z Turków odwrócił się a odciął, reszta, parta całemi massami, uciekała nie wiedząc dokąd, w najstraszniejszej rozsypce. Tu i ja straciłem wszelką przytomność, dostawszy tej co i drudzy gorączki. Puściłem się naprzód, koniowi wodze podawszy, począłem siec i rąbać co się nawięło. Ani wiem gdzieem był i co robił; tyle tylko pamiętam, że mnie Pylades niósł do góry i na dół, takie skoki czyniąc, iż się cudem na kulbace utrzymałem.

Jednym razem czuję, mimo gorąca ciągłego, które jeszcze nie ustawało, w nodze lewej jakby mi kto ukropu nalał do buta. Zdziwiłem się, co tam piecze; dopiero spojrzę, a but pełen krwi i leje się już przez wierzch. W tém zamieszaniu płał mnie ktoś w udo tak szpetnie, i nie poczułem wcale aż do tej pory...

Więc stanąłem, myśląc co począć. Jeszcze nie osłabłem, ale mi w oczach coś latać poczęło, jakby obłok biały się przesunął. Drganie tylko pod sobą konia czuję i tyle. Potém sunę się z siodła, chwytam i utrzymać się nie mogę—siły pasz. Mruknąłem tylko: „W ręce Twoje Panie oddaję ducha mego,“ i przytomność postradałem.

Była już noc, kiedym oczy otworzył i zmysły odzyskał, budząc się jakby ze snu. Zaraz uczulem boleść wielką w udzie, jakby mi kto całą nogę skrepował. Obracam oczy—słabo coś świeci; macam w oko—leżę jakby na pościeli czy na wołokach.

— Jest tam kto? pytam.

Aż głos słyszę Grzesia:

— Jam tutaj.

— Chwałaż Ci Panie! A co się tam dzieje?

— Nic, wszystko dobrze, panie,—rzecze. Pan Bóg dał wielkie zwycięstwo, takie, jakiego jeszcze oko ludzkie nie widziało i pamięć najstarszych ludzi nie przypomni. Obozujemy już na tureckich namiotach, a król nasz i pan tak wyrósł przez dzisiejszy dzień że mu już ludzie ledwie do nogi dostają, a chwalą, całują, a wielbią, a na rękach noszą, boć to wszystko jego jest dzieło.

— Chwała niech będzie Panu, — rzekłem; — a cóż ze mną? czemu tu leżę? co się z koniem stało?

— Oj, zawołał Grześ,—toście też podobno swemu koniowi życie winni, bo gdyście się z niego zsunęli, wiele krwi utraciwszy, stanął nad wami, rozparłszy się, i nikomu przystąpić nie dawał, dopókiśmy was nie znaleźli; gryzł a rwał się, obraniając, by was nie strutowano. Ano, teraz śpijcie spokojnie, jesteście w namiocie i pośród swoich.

Ale mi się na sen wcale nie zbierało, tak ciekaw byłem dalszej historii bitwy, której części tylko dano mi być świadkiem, i onego wielkiego zwycięstwa, jakim nas Pan Bóg obdarzył.

Pytam tedy Grzesia, kto mnie tu zanieść kazał i umieścić? Powiada, że sam król miał to staranie; a że się wojsko niezmiernym łupem żywiło, więc król

i o tém pamiętał, abym i ja też miał część swoją, i naznaczył mi ten namiot, w którym leżałem, nieopodal od wezyrskiego, około którego sam król nocował, i postawić kazał straż, by się z niego nie nikt tknąć nie ważył, a cokolwiek w nim było, moją stać się miało własnością.

Zdziwiłem się temu jeszcze więcej i rzeknę:

— A cóż tu ma być w tym namiocie? wołoki i drelichy, lub też jaka stara kulbaka; niestrasznyć łup....

Grześ na to, głową potrząsając, rzecze:

— Spojrzcie-no, co koło was stoi.

Patrzę, skrzynia lekka, taka, jaką na mułach i wielbłędach w podróży przymocowują. Podniósł Grześ trochę wieko: pełna mi się wydała jakichś worów skórzanych i różnego kruszcu. Myślę sobie: „Niech to mnie nie korci.“

— Zamknij, rzekłem,—niech to będzie na potem.

Chciałem już sam usnąć, ale drzemać ani myśleć nie mogłem; coraz to się o coś pytać chciało. Dokoła gwar, wrzawa obozowa, szmer gdyby w ulu, a z pośrodku niego wyrwie się czasami krzyk, jak pchnięcie noża ostrego. Człek się zerwie i ledwie głowa na wezłowi, znów coś go budzi.

Była taka chwila, że zdała mi się dniem sądnym. Przymrużyłem oczy. Jednym razem ziemia się wstrząsnęła pod nami, namiot, łoże; przez wszystkie szczeliny światło poszło jak we dnie, potem huknęło, jakby się świat cały walił z nami; a tu na raz cisza znowu i ciemność. Nie wiedziałem co myśleć, tylko sądził, że całe wojsko bez mała wysadzili Turcy miną w powietrze, i drżałem. Grześ padł na ziemię struchlały. Czekaemy, nic... cicho. W dobre ćwierć godziny, gdym go chciał wy-

syłać na wywiady, — podnosi się płotek u namiotu i wchodzi pan Konstanty Dychawka, szlacheć Podlasiak, z pocztu pana Strzyżewskiego, błądy jak chusta. Słyszę pyta:

— Tu Mroczek?

— A tu, powiada Grześ — i zaraz: Panie, co się to stało?

— Nic się nam nie stało, krom bardzo wielkiej szkody, a osobliwego widoku, jaki mieli ci, co na to patrzali. Sam król jegomość, choć deplorował stratę, ale mówił, że pragnął raz w życiu tak straszliwe mieć widowisko. Prochy ciury wypadkiem zażegli, i wyleciało ich w powietrze tyle, że byłoby czém i Wiedeń wysadzić.

Zobaczywszy Dychawkę, nie chciałem go już puszczać, żeby mi opowiadał, jakeśmy dokonali wiktoryi. Dopiero od niego nieco, a nazajutrz dowiedziałem się reszty od innych, jak on cud się stał.

Było zaś tak: Począwszy od mojego spadnięcia z Pyladesa, kiedy się chorągiew hussarska królewicza Aleksandra wparła w sam środek armii wezyrowskiej i onę złamała, wszyscy Turcy, jakby ich ręka boża tknęła i popchnęła, rzucili się uciekać, potraciwszy głowy. Napróżno Kara-Mustafa usiłował ich wstrzymać, zaklinając na imię proroka: uchodziło to, gnane miotłą Pańską. Wezyr obrócił się do hana tatarskiego Gieraja, żeby mu ten posiłkował, ale i han swoich nie mógł powściągnąć.

— Znamy — rzekł — tego króla, nie ma z nim innego ratunku, chyba w śpiesznym odwrocie.

Tatarowie też zaraz poszli precz, gdzie jak mogli. Wezyr starał się jeszcze zgromadzić trochę swój jazdy, ale hussary z kopiami łamała tak szyki, iż niepo-

dobna było oporu stawiać. Powiadali później jeńcy odbici, co tam byli, iż zapłakawszy i uściskawszy synów swych, których z sobą miał, wezyr, nie mogąc ciężkiego konia całego w żelezie, który dlań przygotowany stał do tryumfu, dosiąść, dopadł prostą szkapę, jaka mu się nawinęła, i umknął z innymi, w jednym kaftanie, jak stał.

Widziałem później tego konia, który się królowi dostał; cały był ze staroświecka okryty blachami żelaznemi, nabijanemi złotem, roboty bardzo misternej; cugle ze sznurów karmazynowych jedwabnych, siadzenie także i dywdyk. Ze strzemion złotych, jedno się tylko królowi dostało, które mu znalazłszy przyniósł Turek jakiś, i to podobno zawieszono jako wotum w Krakowie, przed cudownym Chrystusa ukrzyżowanego wizerunkiem.

Ponieważ, jak się to wyżej powiedziało, lotaryńskie księżę, które lewe skrzydło wiodło, bliżej zaszło było na Turków, a ci już złamani uchodzili, przeto i Niemcy wprzód od nas obóz opanowywać zaczęli. Około wpół do siódmej na półzegarzu król wtargnął samym środkiem, kędy stały wezyrowskie namioty. Zaraz mu tedy, jako zwycięzcy, młody Turek poddał onego konia wezyrowskiego osiodłanego, jakoby nań czekał tylko. Inni przyszli ukazywać gdzie były główne namioty Kara-Mustafy i wyprawiono jazdę, aby je zajęła, bo się niedarmo wielkich łupów spodziewano, i bał się król, żeby wojsko się dla zdobyczy nie rozprzegło, a Turcy na rozproszonych, opamiętawszy się, nie wrócili. Kazano więc stać wszystkim w gotowości do boju i nie tykać niczego. A był ten obóz i samo owo wezyra mieszkanie w nim, istnym cudem.

Jednakże gawiedzi, ciurów i pacholców tegoż wie-

czoru od łupieży nie było można wstrzymać. Wszystko stało otworem, a skarby niezmierne były i osobliwości. Jeszcze nasi jak nasi, ale około namiotów egipckiego baszy, Dunwal dobrze się slysze pożywił i obłowił teje nocy. Opowiadał Dychawka, com też nazajutrz oczyma własnymi oglądał, iż Turcy, widząc się zgubionymi, wielkie na więźniach i kobietach, które z sobą mieli, popełniali okrucieństwa. W namiotach około wezyrowskiego pełno było niewiast z poucinanami głowami, z poprzebijanymi piersiami, pozabijanych lub poranionych strasznie, które potem leczono i kilka z nich się przy życiu utrzymało.

Jedno chłopię bardzo śliczne, ale szkaradnie porąbane, przyprowadzono też królowi.

Kiedyśmy już około siódmej obóz zajmowali, do Wiednia jeszcze z dział tureckich strzelano; widać, że mieli rozkazanie takie, aby się trzymali do końca, i było tego do dziesiątej w noc. Książę lotaryński przysyłał do króla jegomości, ażeby ztamtąd Turków wyprzeć, ofiarując się dokonać ostatka; ale król dla sławy swój im nie dopuścił, rozkazując tylko obóz objąć cały. Wśród nocy janczarowie, widząc, że ich porzucono, sami przekopy opuścili i z aproszów uciekli.

Mówił Dychawka, że król, Bogu podziękowawszy, okrutnie znużony, pod drzewem, które stało niedaleko, położył się na spoczynek, kulbakę wzięwszy pod głowę, choć miał namioty wygodne, ale znać wojsku chciał dać z siebie przykład. A że już później od Wiednia droga otwarta była, zaraz Staremburg przysłał królowi kolację pod drzewo, win, cukrów i innych przekąsek.

Z przekopów reszta Turków w tej ciemnej nocy tak uszła, iż się nikt nie opatrzył pośród powszechn-

nój zamieszki. Znaleziono potem tylko dwudziestu trzech janczarów w murowanej kamienicy, która była postawiona na wzór Solimanowych oficyn, a ci się długo odstrzeliwali, aż póki na imię królewskie nie zdali się, darowani życiem i mieniem.

Prze gadaliśmy z Dychawką duży czasu kawał, blisko do dnia; a spisywać trudno wszystkiego, co się tego wieczoru i następnego rana działo na porzuceném przez Turków obozowisku, które poczynano szarpać, każdy sobie.

Obudziłem się do dnia, bo koło namiotu wrzawa była taka, że usnąć nie dawała. To ten, to ów wbiegał z plotką, a ciury przychodziły ze wszelaką zdobyczą, którą byle za co sprzedawali. Tuż mi się trafiło, że jakiś drab, nie wiem nawet z pod jakiej chorągwi, wpadł do mnie trzymając w rękach pas cały sadzony kamieniami białymi, nie naszym obyczajem zrobiony, ale dosyć kształtny. Jemu jako i mnie zdało się, iż szkła to były albo kryształy, foremnie rzezane, a do czego by taki pas miał służyć, trudno było odgadnąć. Powiada że chce sprzedać. Z rozum i kupować nie myślał; potem, gdy się napierał, rzekłem sobie w duchu, że dla osobliwości podczaszynie go zawiozę w podarku. Dałem tedy kilka talarów onemu drabowi, a pas kazałem rzucić do skrzyni i więcej o tém nie myślałem. Dopiero nierychło, gdy po obozie różne rzeczy rozprowadano, mówi mi Slaski o pasach dyamentami sadzonych, których wiele znajdowano w namiotach, że ich kilka król kupił. Ja mu na to:

— A to może i mój też dyamentami sadzony.

— Gdzie? pokaż!

Dobylśmy,—ano w istocie się okazało, że choć dya-

menty nie były najpiękniejsze, przecię nie co innego tylko one. Co sioდეł bogatych, makat, sukna, materyj, broni i różnych osobliwości nabrano, wyliczyć niepodobna.

Czułem się mimo rany tak nieźle, że mogłem pomyśleć co dalej czynić z sobą. Bo długo tam w tym namiocie pozostać nie było można: król dalej w pogoń za Turkami chciał iść, a na łasce Niemców nawet rannych nie można było zostawić, taka zaraz po tej wiktoryi okazała się niechęć i zazdrość, żeśmy im z przed nosa zwycięztwo wzięli. One dawniejsze czułości dla nas, grzeczności, zalecania, mało nie tej samej godziny zmieniły się w zawiść i otwartą nieprzyjaźń. Ile król na tém ucierpiał, nie tu pisać. Następnego ranka (to jest zaraz po zwycięztwie) wybrał się, jak mi powiadano, do Wjednia, aby tam w kościele Panu Bogu złożyć publicznie dzięki za pobłogosławienie orężowi naszemu. Tu go jeszcze ludność przyjmowała, całując po nogach, ciskając się, aby oblicze jego oglądać mogła; ale już starszysza hamowała.

Z południa próbowałem się ruszyć; szło ciężko, ale się przekonałem, że na wozie za wojskiem pociągnąć będę mógł, bom zostać nie chciał w żadnym razie, czekając w ostatku rozkazania królewskiego.

Tego dnia dopierośmy wszystkie straty nasze obliczyli, ilu nam godnych ludzi nie stało: ten zabity, ów kaleka, inny nie wiedzieć jako i gdzie się podział, tamtego odszukano. I tak cały dzień. Od Turków też przyszły wieści, bo ich ścigał Miączyński, że precz z całą armią poszli, nie pytając reszty. Tu się tedy rozbiły zdania, co król uczynić powinien i co zrobić? ma-li zaraz, ocaliwszy stolicę, do domu powracać, czy iść dalej i bić się jeszcze? Było wielu takich, a wiel-

kich statystów, którzy utrzymywali, że nam, poselstwa naszego dopełniwszy, koniecznie do siebie na swe śmiecko iść było potrzeba, a kto wie czy ewentualnie późniejsze zważywszy, nie było to najlepsze.

Król z rana pojechał oglądać przykopy, miny, obozy, potem na nabożeństwo do miasta, gdzie go gubernator przyjmował, a nad wieczór powrócił, ekspedując na wsze strony listy i posły, oznajmujące o zwycięztwie, szczególnie do Ojca Św. do Rzymu i do innych chrześciańskich monarchów. Tu mnie też to szczęście spotkało, że jadąc do wezyrowskiego namiotu, zsiadłszy z konia, gdy mu ktoś powiedział, że Mroczek leży blisko, wszedł sam osobą swą pod namiot mój, kiedym się wcale tego spodziewać nawet nie mógł. Nie chciałem z razu oczom moim wierzyć, gdy go ujrzałem. Twarz miał pan roz pogodzoną, spokojną, ale znać było, że nie bez troski o jutro.

— Cóż ty myślisz, nieboraku, he? rzekł do mnie. Płatną cię dobrze poganin. Ale to nic, wylizasz się mospanie z tego, a będziesz miał pamiątkę pocziwając i przypomnienie miłe, żeś zemną bywał na tych godach. Ale ja tu długo popasywać nie myślę dodać; ruszymy dalej. Wać panu zaś za wojskiem wlec się rannemu nie ma po co, ani tu zostawać nie życzę. Więc zbieraj się, jeśli możesz a siły czujesz, do domu.

Podziękowawszy za łaskę królowi, że o mnie miernym słudze swym raczył nie zapominać, rzekłem że uczynię jak mi rozkaże. Król pomyślał nieco.

— Posyłam ja tam, rzekł, do królowej z darami; jedzie kilku posłańców. Przyczep się waszmość do nich, bo nie masz tu co robić. Doktora przyszlę, żeby cię opatrzył.

Jakoż w istocie, nad wieczór przyszedł Włoch od

króla, Pecorini, który moją nogę opatrywał, ranę znalazłszy nie tak straszną, ale z utraty krwi osłabienie wielkie. Przewijano mi nogę, co nie przyszło bez boleści wielkiej. Dopierom i ja sam się przypatrzyłem jak mnie poczęstowano. Płatniety byłem w udo szpetnie bardzo; szczęście, że cięcie głębokie zaraz jakoś wałąc się z konia tak ucisnąłem, iż się rozpadłe ciało zeszło, a że rana była świeża a krew młoda, więc się spoilo to co szabla rozplatała. Dał mi Pecorini balsam jakiś do przykładania na ranę, kazawszy ją obmywać i patrzeć, aby czysto zawsze utrzymywana była i niczem jej nie zaogniać. Stało mi go mało nie do domu, a potem się już innemi od cyrulików maściami, choć mniej skutecznemi, wygajało.

Dowiedziałem się też dnia tego, że pan Nałęcz leżał, nie lepiej wyszedłszy niż ja z tej bitwy, i że go też do domu odsyłać miano. Nie wiadomo z czego, pochwyliła go się była później gorączka mocna, tak, że przez kilka dni ludzi nie poznawał, i dziwy tam o tém pletli, że nań czary jakaś Turczynka rzuciła. Ja, czując się wcale jak na rannego niezegorzej, a myśląc już o podróży, bo tu po odciągnięciu króla i woj-ska pozostawać nie było czego, jałem się zaraz wozy sztyftować, mając z łaski królewskiej, choć sam za zdobyczą nie chodziłem, łup całe od drugich nie gorszy. Opatrywałem ową skrzynię i znalazłem w niej ze trzy tysiące czerwonych złotych monetą, różne kosztowności, kulbakę sadzoną piękną, strzelb kilka, zegarek, słowem dodawszy do tego com wprzód zdobył, miałem za co ręce założyć. Koni też po Turkach, co je łapano wówczas, cztery kupilem za bezcen i wóz drugi do rzeczy dostałem łatwo. Namiocik, pod którym leżałem, dla pamiątki zwinąć też kazałem, aby

nie przepadł. Podlejszych tego dnia i następnych można było dostać za Bóg zapłać, ile kto chciał, bo nie wiedzieli już co robić z niemi.

Ten dzień mnie, moge powiedzieć, tyle prawie zmordował, co sama bitwa; bo się ze wszystkiem potrzeba było pośpieszać, a sił nie miałem wiele i ludzie spoczynku nie dawali. Dychawka mi doniósł, że między innymi i pana Floryana nie stało, bo padł od postrzału jeszcze w winnicach, i dopiero nazajutrz ciało odarte szkaradnie przez ciurów, z piersią nawskroś przestrzeloną i głową posiekaną, znaleźli śludzy. Zmówilem zaś Anioł Pański, nie myśląc się cieszyć, choć mi Pan Bóg w nim nieprzyjaciela wziął.

Ponieważ po spodziewaném odejściu króla z wojskami naszymi, które nazajutrz nastąpić miało, niepodobna było dłużej na obozowisku pozostać, a nie mogłem też zaraz i w drogę ruszyć, musiałem się dać przewieźć do Wiednia, dopóki by wszystko do podróży nie było gotowe, i ja też z moją raną. Przejeżdżam na wozie ono pole ogromne, zajęte przez obóz wezyrowski tak cudownie zdobyty, a choć tedy przeszły już ręce grabieżników, jeszcze to co pozostało, napępniało podziwieniem. Z jaką się wspaniałością i wygodkami wybrali byli Turcy na tę wojnę, wysłowieć i opisać trudno: wezyrowskie namioty miastem prawie były miałem, z ogrody, fontannami, zwierzyńcem i wszelakiej fantazyi dogodzeniem. Toż baszów innych, choć mniejsze, ale wspaniałe mieszkania, seraje, w których trupy tylko kobiet znaleziono; nareszcie pospolitego żołnierza namioty rozlegały się na niezmierną przestrzeni, tak, że brał je potem kto chciał. A co nasi łupów, komu szczęście posłużyło, nazdobywali, nie wypowiedzieć. Byli tacy, co się zbogacili; królowi też

niemałe skarby i różne osobliwości ztąd przyszły, broni kosztownej, kamieniami sadzoną, rzędów, siodeł, dywdyków, opon, kobierców namiotów, bez miary.

Ledwie się dokonała sprawa nasza, a Turcy pierchnęli, zaraz inny wiatr począł wiać od dworu cesarskiego i Niemców, którzy się z tém nie kryli, że nas krzywem okiem widzieli, zazdrościli i zamiast wdzięczności, zawiścią jakąś tchnęli. Było to tak widoczne i królowi i całemu wojsku, że omylić się niepodobna. Mnie też tu wśród niegościnnych Niemiaszków długo się nie chciało siedzieć, a jak skoro król odciągnął, a Pecorini, który z polecenia jego do mnie zaglądał, osądził, że jechać mogę, kazałem wozy spobić, a sobie mój węgierski wysłać, tak, abym leżeć mógł, i w Imię Boże ruszyłem się, już nieco lepszymi drogami, ku Krakowowi. Co się po gościach spotkało, nie wymieniam; co po gospodach doświadczyło, niech Bóg nie pamięta ciurom, których wszędzie było pełno, a z którymi się o nocleg drzeć i codzień prawie rozprawiać przychodziło na szable. Dużo leniwych i rannych jak ja wracało do domu, a większa część nie próżno, bo ci co najmniej się bili, łupili najłepiej.

Chociaż miałem Grzesia z sobą i dwóch ludzi wziętem od przyjaciół dla bezpieczeństwa gdyby nie pan Paweł Parczewski, z pod chorągwi wojewody pomorskiego, który miał z sobą trzech pocztowych, mało co poranionych a rzeźkich chłopaków, całobyśmy nie wyszli, i my, i juki, i wozy. Gorzej było po gościach niż z Turkami pod Wiedniem, od wszelkich włóczęgów, którzy nikogo nie poszanowali.

Lżej odetchnąłem, gdym naostatek Wawel i wieże P. Maryi zobaczył, gdy wozy moje weszły do gospody i jam też, zniósłszy rzeczy, roztasował się w iz-

bie wygodnej i bezpieczniejszej, aby się do reszty wygoić, nimbym do domu się dostał.

Parczewski poszedł po doktora. Było nas takich czterech, cośmy jego rady potrzebowali: ja, on i dwóch szlachty, co z nami jechali. Moja rana w drodze się od niewygód zaogniła mocno, jako też innym i mięso psuć się poczęło, bo nie umieli koło tego chodzić. Musieliśmy tedy o sobie myśleć.

Napisawszy do pana Jacka, jakom żyw i co się tu ze mną dzieje, zażywałem wczasu, o ile choroba pozwalała. Mogę też powiedzieć, że od przyjazdu do Krakowa gęba się i drzwi nie zamykały. Processyaszli do mnie i znajomi i nieznajomi, rozpytując, bo naówczas mało co jeszcze wiedzieli o wyprawie naszej a zwycięstwie. Bałamuctw się też i srogiego łgarstwa namnożyło, tak, że ktoby był wszystkiemu wierzył, w głowieby mu się zawróciło. Tryumfowano po kościołach, odprawowano nabożeństwa, dziękowano Bogu, a cześć dla króla bohatera naszego, prawie półświątym go uczyniła. Było i żałoby niemało, bo się nią każdy tryumf opłacić musi; ale na onych pogrzebach i egzekwiach laury na trumnach kładziono; rycerzowi chrześcijańskiemu za wiarę paść szczęściem było i ozdobą. Przez Kraków podówczas w szyku ciągnęło zło i dobro, owe ciała zabitych i wozy z łupy, wieści zwyciężkie i postrachy głuche, bohaterowie okaleczeni i tchórze, co od boju uciekali; tak samo prawda i fałsze z nietoperzemi skrzydły.

Nie będą opisywał, jakom tu przeleżał i przemęczył się a czas spędził, boby niemal każdy dzień potrzeba było notować, i owe gazety, które od wojsk dochodziły, zwłaszcza po bitwie pod Parkanami, gdzie król mało życia nie postradał, a drudzy też go już za

zabitego głosili. Wszelako Bóg strzegł jakoś od tak wielkiego nieszczęścia. Dostałem listy od pana Jacka, ale te mnie nie dźwignęły z pościeli, i owszem na czas smutkiem do łoża przykuły, bom się z nich dowiedział, że starościanka, nie mogąc dłużej opierać się naleganiom dwóch braci pozostałych w domu, aby koniecznie za obranego przez nich szła za mąż, opuściła dom i czasowo przeniosła się na mieszkanie do klasztoru panien zakonnych Św. Franciszka w Wilnie. Nie uczyniła tego, jak zaręczała podczaszyna, w myśli téj, ażeby zostać w zakonie, ale oczekując, aby się okoliczności zmieniły i unikając nalegań a napaści takich, które jój prawie gwałtem groziły i nieznośności się stały.

Noga się była zrosła, choć ból jeszcze trwał i na koń sięść nie było sposobu; mogłem wszelako choć o kuli do stajni pójść codzień, aby to pocziwie zwierzę zobaczyć, któremu życie byłem winien. Gdy godzina przyszła, kiedym nawykł do stajni iść, to Pyłades głowę trzymał obróconą ku drzwiom, a byle kroki posłyszał, rżał zaraz i rwał się do mnie. Ano co mnie nalizał, co się ze mną napięścił, tegoby i pies nie potrafił. Dziwnybo rozum i czucie było w tém zwierzęciu, jakoby ludzkie. Jużem od wiedeńskiej potrzeby nikomu na niego sięść nie dawał, a gdy przeprowadzić dla zdrowia musiano, brali go na powód, siadał Grześ na karego podjezdka i tak go pod tureckim dywdykiem paradnym prowadzono, jako królewskiego rumaka. Stroilem go jak lalkę i wyglądał gdyby na obrazku, a co mi zań podówczas dawali, nie do wiary; alem się śmiał tylko, bo choćby mi wioskę kto ofiarował, nie wziąłbym. Konia sprzedać nie nowina, ale przyjacielem frymarczyć, grzech i żydowstwo.

O kuli jeszcze obszedłem kościoły krakowskie z nabożeństwem, gdzie w dwóch wota moje zawieścił Panu Bogu na podziękowanie, żem i cały wyszedł i ze czią, a było też w nich i do przyszłości coś.

Pan Jacek naglił, abym powracał do Wólki. I mnie samemu pilno było; ano, już nie tak ciągnęło, jak gdy starościankę spodziewałem się tam znaleźć. Tęskno się przemyślało co dalej będzie, jako się to da doprowadzić do końca i z tymi braćmi.

Jednego dnia przychodzi do mnie Parczewski, który się też w Krakowie zatrzymał, i prawi, że słyszał, jakoby mnie ktoś po całym mieście szukał. Nad wieczór zmierzchało; chłopiec był jeszcze świec nie przyniósł. Słyszę, ktoś się w przedpokoju dopytuje:

— Tu pan Mroczek?

Poznałem głos chorążego Nałęcza.

— Niech będzie pochwalony! Czołem waści, panie Janie!

Zerwałem się i postąpiłem krok.

— Czołem. Ano, jak się macie i zkąd to Bóg prowadzi?

Wtém Grześ ze świecą nadszedł. Przypatruję mu się: błądy strasznie, wychudł, wymizerniał, postarzał. Jak stał, tak na krzesło padł.

— Co się z wami działo? pytam.

— Dużom biedy się najadł, rzecze, od czasu jakście mi życie salwowali. Nie chciało mi się wojska opuszczać, myślałem, że ręka prędko wydobrzeje. Pojechałem w Wiedniu i niezadługo też odzyskałem w niej władzę, a potem i wojsko nasze nagoniłem, choć rana nie była jeszcze całkiem wygojona. Cośmy tam biedy zażyli, trudno opisać; dosyć, że mnie znów tatarska strzała z żelezcem pod szyję jak na rożen wzięła, żem

po wyjęciu jój przez starego żołnierza lizał się długo, nim dziura zarosła. Tego mi już było dosyć. Wymęczywszy się dobrze, ot, jak widzicie, wlokę się do domu. No a wy, panie Janie?

Jam mu też opowiedział co się działo ze mną, i kończąc dodałem, że skoro wydobreję, do domu ruszyć zamierzam.

— Jedźmyż razem, rzecze; obaśmy kaleki, to jeden drugiego ratować będzie. Myślę, że stare nasze waśni rzuciliśmy pod Wiedniem, gdy moja krew waszmości twarz oblała, a waścina szabla resztę mi jój ocaliła. Bądźmyż odtąd jako bracia i przyjaciele.

Podziękowałem chłodno, bom znów tak bardzo cisnąć się do łaski nie chciał. Kazałem przynieść wina, i poczęliśmy po trosze pić i opowiadać. Przyszedł Parczewski, zeszło się jeszcze kilku, a było o potrzebie wiedeńskiej całej na jakie dwa lata powieści, choćby dzień i noc gęba się nie zamykała. Rozochociliśmy się wszyscy aż miło.

Wtém chorąży zagadł:

— Jużem też sądził, że dawno w domu jesteście. A co to wam do Wólki nie pilno?

Mówię:

— Nie uciecze ona. Jacek tam gospodarzy. Zresztą nie byłem zdrow, musiało się żyć na łacińskiej kuchni.

Pokręcił głową.

— Pewnieście, rzekł, mieli pismo od pana Jacka.

— A jakże, powiadam, nie bez tego.

— No, to teraz rozumiem, dla czego wam niepilno było do domu.

Na tém rozmowa prysła, i znowu do innych przeszła rzeczy.

Wtém Parczewski, który był później nadszedł, prawi:

— A to istne dziwy z tą naszą wiedeńską potrzebą! Co człek, to historya nowa. Wystawcie sobie asaństwo, co mi dziś opowiadają. Na Kleparzu stanął wracający jakiś od wojsk szlachcic, snadź majetny, z wozami wielu, a zgadnięjcie co za łup osobliwy wiezie z sobą do domu.

Jak powiedział: „na Kleparzu,“ uważałem, że Nałęcz drgnął i obrócił się; słowa jednak nie rzekłszy, za kufel wziął i wina popił.

Poczęli wszyscy zgadywać. Ten mówi wielbłąda, ów konia, inny strusia, małpę i t. p. Parczewski tylko ramionami rusza i uśmiecha się, aż rzecze:

— Nikt nie zgadł. Ów sobie najlepszą wybrał częśćkę, bo słudzy opowiadają, że gdy na obóz turecki napadli, rycerz ten, ranny będąc, za obozem na wozie jechał. Stał wóz na skraju namiotów, prawie opuszczony od ludzi, bo się wszyscy byli na łupież puścili. Noc już dobrze zapadła, gdy z ciemności ukazała mu się niewiasta nadzwyczajnej piękności, ubrana bogato od lam złocistych, maneli i pierścieni a ze strachu napół żywa. Była się gdzieś skryła czasu bitwy, aż dopiero wyszła, chcąc ratować się ucieczką, a postrzegłszy, iż w ręce żołdactwa wpaść może, sama się oddała pod opiekę naszemu panu. Jak i co tam później zaszło, nie wiem; ano pewna, że ją wiozą do Polski ochrzczoną już, i że, jak słudzy mówią, ów szlachcic ma się z nią żenić.

Patrzałem na Nałęcza, który wino popijał i nie mrugnął czasu téj powieści; dopiero gdy Parczewski dokończył, wstał i rzecze spokojnie:

— *Per Dominum pstrum* waści to ludzie opowie-

dzieli. Ja coś o tém więcej bodaj wiem, bo owa Greczynka ze mną jedzie, i tym szlachcicem ja jestem, jeśli wiedzieć chcecie.

Zamkliśmy na to, jak makiem zasiał; ale Dychawka, śmiały i rezolutny, a do tego mając po trosze w czubie, ozwie się śmiejąc:

— Ano, kiedy tak, panie chorąży, to powinniście nam lepiej opowiedzieć od pana Parczewskiego, aby bałamuctwa nie chodziły po świecie.

— Czemuż nie? zawołał Nałęcz; alboż to ja się myślę kryć z tém? Posłuchajcie, i owszem. Kiedy mi pocziwy Mroczek życie ocalił, miałem rękę szpetnie pociętą; potrzeba było na wóz iść i dalszej siekaniny zaniechać. Odsadził mnie ten poganin od godów, jak kota od mleka, małom nie płakał; bo co to patrzeć na drugich, jak zwyciężają, rąbią, siekają, a samemu by w niewoli siedzieć! Ale wola boża; wlokłem się na swoim wozie wciąż za chorągwiami, jak było można najbliżej. Wieczór był i mierzchno, gdy obóz zdobyto. Ale jak skoro się wojsko dobrało do namiotów opuszczonych, choć był najwyraźniejszy rozkaz królewski, żeby się nikt łupić nie ważył, i świeciby już nie utrzymali. Od mego wozu też ludzie przyspeli. Zostałem sam: noc nadeszła. Patrząc ze wzgórką małego, na którym się były konie zastanowiły gryząc trawę, na to obozowisko, na latanie wśród niego ludzi, ognie, strzały luźne, na wrzawę i zamęt, w głowie się kręciło. Buchnęło jak z kotła okrzykiem jakimś, to znów tylko szum, jakby lasem burza miotła. Przedemną była uliczka pomiędzy namiotami, tak, że dosyć w głąb między nie widać było; a że wprost przed oczyma leżała, snuł się tam wzrok mimowoli. Jednym razem patrzę, leci ulicą postać jakaś, ręce w gó-

rę, jak na Rawiczu pannę malują, szaty za nią jak skrzydła, i tuż dwu ludzi ją ściga! Nie byłbym już szlachcicem i rycerzem, gdyby na widok niewiasty, choćby poganki, w takim ucisku, krew we mnie nie zawrzała. Nie zważając na ranę, nie myśląc co czynię, rzuciłem się z wozu. Pod ręką miałem muszkiet nabity. Wyrwałem się kroków kilka: ta prosto ku mnie leci, i nie wiem co się stało, u nóg moich padła zemdlna. Wtedy wrzasnąłem na ścigających takim głosem, podniosłszy muszkiet, iż ich w ziemię wryło. Chcieli z razu pójść ze mną w zapasy, ale jeden z nich mnie znał, nie wiedział, żem ranny, więc poszeptali z sobą coś i znikli.

Tum ja dopiero został z tą niewiastą sam jeden; rób teraz co chcesz, leży jak martwa, a tu ani wody, ani lekarstwa, ani zresztą wiadomości co z omdlałymi czynią, by ich do życia przywrócić.

Zbliżyłem się i przykląknę. Padła była na wznak. Przypatrzeć się mogłem, że była to niewiasta osobliwszej piękności, młoda jeszcze bardzo, dziecko prawie, a strojna jak na wesele. Na szyi sznurów pereł kilkanaście, na rękach, na głowie dyamentowe spięcia, pas też szafirami i dyamentami sadzony. Domyśliłem się zaraz, iż być musiała albo wezyra, lub którego z synów jego żoną. Ale co tu z nią począć? Miałem we flasce trochę wina. Pomoczyłem jej skronie, i to pomogło, że powoli do zmysłów przychodzić zaczęła. Ale z tego strachu, żalu, przerażenia, zdawało się jakby pomieszania dostała i nie była przytomną. Uczepiła się też do mnie tak, żem już rad nierad, przez samą ludzką litość, opiekować się nią musiał. Wiercież mi panowie, że rannemu, z ciężarem takiego rodzaju, nie było łatwo dać sobie rady, a dużo przy-

szło wycierpieć, choć nie było za co. Szanowałem kobietę i żał mi jej było, a w obozie śmiechu i szyderstw i wymówek i zazdrości nie było kupić. Naza jutrz zaraz, unikając sobie i jej niesławy i wstydu, zawiozłem ją do Wiednia, gdzie mi kupca Greka, niejakiemu Kallimachowi, nastreczono, który też i po turrecku miał umieć. Kallimachi był człek sędziwy, poważny, a w domu jedną tylko miał córkę, wdowę.

Zaraz skorośmy przybyli, okazało się, że moja niewolnica nie jest Turczynką, ani niewierną, ale chrześcianką i Greczynką, porwaną przez korsarzy, którzy ją w Stambule sprzedali Kara-Mustafie. Więc chociażem się ofiarował odprawić ją i uwolnić, nie chciała słuchać. Kupiec Kallimachi oszacował te klejnoty, które miała na sobie, na dziesięć tysięcy czerwonych złotych, krom jednego nadzwyczajnej wielkości szmaragdu, jak dobre jaje gołębie, przedziwnej wody, na który ceny nałożyć nie umieli nawet.

Wszystko to naturalnie jej oddałem, bo stanowiło majątek jej i przyszłość. Ani mi w głowie powstało, dawszy jej wolność, aby gdzieindziej udać się miała, tylko do swego kraju, kędyby rodzinę znalazła. Zaś Kallimachi do tego łatwo jej byłby pomógł. Rozmówić mi się z nią było ciężko, choć trochę z włoska, językiem na Wschodzie pospolitym, mówiła, a jam to z łaciny po trochu też wyrozumiewał.

Stałem na dole u tego Greka kwaterą z moją ręką, chcąc się podleczyć, i Greczynka mi się zaraz ofiarowała opatrywać ranę. Trudno się było oprzeć, a mówiła, że ma sekreta na takie wypadki, które u nich w kraju często się trafiają. Słowem niebożatko sierota, im więcej ja stroniłem od niej, tem się bardziej przywiązywała do mnie. Zmiękło mi też serce dla

niej, ale co począć? Żyć w grzechu nie mogłem, porzucić nie miałem siły; wypadło z tego ożenić się koniecznie, a u nas, jak wszyscy wiecie, małżeństwo niekoniecznie jest tylko dla tych dwojga co się biorą. Ma ono swoje warunki, wymagania, prawidła, od których szlachcicowi odstąpić trudno. Zona wieśniaka i gospodarza musi być z jego plemienia, narodu, klasy, do żywota naszego przywykła i wprawiona do jego ciężarów. Najpiękniejsza Greczynka będzie nieszczęśliwą w szlacheckim dworze, a nasz brat szlachcic z nią. Cóż potem z dziećmi czynić, jeśli je Bóg da, które matka wychować musi? Ano, uczyni je obcemi nie tylko krwią, ale ęzykiem, obyczajem, nałogiem, duszą.

Tom sobie wszystko myślał, a myślałem napróżno. Niewiasta była piękna, dobra, łagodna, a w każdy dzień do mnie przywiązywała się więcej. Ani się rozstać, ani się zostać.

Bóg świadek, że dużo cierpiał. Myśląc, że się to da przerwać, jak skoro ręka nieco wygojona była, wyjechałem za wojskiem, porzuciwszy sierotę ową u Kallimachiego; a tu mnie owa strzała tatarska potkała i znowu zmusiła kąta szukać, aby się leczyć. Powrócić musiałem do Wiednia, a chociażem u Greka nie stanął i unikał kobiety, znalazła mnie ona i nie chciała już odstąpić. A co płaczu było, co lamentów i jakie się tam okazywało przywiązanie prawdziwe! trudno wyrazić. Bóg świadek, że wiele wycierpiał, póki się nie poradziłem księdza znajomego, któremu tam w Wiedniu przypadkiem natrafił. Rozsłuchawszy się w całej sprawie, rzecze mi:

— Duszę najprzód ratować potrzeba, i waszecinać i jej. Jeśli się już tak kochacie, bierzcie się, aby

zorszenia nie czynić. Niech kościół pobłogosławi, reszta w rękach bożych, a może wypaść nie tak źle, jak się obawiacie.

I otoż jakim się ja z Sofią ożenił, dodał chorąży.

— Jakto, ożeniłeś się waszmość? spytał Parczewski i my za nim.

— A cożeście myśleli, że ja sobie panią duszkę wożę w biały dzień, na urągowisko pocziwym niewiastom? odparł Nałęcz wzdychając. — Ano to, rzekł po chwili, nie sztuka było się ożenić, nie sztuka żonę do domu przywieźć; sztuka teraz największa z rodziną, braćmi krewnymi i ludźmi tak począć, aby mi ją przyjęli pocziwie i goryczy mnie i jej zażyć nie dali. O niczém bracia nie wiedzą.

Zamilkł, pomilkliśmy i my, bo nie było w istocie z czego się śmiać, ani o czém szeroko rozprawiać.

Siedział Nałęcz u mnie, widocznie chcąc drugich przesiedzieć. Przecież się też porozchodzili, a on został. Dopiero przysiadł się na łóżko moje, podał mi rękę i rzecze:

— Słuchaj Mroczek, ocaliłeś mi życie, jesteś człek zacny, król cię lubi, mężstwem zarobiłeś sobie sławę pocziwą. Ja, com tobie siostry dać nie chciał, pokarany zostałem od Boga tém, że sam nie po szlachecku ożenić musiał. Otoż przychodzę ci to powiedzieć, że jeśli Helusia trwa przy swym zamiarze, a ty masz serce ku niej, ja wam nietylko stawię przeszkody nie myślę, ale pomódz przyrzekam.

Za szyję go pochwyciłem, całując, ale ten zaraz rzecze:

— Cicho z tém tylko, bo z braćmi moimi i ja i ty niemało jeszcze biedy mieć będziemy. Ja ztąd do Wilna piszę do Heleny, aby zaraz do domu przy-

bywała. My pojedziemy razem, reszta się złożyć musi, choćby kozłami stawali przeciw nam.

Nie wiedziałem jak mu dziękować. Na naradach zeszła część nocy, a gdy mnie pożegnał chorąży, północ wydzwanianio u P. Maryi.

Podziękowałem Bogu za niespodziewane szczęście, jakie mnie spotkało, a nazajutrz raniusieńko poszedłem na tę intencję mszy świętej wysłuchać. Wprost potem z kościoła do gospody na Kleparz szedłem. Łatwom się dopytał o Nałęcza, bo tam dla tych plotek o Turczynce, kupa ludzi przed gospodą stała, że jej rozpędzić nie było sposobu. Znalazłem ich oboje doma, już przybranych do kościoła. Greczynka była nie naszej piękności kobieta, to na pierwszy rzut oka widać było, ale dziwnie urodziwa. Płci takiej białości śnieżnej i takiej świeżości kwiatu wiosennego, nie widziałem nigdy. Wyglądała gdyby róża tylko co rozwita i jeszcze rosą poranną oblana. Włos kruczój czerni, oczy wielkie, ciemne, lśniące dziwnie, a wszystka twarz tak złożona, iż defektu najmniejszego oko w niej dostrzedz nie mogło. Przytém wyraz oblicza był bardzo miły i wdzięczny, cała postać nader kształtna. Ale, bądź co bądź, jabym się w niej nie rozmiłował, choćby piękniejsza stokroć była. Dla czego? jużci nie wiem; oto może, iż naszych niewiast uroku rozumnego nie miała. Coś w niej dzieciniego było; patrzała i nie myślała; śmieszyło ją i bawiło wszystko; rwała i rzucała każdą rzecz łatwo, a śmiałość, choć niewinną, miała dziwną dla nas, snadź wychowanie odebrała do innego życia. Była podobna do wesołego ptaszka więciej niż do niewiasty na trud i pracę przeznaczonój.

Zapoznawszy się z nią, puściłem ich kolebką do

Pisma Kraszewskiego. T. I.

kościół, sam zaś powróciłem na gospodę, rozmyślając co z tego wszystkiego będzie. Że z braćmi pana chorążego z racji téj Greczynki kłopot miał być niemały, to wątpliwości żadnej nie ulegało, jako i to, że mojemu małżeństwu ze starościanką będą przeciwni. Obaj oni bracia, pan Mateusz i pan Felicyan, na tym punkcie kolligacyi, krwie i paranteli byli nieprzełamani. Miałem jednak po sobie teraz chorążego, który tam dla mnie miał niejaki obowiązek i sam też siebie musiał bronić; stałem więc już lepiej. Zresztą Panu Bogu ufalem. *Sit nomen Domini benedictum.*

Z Krakowa, już wcześniej o sobie oznajmując, napisał chorąży do braci, dotknawszy i tego, że mu życie pod Wiedniem ocalił, ale nie o siostrze nie mówiąc. Napomknął też o swoich projektach małżeńskich z dala, dając do zrozumienia, iż się coś święci. Przewidując wszakże niemałe z braćmi trudności, że majątek był niedzielny, fundum jedno, frasował się, gdzieby żonę zawiózł, póki by z nimi nie skończył sprawy. Ale na tośmy w drodze radzić mieli.

Późną jesienią, o mrozach i grudzie, wyruszyliśmy nareszcie z Krakowa, ciągnąc na Lublin ku domowi. Jechaliśmy razem, a im więcej zbliżaliśmy się, ja do Wólki, a pan Nałęcz do swoich, tém smutniej nam było, bośmy z góry wiedzieli co nas czeka. Znał chorąży bardzo dobrze rodzinę, i nie mylił się. Nimeśmy się dostali na Podlasie, już nas poprzedziły głosy o tém co zaszło; wielu szło jak my powracających, którzy też niestworzone rzeczy plethi, osobliwie na owo małżeństwo Nałęcza i o żonie jego. Nie mogli bracia starszemu woli odebrać, ale larum ogromne uczynili między swymi przeciwko małżeństwu, zaklinając się, że z bratem, który jakąś niewolnicę pojął, nigdy do stołu

siedzą, a obrusy przed nim porzeżą. Doszło ich i to, że ze mną jechał, że na moje ożenienie się zgadzał; a bodaj czy ich to gorzej od pierwszego nie zabolalo. Woleliby byli, aby siostra w klasztorze pozostała, a majątek na nich przypadł, miarkując, że gdyby brat mi nie pomagał, możeby się na tém skończyło.

Myśmy, ciągnąc ku domowi, wcale o tém nie wiedzieli, ale podróż była smutna i gdyby jój wesołość chorąży, która jak dziecię bawiła się lada czém, nie ożywiała, obu nam małoby się na łzy nie zbierało.

W Lublinie stanęliśmy gospodą przy Grodzkiej ulicy, a że na wozach pełno było tureckich zdobyczy, namioty widne, buńczuki w miechach i t. p., więc ludu się dosyć za nami cisnęło, aby nas oglądać. Ledwieśmy się wtoczyli w dziedziniec, kazawszy bramę zamknąć, słyszymy, dobija się ktoś. Skoczę z woza, widzę... szlachcic. Poznałem go zaraz, że był od Nałęczów, bo widywałem go często u nich. Zwał się Marszewski, a myśmy go tam Biesem przezywali, że był zjadły i przebiegły jak mało ludzi. Nie wiedzieć z kąd się jeszcze za ojca Nałęczów przybłąkał do nich, i tam się tak dobrze zasiedział i jak kleszcz wpił, że już bez niego w niczém się nie obesзли. Człek był już całkiem niemłody, szpak, ale krzepki, facyata pokiereszowana od szabel, u rąk kilka palców brakło i na jedno oko niespełna widział, bo mu je gdzieś przytłoczono w bójce. Nie chciałem mu zrazu otworzyć, ale fórtkę sobą poparł i wcisnął mi się do gospody niemal na gwałt, pytając o chorążego. Ten był żonę poprowadził do izby; chciał za nim Bies podążyć, ale go pohamował, że chorąży doń zejdzie. Staął tedy, rozpatrując się a węża muszcząc.

— Coś widzę waszmość razem i w dobrej komitywie. Powinszować! powinszować! rzecze.

Ja mu na to:

— Lepsza zawsze zgoda, ladajaka nawet, od najpiękniejszego swaru: a myśmy i nielada jaką zawarli, bo krwią nasz sojusz na placu boju pieczętując.

On na to nic. Posłałem Grzesia po chorążego; zszedł, a jak tylko Biesa zobaczył, twarz mu zapłonęła całą; zrozumiał, że przysłany od braci. Nuż się witać. Ten mu do kolan, a rozczula się, że go całym i zdrowym widzi. Chorąży na to:

— Podziękujcie za to panu Mroczkowi. Gdyby nie on, byłbym pod Wiedniem w kurhanie z innymi piasek gryzł.

Na dole była stancja dla mnie, więc tam weszli.

Ja przy wozach jeszcze pozostałem, bo mi o Py-ladesa szło, aby go przy ladajakim żłobie nie postawili, w nieczystym miejscu, z czego często na konie przypada nieszczęście. Zajedzie kto z chorą szkapą, zapługawi miejsce, to potem ani się opatrzysz, jak biedy napytasz.

Wracając od stajni, słyszę głosy w izbie rozlegające się: gadają żywo bardzo; ale gdy ja na próg, umilkli. Nie zważałem na to. Bies począł o wyprawę pytać, a o domu rozpowiadać. Chorąży po miód posłał, i dalej już o wiedeńskiej potrzebie, a o nas nic. Myślę sobie: „Jeszcze lepiej.” Gdyśmy się nagałali, Nałęcz za czapkę wziął i razem z Biesem wyszedł. Nie pytałem gdzie i po co.

W dobrą godzinę wrócił, ale mocno zadumany. Przypadłem do niego i pytam co słychać? jakie wieści z domu? alem go znalazł milczącym. Wykręcał mi się tém i owém, ale między nami jakby kto mur po-

stawił; jużesmy nie ci byli co wczoraj. Bies swoje zrobił.

Poczułem, że coś jest; nie domyślając się wszakże coby to być mogło. Zajechałem z jednej, z drugiej strony, względem powrotu braci; widzę, mydli chorąży, płacze się, odpowiada mi trzy po trzy. Dałem tedy pokój.

Kiedyśmy już mieli iść spać, zszedł do mnie na dół, i usiadłszy przy oknie, rzecze:

— Dobrzebyście zrobili, panie Janie. żebyście jechali przodem do domu sami, a ja za wami podążę. Ano, nie przystało jakoś razem nam się tam jawić. Ja tu muszę pobyc, a potem...

Jużem mu więcej mówić nie dał. Zmiarkowałem, iż jest coś; a że nikomu i za nic narzucać się nie zwykłem, tknęło mnie to i odpowiedziałem zaraz:

— Jutro jadę.

Zmiarkowałem, iż go to zabolalo, gdy urazy się domyślił. Począł do mnie czule: jako nigdy nie zapomni, iż mi życie winien; jak pragnie, abym mu przyjaciele do zgonnym był; w jak trudnym z familią jest położeniu, i że resztę czasowiby zostawić potrzeba.

Domyślałem się, czyja to była sprawa, i że mnie tu sprzedano; alem słowa nie pisał, ani żalu po sobie nie okazał. Postrzegłszy, jako z téj wielkiej przyjaźni zesłaliśmy od razu na inne pole, postanowiłem wcale się nie upokarzać i nie modlić — co Bóg da, to da.

I tak rozstaliśmy się. Kiedy już Nałęcz odchodził, rzeknę mu:

— Bywajcież mi zdrowi, bo do dnia dalej ruszę...

— Ale co się tak śpieszycie? — wybąknął.

— Komu w drogę, temu czas, powiedziałem. Już bym też spocząć rad.

Dopiero gdy odszedł, buchnęło ze mnie żalem i gniewem,—i jeśli bym tak starym nie był, pewnie bym płakał; ale Bogu utrapienie ofiarując, zacisnąłem usta, postanowiwszy o pierwszym brzasku gospodę opuścić. Przywołałem Grzesia: zdziwił się, ale mu gadać nie dałem, tylko rzekłem, aby mi na zaraniu było wszystko gotowe. Samem się i spać nie kładł, tylko przesiadziałem pod oknem. Około trzeciej z północy zszedłem, aby koniom obroku dano, ale już znalazłem chłopca na nogach.

Słońce wschodziło, gdy wóz mój na progu stuknął i miałem wyruszyć; aż dziewczyna z góry zbiega i hamuje, prosząc od chorążyny, abym chwilę tylko poczekał, bo się pożegnać chce koniecznie. Trzeba wiedzieć, że ta Greczynka w ciągu podróży naszej i w Krakowie bardzo na mnie łaskawa była, okazując mi przyjaźń wielką. Wyuczyła się już była tyle po polsku, że się z nią mogliśmy rozmówić.

W tejże chwili, patrząc, zeszła ze wschodów i pyta, cała blada: co się stało i czego ja odjeżdżam? Zawahałem się: co mówić i czy się jej tłumaczyć? Ale z oczu postrzegłem, że napół wie, a pyta tylko, aby się utwierdziła. Nie potrzebowałem kłamać, więc mówię jej:

— Moja mościa dobrodziejko, chorągiewkę wiatr obrócił. Jestem wam niepotrzebny; jadę prosto do domu. Bies te rzeczy tak nastroił.

— Słuchajże, odpowiedziała żywo: nie myśl źle o mnie; ja naprawię co on popsuł, tylko czas mi dajcie. Chorąży bodaj to dla mnie uczynił, a ja cudze-

go szczęścia ofiarą, swojego okupować nie chcę. Nie byłoby dla nas błogosławieństwa bożego.

Łzy miała na powiekach, kiedy dodała jeszcze:

— Bądźcie spokojni, bądźcie spokojni!....

Takeśmy się rozstali.

Niewesoły teraz był mój powrót do domu, gdym z wielkich nadziei spadł znowu na dawną niepewność. Drugiego dnia pod wieczór, z za łasku pokazała mi się owa Wółka moja; pobłogosławiłem ją krzyżem świętym i łzy miałem na oczach. Im bliżej bramy, tém się serce w piersi dobijało mocniej.

Jakim cudem się stało, że pana Jacka znalazłem, chociaż on o moim powrocie nie myślał, a ja mu znać o dniu nie dałem, tego nie wytłumaczę. Z daleka już stojącego we wrotach z różańcem poznałem. Zlałem z wozu o kuli, i rzuciliśmy się sobie w objęcia, słowa nie mówiąc.

Jakem w domu znalazł, gdzie ten prawdziwy przyjaciel gospodarzył, nie wypowiem. Lepiej bym pewnie sam nie zarządził. Dopieroż przy ogniu w kominie na całą noc nieprzegadana materya... ledwie ze dniem trochę się oczu zmrużyło.

Jeliśmy się rozpakowywać, bom też chciał przed przyjacielem pochwalić się ze zdobyczą, krom tej jaką sam dostałem, wiele mając różności po drodze od wracających za łada co nabyte. Turecką kulbakę ze srebrnemi strzemionami i całym rzędem turkusami sadzonym, a wcale pięknym, ofiarowałem przyjacielowi. Brać nie chciał, alem go ukląkwszy prosił, więc musiał. Uważałem, że z szabel jedna mu w oko wpadła, ale noża i ostrza żadnego bratu dawać się nie godzi: wymogłem od niego, że mi za nią talara zapłacił i wziął, bo do siodła pod udo, starym obyczajem, pasowała.

Dopieroż gdym mu trzosi podobował, ów dyamentowy pas i inne kosztowności, za głowę się chwycił, Panu Bogu dziękując.

— Tylko mi tych pieniędzy na prowizję nie dawaj nikomu, rzekł: ziemię kupować trzeba. Wólka mała, a szlachcie, aby dobrze stał, musi szeroko siedzieć. Jest w okolicy Ryżawka na sprzedaż po wdo-wie Ryżawskiej, bo wnuki tu mieszkać nie chcą, a gdzieś indziej dobra większe mają: kupimy Ryżawkę.

— Nic przeciwko temu nie mam; kupujmy Ryżawkę... ale co z tego wszystkiego, jeśli starościankę mi wychwycą!

— Pojedziemy do podczaszyny, rzekł pan Jacek, a toć jęj się i tak należy pokłonić. Staruszka do rady dobra, i waszmości sprzyja. Ilem tam razy był, zaw-sze mnie tém spotykała:—, A cóż nasz Mroczek? a miał ci tam waszmość wiadomość? a nie zostanie kaleką?“

Więc tego dnia z południa postanowiliśmy jechać do niej. Chciałem też z wyprawy gościńca przywieźć staruszce; ale trudno było wybrać. Pas ów dyamentowy dobrej wioski był wart, jak się okazało; anim ja go mógł dać, aniby ona chciała wziąć; więc rozpatrzywszy się, wzięliśmy różaniec kamienny, bardzo pięknej roboty, znaleziony w moim namiocie. Mo-że się kto podziwić, że u Turka się to trafiło; ale to pewna, że i oni na takich różańcach się zabawiają, i mało który go nie ma. Czy się tam po swojemu z różańcem do Mahometa przymilają, czy do jakiej in-niej służy praktyki, tego nie wiem.

Przekąsiwszy doma co Bóg dał, wzięliśmy półkrytek pana Jacka, bo mi jeszcze na koniu jeździć było trudno, i ruszyliśmy do staruszki. Wielka radość była, gdy mnie tam poznano. Siedziała podczaszyna w swoim

gabinecie nad listami, kiedy jęj o nas oznajmiono;— ale zaraz do sali wyszła. Zobaczywszy mnie o kuli i kiju, bom jeszcze ich używać musiał, o mało się nie rozplakała, a posadziwszy, kazała sobie rozpowiadać wszystko. Stało tego do wieczoru. Przyszliśmy do ratowania Nałęcza, do jego obietnic i do podróży z nim aż do Lublina; nie było co tacić. I ona też zmiarkowała, że mnie sprzedano, ale radziła czekać i nie gwałtować, ale powrotu starościanki z Wilna i jęj postanowienia patrzeć. Chorążego z żoną jeszcze, jak powiadała, nie było, ale na niego już oczekiwano, a skoro przybędzie, postanowiono majątności rozdzielić. Już była pierwsza determinacya panów braci wydania panny Heleny za Stadnickiego spełzła na niczém, bo się ów ożenił z Ossolińską. Teraz miano na widoku, jak się okazywało, jakiegoś Kossakowskiego, który ofiarował się kwitować z posagu, a oprawę zapisać na majątnościach. Obiecywał też panom braciom złote góry, bo był stary kobieciarz i młodej żony mu się chciało, choć sam przeszło lat sześćdziesiąt liczył i dwa razy owdowiał, ale bezdzietny. Bardzo im było na rękę summę posagową chwycić, zwłaszcza że się nadtracili znacznie i coś tam kręto było około nich.

— Cierpliwości—mówiła podczaszyna,—a wytrwaj; resztę da Pan Bóg.

Uradowała się też z tego, gdyśmy jęj powiedzieli, jak mnie Bóg pobłogosławił w tej wyprawie, i że mogłem Ryżawkę kupić, a może jeszcze co do niej.

Nazajutrz pojechałem do proboszcza, nie zapominając z jakim sercem obcego mnie tu przyjął, gdym po śmierci stryja na objęcie Wólki bez grosza przy

duszy przybył. Starowina znów rozpowiadać kazał, a nie było temu końca.

Pan Jacek, nie tracąc czasu, sam do Ryżawskich pojechał, lecz wrócił z niczém, bo cenę mu zaśpiewali okrutną, i jeszcze rok sobie wymawiali trzymania wioski. Ale w kilka dni przybył do mnie młodszy Ryżawski i sam zaczepił. Powiedziałem, że nie dam, ino to, co im ofiarowałem, i natychmiast posessyę obejmować muszę.

Z tém odjechał. Aż wkrótce—jakoś dni parę minęło—przybywa Jacek pocziwy, i na progu ściskając mnie, winszuje jako dziedzicowi Ryżawki, Pląsek i Surowina (szło to wszystko troje razem).

Ja się patrzę na niego, nic nie wiedząc, a ten mi na to:

— Dobywaj trzosów i każ przynieść czém zalać sprawę, bo to na sucho ci pójść nie może. Ryżawscy jadą z regentem; za godzinę będą tutaj, i rzecz skończona.

— A posessyę kiedy obejmuje? spytałem.

— Od Św. Wojciecha, inaczej nie było można.

Uściskaliśmy się.

Tegoż dnia wyliczyliśmy pieniądze i transakcyę spisali.

Tak tedy, przy pomocy bożej, już nie na małej Wólce, ale na dobrym szlacheckim majątku o czterech wsiach zasiadłem, a co gorsza, albo lepsza, z Ryżawką pod sam bok wlażłem Nałęczom na sąsiada, bo się nasze pola stykały. Jużem wiedział, że chorąży z ową Greczynką przybył do domu, i że go tam bracia, kręcąc nosami na bratową, przyjęli, ale polatawszy. Do mnie się był dotąd chorąży wcale nie zgłosił, a jam milczał, bo mi nie wypadało się nastęrczać.

Gruchnęło tedy, żem Ryżawkę kupił; winszują wszyscy. Kupno było niezłe, ale majątek po staruszce, która niby to sama gospodarowała, a rzeczywiście urzędnicy i faworyci, tak opuszczony i wyniszczony, że fraszka to co w Wólce zastałem. Gdym oglądał, aż mi się zimno zrobiło; ale myślałem to zawsze: „Co człek popsuł, to i naprawić może.“ Posłałem tylko zaraz od siebie na straż Gawrońskiego, żeby mi do reszty pługów nie poopalali i strzech nie powysymkiwali.

Winszują wszyscy; zesłiliśmy się na probostwie z Nałęczami, oprócz chorążego, który niedomagał. Ci winszują także, ale z pode łba na mnie patrzą. Ja nie.

Tymczasem i król był z owój ciężkiej wyprawy swój do Jaworowa, jak mi mówiono, powrócił. Mnie noga wydobrzała, żem już o kijku tylko mógł chodzić, a starościanka nie wracała. Postanowiłem więc pojechać i pokłonić się królowi jegomości. *Dictum, factum.* Zima była tego roku dobra, i sanna się ugruntowała doskonale; wzięwszy tedy wozik na płozy, ruszyłem, zdawszy gospodarstwo na pana Jacka.

Nie miałem w drodze żadnego wypadku, prócz że mi kilimek turecki, bardzo ładny, na noclegu skradziono z winy Grzesia, który miał sen twardy.

Przybywszy do Jaworowa, a zobaczywszy tylu znajomych i przyjaciół, aż się dusza rozweseliła. Choć mi było smutno w sercu, musiało się to rozejść.

Nazajutrz rano poszedłem do króla, który już o mnie wiedział. Jak ujrzał, położył mi obie ręce na ramionach i mówi:

— A co, panie Mroczek, wszyscyśmy to dobrze pono wyszli na wiedeńskię! Gdyby nie to, że się ra-

towało Krzyż Pański, przychodziłoby żałować żeśmy się tak w pomoc Niemiaszkom śpieszyli. Hej! héj! mospanie, waćpan cięty, ja okiereszowany, ludzi tylu zacnych głowami nałożyło... A toż nas potem zbywali się jak nieprzyjaciół i pomagali Turkom nas niszczyć. Ale co się stało, to dla imienia chrześcijańskiego i dosyć... Cóż wasze?

Ja dopiero, ścisnąwszy kolana pańskie, począłem o swój biedzie. Król się odwrócił do stołu i począł w papierach szukać.

— Mała to już rzecz—rzekł, podając mi kartę;—ale ot dla waści pamiątka. Nie przejesz się tym chlebem, ale zawsze ci się kasek należał z *panis bene merentium*.

Nie wiedziałem co to ma znaczyć... Król się uśmiechał, klepiąc mnie po ramieniu.

— Aniś prosił, aniś myślał; alem ja o waści nie zapomniał. Było tam starostweczko nad Bugiem. Myślę sobie: „Jak tam Mrocza posadzę, to mi będzie węgorez łowił i przysze na post.“

Znowu ja do kolan, prawie ze łzami, a król na to:

— Dość, dość! A cóż tam z waścią bohdanką? jak Nałęcze? he?

Wszystko mu było wiadome; a jak podżyłym dobrze był i już nie do miłostek, tak w królowej kochał się wiekuiście, niby wczoraj po ślubie, i drugich rad widział w amorach wiernych. Nic mu miłszego nie było nad to, gdy słyszał, że kto uczciwie i statecznie do niewiasty się przywiązał.

Powiedziałem jak rzeczy stoja, że Nałęcze ani słuchać o mnie nie chcą.

— Jedź-no waszeć do domu—rzekł,—i siedź cicho. Z Kossakowskim ja pogadam, żeby ci w drogę nie laźł, a chorążemu uszu natrę.

Bawiłem w Jaworowie dni kilka, a to moje starostwo oblewać musiałem. Niewielka to w istocie była rzecz, piaski a błoto; ale zawsze na coś się przysdało i było oznaką łaski pańskiej, co więcćj znaczy nad wszystko.

Zboczyłem z drogi, wracając na Warszawę i na Mazury umyślnie, by tam dalekich krewnych obaczyć, których tylko z odgłosu znałem. Radzi mi też byli, jak nie można lepiej, i musiałem z nimi trzy tygodnie jeździć od komina do komina, a pić i wczasu zażywać, choć do domu korciło.

Tu mnie gwałtownie nacisnęli, żeby koniecznie u nich się żenić z powinowatą. Wynaleźli zaraz, nie mi nie mówiąc nawet, pannę skarbnikównę Teklę Zarzycką, która była jedynaczką u ojca i dziedziczyła po nim ślicznych parę wsi, a gospodarstwo zasobne. Panna też była miła bardzo, postawna, młoda, rezolutna i dosyć dobrém okiem na mnie patrzyła; alem im zaraz oświadczył, że zaręczony, i do grobowej deski nie złamię wiary Helusi, czego mi za złe nie wzięli, ale stękali bardzo, że się nie udało, bo i Zarzycki był za tēm, a stary potrzebował wyręczenia i zięcia mu się na gwałt chciało, żeby gospodarstwo nie podupadło.

Przeprowadzili mnie Mroczkowie i inni powinowaci mił sześć na gościniec, gdzieśmy jeszcze we dworze u znajomych trzy dni zapustowali ochoczo; poczem już do domu pilno mi było, bom dawno wiadomości nie miał.

Wprost zajechałem do pana Jacka. Tu, pod moją niebytność, bieda zawitała niemała. Odprowadzając gości na ganek po wieczery w wielkie zimno, tknięty był nieborak paraliżem. Zastałem go w łóżku; mowę

miął ciężką, jedną rękę i nogę odjętą. Odesłałem wóz do domu, a samem przy nim został, boć go należało pilnować. Zaraz-em spostrzegł po twarzy i minie, że źle koło starego być musi. Była już i bratowa, i synowiec, i staranie wszelkie; ale na nic się to nie przydało.

Dawał mu cyrulik raz wraz na transpirację i nie wiem czy nie zaszkodził gwałtownemi lekarstwami, bo z tego przyszło, że go apopleksya razila i do drugiego dnia nie żył.

Rodzonymbym ojca nie opłakiwał więcej, i jak rodzanego chowałem, sam mu ostatnią oddając posługę i ostatnie pożegnania słowo wyrzekłszy, choć publicznie mówić niebardzo lubiał, drugim to zostawiając.

Było u nas zawsze na to ochotnika dosyć, alem się ja nie kochał w oracyach, które cudze pióro pisze i za butel winą się z pod rewerendy dobywa, albo z książki kędyś wylata. Nie smakowali też może w mojej pogrzebowej mowie przytomni, bom się na koncepta nie sadził i od serca tylko przyjaciela pożegnał.

Splakany, wróciłem do domu, gdzie mi teraz było samotniej niż kiedy. Zaraz-em też pojechał do podczaszyny, bo mi dała znać, że się ma ze mną rozmówić. A że dni parę ubiegło, nim się na zawołanie stawilem, z rana się oзнакомиłem, że tego dnia u niej będę, czy nie przeszkodzę. Były bowiem u niej takie nabożeństwa i anniwersarze, że nikogo nie przyjmowała. W godzinę wiedzieć mi dała, że czeka na piątkowy kapuśniak.

Przybyłem bardzo smutny, bom tego pocziwego przyjaciela na sercu miał jeszcze, świeżo utraconego. Spostrzegła to staruszka, a kazała mi sobie opowia-

dać o wszystkiem, o Ryżawce, o Jaworowie, o starostwie nad Bugiem i t. p. Gdy mi winszowała, rzekłem:

— Pani dobrodziejko! wszystkoby to oddał z dodatkiem, byle pragnienia serca mego do skutku Bóg doprowadzić raczył.

Ona mi na to:

— Mości starosto, nie razem Kraków zbudowany. Czekajcie, i to przyjsć może.

Siedliśny do stołu, i już się obiad kończył, gdy zajechała kolebka, i dali znać, że chorąży z żoną przybył.

Od rozstania się naszego w Lublinie, wcalem się z nim nie widział, chyba z daleka w kościele. Owe obietnice jego wielkie poszły w niepamięć; owa dozgonna przyjaźń jakby nigdy nie istniała.

Przykro mi się zrobiło, że go tu spotkał; wszakże uciekać nie wypadało. Musiałem zostać, zwłaszcza że podczaszyna spojrzawszy na mnie, uśmiechnęła się. Wyszliśmy do sali.

Witamy się uprzejmie. Greczynka przychodzi do mnie wesoło, a gdym ją w rękę całował, ścisnęła mnie, jakby dając do zrozumienia, że o sprawie mojej nie zapomniiała. Po dobrej chwili, chorąży zbliżył się do mnie i bierze do okna.

— Bracie—rzecze, ściskając,—daruj i nie pamiętaj. Robilem co mogłem, by tych zapamiętałców przekonać; ale z nimi rady nie ma. Mają do waści niejedną urazę, a może też i to, żeś mnie życie ocalił, bo i ja u nich łaski mam niewiele. Trzeba na to radzić inaczej.

Spojrzałem mu w oczy.

— Helusia powraca—rzekł,—posłano po nią, pojechał Bies z ludźmi. Za dni kilka będą z nią nazad,

a jeśli tu przyjedzie, nastaną na nią i gotowi dla Kossakowskiego gwałt popełnić, by wiana nie dawać.

— Jeśli o wiano idzie—rzekłem,—a starościanka zgodzi się, już ci go też nie szukam, ani się dla niego żenię. Ustąpię i ja.

— Nie o to idzie—odpowiedział chorąży,—przynajmniej nie mnie. Niech każdy ma co mu przeznaczono, cudzego nie pragnę; ale z braćmi, którzy się na was zacięli, rady sobie nie dacie. Jedno wam tedy mogę dać *consilium*: Jedźcie z przyjaciółmi. Napotkacie kawalkatę w drodze. Potrzeba starościankę odbić, księdza znaleźć, ślub wziąć, a resztę ja zagodzę. Ale, dodał: na miłość bożą, mnie do tego nie mieszajcie... niech ja zostanę, jakbym nie wiedział o niczym.

Stałem słupem; nie podobało mi się to wcale, żebym jak rozbójnik żonę na gościńcu zdobywał.

Odparłem mu tedy, że to tak dla sławy ich domu i imienia, a potem mojego też, nie uchodzi. Ale mi zaraz począł przywozić podobne przypadki, jak Mniszech z klasztoru sobie żonę wyłamał, gdy mu jęj rodzina dać się wzbraniała, jak ten i ów orężnie zdobywali panny, i że w tém nic tak złego nie ma. Nareszcie rzecze:

— Wszystko do tego przygotowane. Helusia nawet, o ile miarkować mogę, i osoba tak poważna jak podczaszyna, tego nie gani, bo innego sposobu nie ma. Nie przeciwko władzy rodzicielskiej to bunt, ale przeciw opressyi niesłusznej rodziny, która nieszczęścia jęj może być przyczyną... Trzeba żebyś waszmość jechał zaraz, wszystko przysposobił, na drodze zasiadł, a dobrzych sobie wziął rębaczy, bo z Biesem do czynienia mieć będziecie. I to dodaje: żeby ślub zaraz był, nim bracia się dowiedzą, żeby kłamka zapadła, nim oni

się porwą przeciwko waści. Ale jeszcze raz, na rany Chrystusowe, jam o niczym nie wiedział... o niczym wiedzieć nie chcę... cicho!..

Odszedł zaraz od okna i poczęła się inna rozmowa. Greczynka chwalić się jęła, że po polsku ją wyuczyli, a spoglądając na mnie, znaki mi dawała, że o wszystkim wie. Mnie się to jakoś dziwnie zawsze zdawało, żonę tak zdobywać, ale co miałem robić? Przesiedziałem ich u podczaszyny, aż gdy odjechali, zwierzyłem się jęj ze wszystkiego, prosząc o mądrą radę.

Staruszka popatrzała mi w oczy.

— Zacny z waćpana człowiek—odezwiała się,—że ci gwałt wszelki jest obmierzły; ale są wypadki, w których i do ostatnich środków uciec się trzeba, gdy o przyszłość osoby drogiej idzie. Podobno chorąży to jedno radzi, co rzecz najlepiej załatwi.

Postrzegłem tedy, że inaczej być nie może, a raz na to się zeterminowawszy, nie miałem co czekać. Pojechałem téjże nocy do Zegrzdy.

Była mila okrutna; noc śnieżna, zawieja, godzina spóźniona. Ledwieśmy się do dworu dobili, a tu we wrotach nawiało kupę taką, że ani wjechać. Musiałem pieszo się przedzierać; psy opadły, że ledwie koźucha nie postradał, alem do okiennicy zastukał, wiedząc gdzie sypia. Pozrywało się wszystko, bo tylko co byli usnęli, i myśleli, że albo złodzieje, lub przypadek jaki. Zegrzda z szablą w ganek wypadł; ledwie go uspokoił. Począł się śmiać, gdy mnie poznał, i weszliśmy z nim do izby. Dorozumiał się zaraz, że muszę mieć sprawę ważną. W dwóch słowach rozprawiliśmy się; ale z tym peccziwcem dobrze było bić się, tylko mędrkować niekoniecznie, bo do przebiegów i sztuk się nie zdał.

Z tego co mi chorąży mówił, uważałem już, że chwili nie było do stracenia, a raz odważywszy się na przedsięwzięcie, chodziłem jak w gorączce, by je przeprowadzić do skutku.

Zegrzda powstawszy, powiada:

— Kochanie mileńki (miał to przysłowie), ja ci szablę i dłoń ofiaruję, ale nie potrafię tego urządzić; na to nam Grabowskiego wziąć potrzeba... Każę konie zaprzadź: jedźmy do niego...

Gadamy tak, a tu do drzwi pukanie, bośmy ko-biety pobudzili i popłoch poszedł: czegom przybył? i czy gardłu jegomości co nie grozi? Weszła sama jejmość w nocnym stroju, dopytując. Zegrzda począł kłamać okrutnie o jakichś wilkach, pocałował żonę, polewki cieplej przygrzać kazał, latarkę dał do stajni, i w godzinę byliśmy znowu na gościńcu.

Z północy o drugich kurach stanęliśmy u Grabowskiego, ale baliśmy się przestraszyć matkę staruszkę, i zajechaliśmy na folwark. Zbudziłem ekonoma; a że się Grabowski o woły karmne troszczył i nocą do nich budzić kazał, powiedzieliśmy mu, by nie nie mówiąc, niby dla wołu chorego, jegomości tu przywiódł.

W ćwierć godziny słyszę, chlapie się Grabowski w butach z futrem, a klnie ekonoma co wlezie za tego wołu, cośmy go zinwentowali sami. Gdy do izby wszedłszy, zobaczył mnie z Zegrzdą grzejących się u komina, oszołomiał i stanął jak słup, nie wiedząc co to znaczy. Dopieroż my w śmiech z niego, i do alkiejra go wzięwszy, począłem rzecz opowiadać.

Ale z Grabowskim wiele gadać nie było potrzeba, bo człek domysłny i na wszystkie sztuki noszony... Tylkom napomknął, w to mu graj: pochwyć mnie ścisnąć, mało nie nosić na rękach.

— Niech ci Bóg płaci—woła,—że mi takie dajesz zajęcie! A toć rok już awantury żadnej nie miałem... aż mi się życie przykrzyć zaczęło.

I cośmy mieli jego uczyć, to on już wziął wszystko na swoje barki. Domyślił się kędy jechać mają, obliczył i wybrał kogośmy z sobą wziąć powinni, wyznaczył konie, ludzi, miejsce...

Tak te rzeczy dobrze znał, że od Wilna począwszy, na palcach wiedział noclegi, popasy, gdzie stanąć musieli i jak drogę rozłożyć. Miarkował i to, że wielkiej siły z sobą Bies ciągnąć nie mógł, bo się niczego nie spodziewał; więc ze trzema lub czterema mogliśmy mieć do czynienia, a Grabowski swojej szlachty drobnej, jak nazywał, szabel usłużnych sejmikowych, co nie pytali nigdy za co i na kogo szli, a oślepek rąbał kogo im pokazano, miał sam choćby dziesiętek. W dodatku byłem ja i Zegrzda. Mieliśmy więc siły podstatkiem.

Pchnął więc Sydora swojego Grabowski, pod pozorem sejmików, by szlachta na południe się stawiała, a mnie kazał do domu jechać i z saniami, ludźmi, końmi, co było potrzeba, powracać.

Mieliśmy zasiąść na gościńcu wileńskim w Zahorzanach, gdzie był proboszcz znajomy, nawet podobno Grabowskiego daleki krewny po matce. Stała tam gospoda, której Bies minąć nie mógł. Myśmy się mieli rozsiasć we dworze u dzierżawcy, a czaty postawić po drodze wzdłuż ku Wilnu na mil kilka, aby nam o przybywaniu znać dawały, wyprzedzając starościankę. Dobraliśmy konie pod tę straż takie ręce i młode, żeby się ubiedz nie dały, a choćby który padł, bierz go lichu.

Szło tylko o to, czy starościanka z Wilna wyjedzie rano, czy z południa, gdyż od tego zależało, wedle rachuby Grabowskiego, czy na popas, czy na nocleg miała być w Zahorzanach.

Jam sądził, że ponieważ z klasztoru wyjeżdżała, pewnie nieinaczej niż po nabożeństwie, zatem nie tak rano; Grabowski twierdził, iż Bies ze strachu, aby w pobliżu wielkiego miasta nie nocować, gdzie się zwykły łotry włóczyć, wyruszy do dnia. Woleliśmy wieczór niż południe do tej sprawy, bo gospoda stała pośrodku miasteczka, w rynku; na tumult zbiegliby się ludzie: krzyk, hałas, i rzecz niemiła być na oczach motłochu, gdzie o kobietę chodzi. Ale bądź co bądź, musieliśmy tu na nich czatować i rychło jechać.

Nazajutrz wszyscyśmy byli w pogotowiu. Szlachta pojedynczo powymykiwała się przodem, i miała stać po żydowskich domach w rynku, nie razem, a na dany sygnał, trzykrotne huknięcie, zbiedz się ku nam. Warty poszły gościńcem na wyznaczone miejsce; my pojechaliśmy do dworu, do dzierżawcy; Grabowski osobno do księdza.

Szczęściem sanna była doskonała, śniegu przysypało w polu, koniśmy nie żalowali i o zachodzie słońca stanęliśmy w Zahorzanach.

Pierwsza rzecz: posłałem do gospody, pytać czy przejeżdżali? Żyd wymienił podróżnych, jacy tam stali od dni kilku, ale o starościance nie wiedział. Znał konie i ludzi, byłby ich poznał i pamiętał.

Dobra tedy nasza! Rozgościliśmy się u dzierżawcy, a był szlachcic serdeczny i gościnny na podziw. To też choć ogromnie zarabiał, nic nie zebrał. Będąc w przyjaźni z Grabowskim, a z Zegrzdą w kolligacyi,

nie znalazł dla nas miejsca, tak ugościć pragnął. Nic mu się nie mówiło o co idzie, chociaż musiał czegoś się domyslać.

Przenocowaliśmy u niego. Grabowski z probostwa przyszedł na wieczerzę i szepece mi w ucho:

— Książdz nasz! Ślub będzie, wszystko w pogotowiu... byle pannę nam odbić.

Podług naszej rachuby, albo nazajutrz w południe, albo na wieczór powinni byli nadciągnąć, a przed nimi, co najmniej na godzinę, straż nam wiadomość dać musi...

Ale jak to zwykle się trafia, wypadło nam jak najniefortunniej. Było na gościńcu trzech wartowników: jeden się spił, drugi zasnął, trzeciemu koń zachorzał. Spokojni więc, siedzimy sobie u dzierżawcy bynajmniej nie gotowi, i to jeszcze zaledwie z południa, gdy z gospody Żydek leci do dworu i oznajmuje, że starościanka przyjechała, a skoro konie wytchną i przegryzą, zaraz pośpieszy dalej. Zerwaliśmy się, głowy potraciwszy, oprócz jednego Grabowskiego, który, jakby go zimną wodą oblał, wnet się opamiętał, szablę do pasa, ludzi rozesał i na miasteczko z nami.

Zajezdny dom stał w rynku samym, ze dwóch stron przyparty ścianami do innych klatek żydowskich, od przodu tylko i z tyłu przystępny. Sanie jedno i drugie były przed gospodą, ale konie z nich powyprzęgane, ludzie się porozłazili, starościanka weszła ogrzać się nieco, a Bies kazał sobie dać wódki. Widać było, że się w biały dzień niczego nie spodziewali. Grabowski, jak to zobaczył, prosi i modli się:

— Dajcie mi samemu iść, a jak was zapotrzebuję, huknę.

We mnie się serce tłukło jak młotem, alem mu

ustąpić musiał. Później mi opowiadał, jak sobie począł. Wszedł do gospody przez stajnię, i wprost wkroczył do téj izby, gdzie była starościanka. Bies miał na to oko, żeby nikt nie wchodził, począł więc nań wołać:

— A po co tam?... Kobiety są!

— Toć ich nie zjem, odparł Grabowski, i wszedł: ale tylko znak dał starościance, a już Bies za nim wszedł. Znali się dawniej, przywitali... Ciągnie go rębacz do drugiey izby, prosząc, aby spoczynku nie przerywał paniom. Ze starościanką była staruszka, jéj ochmistrzyni, i dziewczynka do posługi.

Grabowski, już upewniony, że rady sobie dać może, siadł na ławie spokojnie i kazał sobie dać miodu szklanekę.

— Wiesz, rzecze do Biesa, jaki oni tu stary lipczyk mają, tom jeszcze takiego nigdzie nie pił, choć i sławnego kowieńskiego próbowałem, i lubelskie miody znam. Co ty tam tę śmierdziuchę wódkę pijesz? Napilbyś się oto tego nektaru.

— No, no, nektar, nektar, rzekł Bies, ale po nim sen człowieka napada, a w drodze spać stróżowi niebezpiecznie.

— Choćbyś się zdrzemnął, rzecze na to Grabowski, toć już tu nic ci się nie stanie; u nas o rozbojach nie słyhać, a przed wieczorem w domu będziecie. Ja wasze konie znam: kłusa mają takiego, jak tu żadne. Ale winszuję waszeci, żeś tę wileńską drogę i lasy cało przebył, bo tam to często bywają przypadki.

Bies się uśmiechnął:

— Ja się żadnych nie obawiam.

— A dużo masz ludzi? spytał Grabowski.

— Jest nas sześciu ze mną, tobyśmy się dwunastu nie dali..

— A trzynastu? pyta Grabowski.

— No, nie zląkłbym się jeszcze.

— A piętnastu?

— Kto wie? broniąc się, tobym się im nie dał..

— Toby to ciekawa rzecz była spróbować, rzekł Grabowski dopijając. Chcesz, chodźmy o zakład.

Bies się począł śmiać.

— Ale ja nie żartuję, zawołał Grabowski. Chcesz, o co? Zakładam się..

— A z kąd waść ludzi weźmiesz?

— Ja? alboż to waść nie wiesz? Ja tu w każdym miasteczku mam swoich na wszelki wypadek. Nigdy człowiek nie przewidzi, co go spotkać może. Jabym dał znak tylko, toby mi tu z pod ziemi jakich dwunastu, trzynastu ludzi wyskoczyło.

Stary wciąż się śmiał jeszcze.

Grabowski z za stołu wstał powoli i patrzy nań; a miał Bies szabelkę u pasa swoją zwyczajną, którą zwał *żonką*. Żonka ta jego dobrze była znana naokół, bo niejednemu wypisała paragraf na twarzy, a sławiła się z tego, że żelazo rąbała jak wiory.

— Jaki to z waszeci wierny mąż! rzecze Grabowski. Widzę, bez żonki nie stąpisz. A żebyś mi też pokazał ją nagą, jak ona wygląda. Słyszałem o niej cuda, a nie widziałem nigdy.

Bies był taki głupi, że mu do rąk szabelkę dał; Grabowski z nią poszedł do okna, niby oglądać. Wtém jak palnie w szybę, posypało się szkło, i złożywszy kułak, huknie trzy razy. Szlachcic z razu myślał, że ów zwaryował i rzucił się do niego; ale wnet słyszy w rynku bieganinę, widzi pod oknami ludzi, a tu i ja wpadam

do sąsiedniej izby po starościankę. Dopieroż mu się oczy otworzyły, i rzucił się do Grabowskiego; ten mu się własną jego szablą zastawia, a z tyłu dwóch, porwawszy go, ręce mu związało i głowę zakneblowało. Ludzie od sań poszli do wody z końmi: nie było komu stawić oporu.

Jam tymczasem, wszedłszy do starościanki, przykląkł przed nią i mówię:

— Starościanko dobrodziejko, nie mojej to głowy ani woli sprawa, ale rada ludzi skłoniła mnie do tego, że cobym był chciał uzyskać za zgodą rodziny waszej, tego muszę się dobijać na gościńcu przemocą. Darujcie mi i za złe nie miejcie.

Starościanka, ujrawszy mnie, z razu się przelekła, potem rozplakała. Na to wszedł Grabowski i rzecze:

— Starościanko dobrodziejko, zdobyliśmy panią dla pana starosty. Spodziewam się, że nas za to łajać nie zechcesz. Jam tu drużbą i swatem. Ksiądz czeka w kościele, chwili nie ma do stracenia, chodźmy.

Z podziwienia wyjść nie mogąc, płakała jeszcze i wzdragała się, gdym ja po cichu ją o zezwoleniu starszego brata i radzie podczaszyny upewniał, a począłem w nogi całować, aby mojego szczęścia odwlekać dłużej nie chciała.

Więc tak jak staliśmy, poszliśmy natychmiast do kościoła. Ksiądz już czekał w zakrystyi, w komży i stule; pierścionki wziętem u złotnika, a w pół godziny, zaślubieni już, przeszliśmy na plebanie, rozstawwszy strażę dla bezpieczeństwa. Ale to było nadaremne, bo zakneblowany Bies leżał w izbie, a ludzie sami sobie zostawieni, wcale się opierać nie myśleli. Szło nam o to, aby się rychlej niż potrzeba wiadomość do braci nie dostała; musieliśmy więc, dla ostroż-

ności, ludzi także powiązać, krzywdy nikomu nie czyniąc, krom jednego, który, że się opierał, coś mu się tam dostało.

Tak to wszystko poszło szczęśliwie, mimo wart, które się nie sprawiły, że Grabowskiemu nie wiedział jak dziękować. Ale to była dopiero połowa sprawy, można się bowiem spodziewać było, że obrażeni bracia na tém nie poprzestaną i bodaj siłą zechcą siostrę odebrać, w klasztorze osadzić, a mnie o rapt i wiołencę i *de nullitate matrimonii sine parochia* proces przed trybunałem i w konsystorzu wytoczyć. Anim mógł ufać w perswazyę chorążego, który z nimi sam ledwie mógł sobie dać rady i lękał się ich przemocy.

Powinienem był jechać z żoną do Wólki, ale tu napadu w małym dworku nie było czém odeprzec, ani się jak obronić, nawet dobrego ostrokołu nie miałem. Do Ryzawki należał Surowin, który jużem był objął na siebie, a w Surowinie folwark stał na starém, jak tam nazywali, horodyszczu; nawet wioska się pono dawniej Horodyszcze Surowińskie zwała.

Urzędnik mój mieszkał we dworze za wałami, szczupłym, ale niezłym, obwiedzionym częstokołem; a że dokoła były trzęsawiska, przez jeden tylko most dostąpić tu było można. Grabowski mi radził i ja sobie sam miarkowałem, że póki burza nie przeminie, gdzieindziej się schronić bezpiecznie nie mogę, tylko tam na ten ostrów. Ludzi więc Nałęczowskich dawszy szlachcie pod straż, sanie i konie też, bośmy nie prócz rzeczy starościanki brać nie chcieli, ruszyliśmy zaraz do Surowina. Pchnąłem tylko Grzesia do Wólki, aby ztamtąd co potrzebniejszy sprzęt zaraz nam przywieziono. Żeśmy się napadu spodziewać musieli, kazałem

strzelb i amunicyi nabrać ileby się znalazło. Grabowski, Zegrzda i sześciu szlachty nam towarzyszyli. O weselu nie było co myśleć, bo mnie o życie szło, a o mojej pani i dobrodziejki bezpieczeństwo. Szczęciem noc była pogodna i jasna, i konie nakarmione; więc prawie bez wytchnienia, manowcami, zrobiliśmy mil pięt, a nadedniem stanęliśmy na surowińskiej grobli, gdzieśmy już byli bezpieczni.

I szczęście to wielkie, żeśmy nie pojechali do Wólki, a o Surowinie całe zamilczeli przed ludźmi; bo chłopak Nałęczów, który z końmi od wody powracał kiedy się ta historia odbywała, jak siedział oklep na koniu, tak drapnął i nie oparł się aż na dziedzińcu w domu, donosząc, że pannę starościankę porwano i do kościoła poprowadzono, że ludzie pobrani, a Bies zamordowany.

Rzucili się panowie Nałęcze natychmiast, rozdzielwszy na dwa oddziały, jeden w piętnaście koni na miasteczko, drugi we dwadzieścia kilka na Wólkę, gdzie mnie nie znalazłszy, tylko ludzi poprzestraszali. Grzesia szczęściem jeszcze nie było, bo pod bizunami byłby im moje schronienie wyśpiewał.

Co tam było z Biesem, gdy go związanego, z zakneblowaną głową znaleźli leżącego w alkierzu, z którego stróże oknem pouciekali, jakie wymyślania i odgróзки na księdza, co wrzawy i hałasu, ludzie potem nie mogli się przez pół roku naopowiadać.

Myśmy zaraz do Surowina przybywszy, o sobie dobrze myśleć musieli, jak w czas wojenny. Postawiono strażę przy smolnych stosikach po tracie, z rozkazem zapalenia, gdyby co niebezpiecznego ujrżeli; na grobli czaty, po wsi czaty; ufortyfikowano bramę, podpilo-

wano most; Grabowski do siebie posłał po śmigownicę, którą miał w skarbcu; broń była ponabijana, ludzie gotowi.

Okolo południa przybył Grześ z prowiantami, bronią, amunicją i jeszcze kilku szlachty, a na wieczór jużśmy byli tak spokojni, że mogliśmy gości naszych przyjąć i trochę weselęj a śmielęj na świat spojrzeć. Aleśmy się mieli na baczności.

Do północy gwarzyliśmy u kominów. Ja tyłkom klęczał przed Helusią, całując jej ręce i prosząc, aby mi tego za złe nie miała; alem tak statecznej i mężnej niewiasty jak ona nie widział. Raz odszedłszy od ołtarza, nie okazała więcej ani strachu po sobie, ani niepewności.

— Jeśli nas zabić zechcą, to razem umrzemy, mówiła do mnie.

Z północy, żeśmy wszyscy straszliwie byli znużeni, każdy jak stał, tak gdzieś przyparłszy się do kąta drzemał. Ognie poprzygaszały.

O świcie czuję, budzi mnie ktoś i szepcze do ucha. Otwieram oczy — Grześ przy mnie i mówi: „Niech-no pan wstaje.“

Wyszedłem na palcach do pierwszej izby, i już mi nie potrzeba było tłómaczyć po co obudzono. Patrzę, aż dwa moje stosy łuczywa płoną... Targnąłem Grabowskiego i Zegrzdę; wstaliśmy cicho do ludzi, i w pół godziny było wszystko pogotowiu.

Posłałem Grzesia do wsi na wzwiady na podjezdku, przykazując jechać bokiemi drogi, aby tętentu nie było słycać.

Za ostrokołem uszykowaliśmy ludzi, czekamy... cicho. Ale trzeci stos się pali, a ot czwarty... W ostat-

ku przez mostek huczy, powraca czata moja... Wyleciałem przeciw niemu.

— Co słyhać?

— Do sta ludzi, powiada, ze wszech stron Surowin otacza.

Zaczailiśmy się za płotem, stoimy... Kazałem we dworku światło nawet pogasić, żonę tylko obudziwszy, aby ję, uchowaj Boże, strzały nie przestraszyły... Kłękła zaraz modlić się, a ja poszedłem do ludzi.

Poczęło dnieć. Widzę na grobli jedzie kupka. Posłałem na most podpiłowany, cicho dyle powyjmować. Słomą pookręcaliśmy pale, osmarowali smołą, i chłopak miał rozkaz podpalenia, gdy mu znak na to damy. Ale ichmość poczynali sobie ostrożnie i zdawali się tylko położenie opatrywać.

Chociaż wszystko u nas było pogotowiu do obrony, dobrzem ja to zawczasu obrachował, że uchowaj Boże strzelania, a nużby kula którego z braci żony trafiła?! I ona i ja drżeliśmy na tę myśl, aby z bratniej ręki nie zginął, boćby to między nami szerszą jeszcze postawiło przepaść. Musieliśmy się bronić, ale w ostateczności i gdyby nam oni sami nóż na gardle położyli.

Zbliżyli się do mostu ci ichmość; z koni pozłazili i poczęli go opatrywać; zobaczyli, że dyle wyjęte, że pale pookręcane, że tam już i piły były w robocie, więc zmiarkowali, żeśmy nie żartem o sobie myśleli. Dopatrzyli też wprzód tych stosów pozapalanych, i wiedzieli już, że mieliśmy się na baczności.

Spodziewaliśmy się napadu, ale widać, że po naradzie z sobą inaczej postanowili, bo się cofali powoli za groblę, i tam się ich kupa zewsząd zebrawszy, za-

stanowiła. Dniało już coraz lepiej, widać więc było dobrze wszystkie ich ruchy; ale zrozumieć nam było trudno co przedsiębrali, przekonawszy się, że nas nie ubiegna negotowych.

Dwór w Surowinie, jakem powiedział, stał na starem horodyszczu, opasany wałami i częstokołem, a zewsząd prawie błotami i małą rzeczułką gniłą, która nigdy dobrze nie zamarzała. Nie obawialiśmy się najścia z żadnej strony, tylko od grobli i mostu, bo od tyłu przestrzeń otwarta była i człowiekowi niedostępną łatwo. Dobrze znając miejscowość, można się było przebrać, ale brnąć czasem po kolana, a niekiedy i po pas. Nikomu z nas i na myśl nie przyszło, żeby to, co broniło, mogło się dla nas stać niebezpieczeństwem. Obaczywszy, że nas bez bójki, i to krwawej, nie wezmą, panowie Nałęczu wpadli na to, iż nas obledz mogą i głodem do zdania się na łaskę przymusić. Byliśmy w istocie nie z wielkim zapasem żywności we dworze, a ludzi kupa, bo któżby się był spodział, że trzymać się będziemy musieli? Z razu nam to i do głowy nie przyszło.

Tymczasem gdy się całkiem dzień zrobił, postrzegaliśmy, że jakby obozem legli u grobli, a reszta, co ich było, rozłożyli się w karczmie i we wsi. Postawili straż, kilka razy wyszli jeszcze do mostu, wrócili za groblę znowu i stoją.

Grabowski, jak to mu nigdy na dobrym humorze nie zbywało, szczególnieć kiedy był w robocie, myślał, że na coś czekają, i śmiał się, że snadź po artylleryę posłali. Nazywał Nałęcza Kara-Mustafą, i oblężenie to równał z wiedeńską wyprawą.

Nadszedł biały dzień. My, także u wrot ludzi po-

stawiwszy, poszliśmy co przekąsić i spocząć. Wtém woła mnie Helusia do alkierza i szepcze na ucho:

— Powiedz mi co będzie, jeśli to potrwa? Na trzy dni nie mamy w szpitalni zapasu, ani mąki, ani chleba...

Stałem osłupiały, postrzegłszy, że to już nie żarty; a teraz mi to w oczach stało, że oni na to rachować muszą, iż nas w tydzień głodem wezmą. Nie trwając innych, wziąłem Grabowskiego na bok, i opowiadam mu jak rzeczy stoją. Spoważniał. Poszliśmy do szpitalni i obliczyliśmy gęby: jawna była rzecz, iż nad trzy dni nie dotrzymamy. Dowieść zapasu nie było podobna, bo nas formalnie oblegano.

— Sprawa głupia, rzekł mi Grabowski, ale jakąś radę na nią dać przeciw sobie musimy. Jużci się tak w tym koju wziąć im nie damy.

Poczęliśmy liczyć ilu ich tam jest, ilu nas? czyby wycieczki nocą nie zrobić, wzięwszy panią we środek? ale niebezpieczna to była rzecz. Złe. Jemy wszakże śniadanie, ba i obiad, nie mówiąc nikomu nic i nie żałując sobie chleba i mięsa. Na następny dzień było trochę wędliny, słoniny, szynki, mieliśmy jaja, krupy, ale do czwartego dnia załoga byłaby głodna, bo jedli nasi zdaje się jak nigdy, gdyby na złość, a ochotnikowi odmówić nie było podobna.

Cała moja nadzieja była w Grabowskim, który chodził, cmokał, namyslał się, ale serca nie tracił.

Z południa poszedł opatrywać położenie, raz i drugi wały przebiegł, każdy kąt opatrzył, ano! nic nowego. Z tamtej strony grobli położyli się obozem i leżą. Nadchodzi wieczór, nic; przyszła noc, ani słychu... Ale nam już zasnąć trudno... Jakoś u naszej załogi

poczęło serce mdleć z tego wyczekiwania i nudy. Byliby się bili w pierwszój chwili jak najlepiej; ano, tém stanieniem przepadli.

Zaraz-em postrzegł, że drudzy się już radzi byli wysunąć. Nocą jeden szlachcic przelał przez częstokół i cichaczem groblą drapnął, myśląc, że się przekradnie. Z półnoka robi się larum za groblą, krzyk... Wszyscyśmy się zerwali na nogi. Widzimy, że Bykowskiego brak, i dorozumieliśmy się co zaszło. Czekamy co będzie. Aż tak w godzinę niemal Bykowski, zawstydzony, że deztererował, powraca. Czekał nań już u wrot; otwarto mu furtkę.

Wsiądzie na niego Grabowski:

— A ty tam taki owaki! a czy ci nie wstyd?

— Daj mi pan pokój, odpowiada szlachcic. Pójść się z szablą wyrąbać, tom gotów; ale tu siedzieć zamkniętemu jak w więzieniu, a jeszcze, jak rychło przyjdzie, o głodzie, nie mogę, i dużo naszych nie będzie mogło. Doma żona chora, gospodarstwo, bieda; ja tu nie wytrzymam. Widzicie panowie, że mnie Nałęczowscy puścili, a wiecie z czém? oto, żebym wam powiedział, iż ztąd nie pójda, aż wezmą panią i sprawcę, choćby tu i pół roku stać mieli...

Grabowski począł się śmiać, ale nam było nie do śmiechu. Wziął mnie za rękę i szepcze:

— Bądź spokojny, znajdzie się na to rada.

Wyjawszy z kieszeni talara, daje Bykowskiemu i powiada mu:

— Idź waszeć do nich, a proś tu do mnie na most jednego z tych ichmościów na rozmowę.

Szlachcic się poskrobał w głowę, ale rad nierad

powłókł się. Noc była dosyć widna. Patrzymy, w pół godziny idzie nazad, a za nim konny. Grabowski do mostu pośpieszył sam.

Starszy z Nałęczów do niego wyjechał, i poczęła się następująca pomiędzy nimi rozmowa:

— Czego ichmość tu chcecie, nachodząc dwór szlachecki?

— Nie dwór szlachecka, ale zbójcekie schronienie obsaczyliśmy. Porwano nam zdradą siostrę, stała się wiolencya i rapt. Nie mamy innego sposobu, tylko siłę siłą złamać.

— Nie tak sprawa stoi, jak ją waszmość maluje, rzekł mój poseł. Siostra waszmości pełnoletnia, dobrowolnie rękę przed ołtarzem oddała równemu sobie szlachcicowi; wiolencya jest z waszój strony, a ucisk niesłychany. Jeśli macie słuszość, idźcie do sądu, niech trybunały rozstrzygną.

— Oto mój sędzia, odparł Nałęcz, bijąc się po szabli... ja innego nie znam, a z hołotą się po trybunałach rozpierać nie myślę.

— A ja waści mówię, dodał Grabowski, że nas tu nie weźmiecie. Będzie-li nieszczęście i krew się czyja poleje, niech spada na waszmościów.

— Niech spada choćby i na mnie, rzekł Nałęcz; ja tam o to nie dbam, a gwałtu sobie czynić nie damy.

— My też, rzecze Grabowski.

— Siedźcie w téj mysiěj dziurze, jeżeli chcecie, począł ów; a ja was tu głodem zmorzę i wybiorę.

— Starościcu, po ludzku mówmy. Co wam z tego przyjdzie? Ludziom śmiech, domowi wstyd, obmowa, szyderstwo z tego. Siostra za mąż wyszła, ksiądz

przy świadkach ślub dawał; od męża jój nie odbierze. A to wam powiedzieć kazała, że rychlój umrze, niż mu wiarę złamię.

— Waszmość mnie uczyć nie będziesz co mam robić, ani co imieniu mojemu odemnie się należy; rzekł Nałęcz. Róbcie swoje, my też.

— O co wam idzie? próbujmy skończyć po szlachecku.

— Zaczęliście po zbójceku, a kończyć chcecie, ze strachu w układy idąc, naśmiał się Nałęcz. Wydajcie nam siostrę i tego panicza, to wyliczymy mu na skórze pamiętne, i rzecz się skończy... Ot co jest.

Buchnął tedy Grabowski gniewem, ale się pohamował i zawołał tylko:

— Ruszaj waść zkądś przyszedł! Zobaczmy, czyja skóra garbować się będzie.

I tak się rozjechali w największej złości.

Rachowałem ja na chorążego, na podczaszyne, na to, że jak się ludzie dowiedzą i hałas uczyni, to ich odwiodą od tego zamachu na nas; ale potrzeba było czasu, a tu głód za pasem. Jeszcze nie szarzało na dzień, Grabowski do mnie przychodzi i pyta:

— Znasz ty to błoto dobrze?

— Niebardzo, rzeknę mu: jam tu nowy dziedziec.

— Dawaj mi przewodnika; wydobyć się ztąd muszę, aby wam odsiecz sprowadzić, bo szlachta nasza do wybitěj doskonała, ale jak chleba i wódki zabraknie, to się wszystko rozlezie. *Periculum in mora*.

Był chłopak wyrostek przy folwarku. Grabowski zmiarkował, że musiał na jaja czajek po błotach się włóczyć, i kazał mu się tyłem przeprowadzić. Jużem go nie śmiał od tego odwozić, choć bez niego pra-

wój ręki mi brakło. Chłopak zobowiązał się iść z nim na błota, i niepostrzeżenie, po kątach między trzcinami, bezpiecznie go przewieść do szlacheckiej osady za rzeczką.

Jak raz, to sobie w głowę wbił, już go odciągnąć nie było podobna. Wdział siermięgę, kozuch i czapkę chłopską, tylko dwa pistolety olstrowe włożył za pas pod sukmanę, i tyłami wysunął się z chłopcem. Żegnając mnie, ścisnął za rękę i powiada:

— Dawaj im jeść co wlezie; nim jutro przyjdzie, posłyszysz o mnie. Mądrzy oni, ale Grabowski też niegłupi.

Patrzałem się z wału, jak go chłopak poprowadził dosyć szczęśliwie. Załamali się trzykroć, ale niegłęboko; potem jak się wszyli w trzcinę, tylkom im pobłogosławił... przepadli.

Natenczas pomyślałem sobie: — W ostatnim razie wezmę Helusię na ramiona i wyniosę ztąd, gdy będzie potrzeba. Ukryjemy się kędyś w chacie, a tymczasem coś się do zgody uczynić musi.

Zaczęło dzień; my na swoich posterunkach, oni też. Most kazałem do reszty porozrzucać, a wierząc słowu Grabowskiego, śniadanie sprawiliśmy sute i wódki nie pożałowaliśmy.

Uchodzą godziny na wyczekiwaniu tej odsieczy, przyszło południe, nastąpił wieczór, zmierzcha się, nstawiają wieczerzę dla panów braci, i dla zabawy do wódki wytoczyliśmy im półbeczek kwaśnych ogórków. Patrząc naokół: nie się ani ruszy.

Nie zwątpilem bynajmniej o moim Grabowskim, ale w tej biedzie różne przychodziły myśli. Wyrostek, który miał powrócić, nie przychodził; a nuż gdzie

potonęli? Rzeczka była oparzelista, ranek chmurny, chłopiec niebardzo rozgarnięty... Nuż go tam pochwycili gdzieś!... a to, a owo... Gdy noc przysła, już mi bardzo zrobiło się ciężko. Poszedłem do alkierza, patrzę: Helusia płacze. Chciałem ją cieszyć, ale słów zabrakło; wskazałem krucyfiks i Matkę Bożką, i wysunąłem się.

Wychodzę do wrot, by czaty opatrzyć... Ciemno już było bardzo. Aż mi Zegrzda drogę zabiega i woła:

— Coś za groblą się stało, bo tętent, krzyk, a bo-daj parę strzałów słyszałem.

Drudzy mówią, że to we wsi szlachta zahulała. Nie ma nic... ucichło. Widać wrotami gdzieś trzaśnie-to, a zdało się, że strzelają.

Umilkliśmy wszyscy i nastawujemy ucha; ano, szmer, jakby się w garnku gotowało, i kiedy niekiedy okrzyk, a potem znowu daleka wrzawa i cisza.

— Ani chybi, powiada szlachcic stary: że chłopów tłuką, jeśli im się postawili na przekór.

Wtém na zachodniej stronie po nad stawem, kędy droga szła, przypatruję się: mknie jeden jeździec, za nim drugi, potem dwóch, ale co koń wyskoczy i do siodła poprzytulani aż leżą. Za nimi znów jeden... i znowu kilku... Od ostatnich błysnęło, strzelili... aż i huk wyraźny... No, więc coś jest... ale kto tam wygrał, nie wiadomo.

Jużeśmy aż za wrota powylazili; czekamy tylko. Upłynęło pół godziny, może i więcej. Sprzykrzyło się darmo wyglądać; we wsi cicho.

— Nie wiadomo co tam było, mówię do Zegrzdy; chodźmy się ogrzać do izby.

Wtém szlachcic przypada do mnie:

— Patrzajcie! patrzajcie!

Spojrzelśmy na grobę. Kaduk wie co tam takie-
go, zrozumieć trudno. Od karczmy szereg świateł
jakby pogrzebowych, pozapalane smolne łuczywa czy
co, ciągnie na grobę ku nam. Stoimy, patrzymy: nie-
przyjacieli, czy odsiecz, nie odgadujemy.

Kiedy się zbliżyli do mostu, słyszę głos; przez
kułaki Grabowski woła o przeprawę. Skoczyliśmy ku
niemu, ja, Zegrzda i ilu nas było...

Zbliżywszy się pod most, patrzę: a to czysta ko-
medya. Grabowski na beczce ogromnej, beczka na
wozie parą wołów ciągnionym, dalej wóz drugi, trze-
ci, czwarty, a około nich szlachty ćma z pochodniami,
niektórzy z szynkami na kijach, inni z kielbasami na
szyi, ostatni po parę bułek pod pachami... i wszyscy
chórem śpiewają jakąś pieśń żołnierską, podbili widać...
Kiedy lepiej się przyglądam, widzę: Grabowski z gło-
wą związaną, u drugiego ręka na chuście, trzeci o ki-
ju się wlecze, stękając.

Most połataliśmy naprędce, jak było można. Rzu-
cam się ku Grabowskiemu, aby go ścisnąć, a ten mi
woła z dala:

— Dobra nasza! górą Jastrzębce! Nałęczem sobie
Nałęczę rany obwiązują!

— Co się stało? mówię.

— Zaraz opowiem. Ale najprzód wprowadźmy
obrońców na waszecin zamek, ugośmy, a potem
o tém.

Wjechali tedy z pieśniami, ze strzelaniem, z hu-
morem jak zwycięzcy, aż Helusia w ganek wybiegła,
na tę osobliwszą z kielbasami processę popatrzyć
Nierychlom Grabowskiego złapał.

— Mów, ojciec a dobrodzieju... jak to było?

Otoż czegom się od niego dowiedział:

Chłopiec go bezmała całego, ale zamoczonego po
pas, przeprowadził do szlacheckiej osady. Tam już on
był jak w domu; kazał zwołać panów braci, włożył na
beczkę i przemowę im palnął o równości szlacheckiej,
o przemocy magnackiej, o potrzebie wzajemnego rato-
wania się. Szlachta stanęła, gotowa na odsiecz. Po-
słano po bliższych do innych wsi, a razem zebrano
żywność. Grabowski od siebie z domu kazał przy-
wieźć beczkę miodu i parę beczulek wódki.

Gdy wszystko było w gotowości, wozy z żywnością
zostawiwszy w tyle, o mroku puścił się ze swym od-
działem do Surowina. Nałęczę wcale się nie spodzie-
wali napaści, i po większej części spali, lub po chatach
leżeli, gdy szlachta z okrzykiem na nich uderzyła
i w jednej chwili rozproszyła; bo ci, co po chatach
byli, oknami przez ogrody pouciekali. Strzelono parę
razy, ścięto się w szable, ale żadnego trupa nie było,
jak się zdaje, z obojgiej strony.

Wysłuchawszy relacyi, uściśnąłem przyjaciela; ale
ten mi rzecze:

— Na teraz skończone, ale prawdę rzekłszy, wszyst-
ko po dawnemu. Nałęczę swoje, my swoje, i tak się
to będzie ciągnęło Bóg wie jak długo. Trzeba myśleć
co począć.

— Nie może być! rzekłem. Są przyjaciele, co ich
opamiętają; dowiedzą się ludzie, starszy brat mi przy-
rzekł. Podczaszyna też poruszy swe wpływy... musi
temu raz być koniec.

Zostawiwszy nieco świeżej szlachty przy sobie, stra-
że znów poustawialiśmy. Zmęczonych odprawiono do
domu; ale się z Surowina wybrać nie było można,
zawsze tu jeszcze było najbezpieczniej.

W nocy się trochę spoczęło, bo była ta pewność, że wprędce nowych sił nie zbiorą. Nad ranem wyszliśmy z Grabowskim obejrzeć się. Na grobli spotykam czelaka. Widzę, obcy. Popatrzał się na mnie, i z płachty list rozwinąwszy, wręczył mi go.

Posłaniec to był od podczaszyny, a pismo od jej kapelana, z doniesieniem: że panowie Nałęcz po odniesionej porażce, a jeden z nich lekko raniony, zawzięli się na nas gorzej jeszcze; że się odgrają choćby do nogi wyginać mieli, porwać mnie i ścigać, a siostrę do klasztoru zamknąć; że przygotowania się robią wielkie, abyśmy się mieli na ostrożności. Ale dołączał zarazem, że podczaszyna pisała do kasztelana krakowskiego Potockiego, aby o tém królowi znać dał, i poruszyła wszystkich swych przyjaciół, dla uczynienia zgody; abyśmy byli cierpliwi.

— Nie ma innej rady, rzekł Grabowski, tylko póki się to nie załatwi, trzeba w pomoc szlachcie spędzić ludzi ze wszystkich wiosek naszych, z cepami, kosami, siekierami... i czekać obronnie ewentu.

Ponieważ gościńce były wolne, pchnąłem zaraz Grzesia do Wólki po śpiżarnię, kazałem parę wołów na rzeź przypędzić i ludzi pozwoływać. Koszt był niemały, kłopot straszny, ale nie mogłem folgować, musiałem się bronić do ostatka.

Trzy dni jakoś było spokojnie. Chodziły wieści głuche, plotki niedorzeczne; przyjeżdżała szlachta z tém i owém, wiedząc, że dobrze traktował, ale Nałęcz się nie zjawiali. Trzeciego dnia wyjechał Zegrzda na wzwiady, choć małowówny, ale roztropny człowiek, i przywiózł języka jakiego dostał, że Nałęcz zmiękli znacznie, że wpływy różne zaszyły, że tylko o odstąpieniu summy posagowej jest mowa.

— Jeśli to prawda, jadę do podczaszyny, rzekłem, i rzecz we dwóch słowach kończę. Ale gdym poszedł do Helusi, rozplakała się strasznie i wręczyła mi powiedziała:

— Niech jedzie kto chce, a ja was, panie Janie, od siebie nie puszcę i nie puszcę. Mogłoby się trafić nieszczęście, spotkanie, i jabym to na sumieniu miała.

Powiedziałem Grabowskiemu, a ten mi na to:

— Ma słuszność, ja pojedę. Wezmę tylko moje hiszpańskie pistolety za pas, i choćby do Nałęczów samych na dwór nie ułękę się.

Uprosiłszy go, że samotnie wyjechał, i to tylko do podczaszyny.

Znowu dwa dni w téj niepewności upłynęło. Dają mi znać, że wraca, i ażem na groblę do niego wybiegł. Patrzę, kwaśny; poznałem z miny, że źle się powiodło.

— A co, przyjacielu? spytałem.

— Nic, rzecz, z kwitkiem poszedłem, gadać nie chcę. Podczaszyna radzi zebrać ludzi i jechać wam do Warszawy, gdzie pod boki króla, w stolicy, żadnej się już napaści obawiać nie potrzebujecie. Rzecz trzeba w tajemnicy zachować największej, aby się nie rozniosło póty, póki w stolicy nie staniecie. Niech ludzie myślą, że tu jesteście. Z czasem się to ukoji, ale czekać waszmość musicie. Chorąży próbował ich, naprowadzał do rozumu, prosił; wstawiała się i chorążyna, którą starszy brat bardzo lubi, reflektowała podczaszyna, nie pomogło nic.

Bardzo mi to było nie na rękę. Gospodarstwo zaniedbane. Starostwo miałem przyjmować, rozpłaty,

inwentarze, robot siła, a tu jedź w drugi koniec kraju i siedź z założonemi rękami. Ale innego sposobu nie widzieliśmy. Helusia też była za tém.

Poczęliśmy się tedy przyspasabiać do podróży w tajemnicy największej. Pomimo to na pół drogi przeprowadzać nas miało dwudziestu rębaczów, a do samej Warszawy Grabowski, Zegrzda i ośmiu z ich komitowy doświadczonych. Jak na toż zima, która się dotąd trzymała jak murowana, poczęła nagle ginać; ni kołami, ni na saniach. Roztopy okrutne, deszcz, śnieg, plucha, zawieje na dworze; ani nosa wytknąć, ani kołebki dobrać. Helusia mi się oświadczyła jechać konno, i jak poczęła prosić, musiałem pozwolić. Dałem pod nią Pyladesa, bom wiedział jaki to koń; zresztą sam miałem przy niej jechać.

Nic nikomu nie mówiąc, wieczorem wysunęliśmy się z dworku, dosiedliśmy koni, i ze szlachtą naszą puściliśmy się, aby z domu tylko, na nocleg do Sławatycz.

Nikt, zdaje się, żywa dusza nie wiedziała cośmy za jedni. Helusia się nawet dla niepoznania przewdziała po mężku, a wyglądała jak piętnastoletnie chłopię... tylko jój skrzydła przypiąć, byłby anioł.

W Sławatyczach, dla okrutnej zawiei, musieliśmy podnocować, a ztąd musieliśmy małemi drogami ciągnąć na Białą Radziwiłłowską, dalej ku Warszawie.

Nad ranem księżyc świecił. Wstaliśmy do dnia i w drogę. Wziął mały przymrozek, niebo się wyjaśniło, ziemia stężała i zrobiliśmy kawał dobry do południa. Na noc chcieliśmy być w Białej. Szło wszystko jak najpomyślniej, aż prawie do wieczoru.

Ledwie poczynano zmierzchać, w puszczy pod mia-

steczkiem ujrzałem konnego jakiegoś, który stał na gościńcu i znikł nagle. Tknęło mnie coś i powiadam Grabowskiemu. Ten się śmieje i mówi, że przywidziało mi się.

Wszelako on i ja porozplątywaliśmy rapcie od szabel i opatrzyli pistolety. Jedziemy trochę dalej, słyszysz tętent z tyłu, a z przodu postrzegam kupę ludzi. Obejrząc się... osaczeni jesteśmy.

Schyliłem się z siodła, całując w czoło Helusie; ścisnąłem jój rękę, wzięliśmy ją między siebie i stajemy. Wtém słysząc głos:

— Zdawajcie się na łaskę! a nie, to z was tu i jeden z duszą nie wyjdzie!

Na to Grabowski w śmiech. Było nas razem z ludźmi koni coś dwanaście, ich zaś może dziesiątek z jednej, a dziesiątek z drugiej strony; tylko że nas wzięli zdradą, z tyłu i przodu. Po obu stronach gościńca las okrutny i gąszcze.

Nie wiedzieć jak się stało, żeśmy zaraz do tych krzaków się przyparli, Helusie wzięwszy za siebie, i frontem do obudwóch kupek stanęliśmy. Uciekać ani było można, ani uczciwie. Chciał mnie i ją Grabowski namówić, abyśmy w las uchodzili, gdy oni z nimi zabawiać się będą; ale i ja i ona odmówiliśmy. Daliśmy sobie słowo nie strzelać, póki by na białą broń szli.

Upłynęło może tyle czasu, ile jedna Zdrowaśka; patrzę: sadzą na nas z szablami. Już dalej dobrze nie wiem co się działo, bo się poczęła taka siekanina o mroku zawzięta, że aż skry się z szabel sypały. To tylko pamiętam, że ręki nie żałowałem, ale mimo liczby nie przemogli nas. Byliśmy z tyłu osłonięni

gąszczą nieprzystępną, a konie ustawiwszy dokoła, aniśmy się dali ukąsić. Co natrą na nas, to ich tak przyjmujemy, że muszą się cofać. Grabowski Nałęcz zaraz w początkach płaął po gębie; ja Biesowi-m czapkę przerąbał i troszkę skóry na łysinie; inni też nie próżnowali. Gwar, krzyk! aż słyszę, pada strzał, i zaraz po nim jęk. Poznałem głos Helusi. Nie śmiałem się obejrzeć, ale mnie wściekłość porwała straszna. Sunę się z rzędu i rąbię. Jużem oślepl—i nie wiem kogo i jak.

Było chwilę zamieszanie; z naszych jeden padł z konia, z ich strony kilku uciekło, a dwóch się zwaliło, i zmiękli zaraz: w konie i w nogi. Aniśmy się opatrzyli, jak ich nie stało, a gonić nie było potrzeby.

Dopierom się obejrzał ku Helusi, i zobaczywszy ją na koniu siedzącą a zdrową, jak mi się zdało, Panu Bogu-m podziękował. Ale gdy się zbliżam o mroku, patrzę, na twarzy krew. Krzyknąłem:

— Co to jest?

— Nic, rzecz, nic, gałąź mnie drasnęła.

Ale nie była to gałąź, tylko niecnotliwa kula braterska, która jej ramię śliczne odarła; szczęście, że się ośliznęła tylko i nie weszła w ciało, ani tknęła kości.

Wnetem się rzucił obwiązywać, ale mężnie to zniosła, uśmiechając się, jak żołnierz, aż mi łzy z oczu ciekły. Szukam potem Grabowskiego, a ten pod drzewem siedzi i drudzy mu gębę zawiązują. Szpetnie był pocięty. Mnie też parę razy skubneli, ale to tam skóry nie przeszło.

Mieliśmy jeszcze kilku rannych, wszystkich jednak nie strasznie. Gdy trwoga ta przeminęła, rozglądając

się, słyszymy: stęka coś za krzakiem z przeciwniej strony. Poszliśmy tam: leżał szlachcic nałęczowski, zwany Burakiem, fatalnie raniony. Nie dałem mu krzywdy robić, choć mu się za niepoczciwą napaść należały płazy, ale go i tak Pan Bóg pokarał, bo skórę na policzku miał zupełnie obciętą i obwisłą, aż z jednej strony szczękę i zęby widać było. Kazałem go obwiązać, ale wybadać nie było można, bo wcale gadać nie mógł, ino krwią pluł raz w raz, płakał i jęczał. Mimo gniewu słusznego, byłbym go wziął na którego konia do najbliższej karczmy, aleśmy byli bardzo objuczeni. Powłókl się więc pieszo.

Po tém spotkaniu nieszczęśliwém, pośpieszyliśmy do miasteczka, dla samiej Helusi, która mimo mężstwa okazanego, bardzo była zmęczona. Ale i koniom się dała we znaki tarapata. Naddiagnęliśmy do gospody już nocą.

To była moja ostatnia z Nałęczami rozprawa, a gdy dziś ją przypominę, nie wiem jakeśmy potrafiliby napaść odeprzeć, chyba łaską tą bożą, która zawsze niewinnego krzepi i wspomaga.

Wypocząwszy następny dzień, puściliśmy się w dalszą drogę, i dostaliśmy się do Warszawy, gdzie się czuł zupełnie bezpiecznym. Rozpoczęły się po trybunałach procesa nasze: Nałęcze przeciwko mnie, ja przeciw nim; alem miał za sobą i króla, i dwór, i dyplomatów, bom był pokrzywdzony i uciśnięty. Byłoby to jednak nieskończone wieki trwać mogło, i dobra żołnierz zajęchane przez braci nie wyszłyby z ich rąk, gdyby nareszcie do ugody nas nie sprowadzono.

Wspólni przyjaciele zbliżyli nas; spisaliśmy transakcyę ugodną, ze wszelkich krzywd i pretensyj wzajemnie się kwitując, tylko summy posagowej ustąpić musiał tytułem kosztów.

Jak się to stało, nie bawiąc ruszyliśmy po Zielonych Świątkach z Warszawy do domu, aby uroczystie wesele odprawić i z rodziną się przejechać. W Wólce nam było ciasno, w majątności żony był dzierżawca jeszcze; kazałem więc trochę dwór w Ryżawce wypożądzić i wprost tam się podążyli.

Nie było bardzo dogodnie, ani pięknie w tym starym domisku opuszczonym, ale młodemu gdzie nie dobrze i gdzie nie wesoło? zwłaszcza jeśli z dozgonnym przyjacielem, a jeszcze po takich burzach, jakie ja przeżyłem, u portu i spoczynku!

W kilka dni z kawalkatą ruszyliśmy do panów braci. Nie mogę narzekać, aby mnie źle lub kwaśno przyjęli; owszem starali się okazać, że wszystko zapomniane było, i zmuszali moich i mnie pić i kochać gwałtem.

Ztąd zaprosiłem ich do siebie, dobrze zaopatrzywszy piwnice, abym szlachcie nie wydał się podlejszym od tych senatorów. Wystąpiłem tak, że do dziś dnia o tym jeszcze na Podlasiu fama chodzi. Kosztowało mnie ono spóźnione wesele omal nie tysiąc czerwonych złotych, bo trwało dni dziesięć, a caluteńka szlachta okoliczna, aż do najuboższej, była zaproszona i traktowana co gardło strzymało. Szczęściem, że to było w lecie, a stodoły jeszcze próżne, bo na ten traktament miejsca we dworze nie stało.

Zabawili się więc jedni z nami w starym budynku, drudzy w stodole wielkiej, sośniną ubraną na podziw pięknie, inni w podwórzu pod lipami. Szlachta mnie na rękę nosiła.

Mogę się i tym pochwalić, że mimo natłoku ludzi i trunków dostatku, ani jednej zwady nie było, oprócz że tam Biesowi któryś guza rękojeścią na czole wy-

cisnął; aleśmy ich zagodzili zaraz i spoli do niepa-mięci.

Izbę jadalną we dworze takim przystroił w kilimy i kobierce tureckie, w rzędy, szable, zbroje, łuki i kołczany zdobyte i pokupowane, iż się wydziwić i odchwalić nie mogli.

Sit nomen Domini benedictum.

(Reszty brak w rękopiśmie).

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

	Str
Rzym za Nerona	5
Pamiętnik Mrocza	249

884-3
Kraszewski
Rzym